

DOROTA TERAŁKOWSKA

Córka Czarownic

ROZDZIAŁ I

...jak daleko sięgało Dziecko pamięcią - jeszcze zawodną i niewyćwiczoną - zawsze było tylko ono i Stara Kobieta. Nikogo więcej. Czasem, ale zdarzało się to bardzo rzadko, zajrzał do ich domostwa ktoś ze Wsi, by cicho szeptać ze Starą Kobieta jakieś słowa, które wyraźnie nie były dobrymi słowami. Nie mogły to być dobre słowa, skoro niemal zawsze, po każdej takiej rzadkiej i niespodziewanej wizycie, Stara Kobieta w milczeniu pakowała skąpy dobytek do niewielkiego worka, bez pół zdania czy choćby gestu wyciągała dużą, ciepłą rękę - i w chwilę potem Dziecko i Ona przemykały spieszenie bocznymi, mało uczęszczanymi ścieżkami, byle dalej i dalej od Wsi, dalej i dalej od wszelkiego śladu ludzkich siedzib.

- To jest ucieczka - myślało wtedy Dziecko i rozglądało się czujnie dokoła wielkimi, dziwnie starymi oczami. Buzia Dziecka była zawsze brudna; nie dlatego by nie lubiło się myć lub Stara Kobieta nie dbała o nie wystarczająco. Wręcz przeciwnie. Jak daleko sięgała jeszcze krucha pamięć Dziecka - Stara Kobieta zawsze, z niezwykłą wręcz skrupulatnością pilnowała, by niemal wszystkie jego potrzeby były zaspokajane. Ale buzia Dziecka mimo to zawsze była brudna, choć Stara Kobieta budziła się co rano niemal o świcie, jeszcze nim Dziecko zdążyło otworzyć zaspane oczy i mrużąc do siebie, wyciągała z worka małe pudełeczko maści z orzecha i smarowała twarz Dziecka bardzo starannie, zaczynając od wysokiego, białego czoła, a kończąc na aż zbyt zdecydowanie zarysowanej brodzie. Pod smarowidłem zniknęła bez śladu delikatna, jasna skóra Małej, przemieniając się w ogorzałą, zniszczoną wiatrem i słońcem, co zniekształcało rysy jej twarzy. Ale tego Dziecko już nie wiedziało, bowiem nigdy w żadnym z ich domów nie było lusterka.

...domów? Domów także nie było. Były tylko tymczasowe siedziby. Dziecko zrozumiało to bardzo wcześnie. Kiedyś, rok lub więcej temu, mimo surowych przykazań Starej Kobiety, Dziecko oddaliło się od miejsca, które uważało za swój dom, i nad strumykiem stanęło oko w oko z podobnym sobie wiekiem i wzrostem Dzieckiem, mieszkanką pobliskiej Wsi.

- Co tu robisz? - spytała mała Wieśniaczka.

- Oglądam strumyk - odparło Dziecko, patrząc zaciekawione na swą rówieśniczkę. Była to pierwsza w jej życiu mała dziewczynka z jaką rozmawiała, więc wydawało się jej to wspaniałe.

- A gdzie masz swój dom? - spytała Wieśniaczka.

- O, tam, za tym laskiem - odparło Dziecko ochoczo, ciesząc się, że jest obiektem zainteresowania kogoś więcej niż tylko Stara Kobieta. Dziecko z kolei nie wpadło na pomysł, żeby spytać o dom Wieśniaczki. Nie wydawało się mu to ani ważne, ani potrzebne. Nie wiedziało bowiem, że istnieją domy - prawdziwe, stałe domy jako takie. Przypuszczało, że wszyscy, tak jak ono, przemieszczają się z miejsca na miejsce.

- Kłamiesz! - zawołała nagle obca dziewczynka. - To nie jest twój dom, tylko rozwalająca się, opuszczona chałupa starej Akton, która umarła, gdy ją pobili Najeźdźcy! Ciekawa jestem, co wy tam robicie! I ile was tam jest?

Gdy Dziecko powtórzyło tę rozmowę Starej Kobiecie, ta bez słowa wyjęła worek i zaczęła pakować garstkę posiadanych przez nie rzeczy.

- Idziemy - rzekła po chwili bez żalu, wyciągając do Dziecka dużą, ciepłą dłoń.

I znowu nie uczęszczanymi, bocznymi ścieżkami, wymijając środek Wsi, Stara Kobieta i Dziecko przemykały w stronę Dużego Lasu, który czerniał na horyzoncie i o którym niektórzy mieszkańcy Wsi zgodnym chórem powtarzali, że w nim straszy. Dziecko nie wiedziało o tym, ale żaden las, nawet najciemniejszy, nie napawał go nigdy lękiem. Nawet w czasie najgroźniejszej wichury czy burzy, gdy wielkie drzewa, skrzypiąc groźnie, pochylają swoje konary i mruczą coś do siebie w niespokojnej mowie wielkich drzew, a za ich pniami połyskują w mroku oczy nieznanymi, często drapieżnymi zwierząt. Nawet wtedy Dziecko nie bało się Lasu.

Zawsze, po paru kolejnych dniach marszu, po paru nocach przespanych byle gdzie w Lesie, w przypadkowo odkrytych skalnych pieczarach (a niekiedy nawet w dziuplach spróchniałych drzew), Stara Kobieta i Dziecko znajdowały kolejny, tymczasowy dom. Była nim jakaś porzucona przez mieszkańców, gnijąca ze starości chałupa albo stojąca daleko za Wsią stodoła czy stajnia. Stara Kobieta zostawiała Dziecko w nowej siedzibie, zakazując mu oddalać się, a sama ruszała w stronę Wsi, by zdobyć nieco innej żywności niż ta, która na co dzień była ich udziałem. Przynosiła też trochę mleka, chleba, a niekiedy nawet świeżego mięsa. Inną żywnością była ta, którą posilały się w drodze lub w Lasach: dziwne suszone mięso w paskach, czerstwe placki, owoce leśne i źródłana woda.

Drugie w życiu Małej i jak na razie ostatnie spotkanie z innym dzieckiem miało miejsce w pobliżu jednej z tych tak często zmienianych i całkiem przypadkowych siedzib. Tym razem była to pasterka, której owcom zamarzyło się skubanie trawy w tak dużym oddaleniu od Wsi, że dziewczynka bezradnie biegła za nimi, póki nie zatrzymały się w pobliżu na poły zrujnowanej chałupy, gdzie trawa, nie deptana ludzkimi nogami, była świeża, soczysta, wysoka. Dziecko na widok pasterki cicho wysunęło się z domu i nieruchomo przykucnęło w jej pobliżu. Pasterka wiała wianek z

koniczyny i śpiewała radosnym, donośnym głosem jakąś prostą i miłą piosenkę o łące, kwiatkach i owcach.

- O la la! - powiedziała na widok Dziecka, przerywając piosenkę. - Nie znam cię jeszcze, choć zdawało mi się, że znam tu wszystkich. Jak masz na imię, boja Izel...

Dziecko długo patrzyło na nią poważnymi, wielkimi oczami, nic nie mówiąc.

- No, powiedzże coś wreszcie! Nie umiesz gadać? - roześmiała się pasterka. - Pytam cię, jak masz na imię?

- Mam na imię Dziecko. Albo Mała. Pasterka wybuchnęła śmiechem.

- Ależ to nie jest imię! Jak mówi na ciebie mama? Albo tata?

- Ja nie mam mamy ani taty - odparło Dziecko. Pasterka spoważniała, ale zaraz wróciła jej naturalna pogoda:

- Kogoś przecież musisz mieć! Kogoś kto się tobą opiekuje? Jest chyba ktoś taki?

- Mam ją - powiedziało Dziecko i ruchem głowy wskazało zrujnowany dom.

- Pewnie masz ciocię lub babcię - podpowiedziała Pasterka.

- To całkiem możliwe. Ona jest stara - zgodziło się Dziecko z powagą.

- A zatem jest babcią. A jak cię nazywa?

- Dziecko lub Mała - powtórzyło Dziecko. Pasterka zachichotała z rozbawieniem.

- Chcesz to przyjdę tu jutro, żeby paść owce, i wtedy pobawimy się - rzuciła wesoło. - Może wóczas przypomnisz sobie, jak masz na imię. Wszyscy mają jakieś imiona. Więc chcesz?

- Chcę - odparło Dziecko, bowiem pojęcie zabawy było mu całkiem obce, lecz szybko pojęło, że musi to być coś bardzo przyjemnego.

Ale już nazajutrz, wczesnym świtem, Stara Kobieta i Dziecko szły szybko bocznymi drogami w stronę czerniejącego na horyzoncie Lasu.

- ... więc nie mogę się z nią bawić? - pytała mała podopieczna Starej Kobiety, spokojnym, poważnym tonem, nie próbując się buntować.

- Nie możesz - odparła Stara Kobieta.

- Powiedz mi przynajmniej, jak mam na imię. Wszyscy mają jakieś imiona!

- Jeszcze nie czas - powiedziała jej Opiekunka. - Poznasz swoje imię, gdy będziesz większa.

Nie każda kolejna zmiana siedziby odbywała się tak spokojnie, choć pospiesznie. Wówczas to Stara Kobieta i Dziecko szybkim krokiem mijały Wieś, a potem pnać się pod górę w stronę czerniejących na horyzoncie najbliższych Lasów, zwalniały kroku, a nawet odpoczywały po drodze, przysiadając w cieniu drzew.

Bywało jednak i tak, że opuszczenie kolejnego domu przypominało prawdziwą ucieczkę. Paniczną i pełną lęku, z widmem równie prawdziwej grozy.

Tak było przy ostatniej zmianie miejsca pobytu. Udało się im akurat trafić na dobry, wygodny dom. Ani deszcz, ani wichur jeszcze nie zdołały przeniknąć do jego wnętrza; dach, choć kryty tylko słomą, długo jeszcze mógł stawiać im opór, a wnętrze nie było tak zrujnowane.

- Chyba tu przezimujemy - powiedziała z zadowoleniem Stara Kobieta. - Tylko proszę cię, unikaj innych dzieci. Są bardziej gadatliwe niż dorośli i choć nie tak fałszywe, jak niektórzy z nich, jednak mówią o wiele za dużo, co prawda nie ze złej woli. Pamiętaj, że nikt nie ma prawa cię widzieć.

To zdanie: "Pamiętaj, że nikt nie powinien cię widzieć" towarzyszyło Dziecku od najwcześniejszych, zapamiętanych lat życia. Lecz nie znając innych dzieci i niemal nie rozmawiając z nimi, Mała rosła w przekonaniu, że tak właśnie powinno być. Sądziła, że wszyscy ludzie, duzi i mali, żyją z dala od siebie, obcy sobie wzajem, odlegli ciałem i duchem, unikając siebie lub wręcz przed sobą uciekając.

Tym razem żadne dziecko ze wsi nie zakłóciło spokoju nowych mieszkanek opuszczonego domu. I choć Stara Kobieta raz na parę dni szła do ludzkich siedzib po chleb, mleko, a gdy miała szczęście to nawet po jajka czy kawałek mięsa zdawało się, że nikt nie interesuje się bliżej obcą żebraczką, że wszyscy traktują jej pobyt za wsią jako coś naturalnego. Na ogół wszyscy też chętnie obiecywali jej żywność, wierząc - w zgodzie z Pradawnymi Obyczajami - że nakarmienie głodnego przyniesie obfitość pożywienia ofiarodawcy. Ten dobry, stary obyczaj pozwalał Dziecku i jego Opiekunce żyć względnie dostatnio w niemal każdej z napotkanych Wsi. Stara żebraczką nie wzbudzała niczyjego zaciekawienia ani niespokojnych domysłów; była postacią nader częstą na wszystkich drogach tej krainy. O Dziecku - ukrytym w głębi opuszczonego domu - zdawało się, że nie wiedział nikt.

Mimo to pewnego ranka do chaty wbiegł zdyszany Wieśniak. Ponieważ już z daleka słyhać było jego ciężkie kroki i zasapany oddech, Stara Kobieta zdążyła w milczeniu wskazać Dziecku róg pokoju, gdzie stała duża, zniszczona komoda. Dziecko skryło się w jej wnętrzu.

- Nie jesteście tu sama! - zawołał Wieśniak od progu. Jest z wami ono, prawda?

Wieśniak dyszał ciężko i niespokojnie; widać było, że musiał biec przez całą, dość długą drogę ze Wsi. Stara Kobieta patrzyła na niego w milczeniu, szarymi, spokojnymi oczami o nieruchomych powiekach.

- Nieudawajcie! - zamachał Wieśniak rękami. - Większość zaczyna się domyślać kim jesteście i nie zawsze ci, którzy powinni. Musicie uciekać, bo we Wsi pokazali się Najeźdźcy. Spieszcie się! I... i tylko jedno... Czy mógłbym choć rzucić okiem na... na...

- Chodź tu - powiedziała Stara Kobieta, wyjmując równocześnie worek spod łóżka i wrzucając do niego ich skromne rzeczy. - Pokaż się temu dobremu człowiekowi i uciekamy.

Dziecko wyszło z komody i stanęło na środku izby w promieniach wpadającego oknem słońca. Jego włosy, zazwyczaj ukryte pod chustką, która teraz zsunęła się z głowy, zalśniły ciepłym, starym złotem. Z zasmarowanej sadzą buzi wyzierały ogromne, niebieskoszare oczy, spoglądając nieruchomo na Wieśniaka.

- ... a włosy jak złoto tego kraju, pszenica, a oczy jak niebo przed burzą... Dobre Bogi, pomagajcie, niech się spełni... westchnął Wieśniak. - A teraz uciekajcie, ale szybko. Oni mają konie.

Stara Kobieta i Dziecko uciekały sadami, okalającymi Wieś, wyglądającymi jak wielki, rozkwiecony, bladoróżowy park. Zbawczy Las tym razem nie był daleko. Wystarczyło pokonać kilka małych wzgórków. Kobieta i Dziecko znajdowały się właśnie na ostatnim z nich, gdy ich uszu dobiegł tętent koni. Dziecko obejrzało się i przystanęło na moment, uwiedzione niezamierzonym pięknem tego obrazu. Ogromne, czarne, wspaniałe konie gnały po stoku w ślad za nimi, a na nich siedzieli jeźdźcy w połyskliwych zbrojach, które w promieniach wczesnego słońca lśniły srebrzyście.

- Jacy piękni! - zawołało Dziecko, przystając.

- Są okrutni i pragną cię zabić! - krzyknęła Stara Kobieta i pociągnęła je szorstko za rękę.

Do zbawczego Lasu brakowało jeszcze kilkunastu metrów. Konie gnały coraz szybciej, a ich chrapliwy oddech i głuche parskanie dźwięczały coraz wyraźniej w uszach Dziecka. Jeźdźcy w zbrojach wydawali groźne, lecz zarazem radosne okrzyki myśliwych, którzy są pewni, że tropiona zwierzyna im nie ujdzie. Rozsypali się w szyku, zataczając koło i śmiejąc się donośnie. Widoczne było, że bawi ich ta sytuacja, że serca ich raduje widok uciekającej Starej Kobiety z małym Dzieckiem; mieli już pewność, że ucieczka nie może się powieść.

- Ho! Ho! Hiii! Ho! Ho! Hiii! - krzyczeli donośnie, zaganiając swe ofiary jak zające do lasu, którego czarna ściana, choć tak bliska, nie stanowiła już jednak żadnej ochrony, wobec bliskości polujących.

- Wycza! Bierz je! - ryczeli, jak na prawdziwym polowaniu, upojeni bliskością momentu, w którym zapędzą Starą Kobietę i Dziecko w ciasny, zbity od końskich cielsk krąg.

Uciekające wbiegły w Las. Jednak tu, na samym początku, tworzył on raptem skromny zagajniczek.

- Za nimi! Dokoła! Dokoła! - wrzeszczał przywódca tropiących, którzy rozsypywali się teraz w szeroką, okrężną tyralierę.

Dziecko, biegnąc, słyszało przyspieszony oddech Starej Kobiety, czuło jak krok za krokiem ich bieg zwalnia swe tempo, aż wreszcie uciekające przystanęły, dysząc ciężko, w gęstych, szeroko rozrośniętych krzakach, które jednak niezdolne były stanowić żadnej osłony.

... i nagle Stara Kobieta energicznie odsunęła od siebie Dziecko i wymamrotała coś niezrozumiale, wyciągając przed siebie rozcapierzone palce.

... wtedy pomiędzy gąszcz krzewów wjechali zbrojni Jeźdźcy. Dziecko poczuło ostry zapach końskiego potu i ujrzało, że piękni z oddali żołnierze są z bliska straszni, gdyż niosą ze sobą Śmierć. Teraz Dziecko zapragnęło wyciągnąć rączkę, by uchwycić w nią jedynie bezpieczną i swojską, ciepłą i dużą dłoń Starej Kobiety - i wówczas ze zdziwieniem poczuło, iż nie jest w stanie tego zrobić. Jego ręka nie poddawała się woli. Starej Kobiety też nie było w pobliżu, wszędzie wokół kłębili się tylko, wrzeszcząc donośnie, okrutni jeźdźcy na swych spienionych koniach.

- Ona mnie zostawiła i uciekła - pomyślało śmiertelnie przerażone Dziecko i jeszcze raz spróbowało wyciągnąć rączkę, by odepchnąć nacierające na nie końskie zady. I gdy już włożyło w tę czynność ostateczny wysiłek - ujrzało, że zamiast ręki wyciąga srebrzystą, pełną szpilek gałązkę...

- Jestem choinką - pomyślało bez zdziwienia i z ciekawością. - Skoro tak, to ta druga, wysoka, srebrna choinka obok mnie jest Starą Kobietą, gdyż jeszcze przed chwilą jej tu nie było...

... i zdawało mu się w tym momencie, że w nieregularnym kształcie srebrzystej, wysokiej choinki dostrzega na poły zgarbioną sylwetkę Starej Kobiety, z zarzuconym na plecy workiem.

Jeźdźcy krzyczeli coraz głośniejsze. Tym razem w ich wrzaskach nie słychać było pewnej siebie radości, okrutnego szczęścia myśliwych, którzy dogonili zwierzynę i mają pewność, że już im ona nie umknie. Ich wrzask był pełen rozpaczliwego i przepojonego tajemniczym lękiem zawodu; był to wrzask przerażonej wściekłości.

- Przeklęta Czarownica! - zawołał któryś z nich, a jego słowa głębokim, ostrym echem obijały się wśród drzew: " ...eta ...wnica!..."

Po chwili konie niosły ich już z powrotem w stronę Wsi, a donośny tętent kopyt powoli cichł, by wreszcie stać się niesłyszalnym.

- Naprawdę jesteś Czarownicą? - spytało Dziecko wysokiej srebrzystej choinki, spod której szpilek powoli wylaniał się znajomy, nieco zgarbiony kształt Starej Kobiety.

- Jestem Czarownicą - odparła Stara i po raz pierwszy w swym krótkim życiu Dziecko ujrzało, jak jej wąskie wargi rozciągają się w uśmiechu. I wtedy Dziecko, nie wiedzące do tej pory czym jest uśmiech, naśladowując swą Opiekunkę, również rozchyliło nieporadnie wargi i uśmiechnęło się do niej z uznaniem.

- Więc jednak jesteś Czarownicą - powtórzyło jakby z upodobaniem. - 1 dużo umiesz takich sztuk?

- Dużo - odparła Czarownica, a jej uśmiech z triumfalnego przemienił się w ironicznie smutny, by wreszcie skryć się w opuszczonych kącikach wąskich warg. - Bardzo dużo, moja Mała, ale pamiętaj, że mamy prawo tylko do trzech takich sztuczek, by siebie ratować. Czwarta już by się nie udała. Tak głoszą Prawa Odwiecznych Praw, spisane w Wielkich Magicznych Księgach.

I w ten sposób Dziecko, mając pięć lat, dowiedziało się paru dla siebie nowych a ważnych spraw: że jego Opiekunka jest Czarownicą; że tropią je okrutni rycerze w zbrojach, gotowi w każdej chwili zabić; że niektórzy ludzie gotowi są im pomóc, choć inni być może nie byłiby do tego skorzy. I że prawdopodobnie pozostałe dzieci żyją nieco inaczej, mają swe stałe domy, mamę, tatę - i własne imię. Ale wbrew pozorom Dziecko nie myślało o tym z żalem, ale wręcz z pewną dumą z powodu swej odrębności.

Skoro tylko - już całkiem bezpieczne - zagłębiły się w ciemną i dość ponurą leśną gęstwinę - która jednak dla nich była swojska, Czarownica odwróciła się, by podać Dziecku swą dużą dłoń - i wówczas Małej wydało się, że przez ułamek sekundy w oczach jej Opiekunki mignęło coś dziwnego, coś co nazywa się Miłością i co Dziecko знаło jedynie instynktownie, choć nikt mu tego nie opisywał. Ale samo Dziecko nie umiało tego odczuć, ani odpowiedzieć spojrzeniem - gdyż nikt nigdy nie przytulił go, nie pocałował, nie pogłaskał po jasnych włosach. Więc Dziecko nie wiedziało, że Miłość jest czymś, co rozjaśnia wnętrze Człowieka. Zaś Czarownica, choć była prawdziwą Czarownicą, nie wyczuła, że ten moment jest najlepszy, żeby tę malutką, ledwie tłącą się iskierkę rozdmuchać w ciepły, żywy ogień.

ROZDZIAŁ II

Od czasu tamtych wydarzeń Dziecko spoglądało na swą Opiekunkę z mimowolnym szacunkiem i podziwem. Do tej pory miało ją za zwykłą Starą Kobietę, żebraczkę, jakich wiele błąka się po drogach i bezdrożach tej krainy. Siebie zaś - za ubogie,

żebracze dziecko, sierotę, przygarniętą z litości przez ubogą, lecz dobrą staruszkę. Teraz Dziecko nie było już pewne swej własnej, nieciekawej z pozoru osoby.

- Jeśli ona jest czarownicą, to ja... - zastanawiało się nieraz z pewnego rodzaju zarówno ciekawością, jak lękiem i nigdy nie kończyło tych zagmatwanych, nieporadnych rozmyślań.

Stara Kobieta - Czarownica - której dopiero teraz Dziecko zaczęło przyglądać się z większą niż zazwyczaj uwagą, okazała się być o wiele bardziej niejednoznaczna, niż na to wyglądała na pierwszy rzut oka.

Mogło też być inaczej: to Dziecko powoli dorastało, miało już pięć lat, wiek w którym dziecięcy umysł rozwija się coraz szybciej i zaczyna lepiej rozpoznawać otaczający je świat. Nie wykluczone, że różne czarodziejskie wydarzenia miały też miejsce wcześniej, gdy Dziecko miało dwa, trzy lub cztery lata, lecz nie umiało jeszcze ogarnąć ich swym wątłym umysłem.

- Może - myślało Dziecko z rosnącą ciekawością - za sprawą Czarownicy byłam już kiedyś myszką lub jabłkiem na drzewie, kwiatem na łące albo królikiem w norze...?

Dziecko nie mogło zapomnieć cudownego choć niepokojącego uczucia, gdy było Choinką, smukłą, srebrzystą, iglastą - a równocześnie nadal było Dzieckiem, myślącym, czującym, i dokoła kłębili się na spoconych, rżących koniach groźni rycerze w zbrojach, nie widząc go, choć mając w zasięgu dłoni.

Stara Kobieta, która to sprawiła, musiała być kimś niezwykłym; kimś całkiem, ale to całkiem innym od odwiedzających ich czasem Wieśniaków. Teraz, gdy Dziecko ukradkiem przyglądało się swej Opiekunce, z ciekawością, choć już bez zdziwienia stwierdziło, że Czarownica nie jest wcale taka stara, na jaką na ogół wygląda. Jej dłonie - duże i ciepłe - były gładkie, a nie pomarszczone, jak przystałoby u staruszki. Jej zgarbione zazwyczaj plecy - zwłaszcza gdy nikt nie patrzył - prostowały się swobodnie, a ruchy były zgrabne i płynne, jak u dojrzałej, lecz ciągle młodej kobiety. Oczy też miała nadzwyczaj bystre, o nieruchomych, długich powiekach; były one szare i chłodne jak górski strumień.

- Czy mogłabyś znowu zaczarować mnie w choinkę? - spytało Dziecko, gdy już znalazły kolejną, tymczasową siedzibę. Tym razem była to solidna, ciepła stajnia, stojąca koło rozwalonego i dawno opuszczonego domu. Wieś znajdowała się na tyle daleko, że nikt tu nie zaglądał, zwłaszcza że zbliżała się zima i pasterze już dawno przestali wyganiać swe owce, kozy i krowy w poszukiwaniu świeżej trawy.

- Mogłabym - odparła spokojnie Czarownica.

- Więc zrób to - poprosiło Dziecko. - To było piękne. Moje ręce były smukłymi srebrzystymi gałązkami, a głowa... głowa była taka dumna, jak wierzchołek choinki! Zrób to...

- Nie wolno mi - powiedziała Czarownica. - Mam prawo tylko do trzech sztuk magicznych, żeby cię ocalić. Co innego zwykle sztuczki, tych mogę robić ile tylko pragniesz. Mogłabym też robić je dla Wieśniaków, dla ich dobra, i to bez ograniczeń, ale nie chcę, bowiem zostałabym wówczas rozpoznana jako Czarownica...

- ...i co wtedy?

- Wtedy, jak to na ogół w życiu bywa, jedni by nam pomagali ukryć się przed Najeźdźcą, ale znaleźliby się też tacy, którzy by nas wydali w ich ręce. Ludzie są słabi, a za nasze głowy wyznaczona jest wysoka nagroda.

W ten sposób, w starej stajni za Wsią, Dziecko - wkraczając w szósty rok swego życia - dowiedziało się, że istnieje ktoś taki jak Najeźdźcy, którzy wiele by dali, iżby ono, Dziecko, i Czarownica zostali schwytani. I choć Najeźdźcy w swych wspaniałych, lśniących zbrojach z ogromnymi czarnymi końmi wydawali się Dziecku nadal piękni - już wiedziało, że uosabiają sobą Śmierć. Pojęło to po krótkiej wymianie zdań z Opiekunką:

- ... a gdyby nas już schwytali, co potem?

- Zabiliby - odparła krótko Czarownica, bez specjalnego wzruszenia w głosie.

- A kim są Najeźdźcy? - spytało znowu Dziecko.

- Wkrótce nadejdzie czas, by ci to wytłumaczyć. Jeszcze nie nadszedł. Za to pora już nauczyć cię pisać, czytać i rachować - zakończyła Czarownica krzątając się po starej stajni.

Dopiero teraz Dziecko dostrzegło po raz pierwszy, że takie krzątanie się Starej Kobiety po każdorazowej, tymczasowej siedzibie ma wiele wspólnego z czarami. Nie przemęczając się zbyt, paroma dosłownie ruchami swych zgrabnych, dużych rąk, Czarownica doprowadzała stajnię do przytulnego wyglądu. I wkrótce okazało się, że dawna rudera jeła przypominać całkiem przyzwoite pomieszczenie mieszkalne; że ma stół, łóżka, komodę, a nawet lampę nad stołem. Myszy, od których stajnia dosłownie roiła się, na jeden ruch jej ręki kicnęły do swych norek. Lampa rozbłysła różowym światłem. A co dziwniejsze - lecz tego Dziecko jeszcze nie wiedziało - światła lampy nie było widać z zewnątrz i stajnia nadal wyglądała na opuszczoną.

Całą zimę, długą i mroźną, Dziecko uczyło się pod okiem Czarownicy. W dzień odczytywało wszystkie litery alfabetu, a wkrótce potem całe teksty z wielkiej, zniszczonej księgi, wyjętej z worka - zaś w nocy, gdy spało, Opiekunka kładła na jego głowie swoje duże dłonie i mamrotała coś pod nosem. Każdy dzień posuwał naukę naprzód o dni przynajmniej kilka, jeśli nie kilkanaście. W ciągu niecałego miesiąca Dziecko opanowało płynnie czytanie, pisanie, liczenie. Teraz długie, zimowe wieczory zaczęły być przyjemniejsze. Dziecko czytało już bowiem swobodnie wielką, zniszczoną Księgę Czarownicy.

Była to najdziwniejsza Księga świata, ale Dziecko - dla którego była ona w ogóle pierwszą książką w życiu - nie wiedziało o tym. Kto wie, może sądziło nawet, że wszystkie książki są właśnie takie... ?

Czarownica śledziła je spod oka, gdy rozczytywało siew poźółkłych i nieco już kruchych, zetlałych stronicach - i uśmiechała się do siebie wąskimi wargami. Raz nawet - a zdarzyło się to po raz pierwszy w całej, blisko sześćoletniej znajomości Dziecka i Czarownicy - ta ostatnia roześmiała się głośno - i jakby z triumfem. A było to tak:

Dziecko czytało właśnie w skupieniu króciutki rozdział Wielkiej Księgi, zatytułowany: "Magiczne przeobrażenia". Nieznany autor wyjaśniał w nim, jakie zaklęcia należy wyszeptać i jakie ruchy rąk przy tym wykonywać, by przeobrazić na przykład mysz w jabłko lub pająka w kłębek wełny. Czarownica wpatrywała się w Dziecko chłodnymi, szarymi oczami z napięciem i uwagą. Obserwowała czujnie, jak Dziecko bezgłośnie porusza wargami, jak mamrocze szeptem słowa zaklęcia, a potem wykonuje nieporadnie określone ruchy rąk. Bystre oczy Czarownicy już dawno dostrzegły na stole małego, brązowego pajączka. Dziecko również go widziało.

... pajączek swobodnie kroczył na swych wysokich, zgiętych nóżkach po ogromnej dla niego przestrzeni stołu. Różowe światło lampy przydawało jego ciału fioletowego odcienia. Dziecko mamrotało świeżo wyuczone zaklęcia i czyniło dziwne gesty rękami - a pajączek szedł... Ruchy jego rąk były coraz mniej nieporadne i bardziej płynne, a mamrotane słowa jakby szybsze - a pajączek coraz szybciej zbliżał się do krawędzi stołu. Dziecko nadal próbowało nowej sztuki, określonej przecież tak prosto i precyzyjnie w Wielkiej Księdze a pajączek już dobiegał krawędzi... zaraz spadnie lub opuści się wolno na długiej, pajęczej nitce... Czarownica nie spuszczała z Dziecka chłodnych, szarych oczu... a pajączek biegł., biegł... biegł.... I NAGLE STOCZYŁ SIĘ ZE STOŁU JAKO MAŁY KŁĘBEK WŁÓCZKI! I wówczas to Czarownica wybuchnęła radosnym, swobodnym, niemal triumfalnym śmiechem. Jednak zaraz rzekła surowo:

- A teraz odczaruj pajączka z powrotem...

- Nie chcę - odparło Dziecko. - Z tej włóczki można zrobić coś ładnego... Pomponik albo lalczkę. Nie chcę...

- To nie jest włóczka. To jest mały, żywy pajączek. I musisz wrócić mu życie - rzekła z naciskiem Czarownica.

- Nie umiem - odparło niechętnie Dziecko, nie spuszczając łakomego wzroku z kolorowego kłębka. - To mi się teraz bardziej podoba.

- A jednak z powrotem przeobrazisz włóczkę w pajączka powiedziała twardo Czarownica.

Mały, barwny kłębek leżał nieruchomo koło nogi stołu cały długi dzień, nim Dziecko - szukając wśród pożółkłych stronic Wielkiej Księgi - odnalazło rozdział o odczarowaniu przeobrażonych za sprawą magii przedmiotów i żywych istot. Tym razem niemal w godzinę opanowało nową sztukę - i za chwilę mały pajaczek, spieszenie przebierając wysmukłymi nóżkami, skrył się w szparze podłogi. Opiekunka patrzyła na to z nieskrywanym zadowoleniem.

Gdy zapadła już noc i Dziecko układało się do snu na wygodnym, wyścielonym liściem łóżku, nagle otwierając szeroko oczy spytało:

- ... więc jestem także Czarownicą, jak ty?

- Nie - odparła krótko Opiekunka. - A kim jestem?

- Kiedyś się o tym dowiesz - padła sucha odpowiedź, a Dziecko, nie zastanawiając się nad tym dłużej, usnęło. Tej nocy śniły mu się myszy przemieniane w ciepłe, pluszowe pantofelki, jabłka przeobrażające się w wielkie różowe balony i kolorowe ptaki zaczarowane w błyszczące, złote gwiazdy.

Od tego czasu Dziecko, niemal co dzień, dla zabawy, przemieniało coś w coś - na przykład łyżkę w małą, zwinną jaszczurkę lub muchę w kręcącą się szybko srebrną kuleczkę, albo grzebień w niedużego jeża lub na odwrót. Ale natychmiast, pod wpływem natarczywego, surowego spojrzenia Czarownicy odczarowywało przedmioty i zwierzęta w swe dawne kształty.

- Czy nigdy nie będę mogła zostawić ich zaczarowanych ? - spytało raz z gniewnym zawodem.

- Nigdy. Nie wolno działać przeciw Matce Naturze, łamać to co Ona ustaliła. Wyjątek stanowi jedynie sytuacja, gdy w grę wchodzi konieczność uratowania w ten sposób czyjegoś życia - odparła Czarownica.

- Dlaczego więc nie przemieniłaś tych okrutnych rycerzy i ich koni w małe skaczące żabki albo w jaszczurki? Wolałaś przemienić nas?

- Nie czytasz z uwagą Wielkiej Księgi - powiedziała z przyganą Czarownica. - Nie mogłabym przemienić naraz wszystkich jeźdźców, najwyżej jednego, dwóch, kto wie, może i trzech, ale ci pozostali schwytaliby nas. W czasie magicznych przeobrażeń nie wolno odrywać oczu od czarowanego przedmiotu czy istoty. Musisz na wiele sekund skupić na nim całą swoją Moc. A przecież Najeźdźców było kilkudziesięciu...

Po paru dniach Dziecku znudziły się zabawy w przeobrażanie. Nowa, tak fascynująca początkowo sztuka spowszedniała i po kilkudziesięciu udanych zaczarowaniach i odczarowaniach Dziecko zarzuciło tę czynność i rozpoczęło czytać inne rozdziały Wielkiej Księgi. Tym razem zaintrygowała je stara, długa i niekiedy trochę nudna baśń o Wielkim Królestwie.

- Wielkie Królestwo było najpiękniejszym i najbogatszym krajem, rozciągającym się na południowo - wschodnich obszarach naszego świata. Było w nim kilkaset jezior, nieprzeliczona ilość ogromnych, przepaścistych lasów, wspaniałe i żyzne tereny rolnicze, kilkadziesiąt bogatych, niezwyklej urody miast - wśród których szczególnie podziw budziła zwłaszcza stolica Wielkiego Królestwa, Ardżana, ze swymi pałacami, sławnym Pałacowym Placem, i rozległym królewskim ogrodem. Nigdzie nie żyło tylu mądrych uczonych, tak wielu utalentowanych artystów, tak walecznych żołnierzy. Nigdzie też nie było tak ogromnej ilości zdrowych i szczęśliwych dzieci, jak właśnie tutaj. Rozsądnie uprawiana żyzna ziemia przynosiła takie plony, że nikt nie był głodny, zaś zdolni królewscy Technicy wymyślali coraz to nowe usprawnienia i wynalazki, ułatwiające mieszkańcom życie i pracę - czytało Dziecko, to z ciekawością, to znowu z pewnym znudzeniem, oglądając równocześnie barwne ilustracje, z których kolorów wylaniały się wspaniałe i egzotyczne obrazy życia w Wielkim Królestwie. Czarownica siedziała skulona przy kominku, w którym wesoło trzaskały palące się żywo polana, i spod oka przyglądała się czytającemu Dziecku.

- Wielkie Królestwo powstało z kilkudziesięciu skłóconych przedtem ze sobą niewielkich państw, rządzonych przez ambitnych i skłonnych do wzniecania lokalnych wojen książąt. Minęło wiele, wiele lat, nim książęta uprzytomnili sobie, że wobec wzrostu potęgi dzikich, koczowniczych plemion na wschodzie, należy się zjednoczyć i wybrać jednego spośród siebie na króla. Najświętsza Magia i Święte Miejsce pomogły wybrać spośród książąt najmądrzejszego i cieszącego się powszechnym szacunkiem władcę. Właśnie on zdołał do końca zjednoczyć skłócone państewka i stworzył Wielkie Królestwo. Za zgodą wszystkich poddanych, włącznie z rodami książęcymi, władza w Wielkim Królestwie stała się dziedziczna i przechodziła z ojca na syna w niczym nie zakłóconym rytmie przez setki lat. Każdy syn spośród królewskich dzieci, którego Święte Miejsce naznaczyło, otrzymywał po dojściu do pełnoletności imię Luil - było to bowiem rodowe imię ojców. Ostatni Luil nosił miano Luila XXIV. Każdy z kolejnych dwudziestu czterech Wielkich Królów był twórcą dalszego udoskonalania sposobu sprawowania rządów w swym państwie. Jeśli na przykład Luil I doprowadził do tego, że z królestwa zniknął głód, nękający ciągle sąsiednie państwa przez niewłaściwą dbałość o ziemię - to na przykład Luil IV stworzył mądry, sprawiedliwy zbiór praw, dzięki któremu wkrótce w Wielkim Królestwie nie wiadomo co to zbrodnia, kradzież czy ludzka krzywda. Luil X hołubił lekarzy; doprowadził do tego, że medycyna znalazła się w takim rozkwicie, iż większość groźnych do tej pory chorób została opanowana, zniknęły wielkie epidemie, jak dżuma, a poddani królewscy zaczęli cieszyć się istic wspaniałym zdrowiem. Luil XIII był szczególnie mądrym władcą: otoczył bowiem swoją królewską opieką prześladowane, kryjące się w górach i lasach kobiety, obdarzone nadprzyrodzonym darem magii i zwane potocznie Czarownicami. Jeśli do tej pory schwytana przez władzę Czarownica bywała palona na stosie lub topiona w jeziorze z ogromnym kamieniem u szyi - to król Luil XIII wydał im gleyty nietykalności... Tym razem jednak to poddani byli pierwszymi, którzy jęli chronić Czarownice przed stosem, poznając ich ogromną użyteczność dla siebie. Luil XIII musiał jedynie nauczyć szacunku wobec Czarownic swoich rycerzy, Techników i uczonych. Ci bowiem długo wzdragali

się przed uznaniem “zabobonów”. Luil XIII posunął się tak daleko, iż stworzył Akademię Magiczną, kształcąca utalentowane w tym kierunku dzieci (z reguły były to dziewczynki). Dzieci te już we wczesnym wieku zdolne były przeobrażać niektóre przedmioty, zaklinać pogodę, odtruwać studnie, leczyć niektóre z chorób, przebywać bez lęku wśród najdzikszych zwierząt. Kształcone w Akademii Magicznej przez Czarownice, doskonaliły swój kunszt, a niekiedy dostępowaly Najwyższego Wtajemniczenia.

Z kolei król Luil XIX otoczył swoją opieką uczonych i artystów, więc rychło nauka i sztuka osiągnęły niespotykany stopień rozwoju - któremu nie stawiały tamy ni ograniczeń ani podejrzliwość doradców i urzędników króla, ani bardzo jednostronne widzenie świata Techników czy ograniczoność pewnych rycerzy.

Największe zasługi dla swego państwa położył król Luil XXIII. Wiedząc z kart starych kronik i historii, ile krzywdy i nieszczęść przyniosły poddanym wyniszczające ongiś wojny między skłóconymi państwami - Luil XXIII zlikwidował cały rycerski stan w swym Królestwie, nakazując głęboko zakopać wszystkie miecze, szable, łuki i inną, bardziej skomplikowaną broń. Zażądał też od wszystkich poddanych przysięgi, iż nigdy więcej nie wezmą udziału w żadnej z wojen. Większość poddanych z radością spełniła królewski rozkaz i Dzień Zakopywania Broni stał się od tej pory wspaniałym świętem, czczonym co rok na wiosnę.

Na historii rządów króla Luila XXIII urywała się baśń o Wielkim Królestwie, którą Dziecko czytało na przemian ziewając i nudząc się (przy opisach gospodarki i prawnych lub technicznych rozważaniach), to znowu dostając wypieków na buzi, gdy czytało o pieczy, którą Luil XIII sprawował nad Czarownicami.

- Szkoda, że to już koniec bajki - westchnęło, gdy rozdział zatytułowany “Krótka historia Wielkiego Królestwa” ustąpił miejsca rozdziałowi pod tytułem “Magiczna medycyna”.

- To nie jest bajka - odparła Czarownica.

- Więc co to jest?

- Znowu nie czytasz uważnie - skarciła je Czarownica. To jest prawdziwa historia.

- Chciałabym w takim razie żyć w tym Wielkim Królestwie - westchnęło Dziecko marzycielsko.

- Żyjesz w nim, choć nic o tym nie wiesz - rzekła krótko jego Opiekunka.

- Chcesz powiedzieć, że to miejsce jest Wielkim Królestwem? - zaśmiało się Dziecko chytrze. - To miejsce, gdzie raz po raz musimy uciekać przed rycerzami w zbrojach, gdzie nie mamy prawdziwego domu i gdzie nie widziałam, by stał choć jeden pałac?

- Tak - powiedziała spokojnie Czarownica. - To miejsce, gdzie wszyscy są biedni, a liczni nawet głodują, gdzie niepokornych skazują na śmierć, a podejrzanych o niepokorność szcują jak dzikie zwierzęta, było kiedyś szczęśliwym Wielkim Królestwem.

- Kłamiesz... - odparło Dziecko niechętnie.

- Nie kłamię, tyle tylko, że było to bardzo, bardzo dawno. Dokładnie 765 lat temu Wielkie Królestwo zniknęło z map tego świata. Choć było to jednak aż tak dawno, że zdawałoby się że nikt już nie powinien pamiętać, większość jego dzisiejszych mieszkańców nosi w swych sercach głęboką i serdeczną pamięć o nim, którą wzięli od swych dziadków, pradziadków i praprapradziadków. Nie zdołali już ujrzeć Wielkiego Królestwa, a jednak je pamiętają.

- Taka pamięć musi boleć - powiedziało Dziecko dorosłym tonem, jakim zresztą mówiło zazwyczaj, nie spotykając się nigdy ze swymi rówieśnikami, nie znając nikogo poza Czarownicą. - Chyba lepiej nie pamiętać, bo wtedy łatwiej się żyje.

- Tak - odparła Czarownica. - Łatwiej żyje się bez takiej pamięci, a o wiele gorzej z nią, ale za to wówczas żyje się mądrzej i prawdziwiej. Jest to pamięć gorzka, ale dumna.

- Mówisz, że tych królów było dwudziestu czterech? Wydaje mi się, że Wielka Księża musiała zgubić jeszcze jednego - szepnęło Dziecko. - Tego, który pozwolił sobie zabrać Wielkie Królestwo.

- To już jest całkiem inna historia - powiedziała Czarownica. - 1 mniemam, że wkrótce ją poznasz.

Przez resztę zimy Czarownica i Dziecko, nie nękanе przez nikogo, żyły spokojnie w opuszczonej stajni. Dziecko nadal długimi zimowymi wieczorami czytało Wielką Księżę, a gdy odkładało ją niekiedy ze zniechęceniem, gdyż kolejne rozdziały wydawały mu się nudne, Czarownica surowo napominała:

- Nie trać czasu. Do tej pory, mimo upływu setek lat, udało się nam ocalić Wielką Księżę, nie zgubić jej ani nie zniszczyć w czasie kolejnych ucieczek. Ama ona nie mniej niż 1800 lat, przynajmniej pierwsze rozdziały, gdyż później dopisywano do niej coraz to nowe. Więc wartość ma bezcenną. Lecz w każdej chwili może się okazać, że strawi ją zły ogień, wpadnie w ręce Najeźdźców lub ludzi głupich, którzy ją zniszczą. Mam wobec ciebie tylko jedno zadanie i muszę skrupulatnie je wypełnić: nie tylko przeczytasz całą Wielką Księżę, nim ukończysz 7 lat, ale w dodatku będziesz ją umieć na pamięć. Siedem lat ukończysz na wiosnę, a to już niedługo...

Więc Dziecko nadal czytało wieczorami pożółkłe stronicę opasłej Księżi, a znudzenie dziwnym trafem ustąpiło. Nocami Czarownica przykładła swe duże ciepłe dłonie do

jego głowy i mamrotała jakieś słowa. Nazajutrz kolejne rozdziały wchodziły z coraz mniejszym trudem w pamięć Dziecka i utrwały się w niej na zawsze.

Dziecko przeczytało i zapamiętało długi rozdział zatytułowany "Magiczna Medycyna" - i z pewnym wstrętem, ale skutecznie, zmuszone przez swą Opiekunkę, wyleczyło złamaną i ropiejącą łapkę małej myszki, oparzoną przez lampę szmaragdową ćmę, przywróciło życie zamrożonemu w śniegu ptakowi. Po przeczytaniu rozdziału "Magiczne Płyny" nauczyło się przyrządzać ze zwykłej wody z dodatkiem paru wybranych ziół różne napary i napoje, które utrudzonym przywracały siły, roztargnionym pamięć, nieszczęśliwym - radość, otępiałym - umysłową sprawność.

Bez żadnych nakłoneń ze strony Czarownicy, w najwyższym skupieniu Dziecko nauczyło się na pamięć rozdział "O nieludzkich mowach" i dowiedziało się - nawet bez zdziwienia - że bywają, rzadkie co prawda chwile, w których rozumiała staję się dla wybranych istot mowa zwierząt, traw, ptaków, drzew. Należy jednak wybrać - a tego właśnie uczyła Wielka Księga - stosowny dzień, a i porę dnia. Niekiedy jest to tylko jeden dzień w roku, choć czasem bywa i tak, że - wraz ze zmianą kierunku wiatru, układem chmur na niebie, wilgotnością powietrza i kątem padania promieni Księżyca lub Słońca - można też ich mowę pojąć niemal co dzień.

Czarownica z błyszczącymi oczyma śledziła Dziecko, skryta za rogiem stajni, gdy stojąc pod wielką lipą, której gałęzie sięgały wysoko w niebo, wsłuchiwało się w skrzywienie jej konarów. Mowa liści drzew była łatwiejsza, lecz zimową porą niemożliwa. W oczach Czarownicy czaił się niepokój, bowiem ten zimowy, chłodny dzień nie był w dodatku Dniem Mowy Lip. Oczy Czarownicy połyskiwały coraz mocniej, a niepokój narastał. I wtedy gdy jej niepokój wzrósł do zenitu, Dziecko powiedziało:

- Ona mówi, że od dawna nie widziała we Wsi żadnych Najeźdźców. Nie mają tu nic do szukania, bo jest to Wieś posłuszna i karna...

- Tak - powiedziała Czarownica z uśmiechem na swych wąskich wargach.

- A co to znaczy wieś posłuszna i karna? - spytało Dziecko odrywając się od pnia wysokiej lipy.

- To jest taka Wieś, która chętnie zapominała o tym, że była ongiś częścią dumnego i wolnego Wielkiego Królestwa - odrzekła Czarownica ze smutkiem. - W zamian ma nieco więcej jedzenia, niż pozostałe Wsie. Jak widzisz, można zdradzić i za kęs chleba.

Zima przeszła szybko, choć zazwyczaj dłuży się wszelkim żywym istotom w przeciwieństwie do wesołego pośpiechu wiosny. Jeszcze nigdy Czarownicy i Dziecku nie udało się tak długo i spokojnie przeżyć tyle czasu w jednym miejscu. Dzięki temu nauka postępowała szybko i już wkrótce Dziecko umiało Wielką Księgę na pamięć.

- Czy nigdy jej nie zapomnisz, moja Mała? - spytała pewnego dnia Czarownica. A był to dzień, w którym słońce przypiekało na tyle mocno, iż śnieg, leżący grubą warstwą wszędzie dokoła, zaczął powoli topnieć.

- Nigdy - odparło Dziecko.

- Więc teraz musimy tę Księgę spalić, żeby nie wpadła przypadkiem w niepowołane ręce.

- Musimy?! - zawołało Dziecko z żalem. - 1 co teraz będzie?

- Teraz ty będziesz Wielką Księgą, rozumiesz? Ona cała będzie w tobie, w twojej pamięci. A kiedyś... kto wie czy kiedyś jej nie odtworzymy?

Ten wieczór wydawał się Dziecku smutny. Wprawdzie pożółkłe, kruche stronicę utrwaliły się w jego pamięci i niemal na każde zawołanie Dziecko widziało wyraźnie przed oczami każdą ze stron i niemal każde słowo każdego rozdziału - ale widok płonącej w kominku starej Wielkiej Księgi przejął je tęsknotą do niej, do jej dotyku, zapachu, jej obecności. Była to też tęsknota do długich, spokojnych choć fascynujących zarazem wieczorów, w czasie których stronicę Księgi różowiały pod lampą na stole; tęsknota do tego pierwszego czarownego momentu gdy mały pajaczek, spadając ze stołu przeobraził się w barwny kłębuszek włóczki.

Nie wiedząc o tym Dziecko tęskniło też do chwili, gdy było tylko dzieckiem, nie obciążonym żadną tajemną wiedzą ogromnej Wielkiej Księgi. Teraz, po jej śmierci w purpurowych płomieniach ono samo, Dziecko, było utraconą, czarodziejską Wielką Księgą. Przeszawało być Dzieckiem. W sposób nieodwracalny.

ROZDZIAŁ III

Wiosna, jak zazwyczaj, przyszła całkiem niespodziewanie. Dopiero co gałęzie drzew i krzewów otulał biały szron, a mróz - nonszalancki artysta - wypełnił wszystkie szyby swymi szalonymi rysunkami, gdy nagle, niemal spod śniegu wypełzły najpierw nieśmiało, a potem buńczucznie pierwsze wiosenne kwiaty. Ziemia - czarna i ciężka - niemal nabrzmiała i parując pod promieniami wczesnego słońca, wydawała głębokie westchnienia, jak matka przygotowująca się do porodu. Echo niesło z oddali głuche potężne trzaski; to pękał lód na jeziorach.

- Wkrótce skończysz siedem lat, moja Mała - powiedziała Czarownica. - Przystajesz być Dzieckiem. Nadszedł już czas, byśmy się rozstali.

Dziecko - z buzią nasmarowaną sokiem orzecha, co czarownica nadal czyniła co dzień skoro świt - zabawiało się właśnie przemienianiem młodziutkiego pączka na gałęzi brzozy w malutkiego, puszystego chomika - i na odwrót. Czarownica obserwowała ją bacznie, gdyż zauważyła, że wychowanka czyha na brak uwagi z jej strony, by pozostawić zaczarowaną rzecz lub istotę w jej nowej postaci.

- Czy chcesz powiedzieć, że teraz zostanę sama? - spytała z zaciekawieniem. Czarownica nie usłyszała w jej głosie żalu i zrobiło się jej nieco smutno.

- Nie - odparła oschle. - Nie zostaniesz sama. Zresztą wkrótce się o tym przekonasz.

Gdy Czarownica zaczęła wkładać do dużego worka wszystkie niezbędne, choć ubogie przedmioty, jakie posiadały Dziecko zrozumiało, że czeka je kolejna wędrówka.

- Nikt nas nie ściga, więc czemu uciekamy?

- Nie uciekamy. Po prostu musimy iść, bo nadszedł Czas - odparła Czarownica.

Już po chwili wędrowały pod górę, w stronę czerniejącego na horyzoncie Wielkiego Lasu. Tym razem długo udało im się przebywać w kolejnej siedzibie, więc Dziecko odwykło od wędrowania. Gdy tylko weszły w Las, musiały zatrzymać się na odpoczynek. Mała oparła głowę o pień wielkiego dębu i przymknęła oczy. Otwierając je ujrzała, że jej Opiekunka stoi w niewielkiej odległości od królewskiego drzewa i mruczy coś pod nosem.

- Och, daj spokój - powiedziała jej podopieczna z wyraźną satysfakcją. - Jeśli chcesz się dowiedzieć co mówi Dąb, mogę ci to powtórzyć. Już dawno słyszałam jego słowa... tak... tak... gałęzie jego korony widzą Wieś bez większego kłopotu. I jest bardzo wysoki Dąb.

Czarownica spojrzała na nią uważnie i przez wargi jej przebiegł ni to uśmiech, który zaraz jednak ustąpił miejsca jakby żalowi.

- Dąb mówi, że Najeźdźcy przebywają w tej Wsi, po drugiej stronie zbocza, ale idąc skrajem Lasu ominiemy ich. Za to nie wolno nam zbliżyć się do sąsiedniego Miasteczka, bo tam jest ich cała armia. Podobno wczoraj ścięli głowy paru mieszkańcom - mówiło Dziecko bez pośpiechu. - Czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego Najeźdźcy ścinają komuś głowy?

- Ścinają je wówczas, gdy sądzą, że ludzie ci buntują się przeciw ich władzy. Czasem jest to tylko podejrzenie, ale niekiedy prawda - odparła Czarownica.

- Czy mam ich żałować? - spytało Dziecko kapryśnie.

- To są twoi rodacy i przyjaciele. Najeźdźcy nimi nie są odparła Czarownica. - Najeźdźcy tobie też ścięliby głowę, gdybyś wpadła w ich ręce.

- A tobie? - zaciekawiło się Dziecko.

- Mnie spaliliby na stosie.

- Ach, tak jak czyniono w Wielkim Królestwie, w dawnych czasach, zanim król Luil XIII otoczył Czarownice swoją opieką... - przypomniała sobie uczennica Wielkiej Księgi.

- Tak, do tamtych czasów zarówno władcy, rycerze, szlachta, a nawet uczeni i niektórzy zwykli mieszkańcy tej krainy nienawidzili i bali się wszystkiego co było odmienne niż oni sami. Lecz lud chronił Czarownice, wyczuwając, iż nie czynią one nic złego, a niosą wiele pomocy. Pod wpływem mądrych praw Luila XIII, wszyscy powoli nauczyli się szanować czyjąś odrębność. Z czasem nawet pokochali te, które rozumiały mowę drzew, zwierząt i ptaków, czarowały i odczarowywały przedmioty, leczyły chorych, uzdrawiały chorych śmiertelnie, zmieniały pogodę, a wszystko to za sprawą Świętej Magii. Najeźdźcy pochodzą z plemion ongiś koczowniczych, ciemnych, zabobonnych, niewykształconych i nienawidzą wszystkiego co się od nich różni. A jest to nienawiść pełna lęku. Dlatego właśnie z powrotem zaczęli palić na stosach podejrzanę o czary kobiety i ścinać głowy tym, którzy czarom sprzyjają. A teraz wstawaj, musimy ruszać dalej. Mamy jeszcze szmat drogi do przejścia. Zwłaszcza, że trzeba szerokim hakiem wyminąć Miasteczko.

Czarownica z wychowanką znowu ruszyły w górę, zboczem Lasu. Na jego szczycie, gdzie drzewa rozstępując się utworzyły jasną polanę, podróżniczki ponownie przysiadły na zwalonym pniu, aby odpocząć przed dalszymi trudami wędrówki. Tuż koło nich przycupnął barwny ptak i jął dziobem stroszyć złoto - czerwone piórka. Czarownica w zamyśleniu śledziła jego ruchy, a Dziecko leniwie przeciągało się.

- Tydzień temu ścięli aż setkę ludzi w tym Miasteczku. Jeszcze dziś dobiega stamtąd płacz wdów, sierot, braci i sióstr pomordowanych - zaczęła monotonna mowa Czarownica, nie odrywając nieruchomego spojrzenia od ptaka, który nadal żywo poruszał się na obalonym pniu. Dziecko podniosło głowę i spojrzało na barwne stworzenie.

- Ono mówi, że zabici nie czynili nic złego, jedynie lubili opowieści i legendy o dawnych dziejach Wielkiego Królestwa, śpiewali też o nim pieśni, szczególnie jedną z nich, Pieśń Jedyną - ciągnęła monotonna Czarownica.

- Ale przecież ich dzieci i wnuki będą nadal snuć te opowieści i śpiewać pieśni, skoro już je poznały - zauważyła bystro wychowanka. - Może będą to robić w jeszcze głębszej tajemnicy, ale będą... Nie rozumiem, dlaczego Najeźdźcy zabijają ludzi z takiego powodu?

Kolorowy ptak odfrunął. Obie podróżniczki patrzyły w ślad za jego lotem.

- Zgodnie z regułą myślenia Najeźdźców, ci którzy przywołują dawne, dobre czasy Wielkiego Królestwa, życzą sobie w głębi swych serc, by Najeźdźcy wrócili tam skąd przyszedli, na stępy, są zatem ich wrogami. A wrogów należy ich zdaniem zabijać, zabijając wraz z nimi marzenia o wolnym Wielkim Królestwie - mówiła Czarownica.

- Marzeń nie można zabić - odparło zadumane Dziecko. Nie rozumiem jak mieszkańcy dawnego Wielkiego Królestwa mogli pozwolić, by w ogóle przyszli tu Najeźdźcy. Wytłumacz mi to!

- Już wkrótce się tego dowiesz. To nie moje zadanie odparła Czarownica. - Ja miałam tylko wychować cię z niemowlęcia, raptem rocznego, na silną i zdrową Dziewczynkę i nauczyć wszystkich tajemnic Wielkiej Księgi. Swoje zadanie wypełniłam, o ile się nie mylę z nawiązką, rozwijasz się bowiem szybciej, niż można było sądzić... A teraz przestań już tyle mówić i ruszajmy dalej, bo nie zdążymy na czas.

Po dłuższym i żwawym marszu Czarownica z Dzieckiem wyszły znowu na skraj Lasu z drugiej strony wielkiej góry. Teraz czekało je trudniejsze zadanie, bowiem musiały omijając wielkim łukiem najbliższą Wieś i pobliskie Miasteczko, przekraść się na leśne zbocze kolejnego, ciemniejszego na odległym horyzoncie wzniesienia.

- Musimy pokonać dwa takie szczyty, nim dotrzemy do celu naszej drogi - rzekła Czarownica. - Wydaje się jednak, że Najeźdźcy nadal są w Miasteczku, bowiem nigdzie ich nie widzę...

Ostrożnie wysunęły się z bezpiecznej gęstwiny Lasu i zaczęły iść przez pokryte jeszcze gdzieś tam śniegiem pola. Ale śnieg topniał szybko, ustępując miejsca wilgotnej, czarnej ziemi. Gdzieś tam wśród jej brył kielkowała już pierwsza wiosenna trawa. Rosnące z rzadka drzewa wznosiły ku coraz cieplejszemu słońcu swe ciągle nagie, bezlistne konary.

- Teraz łatwo mogliby nas schwytać - powiedziało nagle Dziecko. - Jesteśmy tu doskonale widoczne i to na dużą odległość. Zwłaszcza gdy idziemy po śniegu. Nasze ciemne, bure płaszcze...

- Przestań, bo przywołasz Zło... - szepnęła Czarownica, ściskając jej rękę w swej dużej, ciepłej dłoni.

- Ale ja je czuję - odparła Mała z namysłem.

- Co czujesz?

- Czuję Zło. Jest gdzieś blisko i wkrótce nam zagrozi...

- To ciekawe - mruknęła Czarownica, nie zwalniając ani na chwilę kroku. - Poczulaś je wcześniej niż ja. Tak, teraz ja również wyczuwam bliskość Najeźdźców, choć nigdzie ich nie widzę...

- O, tam... - szepnęła jej podopieczna.

Z lewej strony zbliżały się ku nim, przez pola, małe, czarne punkciki, rosnąc jednak w oczach z każdą sekundą i przybierając powoli kształty galopujących koni. Jeszcze kilka sekund i jeźdźcy także stawali się coraz wyraźniejsi, a ich zbroje błyszcząły w wiosennym słońcu jak małe lusterka. Za moment wiatr przyniósł uciekinierkom echo ich wściekłych wrzasków:

- To one! Kobieta i Dziecko!
- Szybciej! Nie umkną nam!
- Nie mają gdzie! Ani skrawka lasu!
- Wycza! Gonić je! Gonić!
- Na władcę Urgha, klnę się, że nie ujdą!
- Zabić Czarownicę!

Czarownica przystanęła i zaczęła rozglądać się bystro dookoła. Ale wszędzie rozciągały się jedynie puste, nie dające żadnej osłony pola.

- Nie mamy wyboru - mruknęła. - Jest to ryzyko, ale nie mamy wyboru. Musimy tylko zejść z tego śniegu i stanąć na czarnej ziemi. Tam jesteśmy mniej widoczne, a potem... potem nas przeobrażę.

- Zamień nas w ptaki - poprosiło Dziecko. - Chciałabym choć raz w życiu poprzunąć. A gdy będziemy ptakami, nigdy nas nie złapią.

- Przeobrażając człowieka nie wolno odrywać go od ziemi - mówiła Czarownica, biegnąc wraz z wychowanką w stronę czerniejącego skrawka pola, na którym śnieg dawno zdołał stopnieć. - Przeobrażony w ptaka, oderwany od ziemi, nigdy już może na nią nie powrócić. Dlatego przemiana w ptaka jest krokiem ostatecznym.

Zbrojni jeźdźcy na koniach coraz to rośli w oczach, a ich pełne wściekłości wrzaski dobiegały już całkiem wyraźnie uszu uciekających. Na przedzie, na czarnym koniu, gnał potężny, wyjątkowo silnej budowy Najeźdźca, czego nie kryła nawet zbroja.

- Ten chyba lubi zabijanie - pomyślało bezwiednie Dziecko, biegnąc obok Czarownicy, gdy nagle... nagle poczuło, że wrasta w ziemię i nieruchomieje. Obok niej, z ciemnej, wilgotnej, parującej w słońcu ziemi wyrósł nagle ponury, nagi krzak z ostrymi kolcami.

- ... więc jestem teraz podobnym krzakiem jak ona, Czarownica - powiedziało Dziecko do siebie w myślach i ogromnym wysiłkiem woli poruszyło jedną ze swych gałązek rąk, by dostrzec na niej także ostre, długie kolce. - Szkoda, że nie mamy pączków. Są takie przyjemne, puszyste, oznajmniają przybycie wiosny. Zwłaszcza

bazie. Jesteśmy bardzo ponurymi krzakami. Martwymi. Ciekawa jestem, czy mimo to zakwitłybyśmy, gdyby tak zostawić nas w tej postaci jeszcze kilkanaście dni w ciepłym blasku słońca?

Tak rozmyślało Dziecko, ufne czarom swej Opiekunki, gdy jeźdźcy już z gniewną wściekłością wjechali na czarny spłacheć pola. Dokoła nie rosło żadne drzewo, nie uwypuklał się żaden pagórek, nie było też ani jednego domu, choćby w postaci zrujnowanych szczątków.

- ... nie mogły przecież zapaść się pod ziemię! - wrzeszczał Czarny Jeździec na przedzie. - Szukajcie ich! To niemożliwe, by znikły!

- ... ale ich nie ma, panie! - wołali inni.

Czarny z furią ciął pejczem po twarzy jednego ze swych towarzyszy.

- Gdy mówię, gamonie, byście szukali, to szukajcie! Nie mogły rozpląnąć się w powietrzu!

- To przecież czarownice, panie - powiedział nieśmiało inny z żołnierzy. - Kto wie co mogły zrobić...

Konie niespokojnie tańczyły, rżąc i kopiąc niecierpliwie nogami. Rycerze kleli i miotali się nerwowo na niewielkiej przestrzeni. Po chwili czarny dowódca z pełnym nienawiści impetem wyładował swój gniew na jednym z martwych, ostrokolczastych krzewów, tnąc go z całej siły swym krótkim, grubym pejczem. Krzak bezradnie przewrócił się na ziemię. Czarny Jeździec z furią pognął swego konia, a w ślad za nim odjeżdżali, wrzeszcząc i przeklinając, jego współtowarzysze.

... leżący na ziemi bezwładnie krzew, powoli, powoli przybierał kształty Czarownicy. Miała zamknięte oczy, leżała bezwładna, nieruchoma, a przez jej bladą twarz przechodziła długa, krwawa pręga.

- Powiedz coś - szepnęło Dziecko. - Powiedz tylko, że żyjesz...

- Żyję - odparła z wysiłkiem jej Opiekunka.

- To boli - raczej stwierdziła, niż spytała jej podopieczna.

- Boli. Wyjmij z mego worka małą buteleczkę z rubinowego kryształu i wlej mi do ust kilka kropel płynu...

Dziecko posłusznie wykonało jej polecenie. Płyn w buteleczce był także rubinowy, wyglądał jak krew i kilka jego kropeł spłynęło do warg Czarownicy. Na jej twarz wróciła powoli zwykła, zdrowa ogorzałość. Szare, chłodne oczy otworzyły się i ciężkim, nieruchomym spojrzeniem zatrzymały na twarzy pochylonego Dziecka.

- Odjechali?

- Tak - odparła Mała. - Już ich nie widać.

- Więc trzeba się śpieszyć. Mamy już niewiele czasu powiedziała energicznie Czarownica i podniosła się z ziemi.

Krwawa pręga na jej twarzy blakła, a w ciało wyraźnie wstępowały nowe siły. Rubinowy eliksir ukryty w kryształowym flakoniku ujawniał swą moc. Już po chwili Czarownica i Dziecko szły pośpiesznie polami w kierunku coraz to bliższej i bliższej, pokrytej czarnym Lasem góry.

ROZDZIAŁ IV

Dalsza droga Czarownicy i Dziecka przebiegała już bez przeszkód, choć była długa i męcząca. Zostały im do pokonania dwie wielkie, pokryte lasami góry; musiały też wyminąć parę Wsi i dwa Miasteczka. A jednak przez jedno z nich musiały przejść, bowiem tylko w nim znajdował się most, prowadzący na drugą stronę szerokiej, rwącej Rzeki, którą musiały przekroczyć.

- Miasteczko przejdziemy o szarzyźnie, między nocą a dniem. Jest to pora najgłębszego snu zdrowych i pora w której przychodzi Śmierć, jeśli winna po kogoś przyjść. Między godziną czwartą a piątą rano. Szare i nie dla każdego dobre to godziny, ale dla nas akurat najlepsze - powiedziała Czarownica.

Siedziały właśnie z Dzieckiem w małym lasku w pobliżu Miasteczka i czekały na zapadnięcie nocy. Od głodu ratował je suszony chleb i równie suszone mięso, ukryte w worku Czarownicy zda się w nieobliczalnych ilościach. Dziecko już kilka razy podejrzewało, że prawdopodobnie te suchary i mięso mnożą się w worku Czarownicy czarodziejskim sposobem, bowiem nie ubywało ich nigdy wtedy, gdy były głodne i jadły do syta. Tyle, że po tym posiłku o wiele szybciej powracał głód, niż po zwykłym jadle, jakie Czarownica zdobywała we Wsiach.

Noc zapadła szybko i raptownie, jak dzieje się to zazwyczaj na przesileniu zimy i wiosny. W chłodnym, czystym powietrzu echo niosło dźwięk zegarów z Miasteczka, wybijających dostojnie kolejne przemijające godziny. Gdy wybiła trzecia, Czarownica jeszcze chwilę odczekała, a potem ruszyły wolno w stronę widniejących w oddali zabudowań.

Było to pierwsze Miasteczko jakie Dziecko oglądało w swym krótkim życiu i choć niewielkie, ubogie i ciemne, wzbudziło w nim zachwyty. Nigdy nie widziało jeszcze tylu domów naraz, stojących koło siebie gęsto, jak drzewa w Lesie; oszołomiły ją wysmukłe wieże, małe rzeźbione kapliczki i bogaty rozłożysty Ratusz z wielkim zegarem, który wybijał właśnie godzinę czwartą, gdy znalazły się w jego pobliżu.

Wszędzie panowała niczym nie zmacona cisza. Spali chyba wszyscy, gdyż w oknach domów było ciemno. Spali też Najeźdźcy w Ratuszu, a nawet strażnicy strzegący wejścia doń, gdyż uszu podróżniczek dobiegło ich potężne chrapanie. Szły wolno, rozglądając się, gdyż Dziecko nie mogło nasycić wzroku nowymi widokami i mnogością wąskich, krętych uliczek.

Nagle Dziecko przystanęło:

- ... słyszę śpiew?! - powiedziało zdziwione.

- Ktoś śpiewa Pieśń Jedyną - szepnęła dziwnie uroczyście Czarownica. - Podejźmy bliżej i posłuchajmy. Na razie nie czuję, by groziło nam jakieś niebezpieczeństwo.

W jednym z małych domów przy końcu uliczki - za którym znowu rozpościerały się puste pola i Rzeka - tliło się wątle światelko. Czarownica z Dzieckiem podkraśli się bliżej okien. Po chwili Dziecko ujrzało przez małą, okopconą szybką niewielką lecz czystą izdebkę i staruszkę, siedzącą przy ogniu, który żarzył się słabo w kominku. Koło staruszki siedzieli trzech mężczyzn i jedna kobieta, słuchając jej Pieśni:

“...a Święty Kamień czeka i czeka,

aż przyjdzie Jeden, przyjdzie Jedyna,

i wtedy znowu Wielkie Królestwo

historię swą rozpoczyna.

I siedem razy sto lat mijają,

nim pora nadejdzie święta

i nim odrodzi się Wielkie Królestwo.

Cierpliwie o tym pamiętaj...”

Staruszka umilkła i przykryła oczy. Słuchający także uśmiechali się do siebie, kiwając w zamyśleniu głowami. Jeden z nich wstał i przeciągając się podszedł do okna. Czarownica z Dzieckiem skryły się za płotem, a potem ruszyły cicho dalej, w głąb ciemnych, szerokich i pustych pól, skąd dochodził donośny, bezczelnie swobodny śpiew rwącej Rzeki.

- Co to jest Pieśń Jedyna? - pytało Dziecko, maszerując spieszenie.

- Kiedyś się tego dowiesz, jeszcze nie czas - burknęła Czarownica. - Ma ona zresztą mnóstwo odmian. Są rymowane, takie jak ta, lub też pisane białym wierszem i poetyckie, inne zaś noszą na sobie piętno rycerskiego eposu. Ale wszystkie mają

wspólną treść i wszystkie są Pieśnią Jedyną. Wiedz o tym, że za jej śpiewanie grozi kara śmierci. I wielu mieszkańców tej smutnej krainy już dało za nią głowę. Mimo to, jak widzisz, śpiewają dalej...

- A Święty Kamień? Co to jest Święty Kamień?

- Każdy kraj, każdy naród, każde państwo mają swoje święte lub cudowne miejsca. Muszą je mieć. Biedni i skazani na brak nadziei są ci, co takich miejsc nie mają lub nigdy nie mieli. Wielkie Królestwo miało ich wiele, niektóre przetrwały w ukryciu, inne nie, gdyż zniszczyli je Najeźdźcy, ale najważniejszym z nich jest Święty Kamień. Nie należy jednak mówić o nim głośno, gdyż Najeźdźcy wiele by dali, by go odnaleźć i zniszczyć również. Choć akurat On jest niezniszczalny, gdyż jego świętość jest prawdziwa. Musisz wiedzieć, że na Świętym Kamieniu zawsze stawał każdy, kolejny następca tronu, nim objął władzę po swym ojcu. Ten, kto nie był godzien władzy, nie mógł na nim ustać. Kamień go zrzucił sam, lub też nieszczęśnik uciekał, nie czekając, gdyż wiedział, że inaczej Kamień go zabije. Wówczas na Kamieniu stawał drugi z królewskich synów. I zawsze któryś z nich przechodził zwycięsko tę próbę. W każdym razie on, Święty Kamień, i tylko On decydował, kto będzie kolejnym władcą, a jego woli nikt nigdy się nie sprzeciwiał.

- Czy On istnieje dalej? Święty Kamień? Mimo że już nie ma królów, tylko Najeźdźcy? - spytało Dziecko.

- Tak. I wyobraź sobie, że ongiś wszyscy mieszkańcy Wielkiego Królestwa wiedzieli, gdzie On się znajduje, ale nigdy żaden z nich nie wydał tego miejsca Najeźdźcom, nawet na torturach. Woleli śmierć. I dlatego Święty Kamień, mimo upływu ponad siedmiuset lat, przetrwał. Ale dziś o tym, gdzie on się znajduje, wie już tylko pięć osób.

- Czy ty do nich należysz? - spytało Dziecko z mimowolnym szacunkiem.

- Chodźmy szybciej, bo mamy mało czasu - odparła wymijająco Czarownica, udając, że nie słyszy pytania. - Jeśli spóźnimy się, to nie tylko nam grozi nieszczęście.

Miasteczko opuszczały w ponurym, rannym brzasku, pełnym przedwiosennych mgieł. Ale dopiero w porze południowej dotarły w głąb drugiej wielkiej, pokrytej lasami góry i Czarownica pozwoliła Małej odpocząć. Teraz bowiem były w pełni bezpieczne.

- Dlaczego Najeźdźcy nie wchodzi do Lasu tak swobodnie jak my? - spytało Dziecko, leżąc wygodnie na miękkim mchu. - Zawsze gdy uciekamy, wystarczy, że skryjemy się w Lesie, a już nic nam nie grozi.

- Żaden Najeźdźca nie czuje się pewnie w podbitym kraju. I to jest przyczyna, dla której zabijają jego prawowitych mieszkańców. Ze strachu. A Lasy wydają się im szczególnie groźne, jeśli nie upiorne. Ich zdaniem w naszych Lasach straszy - uśmiechnęła się Czarownica.

- A straszy naprawdę?

- Nie ciebie i nie mnie - odparła Czarownica i jej wąskie wargi rozciągnęły się w ironicznym uśmiechu. - Każdy kto przeczytał Wielką Księgę, tę którą nosisz w swojej pamięci, nie musi obawiać się leśnych strachów. Czy pamiętasz dobrze rozdział o "Postępowaniu ze strzygami i upiorami"?

- Tak - odparło spokojnie Dziecko. - Jest zresztą bardzo krótki. Po prostu, strzygi nie czynią nic złego, ale tylko tym, którzy się ich nie boją i szanują ich odrębność. Natomiast serdecznie bawi je widok czyjegoś strachu i wówczas, tylko dla zabawy, stają się naprawdę złowrogie. Ale w rzeczywistości nie są wcale groźne. Zaś upiorów najlepiej unikać, pozostawić w spokoju i nigdy nie przywoływać z ich Podziemnego Królestwa, chyba że się naprawdę musi. Same z siebie upiory nie zaczepiają i nie lubią opuszczać swej skrytej przed ludzkimi oczami krainy.

- O czym na szczęście nie wiedzą Najeźdźcy - dorzuciła sarkastycznie Czarownica. - I dlatego mimo swych potężnych zbroi i niebezpiecznego oręża, nie odważają się zapuszczać w głąb lasów. A jeśli to czynią, to tylko w ogromnej liczbie rycerzy.

Gdy Czarownica kończyła swe słowa, wśród otaczających je drzew rozległ się długi, przenikliwy, choć cichy chichot, który brzmiał i brzmiał, jak brzęczenie roju pszczoł, by wreszcie z nagłą ucichnąć.

- Widziałam je przed chwilą - powiedziało Dziecko z uciechą. - Słuchały naszej rozmowy i chyba się im podobała. To strzygi, bo były zielonoszare, prawda? Nie upiory...

- Upiory same z siebie pojawiają się niezwykle rzadko zakończyła Czarownica. - No, ruszamy dalej.

Między drugą i trzecią lesistą górą nie było już ani jednej Wsi czy Miasteczka. Czarownica z Dzieckiem dotarli teraz do dzikich i nigdy nie zamieszkanym terenów Wielkiego Królestwa. Krajobraz zmienił się. Nie było już szerokich, uprawnych pól ani sadów. Nie było dróg ani ścieżek. Co jakiś czas przejście tarasowały olbrzymie, obalone przez upływ czasu i wiatry drzewa. Niekiedy drogi trzeba było nadkładać, gdyż gdzieś hen z wysoka, ze szczytu gór spływał wąły strumyczek, który jednak rychło przeobrażał się w rwące kaskady wodospadów. Pod stopami podróżniczek nagle rozwierały się głębokie przepaście, które także trzeba było omijać, wydłużając o wiele setek metrów drogę do celu. Mieszkańcom Wsi i Miast, nie wspominając już Najeźdźców, okolica ta wydawałaby się dzika i ponura, ale Dziecko dostrzegło w niej jedynie piękno - piękno niezależnej, swobodnej przyrody. Taką była sama z siebie i taką winna pozostać, gdyż ludzie nie mieli szczęśliwej ręki do przeobrażania Matki Natury.

Wspinały się teraz mozolnie pod trzecią i ostatnią górę. To już nie była jednak łagodna, porośnięta lasami góra - ale opustoszałe z pozoru, skaliste królestwo wielkich głazów. Wysokie drzewa, na ogół iglaste, wyrastały jedynie na wąskich skrawkach ziemi, którym udało się przycupnąć wśród ostrych, wysokich skał i wielkich obłych kamieni. Ku swej radości Dziecko ujrzało jednak Życie: swobodne i rozbuchane wiosenną euforią stado dzikich kozic pięło się bez trudu po największych stromiznach coraz wyżej i wyżej. Spod ich kopyt leciały kamienie i obijając się o skały spadały hen, głęboko, gdzieś w dół i tylko echo jeszcze długo niesło dźwięki tej kamiennej lawiny.

- Tam ktoś jest - rzekło w pewnej chwili Dziecko, patrząc w górę.

- Czekaj na nas - odparła Czarownica spokojnie, choć z pewnym ledwie uchwytnym w głosie wzruszeniem.

Wśród wielkich głazów, u stóp najwyższej, sięgającej niemal w niebo swym wierzchołkiem skały - stała Kobieta. Była ubrana podobnie jak Czarownica, w nie rzucający się w oczy żebraczy, bury płaszcz. I tak jak ona - w miarę jak się zbliżały - na przemian wydawała się Dziecku to staruszką, to znowu smukłą, zwinną kobietą w sile wieku. Jej oczy, szare i chłodne, nieruchomo patrzyły na zbliżające się podróżniczki.

- Jesteście - powiedziała spokojnie. - Zaczęłam się już niepokoić, choć nie wyczuwałam nic bardzo złego.

- O tak, nasze przygody nie należały do najstraszniejszych - uśmiechnęła się Czarownica. - W sumie nawet nam się udało. Tylko dwa razy musiałyśmy uciekać się do niewielkich magicznych sztuczek we własnej obronie.

- Więc została ci w zapasie jeszcze jedna? - spytała Kobieta.

- Tak, Siostrze. Mogę ci ją ofiarować. Twoja misja jest teraz ważniejsza od mojej, która się skończyła.

- Dziękuję, zachowaj ją dla siebie. Chciałabym jeszcze cię spotkać i wiesz dobrze kiedy - odparła Kobieta. Mówiąc, cały czas nie spuszczała z Dziecka ciężkiego, nieruchomego wzroku.

- A zatem to jest Dziewczynka - powiedziała po chwili z powagą. - Uważasz, że naprawdę ona? Mimo, że jest dziewczynką?

- Tak - kiwnęła głową Czarownica. - Można by rzec, że nawet bardziej, niż należało oczekiwać. W każdym razie ja już niczego więcej nie mogłabym jej nauczyć. Teraz twoja kolej, Siostrze. Czy mogę już odejść, czy też jestem ci jeszcze potrzebna?

- Możesz iść w swoją stronę, byłeś wróciła o Czasie odparła Kobieta i wyciągnęła rękę do Dziewczynki. Ta ręka, podobnie jak jej poprzedniczki, była również duża i ciepła. Dziewczynka z wahaniem spoglądała to na jedną, to znowu na drugą Siostrę.

- Mam od ciebie odejść? - spytała wreszcie Czarownicy Pierwszej.

- Tak. Musimy się rozstać... Dziewczynko. Dziewczynka bez słowa kiwnęła głową i nie oglądając się ruszyła za nową Opiekunką. Czarownica Pierwsza pomyślała, z rzadkim u siebie smutkiem, że jej podopieczna nie obejrzała się ani razu za siebie. Gdy Dziewczynka już nieodwołalnie zniknęła jej z oczu wśród skał, stojąca nadal na ścieżce Czarownica wyszeptała do siebie perswadujące:

- No cóż, miałam jej także nauczyć sztuki opanowania... Tymczasem Dziewczynka szła lekko, skacząc z kamienia na kamień za nową Opiekunką. Droga powoli zaczynała opadać. Dziewczynka pomyślała, że pewnie z powrotem schodzą w doliny. Gdy zostawiły już za sobą dzikie Wysokie Góry i okolica zaczęła się stawać bardziej przyjazna dla człowieka, Dziewczynka po raz pierwszy spytała:

- Jesteś również Czarownicą, tak?

- Tak - odparła jej nowa Opiekunka. - A ja?

- Ty? Ty jesteś teraz Dziewczynką. Ukończyłaś siedem lat, wkraczasz w rok ósmy. Dziś właśnie są twoje urodziny. Urodziłaś się, o dziwo, w samo Święto Zakopywania Broni. Co prawda dziś nikt go już nie czci, a wszyscy przeklinają...

- Jak mam na imię?

- Jeszcze nie masz imienia. Musisz poczekać.

- Nie mam, czy też nie chcesz mi go powiedzieć? - spytała z uporem Dziewczynka.

- Może masz, a może nie masz. Nie wiadomo, czy na nie zasłużyłaś - odparła wymijająco Czarownica Druga.

- Czy zobaczę jeszcze kiedyś tamtą Czarownicę, twoją Siostrę?

- Być może. Jeżeli i ty, i ona będziecie mieć trochę szczęścia. Jeżeli ona uniknie stosu i dotrze do nas na Czas, i jeżeli będzie się wypełniał Czar. Więcej nie mam nic do powiedzenia. I nie musisz aż tyle mówić - odparła niedbale Czarownica Druga, a Dziewczynka zrozumiała, że zadaje pytania, na które jej nowa Opiekunka nie chce odpowiadać, choć prawdopodobnie zna odpowiedzi na wszystkie.

W ten oto sposób Dziewczynka, mając skończone siedem lat, znalazła nową Opiekunkę. Odkryła też po raz pierwszy, co to jest smutek rozstania, lecz nie okazała go, bowiem nikt nigdy nie uczył jej, by ujawniała swoje uczucia. Wręcz przeciwnie.

Zatem cichy żal po utracie Czarownicy Pierwszej, z którą była tak długo, Dziewczynka stłumiła w sobie szybko i skutecznie, nie dając swojej pierwszej Opiekunce choćby satysfakcji w formie odwrócenia głowy i nikłego uśmiechu.

ROZDZIAŁ V

Długą drogę odbyła Dziewczynka z Czarownicą Drugą, nim zatrzymały się na zboczu jednej z gór, porośniętej ogromnym Lasem. Był to Las jeszcze nie znany Dziewczynce, w innej niż do tej pory części dawnego Wielkiego Królestwa.

- Tam zaczynają się znowu ludzkie siedziby - powiedziała Czarownica, wskazując ręką rozłożystą dolinę. - My jednak pozostaniemy na razie tu. W Lesie. Tak będzie bezpieczniej. Znam pewną suchą i głęboką Pieczarę, doskonale nadającą się na tymczasowe zamieszkanie.

Po chwili, wędrując cały czas zboczem gęsto zalesionej góry, znalazły się koło potężnej skały. Wejście do jaskini było ukryte wśród gęstych kłujących krzewów i bez pomocy Czarownicy Dziewczynka nie dojrzałaby go. Pieczara była rzeczywiście sucha, wygodna, z dnem wysypanym miękkim, żółtym piaskiem. Już po chwili, ledwo Czarownica zakrzętnęła się, w jednym z załomów skalnych znalazły się dwa szerokie leża z suchych liści, przykryte czystym lnem; duży, owalny kamień jął pełnić rolę stołu, a od płonącego małego ogniska bił ciepły blask, rozjaśniając wnętrze różowawym światłem.

- Będzie nam tu dobrze - westchnęła Czarownica przeciągając się leniwie. - Teraz możemy spokojnie odpocząć, a nawet przespać się po tej drugiej i męczącej drodze z Wysokich Gór. Na pewno jesteś zmęczona, moja Mała...

Dziewczynka ziewnęła szeroko i poczuła ogromną senność. Zasnęła niemal w jednej chwili, wtulając się w miękkie lniane płótno, pod którym usypiająco szeleściły suche liście.

Z twarzy Czarownicy natychmiast zniknęła senność. Przykucnęła nad posłaniem Dziewczynki i jęła się jej uważnie przyglądać.

- Hm... sok z orzecha chroni te rysy, ale nie - dość dobrze, bowiem ona nie jest już Dzieckiem, ale Dziewczynką i twarz jej robi się coraz bardziej wyrazista - mruzczała do siebie Czarownica. - Zbyt wiele w tej twarzy inteligencji i dumy.

Powinna między ludźmi chodzić ze spuszczoną głową, a to harde spojrzenie skrywać częściej powiekami. Te włosy... coś potem trzeba będzie z nimi zrobić, jeszcze nie wiem co. W każdym razie skrywać je stale pod kapturem... Dotkniemy twojej głowy i zbadamy, czy rzeczywiście, tak jak wspominała moja Siostra, jest ona dwakroć pojemniejsza, niż można było oczekiwać...

Czarownica delikatnymi, lecz silnymi palcami objęła głowę spokojnie śpiącej Dziewczynki i chwilę trwała nieruchomo, jakby nieobecna duchem. Po chwili szepnęła:

- Masz mózg pojemny i wrażliwy, moja Mała, bardzo wiele można w nim zmieścić, nawet bez twojej wiedzy. Widzę tu także coś więcej, choć nie wiem co to jest, drobna wypukłość, kryjąca nie wiadomo co... Masz, moja Mała, duże i niezwykle możliwości, kto wie, może naprawdę zesłały cię dobre Bogi, choć jesteś tylko Dziewczynką. Oby tylko żadnej niespodzianki nie sprawiła ta dziwna, drobna wypukłość z tyłu czaszki...

Dziewczynka obudziła się z głębokiego snu, z apetytem zjadła trochę chleba z suszonym mięsem i popiła źródlaną wodą.

- Co będziemy robić? - spytała rzeczowo swej Opiekunki, gdy syta i rześka usiadła na dużym kamieniu u wejścia do pieczary. Wiosna panoszyła się coraz szybciej, z całą swą bezczelną i młodą nachalnością. Słońce, choć właśnie zachodziło, nadal wysyłało ciepłe promienie, a śniegi już wszystkie stopniały. Mimo to młode, zielone gałązki drzew i krzewów stulały z powrotem malutkie listki, w oczekiwaniu nadchodzącej, chłodnej jeszcze nocy.

- Będziesz się nadal uczyć. Jeszcze niewiele umiesz odparła Czarownica.

- Znam na pamięć całą Wielką Księgę - obruszyła się Dziewczynka. - Można by nawet powiedzieć, że teraz to ja jestem tą Księgą!

- Wielka Księga to dopiero początek twojej nauki. Niemal elementarz.

- Jak powstała Wielka Księga? - zainteresowała się Dziewczynka.

- Nie wiem tego dokładnie, gdyż jest to dziedzina Czarownic Pierwszych. Niestety, moja Siostra jest ostatnią z nich. Twarz Czarownicy na chwilę spochmurniała, ale zaraz zaczęła mówić dalej: - Sądzę jednak, że Księga Wielka powstała podobnie jak Księga Mniejsza, którą spisywały Czarownice Drugie. Zaczęły ją spisywać z górą 1500 lat temu. Kiedyś, za czasów króla LuilaXIII i wszystkich późniejszych królów, takie Księgi stanowiły podstawę nauki dla uzdolnionych dziewczynek w Akademii Magicznej. Przy czym zawsze, w miarę upływu czasu, gdy nasza wiedza rozwijała się i doskonaliła, dopisywano do nich nowe rozdziały, bądź też przepisywano stare z uwzględnieniem nowszej wiedzy.

- Więc te Księgi nie mają końca? - zdziwiła się Dziewczynka.

- Nie miałyby końca - poprawiła Czarownica. - Wraz z nadejściem Najeźdźców Akademia Magiczna została zniszczona, a te Czarownice, które nie zdołały uciec, zostały spalone na stosie...

... oczy nowej Opiekunki znieruchomiały i Dziewczynka pomyślała, że rozpamiętuje ona teraz straszliwy los swych Sióstr. Czarownica jednak nie rozpamiętywała go, ale w i działa. Jeszcze raz miała przed oczami płonące stosy, uwiązane u wysokich pali swoje Siostry i pierwsze języki ognia liżące ich stopy. Widziała, albowiem była przy tym, skryta w tłumie, zanim uciekła w Wysokie Góry. A było to dokładnie 765 lat temu.

- ... nie, nie - odparła odruchowo myślom Dziewczynki. Ja to mam przed oczami.

- Czytałaś w moich myślach? - zaciekawiła się Dziewczynka.

- Tak - odparła mimochodem jej Opiekunka. - Ale pamiętaj o tym, że Najeźdźcy do dziś włącznie palą na stosie każdą osobę podejrzaną przez siebie o czary. Bardzo, ale, rzeczywiście bardzo rzadko, raz na sto lub więcej lat są to prawdziwe, gdyż zostało ich raptem kilka i na ogół dobrze się ukrywają. Najczęściej są to całkiem niewinne i nie mające nic wspólnego z magią biedne kobiety i dziewczęta. Tylko kilku naszym Siostrom udało się wtedy, w Dzień Napaści, uciec wraz z częścią magicznych Ksiąg w Wysokie Góry. Przechodziły one potem z rąk do rąk i udało się ocalić tylko dwie: Księgę Wielką i Księgę Mniejszą. Ja jestem w posiadaniu Księgi Mniejszej.

- Czy i ją będziemy musiały spalić, gdy już poznam jej treść?

- Tak, moja Mała - rzekła smętnie Czarownica. - Mnie też jej żal. Powstawała tak długo i ma bezcenną wartość. Już tyle lat udawało mi się ją ukrywać... Ale lepiej, byś ty przechowywała ją w swojej pamięci, niżli miałyby wpaść w ręce wrogów, którzy kto wie jaki użytek mogliby z niej zrobić.

- Pokaż szybko tę Księgę! - poprosiła zaciekawiona Dziewczynka. Pamiętała wciąż długie i wspaniałe wieczory z Księgą Wielką i miała nadzieję, że Księga Mniejsza będzie równie interesująca, jeśli nawet nie bardziej.

Czarownica uśmiechnęła się i zniknęła na moment w pieczarze. Po chwili wróciła ze zniszczoną Księgą, oprawną w miękką czarną skórę. Dziewczynka z szacunkiem wzięła ją z rąk swej Opiekunki i jęła przerzucać pożółkłe i kruche stronicę. Księga była znacznie cieńsza od poprzedniej i zawierała tylko trzy rozdziały. Pierwszy nosił tytuł "Jak czytać w myślach", drugi - "Jak czytać w Gwiazdach", zaś trzeci i ostatni stanowił po prostu "Ciąg dalszy dziejów Wielkiego Królestwa".

- Od czego zaczniemy? - spytała spokojnie Czarownica.

- Och, zacznijmy od Gwiazd! - zawołała Dziewczynka z radosną ciekawością. - Zawsze, od kiedy żyję, ich lśnienie przejmowało mnie dziwnym niepokojem. Jakbym przeczuwała, że kiedyś będę mogła pojąć ich mowę! Więc zaczniemy od nich, bo sądzę, że nauka czytania w myślach jest sztuką raczej łatwą i szybko się z nią uwiniemy...

Czarownica roześmiała się z dobroduszną kpina. "Doprawdy - pomyślała - byłoby to dziecko bardzo zabawne, gdyby nie to, że jest właśnie tym dzieckiem".

- Zgoda - powiedziała głośno, a jej wąskie wargi jeszcze drżały od śmiechu. - Ale zapewniam cię, że ani jedno, ani drugie nie jest łatwe. I nie spodziewaj się od Gwiazd zbyt wiele. Nasza sztuka nie polega na tym, że rozmawiamy swobodnie z Gwiazdami, tak jak ja teraz z tobą. Bardzo mozolnie, po nabyciu trudnej i rozległej wiedzy, jesteśmy w stanie z układu Gwiazd względem siebie rozpoznawać ich bardzo zmienne wróżby dla naszej przyszłości bliższej i dalszej.

- ... i tylko tyle? - szepnęła Dziewczynka z rozczarowaniem. - Ależ to bardzo mało! Malutko! Chciałabym rozmawiać z Gwiazdami!

- Nie bądź uparta i zarozumiała - skarciła ją Czarownica Druga. - Gwiazdy nie są do rozmowy, co najwyżej do podziwiania ich blasku i oceniania tego co wyniknie dla nas z ich wzajemnych układów.

- Jeśli mogę rozmawiać z dębem, z ptakiem, z myszką, to dlaczego nie mogłabym rozmawiać z Gwiazdami? - tupnęła nogą Dziewczynka.

Czarownica pokiwała z wyrzutem głową:

- Twoja pierwsza Opiekunka, a moja Siostra, mówiła, że jesteś zdolna, i to dwakroć bardziej, niż można było oczekiwać, ale niestety nie wspomniała o tym, że jesteś krnąbrna i zuchwała. To nie są dobre cechy charakteru. No, ale twój charakter to na szczęście nie moja dziedzina. Dobrze, skoro chcesz zacząć od Gwiazd, to otwórz Księgę na drugim rozdziale.

- Patrz... - szepnęła podniecona Dziewczynka. - Tam, na krańcu granatowiejącego nieba właśnie wschodzi pierwsza Gwiazda. Zaczynajmy...

Od tej pory niemal każdą chwilę, nie przeznaczoną na jedzenie, sen i spacer po Lesie, Dziewczynka poświęcała czytaniu Drugiego Rozdziału Księgi Mniejszej. Pełno w nim było zawitych rysunków, wzorów matematyczno - magicznych i skomplikowanych nazw. Spoglądająca z rozmarzeniem w usiane gwiazdami niebo, Dziewczynka z irytacją powracała do mozolnego przedzierania się przez trudną i niewdzięczną wiedzę matematyczno - magiczną. Mimo zniecierpliwienia wszelkie wzory, nawet te najtrudniejsze, łatwo wchodziły jej w głowę, zaś nazwy zapamiętywała z dziecinną wręcz łatwością. Po kilkunastu dniach intensywnej nauki, jeszcze z pewnym trudem, ale już zdolna była wskazać i nazwać na granatowym niebie gwiazdne konstelacje i pojedyncze wielkie Gwiazdy. Zwłaszcza te ostatnie, ogromne, samotne, pulsujące potężnym światłem ciekawiły ją nadzwyczaj i często bardzo długo w nocy wpatrywała się w nie, niemal bez odrywania wzroku.

* * *

Minęły prawie trzy miesiące, gdy po raz pierwszy, śledząc wzajemne układy Gwiazd między sobą, odległości dzielące je, intensywność ich światła i częstotliwość mrugania, Dziewczynka odczytała pierwszy gwiazdny przekaz:

- ...jak długo będzie trwać ten właśnie układ, będziemy w naszej pieczarze całkowicie bezpieczni. Ale jeśli ta duża samotna Gwiazda przesunie się w pobliże zbioru tamtych pięciu mniejszych, prawdopodobnie zagrozi nam jakieś niebezpieczeństwo. Nie będzie jednak ono zbyt wielkie. Powinnyśmy dać z nim sobie radę bez większego trudu.

- Dobrze - pochwaliła ją Czarownica. - Teraz co noc, dla wprawy, będziesz odczytywała gwiazdne przekazy. Jeszcze zwróć uwagę na tę konstelację z lewej strony nieboskłonu, a złożoną z ośmiu Gwiazd. Ich układ gwarantuje, że niebezpieczeństwo, o którym mowa, nie nadejdzie zbyt szybko.

Dziewczynka kiwnęła głową niecierpliwie.

- A teraz chodź spać. Ostatnio za długo wysiadujesz nocami przed Pieczarą. Wprawdzie lato już blisko, ale noce są jeszcze chłodne - upomniała ją Czarownica, lecz wychowanka odparła z uporem:

- Jeszcze chwilę zostanę. I nie przeszkadzaj mi.

Od tego czasu w każdą bezchmurną noc, mimo napomnień Opiekunki, Dziewczynka siedziała na dużym głazie przed Pieczarą, otulona w swój gruby, bury płaszcz - jaki wypadało nosić małej żebraczce - i wpatrywała się w Gwiazdy. Gdyby Czarownica widziała ją teraz - lecz spała spokojnie w głębi Pieczary - zastanowiłby ją wyraz twarzy jej wychowanki. Dziewczynka wydawała się nie widzieć dookoła siebie niczego - poza Gwiazdami. A szczególnie jedną z nich. Był to samotny olbrzym. I wydawało się, że między Dziewczynką a Nim wytworzyła się niewidoczna, srebrzysta nić porozumienia. Na granatowym nieboskłonie wyglądał On jak Wielki Samotnik, podróżujący po swej orbicie przez niezmierny Kosmos - zaś w szeroko otwartych szaroniebieskich oczach Dziewczynki odbijał się już jako dwa srebrzyste punkty. I wszystkie trzy - ten na niebie i te dwa odbite w oczach pulsowały w tym samym rytmie. Po dalszych kilkunastu dniach i nocach wielka samotna Gwiazda przysunęła się w stronę małego zbioru pięciu gwiazdek. Dziewczynka wywołała śpiącą w pieczarze Czarownicę:

- Onyks powiedział, że niebezpieczeństwo przyjdzie jutro, ale nie musimy przed nim uciekać. Wystarczy gdy skryjemy się w naszej jaskini i ty użyjesz trochę magii - szepnęła Opiekunce, wskazując Srebrnego Samotnika.

- Jaki Onyks? - spytała nieufnie Czarownica. - Jeśli masz na myśli tę dużą Gwiazdę, to dobrze wiesz, z Księgi Mniejszej, że nosi ona miano Archedyp...

- Archedyp to miano, które nadali jej ludzie, astronomowie i wy, Czarownice - szepnęła niecierpliwie Dziewczynka. - To tak jakbyś cudzego psa nazwała Azor, choć pies naprawdę nazywa się Burek, i dobrze o tym wie. Tylko ty tego nie wiesz, bo i skąd, więc wymyśliłaś mu inną nazwę. Naprawdę On nazywa się Onykrz i wszyscy w Kosmosie dobrze o tym wiedzą.

Czarownica z uwagą spojrzała na swą podopieczną. Ta siedziała nieruchomo i nie odrywała oczu od granatowego nieba. Zdawało się wręcz, że cała była Słuchem, Wzrokiem, Skupieniem i Uwagą.

- Kto ci powiedział, że ta Gwiazda nazywa się w rzeczywistości Onykrz? - spytała powoli Czarownica.

- Ależ ona sama - rzekła niecierpliwie Dziewczynka, jakby nie rozumiejąc, co tu może być niejasne. - Jeśli chcesz wiedzieć, jest ona słońcem dla trzech planet. Dwie z nich są duże i całkiem wygodne, ale bezładne. Nie ma na nich życia. Za to ta trzecia jest niezwykle mała i wyobraź sobie, że właśnie na niej życie rozwinęło się, niestety w okropnej jak na jej warunki formie: żyją tam wyłącznie olbrzymi! Jest ich coraz więcej i więcej, i więcej; wkrótce nie tylko że zabraknie dla nich miejsca, ale ciężar, jaki będą stanowić wszyscy razem, zagrozi w ogóle istnieniu planety! Wypadnie ona ze swej orbity i poszybujecie w głąb Kosmosu. A wówczas olbrzymów spotka śmierć...

- Moja Mała... - zaczęła Czarownica z przyganą, ale urwała zaraz, widząc powagę i skupienie Dziewczynki.

- Od dłuższego czasu rozmawiamy z Onykrsem o szansach uratowania olbrzymów - mówiła gorączkowo jej podopieczna. - 1 wyobraź sobie, jest taka możliwość. Otóż jeśli obie będziemy intensywnie myśleć o tym samym, to fale naszych myśli poprzez Onykrza dotrą do olbrzymów! Onykrz obiecał, że nam w tym pomoże, bowiem odbierze od nas fale naszych myśli i odbije je z całą mocą w kierunku schowanej za nim planety. Olbrzymi nie wiedzą, że niemal w zasięgu ich latających pojazdów znajdują się aż dwie puste i gotowe do zamieszkania wielkie planety, akurat na ich potrzeby. Wystarczy jeśli trochę udoskonalą swoje pojazdy, by mogły wzbić się wyżej i dalej, a będą zdolni przenieść się na nie, odciążając własną planetkę, której grozi zagłada...!

Czarownica uważnie przyglądała się swej wychowance, a jej czoło przecinała podłużna zmarszczka. Po chwili położyła na czole Dziewczynki swą dużą i ciepłą dłoń.

- Ciekawe... - szepnęła sama do siebie. - Ona nie kłamie. Więc jednak, wbrew naszej nauce, osiągnęła jedno ze swych marzeń. Umie rozmawiać z gwiazdami, pojmuje samoistną, niezrozumiałą wszak dla człowieka mowę Gwiazd... Dziwne to dziecko, doprawdy... Kiedy mam ci pomóc? - spytała głośno podopiecznej.

- Onyks sam to powie - odparła Dziewczynka, nie odrywając wzroku od nieba. - Nie każda noc jest dobra, ale ponoć wkrótce nadejdzie ta najlepsza, w czasie której nie tylko Onyks będzie znajdować się bliżej nas, ale i jego trzy planety, w tym Planeta Olbrzymów znajdą się wręcz w doskonałym układzie do odebrania i odbicia naszych myśli.

- Dlaczego Onyks sam nie przekaze Olbrzymom, co mają robić? - spytała nieufnie Czarownica.

- Doprawdy, nic nie pojmujesz - zdenerwowała się jej wychowanka. - Olbrzymi nie znają mowy Gwiazd, więc myśli Onyksa nie są w stanie do nich dotrzeć. On próbuje, ale bezskutecznie. Natomiast myśli innych kosmicznych, ale żyjących stworzeń, chociażby nas, Olbrzymi pojmą. Poprzez Kosmos przemkną one chyżo, w postaci krótkiej fali, dobiegną do Onyksa, który je odbije od swojej tarczy, więc pomkną dalej, ale zarazem ulegną wzmocnieniu.

- Dobrze, gdy przyjdzie czas, pomogę ci - rzekła z powagą Czarownica. - A teraz zastanówmy się nad tym nie znanym nam, grożącym już jutro niebezpieczeństwem.

- Jest ono całkiem małe, malutkie - odparła lekceważąco Dziewczynka. - Więc po co się zastanawiać? Poczekajmy na nie.

- Ale co to będzie? Jaki rodzaj niebezpieczeństwa?

- On tego nie wie. Za dużo od niego wymagasz. Z naszych ludzkich spraw on pojmuje tylko te bardzo ogólne, a i tak nie wszystkie rozumie - pokręciła głową wychowanka. - Teraz już możemy iść spać, a jutro przekonamy się, co nam grozi.

Skoro świt, nim promienie słońca zdołały przebić się do wnętrza pieczary przez znajdującą się w jej stropie wąską szczelinę, obudziło je jazgotliwe i wściekle szczekanie psów. Po chwili do szczekania dołączyły pojedyncze zrazu, a potem już zwielokrotnione i coraz donośniejsze głosy ludzi.

- Idzie nagonka - powiedziała Czarownica nasłuchując.

- Nagonka? Co to jest?

- To całkiem nowy obyczaj, który przynieśli ze sobą Najeźdźcy - wyjaśniła Czarownica. - Nazywa się "polowanie". My, w Wielkim Królestwie, szanowaliśmy życie każdego leśnego zwierzęcia. Za to Najeźdźcy polują na nie i zabijają bez potrzeby, a jedynie z przyjemności zabijania. Nie z głodu, lecz dla zabawy. Niebezpieczeństwo, o którym mówił twój Onyks, to nie Najeźdźcy, gdyż im było trudno trafić do wejścia naszej pieczary, lecz psy. Psy nas wywęszą. Musimy szybko użyć magii...

I Czarownica wybiegła, chwytając Dziewczynkę za rękę:

- Widzisz tę szyszkę, leżącą na ziemi, w odległości dwudziestu metrów od wejścia do naszej siedziby?

- Tak - odparła Dziewczynka.

- Zamień ją w liska i równocześnie nakaż mu, by pobiegł tam, w prawo, między drzewa, omijając poblizę wlotu do naszej jaskini, rozumiesz? I powiedz mu, że Czarownica gwarantuje mu życie. Psy pobiegną za nim i stracą nasz trop. Działaj zatem, a ja idę do pieczary, by uczynić coś innego...

Dziewczynka jąła wykonywać równocześnie magiczne ruchy obu rąk, jak i szeptać coś po cichu do siebie - w tym momencie nieduży, rudy lisek zerwał się z miejsca, gdzie wcześniej spokojnie na mchu spoczywała duża sucha szyszka. Lisek pomknął wymachując długim, puszystym ogonem w prawo, w dół leśnego zbocza. Wkrótce też ujadanie psów jakby zmieniło kierunek i zaczęło dobiegać znacznie poniżej. Psy ruszyły tropem liska.

Tymczasem Czarownica w pieczarze stała przy ognisku, które z początku ledwie się żarzyło, ale nagle jego wątle płomyczki szybko buchnęły aż pod sam strop.

- Teraz przywołamy leśne strzygi. Widocznie ten Las jest za mało straszny dla naszych wrogów... - mruknęła Czarownica do wracającej wychowanki i nachylając się w stronę ognia, najbliżej jak tylko mogła, wyszeptała kilka słów, krzyżując przed sobą wyciągnięte dłonie. Płomienie co Dziewczynka wyraźnie widziała - lizały jej palce, ale ani Czarownica nie czuła bólu, ani na rękach nie widać było żadnych oznak poparzenia. Wnętrze jaskini nagle stało się mroczne i groźne. Rozjaśnione wcześniej ciepłym blaskiem ognia - który zniemacka przygasł - skalne ściany stały się teraz niemal czarne. Z głębi pieczary rozległ się teraz cichy, szyderczy chichot, wydawany jakby przez kilkadziesiąt lub więcej stworów. Można było wyczuć ich obecność - chłodną zielonoszarą - ale nie można było ich zobaczyć.

- Idźcie w Las i czyńcie swoją powinność wobec odwiecznego wroga Lasu, Najeźdźcy - szepnęła Czarownica. W tej samej chwili uwaga Dziewczynki rozdzieliła się. Jej uszy łowiły bliskie dźwięki spoza Pieczary: wraz z ujadaniem coraz to oddalającej się sfory, zbliżały się radosno - wściekle wrzaski polujących. Równocześnie przez jaskinię przebiegł silny, lodowaty wiatr, kierując się ku jej wyjściu - a był tak mocny, że Dziewczynce wydawało się, że gdyby nie trzymała ręki Czarownicy, upadłaby na ziemię. Trwało to ułamki sekund i zaraz potem rozległy się okrzyki panicznego strachu, trzask łamanych w popłochu gałęzi i przerażone wycie psów.

Czarownica uśmiechnęła się. Ogień na nowo rozjarzył wnętrza ciepłym blaskiem. Mroczna, obca pieczara poróżowiła i przybrała ponownie swojski, przytulny wygląd. Wycie psów i paniczne okrzyki myśliwych oddalały się teraz coraz szybciej.

- Doprawdy, długo tu nie przyjdą - szepnęła Czarownica i jej wąskie wargi rozciągnęły się w szyderczym uśmiechu. Byli widocznie zdania, że w tym lesie nie straszy. Teraz je zmienia i zaczniesz w nim straszyć rzeczywiście. Widocznie nasze strzygi zaniedbały swój obowiązek, albo też Najeźdźcy uznali, że jeśli wtargną tu w wielkiej liczbie, z psami i nagonką, to nic im nie zagrazi.

Dziewczynka z przyjemnością usiadła przy ogniu i patrząc w jego ciepłe płomienie myślała o tym, że jednak rozmowa z Gwiazdami jest czynnością o wiele miłszą, niż wywoływanie strzyg, nie wspominając już o upiorach.

- Swoją drogą ciekawe, że Czarownica Pierwsza mnie tego nie nauczyła - rzekła głośno.

- Czego? - spytała Czarownica Druga.

- Przywoływania strzyg i upiorów.

- 1 miała rację. Powinnaś poznać trochę magii, ale nie całą. Nie jesteś Czarownicą i nie o to chodzi, abys nią była.

Zostaw nam porozumiewanie się ze światem upiorów i strzyg. Ale nawet my, Czarownice, przywołujemy upiory bardzo rzadko i niechętnie. Niekiedy same musimy zejść w ich Podziemne Królestwo, dzieje się tak jednak tylko wtedy, gdy z jakichś bliżej nie znanych przyczyn tracimy swoją magiczną moc i musimy ją odzyskać. Ale dość o tym, bo to temat nie dla ciebie, ale dla Czarownic.

- Kim jednak jestem, skoro nie Czarownicą? - spytała Dziewczynka.

- Jeszcze nie nadszedł czas, by o tym mówić - odparła jej Opiekunka. - W dodatku jeszcze wciąż nie jest pewne, czy jesteś naprawdę tym, kim chcemy abys była...

Dziewczynką wzruszyła ramionami i z powrotem wpatrzyła się w ogień. Doświadczenia płynące z przebywania pod opieką Pierwszej, a i Drugiej Czarownicy nauczyły ją, że nie powinna się upierać wtedy - gdy uprze się Czarownica.

ROZDZIAŁ VI

Po odstraszeniu przy pomocy strzyg polujących Najeźdźców, Czarownica i jej wychowanka długi czas miały spokój. Były jedynie same ze sobą, z Lasem i zamieszkującymi go zwierzętami. Były też Gwiazdy... Dziewczynka co noc wpatrywała się w nie, rozmawiała z nimi, a później opowiadała Czarownicy to, czego się dowiedziała.

- W jaki sposób one do ciebie mówią? - pytała Czarownica.

- Mrugają, pulsują światłem, drżą i to jest ich język. Ja go rozumiem. Długo to trwało, bowiem z początku nie pojmowałam tej mowy, choć zastanawiały mnie pewne regularne rytmy ich pulsacji. I wreszcie pewnej nocy pojęłam pierwsze słowo - sygnał. Bo Gwiazdy nie mówią tak jak my, łącząc litery w słowa. One mówią sygnałami, rozumiesz?

Czarownica musiała przyznać, że jednak nie rozumie.

- Onyksz właśnie ostrzega nas, że już za dwie doby nadejdzie noc najlepsza dla przesłania wiadomości do Planety Olbrzymów - ciągnęła dalej Dziewczynka. - Rozmawiałam też z tą grupą niewielkich gwiazdeczek z lewej strony nieboskłonu... widzisz je?... układają się jakby w kształt krzyża...

- 1 co ci powiedziały?

- Opowiedziały mi niezwykle doświadczenia, jakie przeżył mieszkańcy Planety Jaszczurów. Jaszczury te są obdarzone wielką inteligencją, wyższą niż nasza, i rozwinęły tak (swoją technikę, że możliwe stały się dla nich loty kosmiczne nawet do bardzo odległych planet. Wyobraź sobie, że w czasie jednej z wędrówek wylądowały na niewielkiej, przepięknej planecie, ich zdaniem całkowicie pozbawionej życia. Wykonały zatem swobodnie rozliczne badania, zbudowały skomplikowane laboratoria i analizowały budowę chemiczną podłoża i życie roślinne. Wyobraź sobie, jak straszliwych doznały uczuć, gdy przekonały się, niestety poniewczasie, że ta planeta jednak posiada swoją własną formę rozumnego życia. Stanowiły ją roślinne mikroorganizmy. Budowały one swoje miasta, fabryki i obiekty wysokiej cywilizacji, które jednak miały tak miniaturowe kształty, iż Jaszczury nie zauważyły ich i... rozdeptały. Nieświadomie zniszczyły zarówno oryginalne budowle mieszkańców planety, jak też zabiły miliony spośród nich, nie czyniąc z pozoru nic złego - a jedynie stąpając swymi potężnymi łapami! Gdy wreszcie któryś z Jaszczurów odkrył, że zniszczyli wspólnie wspaniałe rozwiniętą i pokojową cywilizację, zapanował smutek i żaloba. Dobroduszne z usposobienia Jaszczury nie mogły sobie wybaczyć niezamierzonego przecież aktu przemocy, jakiego dokonały w Kosmosie. Do dziś, choć minęło kilka setek lat, na planecie Jaszczurów panuje smutek i żaloba, bowiem te potężne stwory, nawet gdyby bardzo chciały - a chcą - nie ktyby zdolne naprawić tego co zniszczyły. Było to bowiem zbyt małe, ba, miniaturowe i precyzyjne, jak na ich łapska.

- Zastanawiam się, z kim wolałabym mieć do czynienia westchnęła Czarownica, wsłuchana w opowieść wychowanki. - Z tymi dobrymi z natury Jaszczurami, które bezwiednie zniszczyły czyjaś cywilizację, czy też z Najeźdźcą i jego świadomym okrucieństwem. I doprawdy nie znam odpowiedzi...

- Jeśli chcesz wiedzieć, to w Kosmosie jest pełno przypadków podobnych do historii Wielkiego Królestwa i Najeźdźców, bowiem domyślałam się, że Królestwo musiało zostać napadnięte i podbite, prawda? - powiedziała Dziewczynka wpatrzona w niebo,

na którym migotały złoto - srebrzyście Gwiazdy. - Niedaleko od słonecznego układu Onykrsa jest układ trzech planet, którego stąd nie zdołamy dojrzeć. Na dwóch z nich rozwinęły się bogate, ale bardzo spokojne cywilizacje istot zbudowanych z krzemu. Potrafiły stworzyć państwa pełne dobrobytu, wzniosły na wyżyny naukę, sztukę, technikę, ale nigdy nie pociągały je loty kosmiczne, ani nie nęciły inne planety. Wręcz nawzajem nic o sobie nie wiedziały. Niestety, trzecia z planet była również siedzibą krzemowców, ale takich, dla których jedynym sensem życia były podboje i życie na cudzy koszt. Mieszkańcy tej planety byli wiecznie głodni, gdyż nie uprawiali porządnie roli ani nie budowali fabryk, zaniedbali też całkowicie rozwój sztuki czy kultury, były im one zgoła zbędne; za to cały swój wysiłek, talenty i wszelkie dobra obracali na rzecz tworzenia potężnej, zbrojnej floty kosmicznej. Gdy była gotowa, zaatakowali obie sąsiednie planety, podporządkowali je sobie i zaczęli żyć na ich koszt. Teraz rozglądają się za obiektami nowych podbojów, gdyż te już im nie wystarczają; rozrabowali na nich wszystko. Na szczęście nasza planeta ich nie interesuje, bowiem nie ma tu dla nich właściwych warunków życia, inaczej kto wie, czy pewnego dnia nie spadłyby na nas z nieba ich statki...

- Więc niebo jest tylko z pozoru takie piękne i szczęśliwe w swym granacie i błękitcie, złocie i srebrze? - zdziwiła się Czarownica. - Zatem Kosmos jest po prostu taki sam jak nasza Ziemia? Jest w nim piękno i radość, ale też smutek i gniew, nienawiść i przemoc, prawda i fałsz...

- Myślę, że inaczej być nie może - powiedziała dojrzała Dziewczynka. - Mam już prawie siedem lat i sądzę, że radość w czystej postaci nie istnieje, musi być przemieszana ze smutkiem, tak jak prawda blisko sąsiaduje z kłamstwem, a miłość z nienawiścią.

- Biedna Dziewczyńko - szepnęła litościwie Czarownica.

- Za wcześnie poznałaś Zło tego i innych światów. Nie miałaś nigdy prawdziwego, beztroskiego dzieciństwa i wątpię, czy czeka cię radosny wiek dziewczęcy.

Dziewczynka nie odparła nic, a Czarownica pomyślała, że to prawda, jej wychowanka po trzykroć przerasta nadzieje wszystkich Sióstr Czarownic, ale też tak jak nie ma radości bez smutku i prawdy bez kłamstwa, tak też nie istnieje doskonałość bez skazy.

- Na szczęście istnieje Siostra Piąta, a ona się na tym zna - szepnęła sama do siebie.

Gdy minęły dwie doby, o których wspominał Onykras, Czarownica z dziewczynką zasiadły w nocy na kamieniu przed wejściem do pieczary i skupiły wszystkie swoje myśli, całą uwagę, ba, niemal całą istotę na Planecie Olbrzymów. Zamknęły oczy i z całą mocą przekazywały w Kosmos, w stronę Onykrsa myśl, by Olbrzymi ulepszyli swe statki powietrzne na tyle, aby zdolne były dolecieć do dwu sąsiednich planet i

odkryć, że są tam doskonale warunki dla ich życia. Ich myśli ulatywały w Kosmos, a ponieważ akurat w tym czasie Kosmiczna Droga nie była zajęta żadnymi innymi sygnałami - wiązka fal kosmicznych niosła je szybko do Onykrasa. Dopiero po kilku godzinach, gdy granatowe niebo jęło różowieć na wschodzie, przygotowując się na wejście Słońca - blaknący powoli Onykras przekazał im, że ich myśli właśnie do niego dotarły i teraz on, Onykras, odbija je w kierunku Planety Olbrzymów.

- Jutro w nocy... jutro w nocy... - zdołał jeszcze powiedzieć Onykras swym migotaniem, mruganiem i zmienną pulsacją, nim światło dnia skryło jego kształt w głębi jaśniejącego szybko nieba. Nazajutrz nocą rzeczywiście Wielki Kosmiczny Samotnik, zgodnie z obietnicą, przekazał Dziewczynce, że ich myśl dotarła do Planety Olbrzymów, którzy nie tracąc czasu na zastanawianie się, skąd ona przyszła, jęli od razu przebudowywać swoje słoneczne statki (poruszały się one bowiem w Kosmosie z pomocą energii słonecznej i z szybkością słonecznych promieni). Niektórzy z Olbrzymów szybko jednak jęli głosić, że myśl ta - wspinała i ratująca im życie - wykluła się w ich własnych głowach. Bowiem choć większość rozumnych myśli przychodzi do żyjących w Kosmosie istot właśnie z Gwiazd - od razu biorą je oni za swoje własne. Niekiedy wspominają tylko o "natchnieniu" lub twierdzą, że "myśli te naszły ich we śnie".

- Olbrzymi są jednak uratowani, a ja przecież wcale nie czekam na ich podziękowanie. Onykras też nie - zaśmiała się Dziewczynka.

W ten sposób na bardzo zajmujących dla Dziewczynki czynnościach upłynął kolejny rok i Czarownica pewnego dnia spokojnie stwierdziła, że jej podopieczna ukończyła już osiem lat.

- Gwiazdy odkryły dla ciebie większą część swych tajemnic - zaczęła z powagą, ale Dziewczynka przerwała jej:

- Tylko małą cząstkę, one wcale nie są chętne, by odkrywać wszystko...

- Tak czy owak rozdział drugi Księgi Mniejszej mamy za sobą, a ty samodzielnie dokonałaś znacznie więcej, niż było w nim zawarte. Ten rok zatem poświęcimy czytaniu w myślach...

- Więc będę jednak Czarownicą? - spytała niecierpliwie Dziewczynka.

- Nie.

- Więc kim?

- Dowiesz się tego w odpowiednim czasie.

- A czy nie sądzisz, że mogłabym spytać Gwiazd o moją przyszłość i o to, kim właściwie jestem?

- Nie sędę. Przeciwnie, myślę, że jeszcze w tej chwili nawet Gwiazdy tego nie wiedzą.

- Jeśli jednak nauczysz mnie czytać w cudzych myślach, wtedy w twoich własnych odczytam wszystko co zechcę!

- O, moja ty przemądrzała! Po pierwsze z oczu Czarownic, tych prawdziwych, nikt nie jest w stanie niczego odczytać. Po drugie ta myśl jest schowana bardzo, bardzo głęboko, a w dodatku nie jest myślą ukończoną. Uwierz mi, że jeszcze teraz ani ja i moje Siostry, ani Gwiazdy nie jesteśmy pewne, kim będziesz. Zaś marzeń odczytać nie jesteś władna.

- A zatem jestem tylko twoim marzeniem? - spytała na poły złośliwie, na poły pytająco Dziewczynka.

- Jesteś Marzeniem. Jesteś Nadzieją. I nie tylko dla mnie - odrzekła z powagą Czarownica.

- Jeśli to zależy od mojej nauki u was, Czarownic, to myślę, że uczyć się pilnie! - zawołała wychowanka.

- Tak, ale wszystko ma swoją niewiadomą, nawet to co zdaje się nam, że znamy doskonale.

Od tego czasu każdą chwilę poświęcały nauce odczytywania myśli. Dziewczynka przeczytała w pierwszym rozdziale Księgi Mniejszej, że należy w tym celu całą swoją moc i wolę skoncentrować na oczach danej osoby. Oczy Czarownic nie są najlepsze do tego celu, bowiem ich nieruchomość uniemożliwia odczytywanie z nich czegokolwiek. Czarownica powoli i żmudnie uczyła swą uczennicę, które punkciki źrenic mówią o jakich uczuciach; jak wraz ze zmianą barwy tęczówki, jej natężenia, rozszerzania się i zwężania a barwnych punkcików zmienia się treść myśli. Są też myśli niemożliwe w ogóle do odczytania, tak bardzo bywają ulotne i nieokreślone. Ale myśli wyraziste, zabarwione uczuciowo - gniewem, miłością, zazdrością czy nienawiścią - odczytuje się nader łatwo.

- A przecież nie idzie o to, by odczytać wszystkie cudze myśli - podkreśliła Czarownica. - Istotne są tylko te akurat dla nas najważniejsze. Ale powiem ci więcej i pamiętaj, że cię to zobowiązuje, gdyż głoszą to odwieczne Prawa Praw Magicznych: na ogół nie należy odczytywać cudzych myśli, gdyż jest to czynność sama w sobie zła. Wszak ty, obca, wchodzisz komuś bez pytania do serca i umysłu, jako nieproszony gość. Natomiast są sytuacje, w których można uratować czyjeś życie, choćby twoje własne lub życie kogoś z twoich rodaków w dawnym Wielkim Królestwie. Wtedy i tylko wtedy masz prawo użyć swego daru. Nie wolno go używać dla zabawy, gdyż wówczas może ci on zostać całkowicie odebrany. A teraz, dla

nauki, nie dla zabawy, będziemy przywoływać różne zwierzęta, byś patrząc w ich oczy mogła zbadać możliwości swego talentu.

Jako pierwszego Czarownica w magiczny sposób przywołała Liska. Przedziwnym trafem, był to ten sam Lisek, wyczarowany z dużej, suchej szyszki, który ściągając na siebie uwagę psów, odciągnął je od wlotu pieczary.

- Wyczytaj w jego oczach, czy pragnie pozostać Liskiem, czy też woli wrócić do postaci szyszki. Zwyczaj nakazuje przywrócić mu postać pierwotną, ale ponieważ oddał nam wielkie usługi, niechże sam wybiera...

Dziewczynka patrzyła uważnie w oczy zwierzątko, które bynajmniej nie spłoszone przycupnęło koło jej stóp.

- Wyobraź sobie, że on tego jeszcze nie wie - powiedziała wreszcie, nie odrywając spojrzenia od zmrużonych, bursztynowych ślepi. - On myśli, że są chwile, w których cudownie jest być szyszką i odpoczywać do woli na miękkim mchu, lecz nie mniej cudownie jest biegać po Lesie. Wtedy gdy jest głodny, gdy musi umykać przed większymi od siebie drapieżnikami, lub goni go czereda psów albo wieśniacy zastawili na niego sidła - marzy o tym, żeby z powrotem być szyszką. Ale nie wie, czy gdyby znowu nią został, nie zatęskniłby do bezkresności Lasu i swych swobodnych gonitw po nim. Jest w wielkiej rozterce... - zwróciła się do Czarownicy. Czarownica zamysliła się.

- On pomógł nam uratować życie - powiedziała wreszcie. - Jestem władna dać mu rzadki dar przemieniania się z powrotem w szyszkę, wtedy gdy tego zapragnie, a potem może znowu wrócić do postaci Liska. Powiedz mu jednak, że w całym swym życiu będzie miał prawo jedynie do trzech takich przemian. Gdy je przekroczy, pozostanie już na zawsze w tej postaci, w której akurat będzie...

Dziewczynka przekazała tę myśl Liskowi, który z wdzięcznością machnął puszystą kitą i jeszcze raz spojrział jej w oczy.

- Lisek bardzo ci dziękuje, Czarownico, i twierdzi, że jeśli mu się uda, to w chwili niebezpieczeństwa dwukrotnie przemieni się w szyszkę, ale trzecią przemianę zachowa na późną starość, gdy już nie będzie mógł biegać szybko po Lesie. Wówczas wybierze postać szyszki, której żywot jest dłuższy, albowiem z jej ziarenek może wyrosnąć kiedyś piękne, młodziutkie drzewko. On, Lisek - szyszka będzie wówczas jakąś jego częścią.

Po chwili ruda kita Liska zniknęła między drzewami. Nazajutrz Czarownica w magiczny sposób przywołała orła z Wysokich Gór. Potężny i dumny ptak przysiadł spokojnie na kamieniu i zakrzywionym dziobem jął stroszyć swe pióra. Na znak dany przez Czarownicę, Orzeł łaskawie, choć niechętnie pozwolił Dziewczynce spojrzeć w swoje wypukłe oczy.

- Nie lubię, gdy mi cokolwiek nakazują. Sam sobie jestem królem - odczytała Dziewczynka jego dumną myśl. - Żał mi ludzi, gdyż są na stałe przywiązani do ziemi, nie mogą wzbic się z niej w górę, na ziemi się rodzą i na niej umierają, na niej też spędzają całe swoje marne, na ogół niewolnicze życie. Nigdy nie są prawdziwie wolni. Choć co prawda słyszałem o takich dziwnych planetach w Kosmosie, których mieszkańcy już nauczyli się latać przy pomocy nie skrzydeł, ale maszyn...

- Powiedz mu, że żyjąc na ziemi też można być wolnym i być może nadejdą znów takie dni także dla mieszkańców dawnego Wielkiego Królestwa - rzekła Czarownica.

Dziewczynka przekazała tę myśl królewskiemu ptakowi, który w odpowiedzi znowu wpił w nią swoje wypukłe ślepie.

- On mówi, że życzy nam tego, ale wie, że czeka nas jeszcze wiele kłopotów, a nasza przyszłość jest niepewna. Mówi, że odczytuje to w chmurach, gdy się nad nimi wzbija. I te chmury, ciężkie i czarne, jeszcze długo będą wisieć nad Wielkim Królestwem.

Po odlocie dumnego Króla Ptaków Czarownica chwilę siedziała w ponurej zadumie, ale wnet ocknęła się z smętnego nastroju i przywołała jeszcze kolejno myszy, dzikie kozice, małe i barwne ptaszki, a nawet ogromnego Niedźwiedzia, króla wszelkiej leśnej zwierzyny. Niedźwiedź niechętnie przestępował z nogi na nogę i małymi, burymi oczkami patrzył w twarz Dziewczynki, która nagle się roześmiała:

- On mówi: "Dajcie mi spokój, niedobrzy mali ludkowie, mam dość własnych kłopotów i nie chcę zajmować się jeszcze waszymi. Zbliża się zima, a ja ciągle nie znalazłem nic stosownego i zapewniającego mi bezpieczeństwo na zimowy sen. A jestem już śpiący i zmęczony..."

- Powiedz mu, że może bezpiecznie prezimować w naszej Pieczarze. Nie zrobimy mu żadnej krzywdy, jeżeli i on nam jej nie uczyni. I nigdy nie śmiej się z niedźwiedzi, nawet gdyby rzeczywiście były śmieszne, gdyż jako królowie lasów, bardzo tego nie lubią - nakazała Czarownica, a Dziewczynka przesłała Niedźwiedziowi zaproszenie do jaskini. Niedźwiedź jął nerwowo przestępować z nogi na nogę i Dziewczynka ponownie odczytała jego myśli:

- ... mówi, że nie chciałby obudzić się jako mała myszka i żąda zaręczenia słowem honoru Czarownic, że nie przemienimy go w nic w czasie jego snu. Już mu to zaręczyłam w naszym imieniu, choć wierz, Czarownico, że bardzo rozbawiła mnie myśl, iż mógłby nagle obudzić się małą myszką!

Czarownica spojrzała na nią surowo i bez uśmiechu, dała swoje słowo Niedźwiedziowi, który posapując z zadowoleniem udał się do pieczary. Gdy jej mieszkanki z powrotem tam weszły, Niedźwiedź już donośnie chrapał, śpiąc na łożu Dziewczynki. Ponieważ jednak było ono wystarczająco szerokie, Dziewczynka -

czując coraz silniej chłód zimy - wtulała się od tej pory w jego grube, ciepłe futro i zasypiała w poczuciu bezpieczeństwa.

Miesiące zimowe - tak zazwyczaj wlokące się monotennie, nieprzytulne i melancholijne - tym razem mijaly szybko i gdy pewnego świtu Niedźwiedź ziewnął szeroko, a potem zaczął przeciągać się na całą długość swego cielska, postępując i sapiąc - Dziewczynce wydawało się, że dopiero co wczoraj zasnął. A jednak jego przebudzenie się zwiastowało nadejście kolejnej wiosny.

Niedźwiedź równie ochoczo rozstał się ze swymi przygodnymi współlokatorkami, jak przystał na przezimowanie w ich pieczarze. Odszedł prawie bez pożegnania, swobodny, dziki i niezależny król leśnych zwierząt.

Noce ponownie zaczęły być cieplejsze i Dziewczynka mogła znowu dłużej rozmawiać z gwiazdami. Gdy na drzewach ukazały się pierwsze młode pączki, a śnieg - lub raczej jego resztki - topniał niemal w oczach, Czarownica odezwała się:

- Skończyłaś dziewięć lat. Ten rok nauki poświęcimy ostatniemu rozdziałowi Księgi Mniejszej.

- A potem? - spytała Dziewczynka.

- Trochę odpoczniesz.

- A jeszcze później?

- Zobaczymy...

Ostatni, Trzeci Rozdział Księgi Mniejszej nie był wcale długi, Dziewczynka miała więc dużo czasu i spędzała go na swych ulubionych zajęciach. Rozmawiała z ptakami, drzewami i wszelką leśną zwierzyną, słuchała w nocy mowy Gwiazd i ich niezwykle ciekawych opowieści o losach planet - przeszłych, przyszłych, obecnych.

Przemieniała dla zabawy małe polne myszki w wielkie lwy, które nim zdołały się na nią rzucić, były z powrotem małymi myszkami; z oczu ptaków przylatujących z pobliza ludzkich siedzib dowiadywała się, jak żyją ludzie ze Wsi i Miast. A żyli biednie. W dawnym, sytym Wielkim Królestwie panował głód przednowia. Jednak to nie Najeźdźcy głodowali, ale podbity przez nich naród. W wielu domach - co prawda chyłkiem i tylko półgłosem śpiewano Pieśń Jedyńą, Pieśń o Wielkim Królestwie, dumnym i wolnym, jego upadku i ponownym odrodzeniu. Jednak żaden z ptaków nie umiał powtórzyć Dziewczynce słów Pieśni.

- Czy znasz Pieśń Jedyńą? - spytała Dziewczynka Czarownicy.

- Wszyscy ją znają - odparła Opiekunka. - Choć nie sposób znać wszystkie jej odmiany i wersje. Jest ich bowiem bardzo dużo: dłuższe i krótsze, o pełnych rymach i rymach białych, rytmiczne lub nierytmiczne, zmieniające się niemal w każdej

zwrotce, to przypominające epos rycerski, to znowu prostą ludową pieśń, a niekiedy pieśń religijną. Ale wszystkie odmiany zawierają tę samą treść, to samo przesłanie: głoszą, iż nadejdzie Dzień Wyzwolenia.

- Zaśpiewaj mi jedną z nich... może... może tę rycerską? zażądała wychowanka.

- Jeszcze nie czas - powiedziała Czarownica ze spokojnym uporem, a na upór Czarownic nie było sposobu. - W każdym razie pierwsze trzy, cztery zwrotki Pieśni są tożsame z krótką Historią Królestwa Wielkiego, którą już po części znasz. Następne opowiadają o jego upadku. Jeśli w Księdze Wielkiej poznałeś historię Królestwa, to w Księdze Mniejszej poznasz właśnie przyczyny jej zniewolenia przez Najeźdźców. A potem... no cóż... Pieśń Jedyną zaczęto śpiewać już w pierwszych stu latach panowania Najeźdźców, a z każdym kolejnym rokiem powstawały coraz to nowe zwrotki. Dziś Pieśń ta wydaje się nie mieć końca, coraz to zmienia się i rodzi...

- Kto ją ułożył i kto dalej układa?

- Takie pieśni, pieśni wieszczce nie mają nigdy jednego autora. Układają się same: z szumu drzew, śpiewu ptaków, zawodzenia wiatru, szmeru strumyków i namiętnego śpiewu rwących rzek lub górskich wodnych kaskad. Niektóre ich zwrotki śnią się ludziom, którzy potem, nagle przebudzeni, ze zdumieniem słyszą je powtarzane własnymi głosami. I w tę właśnie sposób - zwrotka po zwrotce - Pieśń Jedyna rodziła się i docierała do zniewolonych przez Najeźdźców ludzi. Początkowo głosiła jedynie historię świetności Królestwa - po to, by jej nikt nigdy nie zapomniał. Gdy doszły nowe zwrotki, okazało się, że upamiętniają straszliwy Dzień Napaści i późniejszy, szybki upadek Królestwa Wielkiego; po to aby żadne z następnych pokoleń nie zatraciło w swych sercach nienawiści do Najeźdźców. Były to zwrotki bardzo potrzebne w owym czasie, bowiem wielu ludzi uznało, że podporządkowanie się i przejście na służbę do Najeźdźcy daje lepsze, mniej głodne życie, nawet jeśli bat uderza częściej. A potem, nie wiadomo skąd, zaczęły przybywać następne strofy, mówiące o szansie odzyskania po setkach lat niewoli tego, co Wielkie Królestwo zda się bezpowrotnie utraciło: wolności. I dopiero wtedy coraz więcej ludzi zaczęło ją śpiewać, nawet pod grozą kary śmierci. Niekiedy śpiewają tylko półgłosem, całkiem cicho, cichuteńko, ale bywa i tak, że od ich śpiewu aż trzęsą się mury więzień - mówiła Czarownica zadumany głosem. Nagle urwała, zamilkła, by po chwili rzec swym normalnym chłodnym głosem:

- Tak czy owak, jeszcze nie pora, abyś uczyła się Pieśni Jedynej. Nie zdążyłaś nawet dokończyć nauk z Księgi Mniejszej, a nasz czas powoli się kończy...

- Co masz na myśli? - spytała Dziewczynka.

- Nie dostrzegłaś, że minęło prawie sześć lat, gdy zabrałam cię od Czarownicy Pierwszej? Już tylko paru miesięcy brakuje ci do ukończenia trzynastego roku życia.

- 1 co wtedy?

- Sama zobaczysz co wtedy. Ucz się cierpliwości, gdyż będzie ci w życiu potrzebna - odburknęła Czarownica.

ROZDZIAŁ VII

Po pięciu latach przebywania w pieczarze z Czarownicą Drugą jej podopieczna nauczyła się czytać w myślach wszelkich żyjących istot. Musiała też przyswoić sobie Prawa Pierwsze, rządzące tą sztuką. Ustalone przed wieloma wiekami przez Czarownice, stanowiły długi zbiór zasad, który w sumie sprowadzał się do zakazu czytania w myślach dla osiągnięcia własnych korzyści lub uczynienia komuś krzywdy. Dziewczynkę irytowały te ograniczenia, ale musiała się z nimi pogodzić.

- W naszej pradawnej Akademii Magicznej wszystkie Odwieczne Prawa Praw musiały być przestrzegane - dorzuciła Czarownica, widząc niezadowolenie na twarzy swej wychowanki. - Uczennice, nawet najzdolniejsze, które próbowały je złamać wbrew naszej woli, były z Akademii usuwane, a Trzynaście Sióstr Starszych odbierało im ich magiczne talenty raz na zawsze. Albowiem zamiast pomagać, mogły nimi szkodzić ludziom.

Zarazem Dziewczynka doskonaliła wciąż uprzednio nabyte umiejętności. Ze szczególnym zaciekawieniem wysłuchiwała z szumu najwyższych drzew w okolicy wieści z najbliższych Miasteczek i Wsi. Nigdy nie było ich wiele i zawsze się powtarzały. Dawnym mieszkańcom wolnego Wielkiego Królestwa życie upływało w nędzy i cierpieniu. Ci, na których skupiła się podejrzliwość Najeźdźców, wędrowali do więzień, by już nigdy nie powrócić do swych domów. Ich rodziny, wprawdzie z bólem i płaczem, godziły się z tym dość szybko, bowiem ratunek nie był nigdy możliwy ani nie miał skąd przyjść. Jedynym promykiem nadziei była Pieśń i ukryta w niej wiara w powrót wolności - wiara święta i niezłomna. Nic dziwnego zatem, że mimo groźących za jej śpiewanie straszliwych kar, zawsze znalazł się ktoś, kto przekazywał te słowa swym dzieciom, sąsiadom, przyjacielom. I tak przechodziła ona z pokolenia na pokolenie.

- Tak bym chciała poznać tę Pieśń - wzdychała niespokojnie Dziewczynka.

Ale bez pomocy i zgody Czarownicy na razie nic nie mogło się stać; żaden ptak ani drzewo nie chciały jej przekazać tych tajemniczych i upragnionych słów.

“Niech no tylko dorosnę i żadna, ale to żadna z Czarownic nie będzie miała prawa dyrygować mną!” - złościła się głębi serca. - “Wkrótce będę umieć tyle co one, a może nawet więcej i wtedy pokażę na co mnie stać...”

W czasie takich myśli, które zmieniały jej jasną twarz, Czarownica zerkąca na nią z ukosa i kręciła głową z niepokojem. Raz tylko, gdy myśli Dziewczynki były aż nazbyt buntownicze i gniewne, Czarownica odczytawszy je powiedziała spokojnie:

- Nigdy nie posiadasz całej czarodziejskiej, magicznej wiedzy. Tej wiedzy, którą miało w tym kraju jedynie Trzynaście Sióstr Starszych. A ja jestem jedną z nich, co prawda jedną z nielicznych ocalałych. Wychowujemy cię nie na Czarownicę i za kilka lat przestaniemy tobą dyrygować. Oby tylko i tobie, i wszystkim ta samodzielność wyszła na dobre...

Dziewczynka spieszyła się i zamilkła. Z Księgi Mniejszej pozostało już do nauki niewiele. Pozostał tylko ostatni rozdział, zawierający ciąg dalszy historii Wielkiego Królestwa.

W Księdze Wielkiej historia ta zakończyła się opisem rządów najwspanialszego z dwudziestu czterech władców Luila XXIII. To właśnie on, chcąc położyć tamę żądzy wszelakich wojen zaborczych - które nękały Królestwo jeszcze przed jego zjednoczeniem - nakazał zniszczyć całą broń, jaka kiedykolwiek i gdziekolwiek znajdowała się w posiadaniu jego podwładnych. Czego nie dało się spalić lub porąbać na kawałki - zostało zakopane w ziemi na wieczne czasy. Matka Ziemia przyjęła w siebie tysiące srebrzystych mieczy z ozdobnymi rękojeściami, których stała tak mocna, iż oparła się jakiegokolwiek próbie zniszczenia. A każdy z tych mieczy przynależał do jednego z wielkich, rycerskich rodów o wielowiekowej tradycji. Niektórzy z rycerzy płakali żegnając się ze swą bronią, inni próbowali ją ukryć przed okiem królewskiej gwardii, ale większość uznała wyższość Idei Pokoju nad umiłowaniami żołnierki.

Dzień ów nazwano Dniem Zakopywania Broni i od tej pory corocznie czczono go jako uroczyste, zaświadczone o szlachetności Luila XXIII święto. Luil XXIII zdażył już zejść z tego świata po 77 latach panowania - i jak przystało na ród Luilów stało się to wyłącznie ze starości, a nie z choroby czy innej przyczyny - a Dzień Zakopywania Broni, przypadający na sam początek wiosny nadal był największym i najweselszym ze świąt. Patronował mu już kolejny, dwudziesty czwarty z rządu król o imieniu Luil. Legenda głosiła, że Święty Kamień przyjął go chętnie, namaszczając tym samym na króla - ale na mgnienie oka załśnił jakąś ponurą, zielonkawą poświatą, która zebranych tłumnie kapłanom, rycerzom, uczonym i przedstawicielom wszystkich poddanych skojarzyła się - w ponury sposób - z Podziemnym Królestwem Złej Śmierci. Ale dość szybko zapomniano o tym wydarzeniu.

Król Luil XXIV, jak wszyscy z jego rodu, był roslym, jasnowłosym i silnym mężczyzną. Zgodnie z obyczajem wprowadzonym przez Luila VIII nie musiał w wyborze żony kierować się względami polityki i szukać jej wśród księżniczek o nieskazitelnym pochodzeniu rodowym. Jego wybór padł jednak na córkę starego rycerskiego rodu - rycerskiego już jedynie z nazwy, bowiem wszystkie rodowe miecze dawno spoczywały zakopane w ziemi.

Piękna Avatia, równie rosła i jasnowłosa jak jej mąż, urodziła mu dwóch synów i jedną córkę. Obaj synowie nie otrzymali jeszcze właściwego imienia, bowiem tylko Święty Kamień mógł rozstrzygnąć, który z nich otrzyma później miano Luila, a który

męską odmianę imienia matki. Gdy królewscy synowie dorastali do pełnoletności, stawiano ich kolejno (zależnie od tego, ilu ich było, a prawie zawsze więcej niż jeden) na Świętym Kamieniu. Omszały prastary Kamień albo tkwił nieporuszony w swych posadach w głębi Wielkiej Świątyni (nikt nie pamięta, ani od kiedy tam stał, ani też skąd się wziął) - albo też leciutko drgał. Drganie wskazywał, który z królewskich potomków jest bardziej godny tytułu następcy tronu, a tym samym imienia Luil z przydatkiem kolejnej liczby. Niekiedy jednak Święty Kamień brutalnie zrywał kandydata do tronu, lub porażał go lodowym tchnieniem z Podziemi, prawie że zabijając. Było to zjawisko nader rzadkie, ale jednak zdarzało się przynajmniej raz na kilka królewskich pokoleń i prawie zawsze dowodziło istnienia ukrytej, ale poważnej skazy w charakterze królewskiego syna. Czasem była to zbytnia żądza władzy, to znowu szkodliwa u królów zbytnia przebiegłość i chytryść lub też niezdolność dotrzymywania składanych poddanym obietnic. Święty Kamień - który nie miał Początku ani Końca - nigdy się nie mylił.

- ... ale ktoś przecież musiał wiedzieć, skąd się wziął Święty Kamień! - przerwała Dziewczynka lekturę, gniewnie zwracając się do swej nauczycielki.

- Zapamiętaj raz na zawsze, że w każdym ze światów istnieją sprawy, rzeczy i zjawiska nie do wytłumaczenia przez człowieka. Najbardziej wyrafinowani uczeni są bezradni - i Czarownica uśmiechnęła się. - I choć dobrze jest znać odpowiedź na większość zagadek i tajemnic, jakie niesie ze sobą życie, bodaj parę winno zostać nie rozwiązanych, dla dobra samego człowieka, aby nie urósł w pychę, sądząc, iż jest on ponad wszystkim i wszystko wie. A także dla dodania urody życiu, które bez tajemnic jest jak chleb bez soli. Mogę ci jednak powiedzieć, że niektórzy sądzą, że święty Kamień spadł z nieba, bowiem właśnie tam ludzie szukają odpowiedzi na to co nierozwiązane.

“... jednak tym razem żaden z królewskich synów nie doczekał dnia swych osiemnastych urodzin i nie stanął na Świętym Kamieniu” - czytała dalej Dziewczynka. Obaj bracia, nie wiedząc nic o swoim przyszłym tragicznym losie, żyli beztrosko, ucząc się wraz ze swą królewską siostrą Luelle pod bystrym okiem najwytrawniejszych nauczycieli, rycerzy i najbieglejszych Czarownic.

- ... Luelle? - spytała Dziewczynka. - W tamtej Księdze nie było ani słowa o królewskich córkach.

- Ale niewątpliwie rodziły się - powiedziała Czarownica. I zawsze nosiły imię Luelle. Jednak nigdy nie stawały na Świętym Kamieniu. Jak długo rodzili się synowie, nie trzeba było wkładać korony na głowy córek. A synowie rodzili się zawsze. Owszem, gdyby Święty Kamień odrzucił kolejno wszystkich synów któregoś z królów, córka i siostra kandydatów do tronu miałyby także prawo do wstąpienia na Kamień. Ale nigdy tak się nie stało.

... królowa Luella zdążyła wyjść za mąż. Zgodnie z tradycją wprowadzoną przez Luila V pożądane było, aby królewskie córki znajdowały mężów wśród królewskich poddanych, których wybierały wyłącznie z miłości. Był to piękny i mądry obyczaj, powodujący, iż królewski ród z pokolenia na pokolenie jednoczył się małżeńskimi więzami ze wszystkimi rodami królestwa, czy to rycerskimi, czy też nawet mieszczańskimi lub wiejskimi.

Dzieci królewskich córek - jeśli były dziewczynkami miały prawo zachować imię Luella, zastrzeżone wyłącznie dla potomkiń królewskiego rodu. Ostatnia z królowien w wieku lat szesnastu wyszła za mąż za Nadwornego Maga Luila XXIV. Jej bracia mieli wówczas czternaście i piętnaście lat.

Król Luil XXIV, gdy doszedł do władzy, zastał Wielkie Królestwo tak doskonale urządzone i bogate, iż nie miał wiele do roboty. Wszystko funkcjonowało niemal samo z siebie, jak doskonały mechanizm. Oddał się zatem swym ulubionym zajęciom w Królewskiej Menażerii. Kochał zwierzęta i potrafił przebywać z nimi całymi dniami...

- ... czy umiał z nimi rozmawiać? Rozumiał to, co mówiły, lub czytał w ich oczach? - spytała Dziewczynka.

- Nie - odparła Czarownica. - Zgodnie z tym, co nakazał król Luil XIII, ten który otoczył swą opieką Czarownicę i powołał Wielką Akademię Magiczną, czary jako takie a także magia były zakazane dla mężczyzn. Mogły uprawiać ją wyłącznie kobiety.

- Dlaczego?

- Bo tylko kobiety i małe dziewczynki mają w sobie naturalny instynkt magii, choć nie wszystkie zdają sobie z tego sprawę. Mężczyznom jest on obcy, a nie posiadając tego instynktu mogliby czarami wyrządzić wiele zła i szkód.

- ... więc Luella?

- Tak, podobnie jak większość królewskich córek miała instynkt magii, który zresztą wzmacniało to, iż nauczycielkami królewskich dzieci były także Czarownice. Ale ostatnia z królewskich córek miała ku temu większe zdolności niż pozostałe. Właśnie dlatego wyszła za mąż za Nadwornego Maga.

- Kim był Nadworny Mag, skoro mężczyźni...

- Raz na jakiś czas pojawiał się mężczyzna obdarzony instynktem magii i wówczas na mocy specjalnego królewskiego edyktu zezwalano mu kształcić się w Akademii Magicznej. Ale było to doprawdy niezwykle rzadko. Czytaj dalej...

... i właśnie ta małżeńska para, królowna Luella ze swym mężem jako pierwsi wyczuli grożące Wielkiemu Królestwu niebezpieczeństwo. Oczywiście, wyczuli je też Czarownice, Trzynaćcie Sióstr Starszych. Ale na próżno próbowali ostrzegać najpierw samego króla, a potem jego ministrów, doradców, przyjaciół - ostrzegając, iż czują, że do granic państwa zbliża się jakaś Niepojęta Groza. Choć bowiem czuli niebezpieczeństwo, nie umieli go określić. Król Luil XXIV nie wierzył, aby jego państwu, po wiekach spokoju, mogło cokolwiek zagrażać. Ministrowie także nie dawali wiary słowom Luelli, jej męża i Czarownic. Para ta wręcz naraziła się całemu dworowi, bowiem nagle zaczęła żądać odkopania broni! A właśnie zbliżał się Święty Dzień i wszyscy Mieszkańcy czynili do niego radosne przygotowania. W atmosferze wesołości nikt nie chciał dawać wiary ponurym przepowiedniom. Domy strojono kwiatami, pleciono wieńce na głowy, szyto piękne i bogate stroje. W Dzień Święta Zakopywania Broni wszyscy - jak zawsze - wylegli na place miast, na wiejskie łąki, na rynki małych miasteczek, by śpiewać i tańczyć, pałac symboliczne, drewniane miecze, specjalnie wyrzeźbione na to święto. Niektóre nawet nosiły rodowe herby! W pałacu królewskim została tylko Luella z mężem, a twarze ich ściągnięte były najwyższym niepokojem. Tylko oni na pozornie błękitnym niebie dostrzegali czarne, nadciągające ze wszystkich granic państwa chmury. Nic dziwnego, że jedynie oni zdolali uciec ze stolicy, nim nadeszła Groza. Czarownice do samego końca próbowały przeciwdziałać Złu, ale niewiele już mogły wobec liczebności siły, która stawiała im czoła. Niektórym z nich niemal w ostatniej chwili udało się zbiec; inne zginęły, przyczyniając wiele szkód wrogowi, nim same poniosły śmierć.

... bowiem oto przez wszystkie granice Wielkiego Królestwa, właśnie w Dniu Zakopywania Broni, przeszła - nie zatrzymywana przez nikogo, albowiem straży granicznych nie było - ogromna, niepoliczalna wręcz armia Najeźdźców. Były to sprzymierzone pod wodzą Księcia Urgha wszystkie pograniczne plemiona z sąsiednich Wielkich Stepów. Urgh, dziki i okrutny przywódca małego koczowniczego plemienia, od dawna z zawiścią i czujnie obserwował syte i spokojne Wielkie Królestwo. Poza nim, jak daleko sięgał wzrok i zręczny cwał koni - nigdzie nie było w tym świecie tak dobrze zorganizowanego i rządzonego, a w efekcie tak bogatego państwa. Poza jego granicami były jedynie Wielkie Stepy, a na nich niepoliczalna ilość skłóconych i stale walczących ze sobą koczowniczych plemion. Toczyły one między sobą dzikie i krwawe wojny, kradły sobie wzajem bydło, kobiety, dzieci i konie, stale przemieszczając się z miejsca na miejsce. Plemiona te, żadne jedynie walki i grabienia cudzych bogactw, nie były zdolne same z siebie zbudować cokolwiek trwałego. Nie tworzyły ani żadnych budowli, ani nie uprawiały roli, nie posiadały własnej kultury, czy choćby techniki. Swe znikome techniczne uzdolnienia obracały na jeden tylko cel: konstruowanie coraz sprawniejszej broni. Tym chętniej ich oczy - chciwe i zawistne - od lat czujnie spoglądały na bogate Wielkie Królestwo. Nigdy jednak żadne z plemion, ani nawet wszystkie razem wzięte, nie miały szansy napaści na potężne państwo. Nigdy - do momentu, gdy król Luil w szlachetnym acz utopijnym zamiśle nie pozbawił swego państwa wszelkiej ochrony nakazując zniszczyć całą broń... Właśnie od tego dnia oczy Barbarzyńców coraz czujniej przypatrywały się niepokonanemu do tej pory Królestwu. Jeszcze jednak długo nie

wały się go zdobywać. Na polecenie jednego z Urghów, cierpliwie czekały na najlepszy moment...

- Więc Luil XXIII wyrządził swemu narodowi krzywdę, gdy odebrał mu broń? - spytała Dziewczynka.

- Byłoby to za ostro powiedziane - westchnęła Czarownica. - Był to naprawdę wielki król. Ale często zdarza się, że ktoś tworzy Ideę, która pojawia się na świecie za późno, by cokolwiek zmienić, lub za wcześnie, a wówczas może przynieść niezamierzone Zło. Idea Zakopania Broni pojawiła się za wcześnie co najmniej o dwieście lat. Najpierw należałoby ucywilizować Wielkie Stepy z ich dzikimi plemionami, a o tym król nie pomyślał...

Ród Urghów był rodem najdzikszy, najokrutniejszy i zarazem najbardziej chytrym. Gdy kolejny syn tego rodu zdecydował, że nadszedł właściwy Dzień Najazdu - było to wówczas, gdy nie tylko cała broń Wielkiego Królestwa od kilkudziesięciu lat spoczywała zakopana w ziemi. To mogło nie wystarczyć do bezkarnego podboju tak ogromnego Imperium. Ale oto w wiek rycerski weszło kolejne pokolenie młodzieńców - którzy nigdy nie widzieli na oczy prawdziwej broni, nigdy nie mieli przypasanego żelaznego miecza ani nie nauczyli się nim posługiwać. Wiedzieli tylko, czym są i do czego służą miecze drewniane: do dorocznego palenia ich z radosnym śpiewem.

Tak więc potomek rodu Urghów wybrał najlepszy moment. Zjednoczył wokół siebie wszystkie plemiona - i setką tysięcy dzikich wojowników wkroczył do bezbronnego Wielkiego Królestwa. Sam widok półdzikich, przybranych w futra i zbrojnych w wielkie żelazne miecze, długie dzidy, łuki i ostre noże brodatych wojowników, na równie dzikich i wielkich czarnych koniach, wjeżdżających z wraskiem do wsi i miast, przeraził na tyle mieszkańców Wielkiego Królestwa, że nim zdołali pochować się w swych domach - które i tak nie były schronieniem - setki ich od razu zginęło. W świątecznych, pięknych strojach, przybrani wieńcami z kwiatów, leżeli martwi na placach, rynkach i łąkach, gdzie świętowali swój kolejny Dzień Zakopywania Broni. Drewniane miecze, jak na urągowisko, tkwiły w ich martwych, nieruchomych dłoniach.

W tym dniu z rąk najeźdźców zginęła jedna trzecia mieszkańców Wielkiego Królestwa. Zostali także zabici król Luil XXIV z małżonką i dwoma synami. Ich ciała jeszcze długo włózione były przez dzikie konie po głównych ulicach stolicy. Tylko królowa Luella z Nadwornym Magiem zniknęli. Jednak wielu mieszkańców kleło się, iż na własne oczy widziało również ich ciała wśród zabitych na Wielkim Placu w Ardżanie. Nie chcąc jednak, by były bezczeszczone przez Najeźdźców, nikt ich im nie wskazał...

I w ten sposób upadło świetne Wielkie Królestwo po wiekach niespotykanego rozwoju i rozkwitu. Upadło za sprawą szlachetnej Idei, która jednak przyszła zbyt wcześnie. Od tego też dnia - Dnia Podboju, Dnia Grozy - zaczęło powoli chylić się ku

ruinie. Bowiem zarówno Urgh (który mianował się królem Urghiem I - władcą Imperium) jak i jego następcy umieli tylko korzystać z tego czym zawładnęli; żaden z nich nie umiał ani nie zamierzał niczego tworzyć. Bogactwa Wielkiego Królestwa wydawały się im nieskończone. A jak długo można czerpać Niewyczerpane? - brzmiało ostatnie zdanie Księgi Mniejszej.

- I co dalej? - spytała Dziewczynka. - Wszak mówiłaś, że było to wiele setek lat temu...

- Dokładnie 770 lat - podjęła Czarownica. - Był to nie tylko Dzień Zakopywania Broni, a zatem stare nasze święto. Dzień Grozy nosi tę samą datę. Ale także ty urodziłaś się tego dnia, wczesną wiosną, więc jest także dzień twych urodzin. Dziwne zestawienie dat, nieprawdaż?

- A moja mama...? - szepnęła Dziewczynka.

- Twoja mama urodziła cię i dość szybko zginęła z rąk najeźdźców. Tak czy owak urodziłaś się dokładnie w 760 rocznicę Dnia Napaści, w samo święto Zakopywania Broni, które dziś kojarzy się równie ponuro, jak ów pierwszy dzień. W każdym razie dzisiaj, w tyle wieków po podboju Wielkiego Królestwa, z jego dawnej urody i bogactw zostało doprawdy niewiele. Zrujnowane są królewskie pałace i wspaniałe domy, całe miasta, miasteczka i wsie. Dawni obywatele Wielkiego Królestwa pracują w pocie czoła, ale nie dla siebie, lecz by wyżywić Najeźdźców - i żalosną resztką nakarmić siebie i swoje rodziny. Przemienieni są w niewolników, skazanych na łaskę i niełaskę prymitywnego i dzikiego pana. Nieco lepiej żyje się tylko tym, którzy z własnej woli poszli na służbę do wroga. Ale też i żyje się im gorzej, bowiem dawni przyjaciele od wracają na ich widok głowy w lęku i pogardzie. I choć z pozoru wydaje się, że rządy Najeźdźców są niczym nie zagrożone, gdyż cały lud pozbawiony jest broni - jednak po kraju od ponad 650 lat krąży niezwykła Pieśń Jedyna głosząca ich kres. Więc Urghowi żołnierze nienawidzą tej Pieśni; boją się jej, a są niezwykle zabobonni, jak każdy prymitywny człowiek. W imię tego strachu popełniają nowe zbrodnie. Szczególnie uporczywie, z pomocą swych szpiegów - tropią wszystkie Czarownice, gdyż lękają się ich bardziej niż kogokolwiek.

- Po czym je poznają? - spytała Dziewczynka.

- Nie potrafią ich poznać, dlatego palą na swych stosach niewinne kobiety, staruszki i młode dziewczyny. Tylko niekiedy, niesłychanie rzadko, udaje się im schwycić prawdziwą Czarownicę. Ale jednak udaje się. I dlatego, po siedmiu wiekach niewoli zostało nas już jedynie pięć. Poznałaś dwie spośród nas.

- Czy poznam wszystkie?

- Jeśli Los pozwoli - odparła ponuro Czarownica i wzrok jej zasępił się. - Niekiedy, gdy ty śpisz spokojnie, ja widzę przed oczami płonące stosy, w których traciłyśmy

nasze Siostry. I modłę się co noc do naszych Bogów, aby pozostałych czterech nigdy nie dosięęły te płomienie lub przynajmniej aby nie stało się to przed Czasem.

- Przed jakim Czasem?

Czarownica uśmiechnęła się pochmurnie:

- Przed czasem skończenia naszego zadania, misji, której podjęliśmy się. Ja miałam cię zapoznać z Księgą Mniejszą. I wykonałam to. Teraz już tak bardzo nie boję się stosu, a być może uda mi się go uniknąć, jeśli nigdy nie osłabnie moja moc i użyję jej we właściwy sposób. Bowiem nasza magiczna moc co jakiś czas słabnie, wyczerpuje się, gdy żyjemy w zbyt wielkim napięciu. Wówczas musimy na pewien czas zstąpić w Podziemne Królestwo Upiorów, królestwo Drzemiących Prastarych Mocy i nie budząc ich napić się z Krynicy Ich Prastarej Wiedzy. A teraz postaraj się spamiętać wszystko co przeczytałaś w Księdze Mniejszej, tak abyś nie tylko mogła zawsze i o każdej porze wyrecytować każdą z jej stronic, ale nieomal jakbyś sama stała się Księgą Mniejszą. Wkrótce bowiem będziemy musiały ją spalić, aby nie wpadła w niepowołane ręce...

ROZDZIAŁ VIII

... gdy różowopomarańczowe płomienie ognia najpierw liznęły łakomie poóółkłe karty Księgi Mniejszej, a potem jęły je łapczywie pożerać, rozjarzając się purpurowo - Dziewczynka czuła ten sam smutek, jak wówczas, gdy spopieliała się Księga Wielka. Coś nieuchronnie skończyło się - i równocześnie rozpoczynało. I było w tym wiele niepokoju, a mało radości. Jakby niepojęta, spoczywająca na niedużej Dziewczynce wiedza magiczna, cała prawda o dziejach Wielkiego Królestwa i niewiadoma przyczyna, dla której wychowują ją Czarownice - były cięższe, niż wydawałoby się to z pozoru. Tym cięższe, im bardziej niepojęte. Obie jej opiekunki - Czarownica Pierwsza i Druga, wszechmądre i wszechpotężne - wiedziały, że ta Dziewczynka, a wcześniej Dziecko nigdy nie miało prawdziwego dzieciństwa, nie zaznało smaku zabawy z rówieśnikami, nie zapamiętało ciepła uścisku matki i bezpieczeństwa w jej ramionach. Ale obie mimo całej swej wielkiej wiedzy - nie zdawały sobie sprawy, jak wielki jest ciężar, który obarcza ich wychowankę.

- Jutro wyruszamy - powiedziała Czarownica. - Za około trzy dni ukończysz trzynaście lat. I chyba tyleż drogi przed nami, trzy dni długiej wędrówki. W miejscu spotkania, które już znasz, tam, w Wysokich Górach, powinnyśmy być dokładnie w dniu twoich urodzin.

- ... urodzin - mruknęła Dziewczynka. - Skoro się urodziłam, powinnam jak każde dziecko wiedzieć coś o swojej matce. Kim była i jaka była?

- Była... dobrze to powiedziałaś. Była i już jej nie ma odparła oschle Czarownica. - Zginęła, gdy miałaś niespełna rok. Nie żyje, tak jak nie żyje wielu niewolników swego

okrutnego pana, Najeźdźcy. A jedyną ich przewiną było to, że istnieli, że ich odległymi przodkami byli wolni obywatele Wielkiego Królestwa i że znali słowa Pieśni Jedynej. Zginęli właśnie przez tę Pieśń. Ciebie, jedynie cudem, uratowała przemyślność naszych Sióstr Czarownic. W każdym razie niewiele da ci teraz wiedza, jaka była twoja matka, skoro i tak już jej nigdy nie ujrzysz. Niech ci zatem wystarczy, że była piękna, mądra, dobra. A teraz wyśpij się porządnie, bo czeka nas długa i niebezpieczna droga. Musimy znowu przechodzić koło jednego z Miasteczek i przez wiele całkiem pustych łąk, na których brak nawet drzew, by dały schronienie. Ciesz się, że przez pięć długich lat miałyśmy właściwie spokój.

Noc przeszła szybko. O chłodnym i rosistym poranku Dziewczynka ze swoją Opiekunką raz na zawsze opuściły wygodną i bezpieczną pieczarę. Nim wyszły z Lasu, Czarownica rozejrzała się bacznie wokół i jęła nasłuchiwać szumu wysokich drzew, których konary, wspinające się ku słońcu, umiały dojrzeć na odległym horyzoncie zarysy najbliższych domów Miasteczka.

- Nie jest bezpiecznie - westchnęła Czarownica.

- Tam jest cały, duży oddział Najeźdźców - dodała Dziewczynka, także wsłuchując się w szumiący śpiew konarów.

- I nieprędko sobie pójda. W każdym razie nie w tym tygodniu, a my nie mamy czasu. Moja Siostra zacznie się niepokoić, jeśli opóźnimy nasze przyjście. Musimy więc ryzykować. Gdyby Los nas rozdzielił, czy potrafisz sama dojść w Wysokie Góry, tam gdzie spotkałaś mnie po raz pierwszy? - spytała Czarownica.

- Jeśli wskażesz mi kierunek, to chyba tak - odparła Dziewczynka.

- Musisz tam trafić. Cały czas będziesz kierować się na północ. Gwiazdy ci w tym pomogą. Przebędziesz parę mniejszych, zalesionych gór i od razu znajdziesz się w znajomym ci dzikim królestwie przyrody, skąd już z daleka widać najwyższą skałę, u której stóp będzie czekać nasza Siostra Trzecia. A teraz ruszajmy dalej...

I zaczęły schodzić w dół, łagodnie opadającą ku najbliższej Wsi łąką.

- We wsi nie ma chyba nikogo obcego, prócz jej mieszkańców - powiedziała Czarownica, wpatrując się w małego kolorowego ptaszka, który siedział na niewielkim krzewie. Schowaj włosy pod kapturem i pamiętaj, że jesteś głupią, małą żebraczką, która wespół ze swoją ciotką wędruje do miasteczka. Nie patrz nikomu w oczy, twoje spojrzenie mówi zbyt wiele. Małe żebraczki nie są ani tak dumne, ani tak pewne siebie, ani nie ufają żadnym przechodniom...

Wieś wyglądała jak umarła. Gdziekolwiek tylko ktoś z mieszkańców stał na progu swego domu i bez zbytej ciekawości spoglądał na przybyłe. Czarownica szła zgarbiona, ledwie wlokąc nogi, a jej twarz - gdy Dziewczynka zerknęła na nią ukradkiem - stała się nagle twarzą starej kobiety.

- Żebrzecie, matko? - zagadnęła je jakaś Wieśniaczka, bez szczególnego zainteresowania. - Niewiele tu nażebrzecie, my sami głodni i biedni. Kawalek chleba bez omasty, dzbanek wody, to wszystko czego możecie się spodziewać...

Czarownica bez słowa skinęła głową i wymamrotała coś niezrozumiale.

- A ta Dziewczynka, to wasza córka? - zagadywała dalej kobieta z pewną ospałością, bardziej z nudów niż z ciekawości.

- To niemowa, pani - wyszeptła Czarownica. - Przygarnęłam ją po śmierci siostry. Zmarła biedaczka na dżumę...

Wieśniaczka cofnęła się z mimowolnym lękiem.

Podróżne szły dalej, nie zaczepiane już przez nikogo. Dopiero na skraju wsi zagadnął je mały, pasący krowy pastuszek:

- Idziecie do Miasteczka?

- Tak - odparła Czarownica starczym, schrypniętym głosem.

- Lepiej nie idźcie - doradził chłopiec. - Wczoraj spalono na Rynku Czarownicę i do dziś tkwi tam duży oddział Najeźdźców. Nie sądzę, byście się im spodobały...

- Spalono Czarownicę? - spytała Opiekunka, ściskając dłoń swej wychowanki. - A cóż takiego uczyniła? Jakie czary ją zdradziły?

- Ponoć zauroczyła konia pana Burmistrza, tak że dosiadając spadł z niego i złamał nogę...

Dziewczynkę dobiegło ledwie słyszalne, stłumione westchnienie ulgi swej towarzyszki.

- Musiała to być doprawdy wielka Czarownica - wymamrotała i przyśpieszyła kroku. Gdy minęły już Wieś, Dziewczynka spytała:

- Nie płaczesz nad swoją spaloną Siostrą?

- Płaczę w głębi duszy, ale nie nad moją Siostrą, lecz nad biedną niewinną kobietą - odparła Czarownica. - Moje Siostry nie czynią takich bzdur i wcale nie pragną zdradzać swego magicznego talentu lub trwonić go na zauroczenie czyichś koni. Koń Burmistrza zapewne spłoszył się sam z siebie, a ta biedna kobieta, która poniosła tak okrutną śmierć, musiała mieć tego pecha, że znajdowała się gdzieś w pobliżu. Mimo to musimy uważać, bowiem oznacza to, iż Najeźdźcy nie tylko są w Miasteczku, ale na dodatek pragną krwi i węższą obecność Czarownic tam, gdzie ich wcale nie ma...

Nim doszły do rysującego się już na horyzoncie Miasteczka, zrobiły krótki odpoczynek w cieniu dużego drzewa.

- Czy doprawdy nie możemy go ominąć? - spytała z niepokojem Dziewczynka, patrząc na niewiele odległe pierwsze domy Miasteczka.

- Tylko tam, z jego drugiej strony znajduje się jedyny w okolicy most, który przeprowi nas przez rzekę. Jest ona zbyt głęboka i rwąca, byśmy mogły przeprowić się przez nią inaczej. Zastanawiam się nad czymś innym: czy nie powinnyśmy się jednak rozdzielić. Samotna, mała żebraczka, taka jak ty, nie powinna wzbudzić niczych podejrzeń. Za to my dwie razem, oooo... to jest właśnie to, czym oni się interesują i czego szukają.

- Dlaczego?

- Kiedyś się tego dowiesz, a teraz posłuchaj: za chwilę ruszysz sama i postarasz się tak szybko jak tylko potrafisz przejść nie zauważona przez Miasteczko. Nie biegnij jednak, bo to zwraca uwagę. Idź w miarę szybkim krokiem, a na widok przechodniów zatrzymuj się zebrząc wyciągaj do nich rękę. Nie czekaj jednak, gdyż i tak nic ci nie dadzą, są na to zbyt biedni, biedniejsi niż Wieś. Od razu idź dalej, a gdy miniesz Rynek, kieruj się w dół, w stronę mostu na rzece. Przekrocz go i dopiero gdy zostawisz Miasteczko daleko za sobą, znajdź skryte wśród krzewów miejsce i czekaj na mnie. Gdy nie będzie mnie dłużej, nim słońce zacznie zachodzić, nie czekaj i wędruj w stronę tamtej góry widocznej daleko na horyzoncie. Za nią ujrzysz potem kolejną, a z jej szczytu łatwo dostrzeżesz znaną ci już, nie zamieszkałą i dziką krainę. U stóp najwyższej z Wysokich Gór, wśród bardzo starych ruin, czekać będzie nasza Siostra Trzecia.

- A gdybyś potrzebowała pomocy? - spytała Dziewczynka. - Gdyby się okazało, że tylko moja pomoc może cię uratować?

Czarownica zaśmiała się sucho:

- Jeśli ja sama, prawdziwa Czarownica nie uratuję się, to co ty mi możesz pomóc. Porozmawiasz z Gwiazdami...?!

- Kpij sobie, skoro to lubisz - mruknęła gniewnie jej wychowanka i wstała gwałtownie.
- Idę, jeśli takie jest twoje życzenie...

Ruszyła szybko naprzód i po chwili zniknęła Czarownicy z oczu, za pierwszym zakrętem wijącej się wśród drzew drogi. Czarownica wstała i wolno zaczęła iść w ślad za nią, powłócząc nogami, zgarbiona, pozornie bezradna, zagubiona wśród dróg Imperium stara, samotna żebraczka. A jednak co jakiś czas przyspieszała kroku, by nie stracić z oczu oddalającej się coraz szybciej niedużej, smukłej sylwetki w zniszczonym, burym płaszczu, w zarzuconym na głowie kapturze. Wkrótce Dziewczynka weszła w rogatki Miasteczka.

I szły tak obie, jedna za drugą, w bezpiecznej odległości od siebie, zerkając skrycie w swoją stronę. Ulice Miasteczka były na poły opustoszałe. Widać porażeni grozą wczorajszej egzekucji jego mieszkańcy woleli skryć się w swych domach.

- Tym gorzej dla nas - pomyślała Czarownica. - Tym szybciej wpadniemy w oczy.

Najeźdźcy snuli się po uliczkach jakby bez celu, znudzeni i senni. Ale nawet tacy wydawali się uosabiać samą grozę. Ich wielkie czarne konie niespokojnie przebiegały kopytami, uwiązane koło Ratusza, a lśniące zbroje rzucały ostre błyski.

Było ich wielu, tak wielu, że nie sposób było przejść nie zauważonym. Dziewczynka szła szybko, ze spuszczoną głową, przekradając się jak najbliżej murów kamienic - jakby chciała wtopić się w ich szare ściany.

- Ej, mała czarownico! - wrzasnął nagle z urągliwym śmiechem jeden ze zbrojnych i czubkiem długiego, żelaznego miecza zaczął o skraj płaszcza uciekinierki. - Dokąd tak gnasz? Kogo chcesz zaczarować?

Jego kamraci zbliżyli się i zarechotali głośno.

- Wszystkie Czarownice w tej okolicy umarły ze samego strachu na myśl o losie swej siostry - zaśmiał się rubasznie inny żołnierz. - Ta mała żebraczka jest nieszkodliwa.

- Ale niech mi pokaże twarz. Chcę widzieć strach na tej twarzy... - uparł się pierwszy i kolejnym ruchem miecza zrzucił z głowy Dziewczynki kaptur. Jej długie, złote włosy rozsypały się na ramiona i załśniły w promieniach słońca, które właśnie wyjrzało zza chmury.

- Wezmę sobie trochę tego złota! - krzyknął żołnierz i końcem miecza ściął jedno długie, mieniające się pasmo włosów.

- Ona ma włosy jak... jak zboże tego kraju - wymamrotał nagle drugi. - Rozumiesz, chłopie, co mówię? Jak zboże tego kraju, a oczy... oczy powinna mieć jak niebo przed burzą...

- Bajdurzysz! Ogłupiły cię te brednie - zaśmiał się pierwszy. - Gdyby to miała być o n a, to wątpię, by Czarownice pozwoliły, żeby wałęsała się sama ot tak, po tym miasteczku. A zresztą skąd ona, a nie o n? Moim zdaniem to na pewno ma być chłopiec!

- Dziewczyna by też być mogła - uparł się drugi. Dziewczynka nieruchomo stała pod ścianą jednego z domów, a ostry miecz cały czas dotykał jej głowy.

- No, powiedzże coś, niemowo, bo cię tkniemy głębiej tym mieczem! - wrzasnął drugi żołnierz.

Dziewczynka pokręciła w milczeniu głową i wskazała palcem na usta.

- Prawdziwa niemowa... - zdziwił się pierwszy. - Niech se idzie gdzie chce, co ci po niej...

Ale już szybkimi krokami zbliżał się inny Najeźdźca. Jego zbroja odróżniała się od innych dużymi, srebrzystymi guzami.

- Podejrzana? O co? - warknął. Dwaj żołnierze wyprostowali się służbiście. Oczy nowo przybyłego wpiły się w stojącą nieruchomo Dziewczynkę.

- Włosy jak zboże tego kraju, a oczy ... - zaczął nowo przybyły z powolnym namysłem. - Czy nie sądzicie, że...

I wtedy, gdy Dziewczynka jedynie siłą woli powstrzymywała się, by nie przemienić któregoś z prześladowców w małą myszkę lub pochrząkującą świnię - co, jak dobrze wiedziała, i tak by jej nie uratowało, gdyż pozostali Najeźdźcy pochwyciliby ją z łatwością - wówczas rozległ się w pobliżu straszliwy, oszalały, niehumaniczny krzyk. I oto już trzech Najeźdźców pędzili z wyciągniętymi mieczami w stronę szamoczącej się w jakimś opętańczym tańcu staruchy, która posuwała się w ich kierunku, wywijając nad głową swym burym płaszczem.

- Przemienię was w osty i szakale! - krzyczała starucha, wznosząc w górę ręce, a jej płaszcz trzepotał jak skrzydła ogromnego nietoperza. - Wasze konie staną się gąsienicami! A wówczas ja, wielka Czarownica, przeobrażę się w wielkiego ptaka i je zjem! Abra! Abri! Abre! Abronabra!

... i już ze wszystkich stron biegli Najeźdźcy; wielu nadjeżdżało konno, a niecierpliwe kopyta ich koni wystukiwały na bruku groźny rytm śmierci.

- ona mi daje czas na ucieczkę - pomyślała Dziewczynka. - Ale co zrobi sama? Nie uratuje się. Nie zaczaruje więcej niż dwóch, trzech Najeźdźców, a pozostali ją schwycą i... i spalą. Ale jeżeli ja nie ucieknę, to całe jej poświęcenie pójdzie na marne...

... i myśląc te słowa - już biegła jak strzała w dół Miasteczka, w stronę mostu. Nikt za nią nie biegł, ani nawet nie oglądał się. Wszyscy Najeźdźcy podążali w stronę oszalałego głosu, ale im bliżej znajdowali się staruchy, tym bardziej zwalniali kroku, patrząc niepewnie i z lękiem po sobie.

- Nuże! Brać ją! - wrzeszczał złowrogo ich przywódca, lecz nikt z żołnierzy nie kwapił się, by zbliżyć się do Czarownicy.

- Zetnę wam łby, głupcy! - wrzasnął przywódca. - Jako osły będziecie przynajmniej żyć, ale bez głowy, zapewniam, że życia nie ma! Naprzód!

I wówczas gromada Najeźdźców ruszyła. Dziewczynka wbiegając na most odwróciła na ułamek sekundy głowę. Ze zbitego tłumu potężnych postaci w błyszczących zbrojach, który zakrył już sobą miotającą się Staruchę - nagle wyfrunął w górę potężny orzeł i nim zdołały osiągnąć go strzały szybkostrzelnych łuczników, już wzbił się wysoko, niemal pod chmury i zniknął zebrany z oczu.

- Przemieniła się w ptaka - szepnęła Dziewczynka. - Mimo wszystko przemieniła się w ptaka, choć tego właśnie nie wolno jej było zrobić. Kto odrywa się od ziemi, może na nią nie powrócić, głoszą święte prawa magii. I sama mnie ich uczyła...

Myśląc tak Dziewczynka ani na chwilę nie zmniejszyła szybkości biegu i teraz znajdowała się już spory kawałek za mostem.

Najeźdźcy chwilę stali oszołomieni niespodziewanym wydarzeniem, a oczy ich niespokojnie błędziły po niebie. Ale oto już ich przywódca wrzasnął:

- A ta mała? Gdzie jest ta mała żebraczka o włosach jak zboże i oczach jak niebo przed burzą?! Idioci! Kretyni! Czy dalej niczego nie pojmujecie?! To musiała być ta istota, a Czarownica ją tylko osłaniała! Za nią!!!

Gdy dzikie czarne konie zatętniły po moście i przekroczyły go - koło najbliższych gęstych krzaków minęły małą, szarą kotkę, która dziwnie niebieskimi oczami patrzyła na jadących. Żaden z Najeźdźców nawet nie zwrócił na nią uwagi.

- Uratowała mnie, łamiąc święte prawa magii - mruzczała kotka do siebie, liżąc jedną z łapek. - Czy zdoła teraz powrócić na ziemię? Mogę już jej nigdy nie ujrzeć...

Kotka wolno weszła głębiej, w krzaki i skryła się wśród nich. Po niecałej godzinie most znów zadudnił pod kopytami koni. Najeźdźcy wracali z niczym.

- Durnie! Idioci! Ona może jeszcze być w mieście! - wrzeszczał jadący na przedzie. Przeszukać każdy dom! Natychmiast! Wyprowadzić na Rynek wszystkie dziewczynki o jasnych włosach! Ale to już!

- W samą porę - mruknęła Kotka i przeciągnęła się, a z każdym płynnym, miękkim kocim ruchem przeobrażała się z powrotem w Dziewczynkę. - Święte prawa magii nie pozwalają żadnemu człowiekowi przebywać w zaklętym zwierzęciu dłużej niż do zachodu słońca - mruzczała do siebie. - Jeszcze chwila i mogłabym na całe życie zostać Kotką. Ona też już ma niewiele czasu. Słońce za chwilę schowa się za tą górą...

Nagle z łopotem wielkich skrzydeł tuż koło niej opadł na ziemi potężny orzeł. W jego wypukłych oczach Dziewczynka dostrzegła lęk. Spojrzeniem swych oczu dodała orłowi odwagi.

- Nie masz już czasu - szepnęła. - Za trzy, cztery minuty zajdzie słońce... śpiesz się...

Orzeł zatrzepotał bezradnie skrzydłami raz... i drugi... i jeszcze raz... Czas uciekał, a jego skrzydła biły bezsilnie w powietrze...

- Nie możesz - szepnęła Dziewczynka. - Chyba jednak muszę ci pomóc...

- Nie ma sposobu - odparły jej chłodne, szare oczy orła, zasnuwając się mgiełką smutku.

- Ale może być, trzeba tylko spróbować... - szepnęła Dziewczynka i wyciągnęła przed siebie ręce.

W szarych oczach dostrzegła przerażenie, ale teraz oczy te nie tkwiły już w dumnej głowie króla ptaków - orła, ale w nieco mniejszej główce myszołowa... Kolejny ruch ręki Dziewczynki i myszołów przeobraził się w kuropatwę... Nim w oczach kuropatwy błysnął strach i błagalna prośba - już przed małą mistrzynią magii dreptała w miejscu nieduża, czarna kura.

- Wolałam być orłem - powiedziały smutne oczy kury. Ten królewski ptak mieszka w Wysokich Górach... Fruwa wysoko, wysoko...

- ... a kura, jak człowiek, chodzi po ziemi i rzadko się od niej odrywa - dodała Dziewczynka chytrze. - Masz teraz tylko trzy sekundy, by wrócić do swojej postaci!

Kura zatrzepotała skrzydłami - i nagle przed Dziewczynką stanęła Czarownica w swej dawnej postaci. Od razu opanowana i powściągliwa, zwróciła chłodne spojrzenia na swoją podopieczną:

- A gdybym musiała już na zawsze zostać kurą? Pomyśl, o ile bardziej byłoby to niebezpieczne dla mnie niż bycie orłem! Jako orzeł mogłabym przebywać z dala od ludzkich siedzib, a jako kura...

- Kurę mogliby Najeźdźcy włożyć do garnka! - zaśmiała się Dziewczynka, ale widząc surowość w oczach swej Opiekunki natychmiast spoważniała: - Mówiłaś, że kto odrywa się od ziemi, może na nią nie wrócić, prawda? Ale przecież kura, choć także jest ptakiem, przebywa właśnie na ziemi! Dlatego dokonując tych kilku przeobrażeń, coraz bardziej zbliżałam cię do ziemi, aż wreszcie ułatwiłam powrót do własnej skóry! A ty, zamiast mi podziękować, narzekasz, jesteś niezadowolona...!

- A gdyby twój pomysł zawiódł? Bo mógł zawieść, wiesz jak to bywa z magią. W dodatku ty nie jesteś prawdziwą Czarownicą...

- Wtedy zostałabyś kurą - odparła z jeszcze większym, niż Czarownica, chłodem jej podopieczna.

W szarych oczach Czarownicy na sekundę błysnęła jakaś niespokojna myśl, ale nim Dziewczynka zdołała ją odczytać - zniknęła.

- Pomyślałaś teraz o mnie coś złego - powiedziała wychowanka ponuro. - Ale nie zdążyłam odczytać twych myśli. Zrećznie je chronisz przede mną.

- Idziemy - powiedziała Opiekunka spokojnym głosem Przed zapadnięciem nocy musimy dotrzeć do Lasu na tamtej górze. Znajdziemy tam sobie jakiś nocleg. Dalsza droga powinna już być spokojna. Pojutrze twoje urodziny. Sadze ze zdążymy akurat.

ROZDZIAŁ IX

Bez większych przeszkód, chroniąc się wśród drzew na widok jakichkolwiek podróżnych - skądinąd nader rzadkich na drogach dawnego Wielkiego Królestwa - dotarły do stóp pierwszej z dwu lesistych gór, jakie dzieliły je od miejsca spotkania. Tam też zanocowały w Lesie, a że wczesne wiosenne noce nie były już tak zimne i mroźne, jako poślanie wystarczył im mech, a za przykrycie ich długie i ciepłe, choć zniszczone płaszcze.

W Lesie, który gęsto porastał górę, znów poczuły się jak u siebie w domu. Nazajutrz, skoro tylko wstał nowy dzień, jęły pisać się między drzewami ku szczytowi. Dopiero tu, po paru godzinach żmudnej wędrówki, przysiadły na odpoczynek.

- Tam jest gniazdo orła? Widzisz? - spytała Czarownica. Dziewczynka nie widziała, ale wyczuła od razu obecność Króla Ptaków.

- Poprosimy go, by dowiedział się, co słyhać w Miasteczku po naszej ucieczce - powiedziała Czarownica i magicznym ruchem ręki przywołała królewskiego ptaka. Zjawił się niechętny, dumny, patrząc na nie z góry.

- Wiesz, że nie lubię słyhać rozkazów ludzi - wyczytały obie w jego wypukłych oczach.

- Nie jesteśmy zwykłymi ludźmi - odparła z równą dumą, choć życzliwie Czarownica. - Ja na przykład jestem Czarownicą, ostatnią z Pięciu Sióstr, jakie zostały jeszcze w tym kraju. Chyba słyzałaś, że ongiś było nas Trzynaćcie?

- A ty? - spytał orzeł spojrzeniem, spoglądając na Dziewczynkę.

- Ja? - zapytana wzruszyła gniewnie ramionami. - Nie wiem. I nikt mi tego nie chce powiedzieć. Jestem po prostu Dziewczynką.

- Nie jest Czarownicą, ale też i nie jest całkiem zwykłym ludzkim dzieckiem - wyjaśniła zwięźle jej Opiekunka. Chcemy cię prosić, byś przyniósł nam wieści z Miasteczka, skąd wczoraj tylko cudem udało się nam ujść z rąk Najeźdźców.

- Spróbuję się czegoś dowiedzieć - obiecał łaskawie wielki ptak. - Nie będzie to jednak proste, bo nie znam się na waszych ludzkich sprawach i staram się o nich

wiedzieć jak najmniej. To nie są moje sprawy... Czy mi się zdaje, czy też ty, Czarownico, byłaś wczoraj w skórze orła? Czuję od ciebie nasz zapach...

- Wybacz, ale rzeczywiście pozwoliłam sobie pożyczyć na krótko wasze wspaniałe pióra. Gniewasz się o to?

- Nie, ale twoje szczęście, że w porę wróciłaś do ludzkiej postaci. Obawiam się, że wiele z napotkanych orłów uznałoby cię, mimo piór, za wroga i zatłukłoby cię dziobami. Nie lubimy obcych. Tym bardziej obcych, którzy udają swoich. A teraz lecę po wieści...

- Jest niezwykle dumny - powiedziała Dziewczynka, śledząc lot ogromnego ptaka.

- Jego duma jest dumą władcy - odparła Czarownica. - Ale nie powinna to być jedyna cecha tego, który włada.

Orzeł wrócił po niecałych trzech godzinach i przysiadł na omszałym głazie.

- Do Miasteczka przybyły nowe oddziały zbrojnych na wielkich czarnych koniach. Są źli i niespokojni. Pełno ich też na drogach i w okolicznych Wsiach. Zapędzili się nawet pod ten Las, lecz nie poważyli się do niego wejść, bowiem ich zdaniem jest to Las Straszny. Czy ty, Czarownico, dostrzegasz w tym Lesie Coś Straszego?

- Nic ponad to, co powinno się w nim znajdować, jak przystoi porządnym, prawdziwym Lasom - odparła uprzejmie zagadnięta. - W prawdziwym, dużym Lesie, oprócz zwierząt, ptaków, krzewów, mchów i drzew, powinny być jeszcze żyjące w spróchniałych dziuplach Strzygi, trzymające się bagien Latawice, udające na przemian to leśny wietrzyk, to znowu pajęczynę, choć naprawdę są to dusze zmarłych, żyjących tu niegdyś zwierząt i ptaków.

- Cieszę się, iż nie obawiasz się tego, co po prostu stanowi część leśnego królestwa - rzekł łaskawie orzeł. - Nie ukrywam jednak, że od paru setek lat nasze strzygi, elfy, latawice, a nawet upiory robią co mogą, żeby Lasy wyglądały strasznie, aby nie wjechali do nich ci dzicy barbarzyńcy na swych złych koniach. Nie powinni się tu pętać, prawda? Nic im do nas.

- Masz rację, Królu Ptaków. I co jeszcze słyhać w Miasteczku?

- Ci ogarnięci wściekłością i strachem żołnierze zebrali na Rynku wszystkie Dziewczynki o włosach podobnie jasnych jak tej, tu obecnej i szukają wśród nich takiej, która ma oczy jak niebo przed burzą, a włosy jak zboże tego kraju... to określenie brzmi niezgorzej - dorzucił uprzejmie orzeł. Trochę jak słowa pieśni lub wiersza. Przypuszczam jednak, że nie znaleźli tej której szukają, ani jej nie znajdują wcale zakończył orzeł i swoje wypukłe oczy wbił w Dziewczynkę. Jego dziób skrzywił się lekko, jakby w ironicznym uśmiechu.

- Czy z drugiej strony góry droga jest wolna? - spytała Czarownica.

- Och, o n i tam się także zapędzają. Uważam, że dopiero noc będzie całkiem dla was bezpieczna. A teraz wybaczcie, lecz pożegnaj was. Jestem nieco znużony waszym towarzystwem. Ludzie, nawet ci niezwykli, nie są zbyt interesujący dla orłów.

I królewski ptak odfrunął majestatycznie na swych potężnych skrzydłach.

- Doczekamy zmierzchu i dopiero wówczas ruszymy. Jeśli będziemy iść szybko, dotrzemy na czas, późnym świtem zdecydowała Czarownica. - Zdrzemnę się teraz, a ty próbuj zrobić to samo, czeka nas bowiem cała noc wędrowania.

Gdy Czarownica spała, Dziewczynka umiała sobie czas przeobrażaniem szyszek w wiewiórki, by - nim skoczą na drzewo - odczarować je z powrotem. Brązowa szyszka w ciągu sekundy przybierała puszystość rudego futerka i błyskawicznie, już jako żywe zwierzątko wdrapywała się na pień pobliskiej sosny. Jednak nim zdołała osiągnąć jej pierwszy konar - bezradnie spadała na mech w postaci szyszki. Dziewczynka uśmiechała się z zadowoleniem i podejmowała zabawę na nowo, próbując teraz doprowadzić szyszko - wiewiórkę do drugiego konara. Gdy szyszka po raz trzeci spadła na ziemię, Czarownica otworzyła oczy i powiedziała ostrym, chłodnym głosem:

- Zaprzestań tej zabawy. Jest okrutna.

- Okrutna? - zdziwiła się jej wychowanka. - Co widzisz w niej okrutnego? Jest to rodzaj gry wymyślonej przeze mnie i uważam, że jest ona bardzo zabawna.

- Ta wyczarowana przez ciebie wiewiórka przez parę sekund żyje naprawdę. Dajesz jej życie dla zabawy i dla zabawy je odbierasz. Święte prawa mówią, że magii nigdy nie wolno używać w trzech celach: dla zabawy, z chęci zemsty i z chęci odniesienia własnej korzyści. Tak głosiła Akademia Magiczna, ale święte Prawa są od niej o wiele starsze. Magia ma służyć wyłącznie dla dobra ludzi, zwierząt, roślin i wszystkiego co żyje. Można jej też użyć we własnej obronie, ale tylko przeciw złej, niesprawiedliwej sile. Czy prawd tych nie poznałaś w Wielkiej Księdze za czasów twego pobytu z Czarownicą Pierwszą?

- Nie - odpałała oschle Dziewczynka. - Nic na ten temat tam nie było. Ani słowa.

- Widocznie Czarownica Pierwsza sądziła, że sama z siebie to pojmiesz - westchnęła Czarownica jakby ze znużeniem i spojrzała na swój ą wychowankę uważnym, zatroskanym wzrokiem. Lecz nim Dziewczynka zdolna była to dostrzec, Opiekunka odwróciła głowę.

Zmierzch zapadł szybko; ucichł z wolna śpiew ptaków wśród gałęzi drzew; zniknęły mrówki ze swych wąskich drózek, starannie drażonych w leśnym poszyciu; wielobarwne motyle przycupnęły do snu pod liśćmi drzew. Strzygi powoli jeły

opuszczać spróchniałe pnie, zaś Latawice chichotały w głębi Lasu, w pobliżu bagien. Ich migotliwe, nieuchwytne postacie pojawiały się to tu, to tam, jak błędne ogniki.

Czarownica z Dziewczynką ruszyły w głąb Lasu, schodząc teraz stale w dół, po drugiej stronie góry. Szybko pokonały zbocze i wkrótce już szły pośpiesznie opustoszałymi łąkami, a potem miedzami wśród uprawnych pól. Mimo nocy wolały jednak dużym hakiem ominąć dwie napotkane po drodze Wsie. Po paru godzinach już wspinały się pod kolejną, zalesioną górę. Czarownica cały czas milczała, a i Dziewczynka nie mówiła ani słowa.

Dopiero gdy odpoczywały przez chwilę na szczycie, nasłuchując pohukiwania sów i śledząc zwinne tańce strzyg, dostrzegalne tylko jako pląsy błędnych ogników, Czarownica spytała pozornie obojętnie:

- Czy pamiętasz jeszcze swą pierwszą Opiekunkę?

- Och, trochę tak, zapewne - odparła równie obojętnie Dziewczynka.

- Nie kochałaś jej? - spytała po dłuższym milczeniu Czarownica, a słowa przechodziły jej przez gardło z dziwną trudnością.

- Kochałam...? Nie wiem, co to słowo znaczy - Dziewczynka zamyśliła się. - Masz na myśli, czy coś do niej czułam? Przypuszczani, że lubiłam ją, choć... choć pewnie nie zawsze. Nie, nie pamiętam już, to było tak dawno.

Mrok skrył smutek w oczach Czarownicy, którego jej wychowanka nie próbowała nawet dostrzec.

Po chwili znowu opuszczały zbocze góry, schodząc w dół. Był to ostatni zalesiony szczyt, dzielący dzikie okolice od zamieszkałych. Nieśmiały jeszcze świt stopniowo wyłaniał przed podróżniczkami niezwykle, naturalne piękno tej krainy, nietkniętej ręką człowieka ani w dobrym, ani w złym znaczeniu. Jeśli leżały tu obalone drzewa - to runęły wskutek wichrów, burz lub dopiero gdy spróchniała starość podcięła ich korzenie. Zboczami, wśród kamiennych, naturalnych rynien spływały wąskie strumyki, by u stóp gór łączyć się w szemrzące, rwące potoki. Właśnie przy jednym z nich stało stadko dzikich kozic i gasiło pragnienie, rozglądając się spokojnie wokół. Trawa wydawała się tu bardziej zielona, a drzewa silniejsze i wyższe.

Pierwsze promienie słońca rozbieliły nagle szarość ponurych do tej pory Wysokich Gór i wydobyły wszystkie barwy z rosnących wszędzie kwiatów i ukwieconych krzewów.

- Gdybyśmy cały czas mieszkaly tylko tu, nie groziłoby nam żadne niebezpieczeństwo - powiedziała Dziewczynka. Nie rozumiem, czemu znajdujemy się zawsze tak blisko ludzkich siedzib i stale jesteśmy skazane na ucieczkę.

- Tak - przyznała Czarownica. - Tu w istocie byłybyśmy bezpieczne i aż leniwe w poczuciu tego bezpieczeństwa. Tu nie dociera Najeżdźca i nie słyhać wieszczych tonów Pieśni Jedynej. Nic nie zakłóca spokoju przybysza. Można tu żyć i umrzeć, nie zaznawszy lęku i nie poznając nigdy historii świetności ani klęski i upadku Wielkiego Królestwa. Może go Wielkie Królestwo wcale nie obchodzić! I właśnie dlatego t y musisz żyć w stałym zagrożeniu, ale za to bliżej prawdy o tym świecie. O twoim świecie - świecie ludzi. Tu zaś jest królestwo orłów, dzikich kozic, wilków i niedźwiedzi. Zostawmy je zatem dla nich. Nie tu rozstrzyga się nasz Los, ale tam, w dolinach. Choć co prawda tutaj, wśród Wysokich Gór jest też Królestwo Ducha i Tradycji, tu także bije serce Wielkiego Królestwa, ale to już jest całkiem inna historia i stanie się dla nas ważna znacznie później.

Szły wąskimi ścieżynami wśród skał, wydeptanymi twardymi kopytkami kozic. W jednym ze strumieni obmyły się z przyjemnością i napiły czystej, kryształowej wody.

- Widzę już twoją Siostrę - powiedziała Dziewczynka, wskazując ciemną postać, spoczywającą na wielkim, białym głazie u podnóża największego z wysokich skalistych szczytów górskich.

- Tak, to ona - odparła Czarownica i coś na kształt wzruszenia zadrżało w jej chłodnym na ogół głosie. Ale bystry zazwyczaj słuch Dziewczynki nie wyłowił tego nowego odcienia. Cała była przepelniona jedynie ciekawością, jaka też jest jej trzecia z rzędu Opiekunka.

- Witajcie - powiedziała spokojnie Czarownica Trzecia i wstała ze swego głazu. - Jesteście dokładnie z pierwszymi promieniami słońca. Czyżby nie nękały was żadne złe przygody, a wszystko sprzyjało tej wędrownicy?

- Przygody były w istocie rzeczy drobne - rzekła niedbale Czarownica Druga. - Nie musiałam wykorzystać więcej niż tylko dwie z przysługujących nam trzech sztuk magicznych we własnej obronie. Czy na wszelki wypadek ofiarować ci tę zbywającą?

Czarownica Trzecia zmarszczyła gęste, ciemne brwi:

- Sama nie wiem, co zrobić... Jednak nie, nie wezmę ci twej ostatniej sztuki, bo chciałabym cię jeszcze zobaczyć, gdy przyjdzie Czas. Zatem pozostaw ją sobie. Więc to jest ona?

- tu obrzuciła bystrym spojrzeniem małą towarzyszkę swej Siostry, tak jakby wcześniej nie poświęciła jej żadnej uwagi.

- Tak, to jest Dziewczynka.

- ...Panienska - poprawiła ją Czarownica Trzecia. Nasza Siostra Pierwsza wychowała Dziecko do ósmego roku życia, ale tobie przekazała Dziewczynkę. Ja z kolei

przejmuję Panienkę. Ma już przecież ukończone trzynaście lat. Mam nadzieję, że jest pojętna?

- Pojętna w nadmiarze - rzekła z naciskiem Czarownica Druga. - Owoc gdy przedwcześnie dojrzeje... Sama wiesz, moja Siostrze...

Czarownica Trzecia nadal wpatrywała się uważnie w Panienkę, ta zaś, udając niczym nie onieśmiałą, przyglądała się jej również z leciutko kpiącym wyrazem szaroniebieskich oczu.

- Zostań tu przez chwilę - powiedziała Czarownica Trzecia do Panienki i wzięła swą Siostrę pod ramię. Odeszły ścieżką wśród skał, by za wielkim głazem szeptać coś do siebie długo i ze zmarszczonymi brwiami.

Panienka wzruszyła ramionami i podrzuciła w górę mały kamyczek, zamieniając go na ułamek sekundy w ptaka - by ten, nim zdoła rozprostować skrzydła do lotu, opadł z powrotem jako kamień na skaliste podłoże.

Gdy Siostry powróciły, Panienka leżała niedbale, oparta plecami o gładki kamień. Jej włosy połyskiwały złociście w jaskrawym słońcu.

- Włosy... - powiedziała z namysłem Trzecia Czarownica.

- Tak. Z ich powodu o mało cc a byłybyśmy schwymane w Miasteczku.

- Wystarczy, że umyje je w gęstym wywarze kory dębu. Jednak jej oczu nie zmienimy. Musi wśród ludzi trzymać je opuszczone ku ziemi. Zresztą tak właśnie przystoi małej żebraczce - uśmiechając się dodała Siostra Trzecia.

- Zostawiam cię już... Dziewczynko - szepnęła Czarownica Druga.

- Panienko - poprawiła ją wychowanka. - Podobno już jestem Panienką. No to żegnaj - dorzuciła, nie zmieniając wyprostowanej sylwetki.

- Nie uściśniesz na pożegnanie tej, która cię wychowywała i chroniła przez pięć lat? Tej, która oddała ci swój najcenniejszy dar, choć nic o tym nie wiesz? - spytała Czarownica Trzecia.

- Oczywiście - Panienka grzecznie nachyliła się i z pewną sztywnością objęła Czarownicę Drugą. Ręka Czarownicy w łagodnym geście uniosła się ku delikatnej twarzy wychowanki, jakby w chęci pogłaskania - i zawisła nieruchomo w powietrzu. W błękitnych oczach Panienki Czarownica ujrzała tylko chłodny rozsądek. Westchnęła bezgłośnie i odwróciła się.

- Żegnaj, Siostrze - powiedziała jeszcze na pożegnanie. Może znowu spotkamy się o Czasie, jeśli będzie nam sprzyjać szczęście. Może nigdy nie ogarną nas płomienie

stosu. Życzę ci tego równie mocno jak sobie, a nawet bardziej, bo moje zadanie mam za sobą, a ty jeszcze swego nie wykonałaś. I wybacz, że nie wiem jakie błędy popełniłam.

- Jeszcze para Sióstr przed nami - odparła mgliście Czarownica Trzecia. - Jedna z nich, ostatnia, jest szczególnie biegła w wyszukiwaniu skaz, więc nie martw się przedwcześnie. I żegnaj, droga Siostró...

Czarownica Trzecia długim i smutnym wzrokiem odprowadzała znikającą wśród skał ciemną sylwetkę swej Siostry. Panią w tym czasie przyglądała się jej z chłodnym zaciekawieniem, zwrócona całą sobą ku przyszłości - i uznając przeszłość, wraz z Czarownicą Drugą za rozdział zamknięty, nieomal nie istniejący już materialnie, tak jak spopieliała Księga Mniejsza.

Stojąca obok niej Czarownica przypominała do zbudzenia swe poprzedniczki. Tu, w odległej od ludzkich spojrzeń krainie, była zdrową, silną, ciągle młodą kobietą o bystrym, choć nieruchomym spojrzeniu szarych oczu, wyrazistych brwiach i wąskich ustach. A jednak wystarczył jakiś drobny ruch, by te proste plecy zgarbiły się, gładka twarz przyoblekła w zmarszczki, a ostrość wejrzenia została przymglona starym bielmem. Ta iście kameleonowa zdolność przeobrażania się kolejnych Sióstr nieodmiennie frapowała Panią.

Gdy Siostra Druga nieodwołalnie zniknęła wśród skał, nowa Opiekunka zwróciła się wreszcie do swej wychowanki:

- Idziemy...

Panią, omijając zręcznie skalne występy, szła swobodnie obok niej.

- Czego będziesz mnie uczyć? - spytała z ciekawością.

- Szacunku dla Matki Natury, sensu ludzkiej pracy i wielu innych podobnych rzeczy.

- Och, to będzie strasznie nudne! Miałam nadzieję, że dalej będziesz mnie uczyć magii! - odparła z rozczarowaniem Panią.

- Nie jesteś Czarownicą - pokręciła głową nowa Opiekunka. - To, co już wiesz o magii, stanowi o wiele za dużo. Najwyższy czas, żebyś poznała teraz to, co winni wiedzieć ludzie, zwykli ludzie.

- Podobno nie jestem zwykłym człowiekiem - odparła z urazą Panią.

- Jesteś - powiedziała dobitnie Czarownica Trzecia. Jesteś zwykłym człowiekiem, tyle że obdarzonym większymi talentami i darami niż reszta ludzi. Ale to nie tylko nie powinno wzbijać cię w pychę, lecz wręcz przeciwnie! Bowiem równocześnie ciąży na tobie odpowiedzialność o wiele większa niż na innych ludziach, a to nigdy nie może

być powodem do dumy, lecz wyłącznie do poczucia ciężkiego doprawdy obowiązku i odpowiedzialności za spełnienie go. Jeśli zawiedziesz, to nie tylko siebie...

- ... także was, Czarownice - mruknęła Panienska.

Lecz Czarownica z dziwnym smutkiem, niepojętym dla Panienski, odparła:

- Zapewniam cię, że my tu jesteśmy najmniej ważne...

ROZDZIAŁ X

Minęły dwa dni i dwie noce, nim Czarownica z Panienską opuściły górskie, dzikie okolice, zbliżając się stroną ludzkich siedzib. Podobnie niebu przed burzą oczy Panienski jeszcze raz spojrzały z tęsknotą za siebie, ku krainie wolnej od Najeźdźców i ciekawych, obcych spojrzeń. Nim jednak zbliżyły się do pierwszej Wsi, Czarownica starannie umyła długie, złociste włosy swej wychowanki w mocnym wywarze kory dębu. Po tej kąpieli jasne jak zboże pasma zbrązowiały, tracąc rzucający się w oczy złoty połysk.

Tuż koło Wsi znalazły opuszczony, choć jeszcze nadający się do zamieszkania dom. Panienska zaczęła już kojarzyć, że te, tak liczne opustoszałe domy są dawnymi siedzibami tych, których Najeźdźcy - w imię bliżej nie określonych przewin zawlekli do swych ponurych więzień, z których nigdy nikomu nie udało się wyjść, a jeśli nawet, to tylko na śmierć. I ptaki, i drzewa, i smutne oczy jej Opiekunek, Czarownic, mówiły o tym, że w tej kwitnącej niegdyś krainie więcej ludzi umiera co roku gwałtowną śmiercią, niż się rodzi.

Nauka u nowej Opiekunki rozpoczęła się niepostrzeżenie. Gdy wiosna rozkwitła już w pełnym, gorącym blasku słońca, przez otwarte okno domu wleciała pierwsza, złocista pszczoła i brzęcząc jęła fruwać wokół głowy Panienski. Ta wykonała gwałtowny ruch ręki, pragnąc pozbyć się złośliwego natręta. I wtedy gdy już, już jej dłoń z impetem sięgała małego stworzenia - nagle zawisła nieruchomo w powietrzu, wstrzymana mocą magicznego wzroku Czarownicy.

- Nie zabijaj - powiedziała ta ostatnia. - Pszczoła nie zrobi ci nic naprawdę złego, nawet jeśli użądli, a jest pożyteczna. Nie wolno bez potrzeby zabijać niczego co żyje.

Gdy na drugi dzień Panienska biegła przez ogród, nagle poczuła, że jej nogi stają się jak z kamienia i nie może nimi poruszać. Nie złękła się, lecz spojrzała pytająco w stronę siedzącej na progu domu Czarownicy.

- Schyl się i spójrz na ziemię, między trawy - powiedziała Opiekunka.

... i Panienska ujrzała, że jej stopy, magiczną wolą Czarownicy, zatrzymały się niemal na skraju wąziutkiej, prawie niewidocznej ścieżki, którą mrówki wędrowały ze swego

mrowiska na pracowite wyprawy i powracały, dźwigając ciężary większe od siebie: martwe owady, pasemka suchych traw, nieżywe dżdżownice.

- Nim stąpniesz, zawsze najpierw spójrz, czy nie rozdepczesz jakiegoś żywego stworzenia. Mrówka, choć tak mała, jest częścią Matki Natury, więc należy ją uszanować. Pomyśl, że państwo mrówek, znajdujące się w wielkim, usypanym przez nie kopcu, jest najczęściej zorganizowane o wiele lepiej i mądrzej niż te, które stworzyli ludzie.

Zmęczona słońcem Panienska położyła się w wysokiej trawie i wtedy usłyszała szept Czarownicy:

- Przyłóż ucho do Matki Ziemi i słuchaj...

I Panienska uczyniła to, a jej słuch po raz pierwszy w życiu uwrażliwił się na ciężkie westchnienia Matki Ziemi, na jej bardzo powolną, prastarą mowę, starszą od mowy wszelkich żywych istot, na radość, z jaką wydawała z siebie życie - w postaci roślin, krzewów, kwiatów, drzew. Usłyszała też Panienska srebrzystą mowę podskórnych żył wodnych i podziemnych potoków, mozolne drapanie się rozłożystych korzeni drzew wśród twardych grud ziemi i ciche dźwięki ryjących swe podziemne korytarze kretów.

- Tam wszystko żyje - powiedziała z radosnym zdziwieniem.

- Tak. Jest żywe, silne, swobodne. Swobodniejsze niż my - przytaknęła Czarownica.

I od tej pory przy każdej okazji Czarownica uczyła Panienskę, jak należy szanować Matkę Naturę. Tłumaczyła jej, że tylko życie w zgodzie i w harmonii z Nią przynosi ludziom szczęście i dobrobyt. Wszystkie zaś niepowodzenia zaczynają się od zakłócenia tej harmonii. Próba niszczenia lub zmieniania Matki Natury przynosi ludzkiemu gatunkowi jedynie klęski.

- Ludzie w swej pysze i poczuciu siły, rozumu, techniki pragną Matkę Naturę zmieniać. Chcą nad nią zapanować. Próbuje odwracać bieg rzek, wycinać lasy, osuszać bagna mówiła Czarownica. - Po upływie czasu okazuje się zawsze, że działali wyłącznie na własną szkodę. Zapomnieli, że to oni, ludzie, są jedynie małą częścią Matki Natury, a nie Ona jest częścią ich. Skoro tak, oni - winni Jej podległość, a nie na odwrót...

Czarownica uwrażliwiła Panienskę, by stąpając wśród traw uszanowała nie tylko rozległe trakty mrówek, ale by starała sienie rozdeptać dżdżownicy, nie stratować ślimaka, nie stłamsić stopą świeżo kielkującego kwiatu. Sama nie wiedząc kiedy, Panienska przestała bezmyślnie obrywać wątle gałązki krzewów, oduczyła się ranić drzewa, zrywając z nich kawałki kory; zanim wymiotła pajęczynę z kąta pokoju, najpierw delikatnie wyносиła żywego pająka na dwór.

Pewnego dnia rozpoczęły obie - wychowanka i Opiekunka - długie wędrówki wśród pól, by tam - przycupnąwszy wśród gęstych krzewów - obserwować codzienne zajęcia wieśniaków. Panienska najpierw dziwiła się, czemu mimo skwaru lejącego się z nieba i potu spływającego obficie po zmęczonych twarzach, ludzie ci nie rzucają swej pracy, ale nadal, z upartym mozołem orzą Matkę Ziemię, sieją w niej złociste ziarna, aby potem, w sierpniowym upale - spoglądając z obawą w przedburzowe niebo - pośpiesznie zbierać swoje plony. I Panienska zaczęła poznawać sens najcięższej ludzkiej pracy i jej radości. Jednak sama nie pracując, nie pojmowała tego do końca.

- I oni tak co roku...? W kółko to samo? I nie mają dość? Ach, mówisz, że nie mogą mieć dość... I że kochaliby swoją pracę, gdyby jej plony były dla nich, ale nie są dla nich, lecz przede wszystkim dla Najeźdźców...

Pewnego dnia, gdy już rozpoczął się powolny letni zmierzch, Wieśniacy wyprostowali zmęczone plecy i zasiedli wokół rozpalonego przez siebie małego ogniska. Po chwili uszu ukrytych w krzewach Czarownicy z Panienską zaczęła dobiegać cicha, dziwaczna lecz wpadająca w ucho, melodia.

- Pieśń Jedyna...? - szepnęła Panienska, a Czarownica cicho skinęła głową.

Słowa Pieśni snuły się wśród ustawionych półkoliście, świeżo zżętych snopków, dumne choć melancholijne i pełne jakiegoś utajonego smutku, a ogień rozświetlał zmęczone, lecz dziwnie uroczyste twarze Wieśniaków.

“... dwudziestu czterech było tych królów w Wielkim Królestwie,

herosów istnych, władców rozumnych jak nigdzie w świecie.

Sprzyjał im wicher, sprzyjała woda, miłował ogień.

Każdy poddany oddał im serca, umysły, pracę.

Błogosławiła Wielkie Królestwo Matka Natura,

błogosławiły Gwiazdy, Księżyc i Słońce...”

Słowa Pieśni dobiegały do Panienski niewyraźne, mgliste jak dym z ogniska, który najpierw gęsty, potem rozsnuwa się po polach rzadką, ledwo uchwytną mgiełką.

“... nie ma litości dla tych nieszczęsnych kobiet i dzieci,

już okrutnego Urgha żołnierze tratuja wszystko.

Drewniane miecze nie chronią granic, nie bronią życia.

Z bolesną dumą ginie bezbronne Wielkie Królestwo.

Już konie włóczą królewskie szczątki po Wielkim Placu,
by nikt nie wiedział, gdzie składać kwiaty nieznana ręką,

I tylko Luella znika w ciemnościach, jedyna z rodu.

Próżno Najeźdźca szuka jej śladów w pomroce dziejów...”

Słowa stawały się coraz bardziej niewyraźne i ciche. Głowy niektórych Wieśniaków opadały na piersi, jakby w drzemce, i już tylko mała, drobna Wieśniaczka śpiewała sama, wąłym głosikiem, a wiatr, który nagle się zerwał, rozpraszał słowa Pieśni po mrocznych polach. Do nasłuchującej w napięciu Panienki dobiegały już tylko jej strzępy:

“... za siedem setek, siedem dziesiątek i siedem lat

.....będzie wśród nas ale.....

.....a Święty Kamień.....

Bezkrwawo, bez broni, bez wojny.....”

- Idziemy - powiedziała Czarownica.

- Kiedy usłyszę wreszcie całą Pieśń? - spytała Panienka.

- Wtedy gdy Los tego zechce - odparła mgliście Opiekunka. - Skoro wiatr zagłuszył słowa Pieśni, widać wie, co czyni.

- A może to był twój wiatr. Wiatr Magiczny - szepnęła sama do siebie Panienka.

Gdy nadeszła jesień i pola stały już opustoszałe, Czarownica udała się do Wsi, skąd powróciła z kołowrotkiem i krosnami. Wcześniej zapadające wieczory Panienka spędzała teraz na żmudnej początkowo nauce przędzenia i tkania. Pierwszy metr uprzedzonej własnoręcznie wełny sprawił jej wielką radość, zaś pierwszy metr utkanego materiału - jeszcze większą. Wydawało się to nawet ciekawsze niż wyczarowanie małego kłębuszka włóczki z bezradnego pajęczka wówczas, gdy znajdowała się jeszcze pod opieką Czarownicy Pierwszej.

- Poznajesz radość pracy - powiedziała jej Opiekunka. Zapamiętaj jednak, że praca to także zmęczenie i porażki, niepowodzenia i klęski. Szczęśliwi są ci, którym dane jest kochać swoją pracę. Są jednak tacy, którzy jej nienawidzą.

- Kto nienawidzi swojej pracy? - zdziwiła się Panienska, patrząc z upodobaniem na kolejne centymetry gładko utkanego wełnianego materiału. - Zapewne leniwi?

- Och, nie tylko oni. Pomyśl o swoich rodakach - niewolnikach, zatrudnianych przymusowo w kopalniach, za których plecami stoi nadzorca z batem... Są też tacy, którzy na przykład kochają muzykę lub pięknie malują, a życie skazało ich na szycie butów lub pracę rolnika. Nie dało im szansy. A gdy praca nie daje satysfakcji, rzadko bywa dobrze wykonana.

Wraz z nadejściem jesiennych chłódów Czarownica pokazywała swej wychowance, jak wszystko co żyje, w przeczuciu coraz bliższej zimy, zaczyna szukać dla siebie schronienia.

Niektóre ptaki odlatywały daleko, na południe, zaś inne mościły swe gniazda piórkami, mchem, gałązkami, uszczelniając wszystkie dziury i szpary. Pająk w kącie izby snuł coraz grubszą i grubszą pajęczynę; mrówki umacniały swoją siedzibę, zatykając wszystkie zbędne otwory.

Co rano Panienska, czując się o wiele starsza i bardziej samodzielna, wyruszała na długie spacery. Mając jednak w pamięci przestrogi Opiekunki, unikała zbliżania się do Wsi.

Pewnego ranka ujrzała na pobliskiej łące pasterkę z owcami. Panienska, schowana za grubym pniem drzewa, obserwowała ją z ciekawością. Przypomniało się jej nagle pierwsze w życiu spotkanie z innym dzieckiem, a potem drugie - przed laty, za czasów Czarownic Pierwszej i Drugiej - i późniejszą ucieczkę.

- Nigdy nie kończyły się dobrze takie spotkania - westchnęła sama do siebie, nie odrywając oczu od pasterki. Ta tymczasem rozpałała właśnie nieduże ognisko i głośno podśpiewywała. - Cóż mi może grozić, jeśli tylko porozmawiam z tą dziewczynką? - rozmyślała dalej Panienska, patrząc z tęsknotą na dziewczynkę, której owce spokojnie skubały wątlą i coraz bardziej żółknącą trawę. - Zawsze jestem tylko z nią, Czarownicą. Nigdy nie miałam żadnej koleżanki, nigdy z nikim się nie bawiłam - rozmyślała dalej Panienska buntowniczo i powoli, powolutku, wychylała się zza pnia. Pasterka długo nie dostrzegła jej, skupiona na swych czynnościach i dopiero wówczas, gdy jakaś gałązka trzasnęła pod stopami Panienski, podniosła spłoszona głowę. Na widok rówieśnicy uśmiech rozjaśnił jej zaróżowioną od chłodu twarz:

- Hej! Podejdźże bliżej! - zagadnęła wesoło. - Jeszcze cię nie znam! Mieszkasz tu gdzieś?

- Tak - odparła Panienska. - O, tam... - i ruchem brody wskazała widniejący w oddali wśród drzew dach ich obecnego domu.

- Tam mieszkała przed wami rodzina Bradoków, ale nie spodobała się wójtowi - powiedziała Pasterka.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Nikt nie wie, kto i dlaczego nie podoba się wójtowi. Zaś wójt słucha tylko Najeźdźców i dobrze z nimi żyje, więc nie ma się komu poskarżyć, gdy komuś dzieje się krzywda - powiedziała dojrzała pasterka. - Więc Bradokowie poszli do więzienia, a ich krowy, owce i gęsi do wójta. A jak masz na imię? Boja Agna.

Panienka spłoszyła się.

- Właściwie... doprawdy... No cóż, ona mówi do mnie "Panienko"...

- Panienko? - zdziwiła się Agna. - P a n i e n k i mieszkają w pałacach, a nie w opuszczonych starych domach. Nie noszą też takich zniszczonych ubrań, jak twoje. Raz w życiu widziałam z daleka prawdziwą panienkę. W Miasteczku. Była to córka Najeźdźcy. Przepięknie ubrana, wsiadała na konia, a jakiś żołnierz pomagał jej i mówił właśnie tak: "Proszę wsiadać, Panienko..." Chyba że byłaś kiedyś bardzo bogata, ale Najeźdźcy zabrali ci wszystko?

- Nie, nigdy nie byłam bogata - szepnęła Panienka. - Może kiedyś będę?

- Bogata byłabyś tylko wtedy, gdyby twoi rodzice poszli na służbę do Najeźdźców, jak nasz wójt - powiedziała Agna i zaraz dodała szeptem: - Moi rodzice i c h nienawidzą i dlatego mamy tylko te sześć owiec, więcej nic. Nawet krowy nie mamy. Zabrał wójt. Mówiłaś przed chwilą o n a. Chyba nie wyrażałaś się tak o swojej mamie?

- Nie. Ona to... to moja ciotka. Mama nie żyje.

- Biedna jesteś - rzekła Agna. - Chcesz, to dam ci kawałek mojego chleba?

- Nie, dziękuję, nie jestem głodna.

- Zazdroszczę ci. Ja prawie stale jestem głodna - westchnęła Agna. - Ale zaraz upiekę kilka ziemniaków w ognisku. Masz ochotę?

- Nigdy tego nie jadłam - wyznała Panienka.

- No to zaraz zobaczysz, jakie są pyszne, tylko mi pomóż... I Agna nauczyła Panienkę, jak wkładać ziemniaki do żaru, tak aby nie spaliły ich płomienie. Obie dziewczynki czekały teraz, aż ziemniaki będą gotowe, i rozmawiały ze sobą. Ponieważ Panienka nie chciała mówić o sobie, Agna ochoczo opowiadała jej o swoim życiu. I choć ze słów dziewczynki wylaniało się życie ubogie i ciężkie - z pracą od świtu do nocy, której owoce nie przynosiły jednak dostatku, bowiem wszystko co lepsze zawsze zabierał wójt dla Najeźdźców - mimo to Panienka zazdrościła Agnie. Zazdrościła jej prawdziwej matki, ojca, braci, domu pełnego ruchu, życia i miłości. Uświadomiła sobie, że ona, Panienka, zawsze była sama, wyłącznie z jedną spośród Czarownic. Nie zaznała nigdy miłości matki czy ojca, przyjaźni rówieśników,

życzliwości sąsiadów. Obecność innych ludzi kojarzyła się jej tylko i wyłącznie z ucieczką. Nagle, za sprawą Agny, uprzytomniła j sobie po raz pierwszy w życiu, że ta niezwykłość jej Losu - z której ongiś była dumna - nie zawsze jest przyjemna. Zwłaszcza wówczas, gdy pozostając tak blisko ludzi, niemal we Wsi, jest im jednak obca.

Gdy dziewczynki już zjadły ziemniaki, Panienska uznała, i że trzeba wrócić do domu, by nie narazić się na podejrzliwą czujność Czarownicy.

- Przyjdź tu jutro - powiedziała Agna. - Będę o tej samej porze. Pobawimy się razem...

- Przyjdę - obiecała Panienska i przyrzekła sobie, że nic nie powie Czarownicy o spotkaniu. Nie chciała bowiem nigdzie uciekać; pragnęła spotkać po raz drugi swą rówieśniczkę i słuchać jej opowieści o życiu we Wsi. Chciała też bawić s i ę, gdyż nie wiedziała, co to jest, lecz była zarazem pewna, że powinno to być czymś bardzo przyjemnym.

- Gdzie byłaś tak długo? - spytała Czarownica po jej powrocie i Panienska, odwracając głowę, by Opiekunka nic nie mogła wyczytać ani z jej twarzy ani z oczu, odparła spokojnie: - Obserwowałam krety na pobliskiej łące...

Czarownica skinęła głową uspokój ona.

Tak więc nazajutrz, bez najmniejszych przeszkód, Panienska znowu udała się na odległe pastwisko. Agna powitała ją radośnie. Znała wszystkie dziewczynki we Wsi i ta nowa znajomość nader ją cieszyła. Nie przeszkadzało jej, że Panienska nie chce opowiadać o sobie. Uznała, że widać nie ma nic ciekawego do powiedzenia. Mogły się jednak we dwójkę pobawić. I Agna nauczyła Panienskę zabawy w kucanego berka, pokazała, jak szukać czterolistnej koniczyny i wróżyć z niej, a w pobliskim stawku puszczały we dwójkę małe łódeczki z kory.

Przez kilka dni Panienska przychodziła na pastwisko, kryjąc to przed Czarownicą - i po raz pierwszy w życiu odkryła wspaniały, niepowtarzalny smak zabawy z rówieśnicą. Było to cudowne uczucie i Panienska była gotowa wiele dać, aby nadal trwało. Gdy zatem pewnego dnia, po godzinie zabawy, ujrzała znudzenie na twarzy Agny, zaniepokoiła się:

- Co ci jest? - pytała.

- Nie wiem, co jeszcze możemy robić - wzruszyła ramionami Agna. - Gdyby były jeszcze inne koleżanki, bawiłybyśmy się w chowanego, bo we dwójkę jest to jednak nudne. Znudził mi się już kucany berek, za zimno, by się kąpać w stawie, i opowiedziałam ci już wszystko co miałam do opowiedzenia. Ty nic nie umiesz opowiadać. Szkoda, że nie mamy piłki...

- Ja zrobię piłkę - oznajmiła z gorliwością Panienska.

- Och, masz na myśli piłkę ze szmat, lub coś takiego? spytała pogardliwie Agna. - Nie chcę. Myślałam o takiej prawdziwej. Gdybyś widziała, jaką piękną piłkę ma córka wójta! Jest z gumy, cała czerwona w zielonobiałe kwiaty! Nigdy nie widziałam nic równie cudownego, jak ta piłka...

Panienska, niewiele myśląc, podniosła z trawy mały kamyczek i podrzuciła w górę. Kamyczek spadł na ziemię... czerwona, mieniącą się tęczowymi kolorami piłka, która podskoczyła wysoko kilka razy, by wreszcie opaść w trawę, u stóp Agny. Agna wytrzeszczyła oczy w podziw:

- Och!... to niesamowite! Jak ty to zrobiłaś! Czary czy co? Chodź będziemy nią sobie rzucać!

I dziewczynki długo bawiły się, a piłka, jak kolorowy ptak, fruwała im z rąk do rąk. Na pożegnanie Panienska podarowała piłkę Agnie.

Tego wieczoru, gdy Czarownica rozniecała ogień na kominku, do drzwi ich domu ktoś zapukał. Cicho i delikatnie. Mimo to przez smagłą twarz Czarownicy przebiegła chmura niepokoju, zaś Paniencie serce skoczyło do gardła. Instynktownie wyczuła związek tej nieokreślonej jeszcze wizyty ze swoją zakazaną przyjaźnią.

Czarownica otworzyła drzwi i do izby wszedł niewysoki, siwiejący Wieśniak. W ręce trzymał... piłkę.

- Witajcie - powiedział nieśmiało. - Nie chciałem was nachodzić, zresztą nie wiedziałem, że tu ktoś mieszka, ale... Ale to chyba wasze - zakończył, wyciągając rękę z zabawką.

Rzut oka na Czarownicę uświadomił Paniencie, że ona już wszystko wie, a jej twarz ściała gniew - i lęk.

- Po prawdzie to moja Agna mówi, że Panienska jej to dała, ale ja bym wolał tego nie mieć - mówił dalej Wieśniak. - Nikt we Wsi nie ma takiej pięknej piłki, tylko córka wójta i tak sobie myślę, że wójt od razu zwróciłby na nią uwagę. No a w dodatku to nie jest zwykła piłka...

Twarz Czarownicy pochmurniała z minuty na minutę.

- Przez taką piłkę to by można iść nawet do więzienia. Albo i na stos - zakończył szeptem.

- Dziękuję - powiedziała Czarownica krótko, biorąc zabawkę z jego rąk.

- To nie wszystko - powiedział Wieśniak i niezgrabnie przestąpił z nogi na nogę. - Ja bym na waszym miejscu poszedł stąd sobie i to szybko. Agna to jeszcze dziecko i nie wiadomo, co komu wypapla, sami rozumiecie, prawda...? Nie chciałbym, żeby was, właśnie was spotkała jakaś krzywda z naszego powodu. U nas cała Wieś szanuje takie jak wy, a kto wie, może jesteście jeszcze kimś innym niż myślę, kimś... sami wiecie, prawda? I z całego serca chciałbym wam pomóc, ale jedyne co mogę, to radzić, byście uciekały. Nasz wójt we wszystkim słucha się Najeźdźcy, więc lepiej niech was tu nie będzie, nim cokolwiek dojdzie do jego uszu...

- Jesteście dobrym i mądrym człowiekiem - szepnęła Czarownica. - W nagrodę macie ten złoty pieniążek, niech wam osłodzi waszą nędzę, z jego pomocą przeżyjecie przyzwoicie choćby rok lub więcej.

- Nie robiłem tego dla pieniędzy! - obruszył się Wieśniak, ale gdy Czarownica wetknęła mu pieniążek w rękę, radość rozlała się na jego twarzy.

- Niech was Los błogosławi - powiedział na pożegnanie i szybko wyszedł.

Panienka w milczeniu oczekiwała słów nagany, ale gdy podniosła wzrok na Opiekunkę, ta patrzyła na nią jedynie z litościwym smutkiem.

- Tęsknisz do ludzi - szepnęła. - Doskonale cię rozumiem. Ale jeszcze musimy ich unikać. Nie martw się, w końcu ich poznasz i oby to było dobre spotkanie.

Skoro świt opuściły dom. A gdy Wieś już im znikła sprzed oczu, Panienka odwróciła się i rzuciła ostatecznie spojrzenie na miejsce, w którym po raz pierwszy poznała cudowny smak przyjaźni drugiego człowieka.

ROZDZIAŁ XI

Zbliżał się wieczór, gdy Czarownica z Panienką weszły wreszcie do Lasu i tu dopiero odetchnęły z ulgą. W nim zawsze czuły się bezpieczne i nikt niepowołany nie mógł tu się zjawić.

Od setek lat cała przyroda dawnego Wielkiego Królestwa jakby sprzysięgła się przeciw Najeźdźcom. Rzeki lubiły niespodziewanie wzbierać, zalewając przejezdne wcześniej drogi; niewielkie mokradła nagle rozprzestrzeniały się, grożąc utopieniem każdemu, kto by się do nich zbliżył. Ale najszybciej i najwyraźniej zbuntowały się lasy. Te same Wielkie Lasy dawnego Wielkiego Królestwa, które Najeźdźca zamierzał wyciąć w całości, by zużyć na budowę swoich mostów, baraków roboczych dla zniewolonych pracowników i wreszcie by je spalać w swoich ogniskach. Te Wielkie Lasy były chlubą rodu Luilów i nikt w całym Królestwie nie miał prawa ich ciąć lub niszczyć bez zgody króla. Ród Luilów widział bowiem w lasach wartość samą w sobie - dla Najeźdźców to, co nie było dla nich bezpośrednio użyteczne, nie miało żadnej wartości. Więc zaczęli wstępować do Lasów całą armią i z potężnymi siekierami. Wówczas to Lasy zaczęły się buntować. Potężne dęby tak

rozkładały swe konary, że cień w ich sąsiedztwie stawał się głęboki i mroczny, że strach było się do nich zbliżać. Buki, wiązy, sosny i świerki wykręcały swe korzenie w dziwaczne i najmniej przewidywalne kierunki, tak że idący z pozoru bezpieczną ścieżką, nagle potykał się o nie i upadał - a jeszcze wówczas złośliwe korzenie wplątywały się napastnikom we włosy lub chwytały znieścaka za nogi. Leśne ptactwo i zwierzyna na widok Obcych zmieniały swe głosy - i nawet skowronek pohukiwał złowrogo jak puchacz, a niedźwiedź nigdy nie mruczał, lecz wydawał z siebie najgroźniejsze dźwięki. Najwięcej jednak zabawy miały strzygi i latawice. Ukryte zazwyczaj głęboko przed ludzkim wzrokiem i nie nękające wieśniaków zbierających jagody czy grzyby, ani mieszczuchów udających się na spacer - na widok Najeźdźców opuszczały bagna, mokradła i spróchniałe dziuple i ujawniały się natychmiast ze złowieszczym chichotem i w najstraszliwszych postaciach. Ba, zdarzało się, że nawet upiory, acz niechętnie, lecz przychodziły w sukurs swym dalekim kuzynkom - strzygom i opuszczały, wprawdzie na krótko, swe Podziemne Królestwo, by ukazać się znieścaka natrętom. Wycinane siekierami drzewa zawsze - było to niemal regułą - padając niespodziewanie zmieniały kierunek i przywalały swym ciężarem leśnych zabójców. Gdy rozeźleni Najeźdźcy postanowili Lasy podpalać - rzadko udawało się im ująć przed rozżarzonymi iskrami, gdyż wiatr złośliwie kierował je nie w głąb Lasu, lecz akurat w ich stronę. Gwałtowny deszcz - zjawiający się nie wiadomo skąd - natychmiast gasił pożar. Nic zatem dziwnego, że bardzo szybko Najeźdźcy nie tylko dali Lasom spokój, ale zaprzestali wszelkich prób wkraczania na ich rozległe tereny. Mimo upływu setek lat i setki razy ponawianych starań zniszczenia Wielkich Lasów - to one zwyciężyły, nigdy nie poddając się Najeźdźcy, i stały się ostatnimi enklawami wolności.

- ... po co w ogóle opuszczamy Lasy? - westchnęła Panienska. - Jesteśmy tu bezpieczne i szczęśliwe. Mamy jagody, źródlaną wodę, wygodne pieczary. Dlaczego każda z was, Sióstr Czarownic, tak ciągnie w kierunku ludzkich siedzib, choć przynosi to same kłopoty?

- Urodziłaś się dla ludzi, nie dla Lasów - odparła krótko Czarownica. - I wkrótce znowu powrócimy do Ludzi. Tym razem zamieszkamy w Miasteczku.

- W Miasteczku?! - wykrzyknęła zdziwiona Panienska. Sama widziała, że w każdym z Miasteczek są setki Najeźdźców! W jednym z nich o mało co by mnie złapano! Po co nam to?

- Musisz poznać dokładnie warunki, w jakich żyją obecni mieszkańcy dawnego Wielkiego Królestwa. Musisz na własnej skórze doświadczyć ich losu, poznać krwawy pot ich doli - rzekła Czarownica tonem wykluczającym wszelki sprzeciw, więc Panienska zacisnęła z gniewem wargi i zamilkła, wiedząc dobrze, że na upór Czarownic nie ma sposobu.

Noc spędziły wygodnie w wielkim, wydrążonym pniu starego dębu. Gdy Panienska otworzyła oczy, ujrzała, że w zagłębieniu jej szyi spokojnie spała malutka wiewiórka.

Zwierzátko przeciągnęło się teraz, ziewnęło, wskazało główką na niewielki otwór w pniu - i zniknęło. Otwór był pełen słodkich leśnych orzechów.

- Pozwoliła nam je zjeść - stwierdziła z zadowoleniem Dziewczynka. - Widocznie ma jeszcze gdzie indziej schowane zapasy...

Obie z Czarownicą umyły się w pobliskim źródelku, a potem wiedźma wyjęła ze swego przepastnego worka nożyce.

- Po co to? - spytała nieufnie Panienska.

- Obetniemy twoje drugie włosy tak, byś wyglądała na chłopca, a potem jeszcze raz umyjemy je w korze dębu, by ściemniały. Do Miasteczka przybędziemy jako ciotka Olsen ze swym siostrzeńcem Kisbe. Jesteś sierotą i przygarnęłam cię po śmierci twoich rodziców.

- Kisbe... Kisbe... - zamruczała Panienska. - Czy wiesz, że jest to moje pierwsze w życiu imię i w dodatku imię chłopca! Czy doprawdy nigdy nie dowiem się, jakie jest moje własne, prawdziwe? A może w ogóle go nie mam?!

- Masz swoje prawdziwe imię, ale musisz na nie zasłużyć. Minie jeszcze kilka lat, może trzy, cztery i poznasz je. A coś mi mówi, że stanie się to w dość niespodziewanych okolicznościach. Nie wiem co prawda w jakich, ale w każdym razie w innych niż my, Siostry, sobie to wyobrażamy. Pamiętaj, że przecucie przyszłego losu i instynkt są u Czarownic niemal drugą stroną ich natury.

- Niespodziewane okoliczności? Nie wiem czemu, ale brzmi to zachęcająco - powiedziała Panienska.

W czasie tej rozmowy Czarownica energicznymi ruchami ścinała długie złociste włosy swej podopiecznej. Jasne pasma spadały na miękki, ciemnozielony mech, ale nie leżały tam dłużej niż chwila, bo od razu zlatywały ptaki i porywały mieniające się sploty w swoje dzioby, niosąc do gniazd. Panienska przejrzała się w tafli źródelka i ujrzała szczupłą, niemal wychudzoną i obcą sobie twarz chłopca z wielkimi, szaroniebieskimi oczami, którą otaczały krótkie, ciemne kędziory.

- Kisbe... - uśmiechnęła się zadowolona Czarownica. Klnę się na Święty Kamień, że nikt cię nie pozna.

Po chwili już szybkim krokiem szły przez Las, a gdy wyszły na pobliskie łąki, z daleka ujrzały najbliższe Miasteczko.

- Posłuchaj, Kisbe, mój siostrzeńcze - mówiła Czarownica w rytm szybkich kroków. - Ja, twoja ciotka Olsen, przygarnęłam cię piętnaście lat temu, gdy twoi rodzice zmarli na tyfus z nędzy i wyczerpania. Żyliśmy na Wsi, ale nie mając własnej ziemi, było

nam ciężko, więc teraz przyszliśmy do Miasteczka, żeby znaleźć jakąkolwiek pracę i jakikolwiek dom. Zapamiętaj to i nie pomyśl się.

- Och, nie jestem głupia - odparła zniecierpliwiona Panienska, spoglądając z niepokojem na coraz to zbliżające się mury Miasteczka. Przez piętnaście lat swego życia tylko dwa razy była w Miasteczkach. Raz przemycła się przez nie nocą, drugi raz o mało co - tylko przez nie przechodząc byłaby schwytana wraz ze swoją Opiekunką. Za pierwszym razem, w nocy, Miasteczko wydawało się jej piękne, niemal baśniowe, ze swymi wysokimi domami, z wieżą ratuszową, z małym rynekciem i zegarem na wieży. Tam po raz pierwszy usłyszała Pieśń Jedyną. Za drugim razem Miasteczko przedstawiło jej tylko swą groźną, niepokojącą stronę - siedziby Najeźdźców.

- Wolę już Wieś - szepnęła sama do siebie, choć prawdę mówiąc Wsi też nie znała, mieszkając zawsze z dala od jej mieszkańców. - A tak naprawdę to kocham tylko Las - westchnęła, gdy szybkim krokiem wchodziły już w obręb murów. Jej Opiekunka szła wyprostowana i z siwej, rozkudłonej wsiowej żebraczki przeistoczyła się w silną kobietę w średnim wieku, steraną życiem, ale ciągle zdolną do pracy.

- Gdzie się pchacie, głupcy? - zamyślona Panienska aż podskoczyła, słysząc nad sobą ten obcy, wrogi głos. W szerokiej bramie, wiodącej w głąb Miasteczka, stał Najeźdźca z halabardą i zagradzał im dalszą drogę.

- Szukamy pracy, jasny panie - wymamrotała Czarownica. - Na wsi pełnia zimy i nie ma co jeść, a w mieście cały rok praca... Ja i ten chłopiec, mój siostrzeniec...

- No dość tego - przerwał brutalnie strażnik. - Macie szczęście. Możecie zgłosić się w Ratuszu. Tam szukają robotników do budowy nowego mostu, bo stary już się rozleciał. Dostaniecie jeść i dach nad głową...

... i pchnął je tak energicznie, że Czarownica zatoczyła się na najbliższy mur.

Ulice Miasteczka były opustoszałe. Chyba nikt dobrowolnie nie opuszczał swych domostw, które dawały złudne poczucie bezpieczeństwa. Jedynie z rzadka jakiś wystraszony przechodzień przemyczał pod murami ulic. Domy robiły wrażenie zniszczonych przez upływ czasu i nigdy nie naprawianych. Zza brudnych szyb czasem wyjrzała czyjaś wylękniona twarz, by zaraz zniknąć. Tylko Najeźdźcy przejeżdżali z tupotem na swych wielkich, czarnych koniach, połyskując zbrojami i spoglądając obojętnie na steraną życiem kobietę z wychudzonym chłopcem.

- Coś złego musiało się tu stać i to niedawno - szepnęła Czarownica do swej wychowanki. - Prawdziwe życie w Miasteczkach od dawna nie jest bujne i radosne, spokojne i pracowite, ale nie jest też aż tak wygaszone.

W tej chwili na ulicę wjechał duży oddział Najeźdźców. Nie zsiadając nawet z koni zaczęli bić swymi lancami w drzwi i okna najbliższych domów, aż leciały drzazgi drzewa i kawałki szkła z okiennych szyb.

- Wychodź! Jazda! Nuże do roboty! - ryczeli nadal tłukąc szyby i kalecząc drzwi.

- Burmistrz nakazał budowę mostu! - krzyczał jeden z Najeźdźców w zdobnej zbroi. - Wszyscy mieszkańcy, wyjąwszy starców i malutkie dzieci, mają stawić się nad rzeką! Kto nie wyjdzie w ciągu pięciu minut, czeka go więzienie!

- Wychodź! Jazda! Nuże! - darli się jego podwładni, niszcząc w bezsensownej złości zrujnowane już domostwa.

Powoli z najbliższych domów zaczęli wychodzić ludzie kobiety, mężczyźni, starsze dzieci. Wychudzeni, ubrani w byle jakie łachmany, z wyrazem lęku na twarzach, szli, formując się - w miarę jak ich przybywało - w niezgrabny pochód. Czarownica z Panienką dołączyły do nich.

- Hej! Wy! - usłyszały w pewnej chwili. - Nie znam was! Skąd przychodzicie?!

Czarny Najeźdźca w zdobnej zbroi zatrzymał je swoją lancą.

- Ze Wsi, panie - wyszeptała pokornie Czarownica. - Ale tam głodno, bo zima, więc przyszliśmy z moim siostrzeńcem tutaj, szukać pracy, jadła i dachu nad głową...

- Dobrzeście trafili! - zaśmiał się Czarny. - Od wczoraj dwadzieścia domów straciło swych właścicieli, możecie sobie zająć, który chcecie, bo moi żołnierze i tak już je wyszabrowali!

Czarownica z Panienką znowu wtopiły się w tłum, który milcząc kornie, z ponurym lękiem zmierzał w dół Miasteczka, w stronę rzeki.

- Co tu się stało? - spytała szeptem Czarownica najbliższego sąsiada. Ten spojrział na nią podejrzliwie spod spuszczonej powiek i nie odparł ani słowa.

- Dobra kobieto, co tu się stało? - ponowiła Czarownica pytanie, kierując je tym razem do młodej jeszcze i nie zniszczonej, choć wychudzonej nadmiernie kobiety.

- Dwadzieścia najbardziej szanowanych w Miasteczku rodzin oddało wczoraj swoje głowy pod topór - wyszeptała zapytana.

- Za co?

- Nie wiem. Lepiej nic nie wiedzieć. Zapamiętaj to sobie odparła Kobieta, rozglądając się dokoła niespokojnie, ale po chwili dodała szeptem: - Śpiewali nocami Pieśń Jedyną. A może nie śpiewali? Kto ich tam wie? Może o n i chcieli kogoś ściąć, to

ścieli? Lepiej nie wypytuj nikogo, bo nigdy nie wiadomo, z kim rozmawiasz. Nie wiadomo, kto potajemnie służy Najeźdźcy choćby za kromkę chleba. I nie można ich o to winić, bo dzieci głodne, a chleba stale za mało. Wdzielają po pięć kromek dla każdego kto pracuje, ale gdy masz w domu malutkie dzieci lub starych rodziców, to nie wystarczy, a dla nich przydziału nie ma.

Kobieta zamilkła. Po chwili już było słychać tylko szuranie nóg idących o brukową kostkę. Panienska, idąc karnie w tym tłumie, czuła, jak z gniewu lodowacieją jej stopy i ręce, a cała krew napływa do głowy. W wyobraźni już widziała, jak przemienia wszystkich Najeźdźców w bezradne, ohydne robaki, które ten upodlony tłum niewolników rozdeptuje, a potem ona, Panienska, stwarza całe potężne góry chleba, by nakarmić głodnych.

- ... nie. Tego nie umiem. Nie umiem stwarzać chleba i wątpię, by można go było tworzyć magią - szepnęła sama do siebie. - Chyba chleb można tworzyć tylko pracą. Prawdziwy chleb.

I przypomniała sobie, jak kolejne jej Opiekunki, Czarownice, wyjmowały ze swych przepastnych worków nieskończone zda się ilości suszonego mięsa i chleba, ale po ich zjedzeniu Panienska bardzo szybko znowu czuła się głodna. Był to bowiem magiczny chleb i magiczne mięso, pozornie sycące, żeby można było jakoś oszukać głód. I dlatego zawsze trzeba było w końcu iść do Wsi po prawdziwe jedzenie.

- Nawet gdybym jednego czy choćby i pięciu Najeźdźców przeobraziła w coś ohydneho i bezradnego wobec tłumy, to pozostali i tak zdążyliby mnie zabić - westchnęła w duchu, myśląc bezsilnie, że jednak magia to nie wszystko, magia to bardzo mało.

- ... a jeżeli nie magia, to co jest w stanie pomóc tym ludziom? Co lub kto? Chyba nic i nikt - dokończyła w duchu swej myśli. Idąca obok Czarownica obserwowała ją i nagle Paniencie wydało się, że jej myśli są dla jej Opiekunek całkiem nagie, widoczne jak na dłoni i że Czarownica - mimo tej ponurej sytuacji - uśmiecha się skrycie, sama do siebie. I Panienskę ogarnęła na moment szalona wściekłość - wściekłość osoby bezradnej wobec Najeźdźców, ale bezradnej też wobec swych Opiekunek. Lecz zaraz stłumiła to uczucie.

Nad rzeką spoczywały ogromne glazy i stosy drewna. Po chwili wszyscy nosili je w pocie czoła w stronę rozpoczętej już budowy. Co jakiś czas glazy wypadały z rąk utrudzonych i słabych ludzi, a wtedy nad ich głowami świstał bat Najeźdźcy. Dziesięć godzin trwała ta zdająca się nie mieć końca mozolna robota. Dłonie Panienski - mające do tej pory do czynienia jedynie z kwiatami, gałązkami drzew i kłębuszkami wełny - były poranione do krwi. Jej plecy znaczyła jedna gruba, krwawa pręga od uderzenia batem, które przyjęła z zaciśniętymi zębami, pod surowym, nakazującym milczeniem spojrzaniem Opiekunki.

Gdy późnym wieczorem w cudzym i ponurym domu Panienska z jękiem opadła na prymitywne i brudne legowisko jej żal nad samą sobą skierował się nie do kogo innego, tylko do Czarownicy.

- Nie widziałam w twych oczach nawet isierki współczucia dla mojego losu! - krzyknęła z gniewem. - Ani jedna łza nie spłynęła z twych oczu, gdy ten potwór uderzył mnie batem!

- W moich oczach nie ma isierki współczucia dla ciebie, jest za to całe wielkie morze żalu. Lecz nie jest to żal nad twoim losem, lecz nad losem tych nieszczęśników odparła oschle Czarownica. - Oni tak żyją od lat, dzień po dniu, przymierając głodem, pracując ponad ludzkie siły, batożeni, osadzani w więzieniach, skazywani na śmierć. Ty spędziłaś wśród nich raptem dziesięć godzin!

I Panienska, wbrew swojej woli, zawstydziała się. Milczenie zapadło w mrocznej, biednej izbie, gdzie po kątach jeszcze ciągle znajdowały się ubrania i sprzęty jej poprzednich, od wczoraj dopiero martwych mieszkańców.

- Dlaczego oni się nie buntują? - spytała Panienska. - Jest ich przecież więcej niż Najeźdźców!

- Tak, ale nie mają żadnej broni, są słabi, głodni, a lata niewoli i widok umierających braci i siostr pozbawił ich woli buntu. Myślą już tylko o tym, żeby jakoś przeżyć. Niektórzy za niewielką poprawę losu gotowi są sprzedać swoich przyjaciół, a nawet rodzinę. I tylko raz na jakiś czas pojawia się ktoś, kto nawołuje do buntu, w kim jeszcze drzemie odwaga i godność, ale jego ponury los - śmierć z ręki Najeźdźców odstrasza innych.

- Po co mnie tu przyprowadziłaś? - wyszeptwała po chwili Panienska.

- Żebyś na własnej skórze doświadczyła, jak żyją mieszkańcy dawnego Wielkiego Królestwa.

- Czy muszę tego doświadczyć?

- Musisz. Po prostu musisz - odparła Czarownica. - Tego nie wystarczy wiedzieć. To trzeba czuć. Cóż z tego, że opowiadałam ci o ciężkim losie twych współrodaków? Dopiero dziś wiesz naprawdę, jak bardzo jest on ciężki. A teraz śpij, bo jutro znowu, skoro świt, czeka nas mordercza praca nad rzeką.

Utrudzona Panienska podniosła głowę ze swego pośłania.

- Kiedy stąd pójdziemy? - spytała niemal błagalnie.

- Zostaniemy tu cały rok. Przez ten cały rok dzień po dniu będziesz smakować prawdziwe życie mieszkańców tego kraju. Razem z nimi będziesz przymierać

głodem, razem z nimi pracować aż do krwawego potu, razem z nimi cierpieć i płakać. I pamiętaj: ani razu nie wolno ci użyć magii, gdyż obróciłoby się to przeciw tobie.

- Ale dlaczego?! Dlaczego?! Dlaczego?!! - krzyczała Panienska, bijąc pięściami w podłogę, nie bacząc na rany już pokrywające jej dłonie.

- Nauczyłaś się już, kim jest Matka Natura, jak ją szanować i oddawać cześć, jak nie łamać jej świętych praw. Teraz nauczysz się, czym jest Natura Człowiecza, jak ją rozumieć i honorować.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że mam szanować tych upodlonych, zaszczytów jak zwierzęta ludzi? - wykrzyknęła z oburzeniem Panienska. - Jak zwierzęta?! Co ja mówię? Każde zwierzę ma większą godność, niż którakolwiek z tych ludzkich istot, jakie widziałam nad rzeką! Byle mysz, byle stonoga czy dżdżownica jest więcej warta szacunku, niż oni wszyscy razem wzięci! I tych ludzi ja mam szanować?! Ja, rozmawiająca z Gwiazdami? Ja, zdolna przemieniać szyszki w rude liski i na odwrót? Ja, umiejąca odczytywać cudze myśli? Ja, która mogę każdego Najeźdźcę przemienić w pochrząkującą świnię?! Ja mam ich szanować...?!

- Tak. Właśnie ty. Nią kto inny, ale ty - odparła spokojnie Opiekunka i zamknęła oczy. Już po chwili Panienska usłyszała jej spokojny, głęboki oddech. Ale sama długo nie mogła zasnąć.

Jak wiosenna burza kłębiły się w niej myśli, mnóstwo całkiem wykluczających się nawzajem skojarzeń i szalonych uczuć. W jej oczach kręciły się łzy żalu nad losem dziecka, na które upadł ciężki głaz, raniąc je śmiertelnie - i łzy wściekłości, na widok mężczyzny, który udał, że tego nie dostrzega, byle nie zwrócić na siebie uwagi Najeźdźcy. Ogarniała ją furia na myśl o ludziach, którzy wzajem wyszarpywali sobie chleb - i pełne smutku zdziwienie, gdy przypomniawszy sobie staruszkę dzielącą swoją kromkę między siebie i wnuczka.

Przeważało jednak poczucie pogardy. Głębokiej, bezbrzeżnej pogardy dla pokornych i pełnych lęku, zniewolonych ludzi.

- Moi współrodacy - szepnęła ze złością. - Och, jakże daleko im do królewskiej dumy orła, czy pełnej godności siły niedźwiedzia! A nawet do malutkiej, ale faktycznej niezależności wróbla. Głupi, tępi ludzie...

I z tymi myślami Panienska zasnęła wreszcie, na biednym, cudzym legowisku, gdzie jeszcze wczoraj spoczywała głowa, kogoś - kto już dziś nie żył.

- ... oddając życie za Pieśń Jedyną? - wymamrotała sennie, nie mogąc pojąć związku między tymi wszystkimi, tak sprzecznymi obrazami.

Zaś pozornie śpiąca głęboko Czarownica czujnie śledziła tok jej burzliwych myśli, zastanawiając się dokąd też on doprowadzi.

ROZDZIAŁ XII

Pośrodku dawnego Wielkiego Królestwa, w samym jego sercu, leżała stolica - Ardżana. Kilkaset lat temu, nim została podbita przez dzikie plemiona Urgha, była jednym z najpiękniejszych miast tej ziemi. Pełna ogrodów, fontann, lekkich pałacyków i smukłych, wysokich kamieniczek, bogata w liczne świątynie i szerokie, ukwiecone place - tętniła życiem od świtu do późnej nocy. Wszystkimi czterema, szerokimi, prowadzącymi do niej drogami co dzień zmierzali zewsząd ludzie: kupcy z Dalekich Krain, goście z innych, odległych państw i sami mieszkańcy Wielkiego Królestwa, dla których pielgrzymka do Ardżany była dorocznym obowiązkiem. A każdy przybysz zmierzał prosto do wspaniałego Pałacu Królów, gdzie nikt nie bronił mu wstępu. Każdy mógł się pokłonić królowi, niekiedy nawet, gdy w Pałacu nie było zbyt wielkiego natłoku przybyszów - ścisnąć mu dłoń i porozmawiać. Nic dziwnego - Pałac Królów znajdował się w samym środku miasta, na niestrzeżonym ogromnym Placu Pałacowym, a do jego wnętrza prowadziło kilkadziesiąt bram, przy których z rzadka jedynie stali królewscy strażnicy - a jeśli nawet, to wyłącznie z przyczyn czysto dekoracyjnych.

Gdy Najeźdźcy podbili Wielkie Królestwo i wtargnęli do jego stolicy - ich przywódca, dziki i okrutny Urgh (który mianował się wówczas Urghiem I, tym Który Zwyciężył) natychmiast zajął Pałac Królów, mianując go swą stałą siedzibą. Ale już pierwsza spędzona w nim noc napełniła go lękiem. Leżąc w wielkim łożu, obracał się z boku na bok, umęczony brakiem snu - i nasłuchiwał kroków. Zdawało mu się, że słyszy ich tysiące. Tysiące kroków tysięcy ludzi wdzierających się bez problemu do Pałacu przez kilkadziesiąt zawsze otwartych bram. Jasny, rozświetlony i piękny Pałac Królów wydał się Urghowi miejscem najstraszliwszym w świecie; miejscem niebezpiecznym - bo niemożliwym do strzeżenia. Zbyt wielu wojowników musiałoby stale pilnować wszystkich kilkadziesiąt zawsze otwartych bram, żeby Urgh poczuł się lepiej. Tymczasem wojownicy potrzebni byli do innych, bardziej krwawych celów: podbijania reszty kraju, wtargnięcia do każdego z jego zakątków - wyjąwszy Pustynię. Na Pustyni - o czym wiedzano w całym świecie, a nie tylko w Wielkim Królestwie - nie było czego podbijać ani grabić. Żył tu jedynie samotny i ubogi Pustelnik, zajmujący się modlitwą - i leczeniem chorych. Było mu zresztą obojętne, czy leczy mieszkańców Wielkiego Królestwa, przybyszów z obcych stron, czy też nawet bestialskich żołnierzy Urgha I. Dla Pustelnika liczyła się jedynie choroba - i wyzdrowienie, życie - i Śmierć. I one, tylko one, stwarzały wszelkie różnice między ludźmi.

Mijały lata i mijały kolejne pokolenia królewskich Urghów - Najeźdźców, a Pustelnik trwał. I tylko Gwiazdy mogłyby odpowiedzieć na pytanie, czy był to stale ten sam Pustelnik, czy też po śmierci jednego pojawiał się następny. Nikt jednak nigdy Gwiazd o to nie pytał; ważne było jedynie to, że Pustelnik trwał i można było udać się do niego w potrzebie.

... więc Najeźdźcy nie pojawili się na Pustyni, by ją podbić, gdyż wszyscy wojownicy niezbędni byli Urghowi do trzymania w ryzach podbitego kraju, do grabienia go i pilnowania zarazem, żeby nikt z podbitych, zniewolonych mieszkańców nie buntował się. Nie można było poświęcić ich blisko trzy setki jedynie do pilnowania kilkudziesięciu bram Pałacu Królów. Więc Urgh I z wielką ulgą dowiedział się, że w Ardżanie - a właściwie już na samym jej skraju - jest jeszcze niewielki, warowny zamek. Zbudowano go ongiś dla królewskich dzieci rodu Luilów. Tu mieszkali wraz ze swymi nauczycielami synowie i córki kolejnych pokoleń królów, prowadząc pracowity żywot uczniów i zarazem w przypadku synów - żywot młodych rycerzy. Kolejne królowny również uczyły się władania bronią, ale przede wszystkim poznawały tajniki różnorodnych ksiąg, sztukę tkactwa i sztukę leczenia, przyswajały sobie umiejętność współżycia z przyrodą, a tak - .] że umiejętność śpiewu i tańca oraz właściwego zachowania.

Pewne oddalenie od serca stolicy, Pałacu Królów, nie utrudniało królewskim dzieciom kontaktu z rodzicami - gdyż odległość ta była niewielka - a zarazem izolowało je od zbyt bujnego życia w Ardżanie. Tu, w Zamku, miały dość czasu, by doskonalić swe umiejętności - albowiem każde z nich mogło zostać kiedyś królem.

Dla Urgha ten Zamek przedstawiał całkiem inną wartość. Dwoma ścianami wspierał się o wysokie skalne ściany, których nie trzeba było pilnować, gdyż wdarcie się tędy było niemożliwe. Dwie pozostałe ściany zamykał wysoki mur zaś wejście było tylko jedno: przez bramę, do której w dodatku wiodł zwodzony most. Wystarczyło postawić najwyższej kilku strażników, by nowy władca Imperium mógł czuć się bezpiecznie.

Po więcej niż siedmiuset siedemdziesięciu latach niewoli piękna ongiś Ardżana przedstawiała przedziwny widok. Gdy Urgh ją opuścił, przenosząc się do Zamku - opuściła ją też, grabiąc wcześniej z cennego mienia, cała wataha jego rycerzy. Nikt z nowych rządców o miasto nie dbał. W Pałacu Królów zamieszkały bezpańskie koty, szczury - a potem żmije. Bliskość okrutnych nowych władców spowodowała, że bardzo szybko Ardżanę opuścili również jej mieszkańcy, zamieszkując po wsiach i miasteczkach, byle jak najdalej od groźnego prześladowcy i jego siedziby. Opustoszałe pałacyki, pałace i kamieniczki z wolna popadały w ruinę. Zarazem powoli, ale nieubłaganie stolicę zaczęła pochłaniać Dżungla. Sprowadzane ongiś przez królów rzadkie odmiany egzotycznych drzew i roślin, tworzące wspinały Pałacowy Park zaczęły rozrastać się, rozrastać, obejmować powoli w swe władanie każdy skrawek ziemi, każdą szparę w chodnikowych płytach - aż wreszcie po paru setkach lat Dżungla nieodwołalnie zwyciężyła. I wówczas to Ardżana stała się przedziwnym tworem ruin - i zieleni pokrywającej je, a tworzącej gdzieś tak gęstą, żywą ścianę, że noga ludzka nie była w stanie jej przekroczyć. W ruinach zamieszkały ogromne, złote żmije. Było ich dosłownie miliony - i one to objęły we władanie dawny Pałac Królów, a raczej to co z niego zostało. A co zostało - tego nie wiedział nikt; nikt już bowiem nie miał ochoty zapuszczać się w dzikie tereny dawnej, cywilizowanej i pięknej stolicy.

Żołdacy Urgha nie umieli ani nie chcieli nawet niczego budować. Chcieli czerpać z gotowego - i wydawało się im to Niewyczerpalne. I rzeczywiście, przez setki lat takie właśnie wydawało się być, skoro Najeźdźcom - koczownikom było dość obojętne, jak mieszkają, byle w garnku czekało proste, choć obfite jadło, a beczki były napelnione piwem i winem. Ardżana nie była im już do niczego potrzebna. Mogła umrzeć.

Po siedmiuset siedemdziesięciu latach okradania bogatego ongiś Imperium Luilów przedstawiało ono sobą smutny widok. Ale kolejnym pokoleniom Najeźdźców wydawało się i tak ósmym cudem świata. Wszak ich praprzodkowie bytowali jedynie na Wielkich Stepach, przenosząc się stale z miejsca na miejsce, nie budując miast, nie uprawiając roli. Zatem Wielkie Królestwo jeszcze przez długie wieki mogło się im wydawać niewyczerpane w swych bogactwach, zaś miasta - nawet tak zrujnowane po setkach lat - jednak wciąż jeszcze były miastami, wyjąwszy Ardżanę, Żmijowe Królestwo.

W ocalałych z pogromu ogromnych świątyniach i pałacykach innych miast Najeźdźcy pozakładali tkalnie, szwalnie, farbiarnie, garbarnie i inne pracujące dla nich fabryki. Zarówno w nich jak i w dawnych kopalniach postawiali byle jakie baraki - żeby jeńcy, ich zniewoleni robotnicy mieli blisko do trwającej od świtu do zmierzchu ciężkiej harówki. Mianowani przez Najeźdźców wójtowie zagrabiali niemal cały plon rolnikom, zostawiając im tylko tyle, by nie zdechli z głodu. I tylko Lasów nie udało się wyciąć, gdyż jedynie one umiały skutecznie stawić im czoła. Wszystkie jeziora i rzeki zostały zatrute, albowiem Najeźdźcy uczynili z nich swoje śmietniki - dla odpadów z fabryk i kopalń.

... byłoby nieprawdą twierdzić, że Najeźdźcy podbili Wielkie Królestwo całkiem bez rozlewu własnej krwi. Pozbawieni broni poddani króla Luila XXIV walczyli z wrogiem czym tylko mogli i jak umieli. Ale umieli niewiele - gdyż nikt nie uczył ich sztuki walki, nie mieli też prawdziwej broni, lecz tylko owe sakralne, drewniane miecze. Uzbrojonym w żelazo wrogom mogli przeciwstawić początkowo tylko gołe pięści. Później, na przestrzeni siedmiuset lat parokrotnie próbowali wzniecać przeciw okrutnemu Urghowi i jego kolejnym następcom liczne powstania i bunty - zawsze jednak szybko i krwawo unicestwiane. Ostatni z nich miał miejsce jakieś 150 lat temu - wówczas pod topór oddało swe głowy ponad dwadzieścia tysięcy powstańców i ich rodzin. Od ponad stu pięćdziesięciu lat w kraju trwała pozornie martwa cisza. Zdawało się, iż zniewoleni mieszkańcy ostatecznie ulegli wyjątkowo okrutnym rządóm trzech ostatnich Urghów - XI, XII i aktualnie panującego Trzynastego Urgha. Władcy ci nie czekali, aż ktokolwiek podniesie bunt. Tropili jego przejawy nawet tam, gdzie ich w ogóle nie było - i karali śmiercią, nie bacząc na stopień winy. Wystarczyło podejrzenie, dość było jednego donosu czy nawet zwykłej samowoli któregoś z Najeźdźców, który właśnie miał chęć ściąć głowę temu, a nie innemu poddanemu, gdyż spodobał mu się jego dom, jego żona czy też nie spodobało się spojrzenie.

A spojrzenia poddanych coraz bardziej nie podobały się żołnierzóm Urgha i samemu Urghowi XIII, nawet jeśli nie wyrażały nic poza lękiem. Najeźdźcom wystarczała

sama pamięć o krążącej po kraju Pieśni Jedynej - i sen uchodził spod ich powiek bezpowrotnie.

Jeśli baronowie i żołnierze Urgha XII mieli jeszcze sen stosunkowo spokojny - słowa Pieśni wywoływały w nich co najwyżej gniew, ale nie obawę - to służkowie Urgha XIII coraz częściej przepowiadali je sobie w niespokojnych, a nawet jakby zalęknionych myślach.

Pierwszych kilka zwrotek tej ponurej wieszczkiej Pieśni nie miało znaczenia. Przypominały jedynie, czym było Wielkie Królestwo, nim je podbito, jak było wspaniałe, bogate i wolne. O tym wiedzieli wszyscy i wszak dlatego właśnie Urgh I na nie napadł. Te zwrotki nie budziły w Najeźdźcach lęku; przeciwnie, budziły dumę, że aż tak potężne Imperium udało się im zdobyć. Podobnie było z paroma następnymi zwrotkami. Wszak sławiły one chwałę ich oręża, ukazywały, z jak dziecinną wręcz łatwością Urgh I i jego dzielni żołnierze zalali cały kraj i wzięli go w swoje władanie raptem w kilka dni. Wszystkie niepokoje związane były ze zwrotkami, które zaczynały się od słów:

“... za siedem setek, siedem dziesiątek i siedem lat

dla krwawych Urghów złowieszczy Czar przyniesie los

i nie żelazny sprawi to miecz, nie krew przelana,

lecz Wszechpotężna, Drzemiąca Moc, Moc nienazwana,

którą obudzi stóp drobnych ślad...”

I te, i dalsze słowa były coraz bardziej zagmatwane, zagadkowe, niepojęte - i tym bardziej budziły lęk. Na Zamku Urgha XIII głowiono się nad nimi niemal od początku panowania tego właśnie władcy. Gdyż to za jego życia upływało siedem setek, siedem dziesiątek i siedem lat - a zatem po prostu 777 lat, liczonych od Dnia Grozy, Dnia Podboju Wielkiego Królestwa. I dlatego Urgh XII, ojciec obecnego władcy, panował spokojnie, a nawet złośliwie chichotał, spoglądając na swego nieletniego jeszcze następcę i jedyne go syna:

- Nie ja będę miał TO na głowie, mój synu! Nie ja! Nie mój to będzie strach, lecz twój, więc ty się martw, ile prawdy w tych głupich słowach, bo zanim cośkolwiek z nich się spełni, mnie i tak już nie będzie na tym świecie...

Pytanie: “ile prawdy w tych głupich słowach” stawało się coraz bardziej palące. Przepowiedziane w Pieśni Jedynej 777 lat upływało już wkrótce - dokładnie za trzy lata. Albo cztery. Jednym wychodził taki, a drugim inny rachunek, ale rok mniej, rok więcej i tak w tym przypadku nie miało znaczenia. Tak czy owak świat Urgha miał runąć, a Imperium powrócić do rąk prawowitych władców.

I dziś też Urgh XIII, niemal jak co dzień, wielkimi krokami chodził po swojej komnacie w Zamku i wyrzucał z siebie gniewne zdania.

- ... mówiłem, że to wyjaśni tylko astrolog. Astrolog, mag lub Czarownica! I żądam, żeby wreszcie kogoś takiego doprowadzono przed moje oblicze! Kogoś, kto wyjaśni słowa tej przeklętej Pieśni i oceni ich prawdopodobieństwo!

Woodou, jego doradca, malutki, chudy, zgarbiony - kulił się w sobie jeszcze bardziej pod wzrokiem swego pana.

- Królu, wszak wiesz, że każda osoba spośród mieszkańców tego kraju, która została choćby podejrzana o bycie Czarownicą, magiem lub astrologiem była natychmiast, bez sądu, palona na stosie. Nie tylko za twego, ale i twoich ojców panowania. Więc dzisiaj nie ma w tym kraju nikogo takiego. Już nie ma.

Woodou nie pochodził z rodu Najeźdźców, tym bardziej jego lęk i unizoność wobec Urgha XIII były większe. Woodou urodził się jako mieszkaniec podbitego przez Urghów kraju i byłby zapewne niewolnikiem, jak jego pobratymcy, gdyby nie spryt, inteligencja i chytryść, dzięki którym stał się dla króla niezastąpiony. Początkowo Woodou, jako chłopiec, był tylko pacholkiem Urgha, wyznaczonym do trzymania za uzdę konia, gdy władca nań wsiadał. Bystrość chłopca i zdolność do pochlebstw spowodowały, że rychło został najpierw osobistym pokojowcem władcy, a potem kimś w rodzaju jego doradcy i sekretarza. Rady Woodou dotyczyły stale tego samego - i w tym temacie był najlepszym ekspertem Urgha: jak najskuteczniej unicestwiać w porę jakiegokolwiek przejawy buntu ze strony zniewolonych poddanych, jak tropić śpiewaków Pieśni Jedynej, jak skutecznie wzbudzać i utrwalać lęk przed Najeźdźcami - taki lęk, który uniemożliwi jakiegokolwiek działania przeciw nim. A w tym Woodou był niezastąpiony, bowiem sam będąc poddanym i mając duszę niewolnika, najlepiej znał (lub przynajmniej tak mu się zdawało) sposoby działania przeciw swym współrodakom.

Od paru lat Urgh XIII ponawiał jedno i to samo żądanie. Pragnął spotkać się z kimś, kto ostatecznie wyjaśniłby mu, czy słowa Pieśni Jedynej są słowami wieszczymi, proroczymi, czy też nie mają żadnego znaczenia, a magiczna liczba 777 jest zwykłą zachcianką śpiewających, marzeniem, ułudą - a nie rzeczywistą groźbą. Od tych samych paru lat Urgh niezmiennie dowiadywał się od swych sług, rycerzy i krewnych, że wszyscy umiejący posługiwać się magią lub mową Gwiazd na mocy nie kogo innego, ale jego własnych, a także jego praojców rozkazów, zginęli okrutną śmiercią.

Urgh popadał wówczas w straszliwy gniew i Woodou wysiłał swój spryt, by przyprowadzić władcy kogokolwiek, kto mógłby z powodzeniem odegrać rolę astrologa, maga lub Czarownicy. Ileż fałszywych Czarownic spłonęło, nie mając pojęcia o magii i czarach - o czym wiedzieli zresztą wszyscy, nawet sam Urgh, który każdorazowo nakazywał jednak wieść je przed swoje oblicze, choć z góry wiedział, że spotka go rozczarowanie. Czepiał się jednak choćby najcieńszej niteczki nadziei.

Nie ufał też fałszywym, podstawionym przez Woodou astrologom i magom. Choć ci, przebrani przez służbę w czarne, zdobne gwiazdami płaszcze, wlepiali bezradny wzrok w nocne niebo, aby później zapewniać władcę, że gwiazdne konstelacje gwarantują mu długie i bezpieczne panowanie - Urgh jednak wpadał w szal i nakazywał im ścinać głowy za to, że kłamią. Od lat zatem nikt już, za żadne ofiarowywane sobie pieniądze, nie godził się odgrywać roli maga, astrologa czy Czarownicy. Ustawione na szalach tej fałszywej wagi worek złota lub pewna śmierć powodowały, że każdy wołał życie.

- Panie, nie ma już nikogo z nich - przysięgał Woodou, wyjątkowo szczerze jak na siebie, choć trzęsąc się ze strachu. Lecz Urgh spoglądał na niego ponuro i bijąc pięścią w długi, dębowy stół, wołał:

- To kłamstwo! Sama Pieśń mówi o tym, że one jeszcze są!

- Panie, jeśli są, to skryły się w tak niedostępnych miejscach, z dala od ludzi, że nie są w stanie tobie szkodzić, nie mają na nic wpływu! - zaklinał się Woodou. - Ostatnie dwie prawdziwe Czarownice spalił twój ojciec, niech mu będzie chwała.

- Tak. I przed okropną śmiercią w płomieniach każda z nich wykrzyczała mu prosto w twarz, że Pieśń Jedyna nie kłamie, albowiem poczęła się z wiatru, wody i ognia! - wykrzyczał Urgh, zbliżając się wielkimi krokami do swego służki, który ze strachu przykucnął za fotelem. Władca kopnął go boleśnie i znów jął chodzić po komnacie.

- Co robi mój syn? - spytał po chwili gniewnie.

- Jest w ogrodzie - wyszeptał Woodou.

- To wiem, bo zawsze tam jest, ale co tam robi?! - ryknął władca. - Fechtuje się ze swym kuzynem, przekłują mieczem swoje psy, strzela z łuku do ptactwa czy też wzdycha do obłoków na niebie?!

Woodou zamilkł i znów skulił się za fotelem. Syn Urgha był tematem równie niebezpiecznym jak Pieśń. Ten jedyny syn, który - jakby na urągowisko Losu - nie chciał ani nie mógł spełnić nadziei swego ojca.

- Wezwij przed moje oblicze jego nauczycieli - burknął nagle Urgh i Woodou już pędził korytarzem. Po chwili w komnacie stanęło czterech potężnych, zakutych w zbroje rycerzy.

- Czy mój jedyny syn umie już jeździć konno, czy też nadal spada z każdego konia, gdy tylko ten przyśpieszy kroku? warknął Urgh do jednego z nich.

- O panie, twój syn jest bardzo zdolny i doprawdy... on... ja bym powiedział, że...

- Nie jękać się! I tak będę znać prawdę!

- Spada z konia, o panie. I nie chce jeździć. A gdy już jeździ, to bez ostróg. Mówi, że ostrogi kaleczą konia. Karmi konie cukrem i gada do nich jak do człowieka, ale...

- ... ale nigdy nie będzie dobrym jeźdźcem - dokończył Urgh ponuro i zwrócił się do następnego z rycerzy: - Czy mój jedyny syn potrafi już władać mieczem?

- O panie... - wyszeptał rycerz, ale pod wpływem piorunującego wzroku Urgha, zdobył się na odpowiedź: - Nasze miecze ciągle są dla niego zbyt ciężkie. Twój syn ma wątlą budowę w porównaniu do swych rówieśników...

- Mój syn! Mój jedyny syn...! Mój jedyny następca tronu ma za wątlą budowę, by władać mieczem! - zakończył Urgh z wściekłością i bólem. - Wątlą budowa nie przeszkadza jednak w sprawnym strzelaniu z haku. Czy mój jedyny syn jest już dobrym łucznikiem?

Trzeci z zagadniętych rycerzy mienił się na twarzy jak poprzednicy:

- Tak, panie, on jest dobrym łucznikiem, ale tylko wobec nieruchomego celu. Nie masz mu równych w strzelaniu do tarczy, ale... - rycerz urwał, zaś Urgh zakończył:

- ... ale nie chce strzelać do celów ruchomych, ani do ptaków, ani do psów, nie wspominając już o specjalnie wybranych do tego celu niewolnikach.

- Tak, panie - wyszeptał rycerz. - Twój syn mówi, że wszystko co żyje, żyje nie z jego woli, więc nie może zginąć z jego ręki. Twierdzi, że to Bogowie dają życie i tylko oni mogą je odebrać.

- Ciebie już chyba nie mam o co pytać - powiedział Urgh z wściekłością i żalem, patrząc na czwartego rycerza. - Walka na pięści zapewne też nie należy do ulubionych zajęć mego syna.

- Nie należy, panie - przytaknął czwarty rycerz. - Na lekcjach boksu twój syn pisze wiersze.

- Wiersze?! - ryknął Urgh zaskoczony.

- Tak mi się wydaje, panie, choć sam nie znam się zbytnio na tym. Czytał mi jednak pewien fragment i niczego w nim nie pojmowałem. Wydawało mi się, o panie, że twój syn chciał wyrazić wierszem uczucia leżącego ptaka, którego goni strzała. Gdybyż chciał chociaż pisać wiersze o walce...

- Tego tylko mi jeszcze brakowało! Wierszy! - zazgrzytał zębami Urgh. - Gdyby to nie był mój jedyny syn, albowiem innego nie mam, nie mam zatem następcy, bez którego runie panowanie Urghów w Imperium... Doprawdy gdyby nie to, już by nie żył ten maminsynek!

Ruchem ręki odesłał rycerzy sprzed swych oczu. Gdy wyszli, ponownie zwrócił się do swego służki, nadal opętany jedną myślą:

- ... ale czy będzie mi potrzebny następca, Woodou? Powiedz sam... Skoro ten jakiś Złowieszczy ma przerwać nasze panowanie...

- Jak, panie, możesz w ogóle pytać! Wielki, królewski ród Urghów nigdy nie...

- Znowu kłamiesz! - ryknął Urgh. - Ten mój wielki ród zakończy swe panowanie na mojej osobie! Tak mówi Pieśń Jedyna i ty o tym dobrze wiesz! Zginiemy wszyscy! Ja, mój syn i ty też, zapewniam cię!

- Pieśń Jedyna nie mówi nic o naszej śmierci, panie zaprotestował słabo Woodou. - Ona mówi tylko o naszym wygnaniu. Bezkrwawym wygnaniu, bez, użycia mieczy. Po prostu wróćcie na stopy, boja... Mój los będzie gorszy, jeśli mnie ze sobą nie weźmiecie. Więc żyć będziemy, nawet w najgorszym przypadku, jeśli Pieśń ma naprawdę wieszczce znaczenie...

Ale właśnie tego nikt na pewno nie wiedział.

ROZDZIAŁ XIII

Był to najcięższy i najtrudniejszy rok w całym dotychczasowym piętnastoletnim życiu Paniarki. Czy dlatego, że głodowała, mieszkała w nędznym, ponurym domu, chodziła ubrana jak żebraczka? Nie. Przywykła do chłodu, głodu, nędzy, do żebraczego stroju od najwcześniejszego dzieciństwa. Poprzednie Czarownice nie rozpieszczały jej. Jadała zawsze byle co, w najlepszym razie było to mięso, chleb, leśne jagody. Szczytem komfortu była sucha, leśna pieczara i postanie z mchu, opuszczona stajnia, waląca się chata.

Czy zatem był to najcięższy rok w życiu Paniarki, bowiem po raz pierwszy musiała ciężko pracować? Nie. To prawda, że praca przy budowie mostu była ciężka. Ręce jej długo krwawiły od dźwigania ciężkich głazów, potem rany ustąpiły miejsca zgrubiałym bliznom. Bolały plecy od zginania się, bolały wszystkie mięśnie. To wszystko prawda...

... ale najtrudniejsze było coś całkiem innego: zrozumienie. Próba zrozumienia tych ludzi, z którymi teraz ona, przywykła do odludzia, i jej Opiekunka obcowaly na co dzień. I właśnie zrozumienie ich było ponad siły Paniarki.

“Nauczyłaś się, kim jest Matka Natura, a teraz nauczysz się, czym jest Natura Człowiecza i jak ją z kolei rozumieć i szanować” - powiedziała Czarownica.

- Głupi, tępi, upodleni ludzie - myślała tymczasem Paniarka przez wiele, wiele długich dni i wiele, wiele długich, bezsennych nocy. - Wstrętni tchórze. Są ich setki, a wystarczy jeden Najeźdźca z batem i będą pracować jak niewolnicy...

Wiele, wiele długich dni, spędzonych na ciężkiej pracy i wiele, wiele bezsennych nocy rozmyślała Panienka o rodzaju ludzkim właśnie tak, a nie inaczej. Widziała jedynie pokorne, zgięte plecy swych współrodaków, uginające się jeszcze niżej, gdy spadał na nie bat. W ich twarzach widziała jedynie poniżenie - i uniżenie, gdy spoglądali w twarze swych panów - Najeźdźców. W ich głosach słyszała tylko strach - i gardziła nimi całą swoją młodą, niezależną istotą. Z pogardą patrzyła wówczas, gdy przynoszono im kosz z chlebem, a oni tłoczyli się koło niego, przepychając i niemal bijąc. Wstydziła się za nich, gdy klękali przed nadzorcą, który sięgał po bat, by przebłagać jego gniew.

Musiąo minąć wiele, wiele długich dni, nim dostrzegła, że tym kawałkiem chleba niektórzy z nich dzielą się z innymi - bardziej schorowanymi, starcami, dziećmi. A czynili to ukradkiem, chowając zdobyty kawałek za podartą koszulę i wsuwając potem do ręki staruszce lub dziecku równie skrycie, bez chęci zyskania uznania, ale z prawdziwego serca.

Musiąo minąć wiele, wiele długich dni, nim pojęła, że wielu z nich zgina nisko plecy i kryje w ten sposób twarz, by nikt nie dostrzegł w nich buntu i gniewu. A w chwili, gdy bat spadał na kogoś z nich i rozlegał się głośny jęk bitego wiele ust, niewyraźnie, tylko poruszając się, szeptało bezgłośnie jakieś słowa. I wiele, wiele dni przeminęło, nim Panienka zdołała te słowa odczytać:

“Będziemy cierpieć, cierpieć w niewoli, długo, wytrwale, bez słowa skargi,

bo gdy nadejdzie czas wyzwolenia, złoto powstanie z tego cierpienia,

złoto rozumu wielu pokoleń, które uczyły się żyć w niewoli,

żeby gdy przyjdzie wolności czas, dać mu ze siebie wszystko co masz...”

... a więc nie mrucleni przekleństw lub słów bez sensu, jak początkowo sądziła Panienka, ale przepowiadali tym bezgłośnym szeptem kolejne zwrotki Pieśni Jedynej. Choć za te słowa czekała śmierć.

Musiąo minąć wiele, wiele długich dni, nim Panienka dostrzegła, że mimo tępej i złośliwej brutalności nadzorców cięższą pracę biorą na siebie zawsze silniejsi i zdrowsi, dyskretnie odsuwając na bok kobiety, dzieci, starców. A dostrzegła to Panienka dopiero wówczas, gdy bat nadzorca wskazał jej wyjątkowo ciężki gład do przeniesienia w pobliże rzeki, a wtedy - choć uchodziła tu za chłopca, była jednak drobna i chuda - czyjeś silne, męskie ręce podźwignęły kamień razem z nią. Gdy wracali razem z tym mężczyzną w stronę kamieniołomu, jego ręka dyskretnie wsunęła w jej kieszeń mały kawałek chleba.

- Jedz, bo nie zmęźniejesz, a będzie to potrzebne naszemu krajowi. Już wkrótce - szepnął jej towarzysz i na twarzy pojawił mu się blady uśmiech.

Więc tacy byli ci ludzie. Doprawdy, nie do pojęcia dla Paniarki. Bo równocześnie inni, a niekiedy właśnie ci sami, odpychali pięściami słabszych przy koszu z chlebem. Ich rozbiegane oczy śledziły każde poruszenie warg współtowarzyszy, a za dodatkową kromkę chleba byli gotowi sprzedać swego sąsiada. Tak, byli i tacy, którzy ochoczo, sami z siebie wskazywali nadzorcom, kto ich zdaniem zbyt wolno pracuje i komu należy się uderzenie bata. Nie, nie było ich wielu, ale byli.

- Nie pojmuję tych ludzi - żaliła się Paniarka swojej Opiekunce, gdy wieczorem były już same w swoim tymczasowym domu i Czarownica wcierała jej w dłonie leczniczą maść, która szybko zasklepiła rany. - Są uniżeni, upodleni i zarazem dumni. Przypochlebiają się Najeźdźcom, a równocześnie śpiewają Pieśń Jedyną. Biją się przy koszu z chlebem i oddają staruszcze swoją własną porcję, choć ta staruszka jest im obca. Nie mogę ich pojąć. Matka Natura jest dla mnie piękna i rozumiała. Jej prawa są przejrzyste, choć niekiedy okrutne. Natura Człowiecza jest niepojęta...

- Bo coś takiego jak zbiorowa Natura Człowieka nie istnieje. Jest tylko natura pojedynczych, indywidualnych osób. A każda z nich jest inna - uśmiechnęła się Czarownica. - Jeśli będziesz mieć swojego psa, po pewnym czasie będziesz mogła dużo powiedzieć o psach w ogóle. Ale gdy zaprzyjaźnisz się z jednym tylko człowiekiem, nadal nie będziesz nic wiedzieć o rodzaju ludzkim.

Patrząc co dzień, przez cały długi rok na swych współtowarzyszy niedoli, Paniarka odczuwała na przemian to dumę, to znowu gniew i wstyd, to radość, to znowu litość pomieszaną z pogardą, a nawet nienawiść.

- Spróbuj im współczuć. Nawet gdy twoim zdaniem są godni tylko pogardy - mówiła Czarownica. - To okrutny Los zmusza ich do tego poniżenia. Donoszą na innych ze strachu o życie własne i swych rodzin, a życie to przecież jedyne co mają. Więc spróbuj im także współczuć...

- Nie umiem - mówiła Paniarka.

- Spróbuj ich pokochać, gdy nie bacząc na bat, pomagają słabszym i szepczą słowa Pieśni, choć grozi im za to śmierć, a przecież życie to jedyne co posiadają na własność - mówiła Czarownica.

- Spróbuję - szeptała Paniarka i w jej oczach mimo woli wzbierały łzy, gdy widziała, jak bat spada na plecy mężczyzny, który podźwignął padającą kobietę. Ale za chwilę ten sam mężczyzna klęcząc przed nadzorcą zebrał, by ten nie użył przeciw niemu bata po raz drugi.

Życie przez ten długi, długi rok stało się dla Paniarki udręką monotonii żmudnego dnia i lawiną sprzecznych uczuć. Dzień rozpoczynał się o piątej rano, czy było już jasno jak w lecie, czy całkiem ciemno jak w zimie. Wraz z całym tłumem mieszkańców Miasteczka, zgromadzonym o brzasku na Rynku, szły w stronę Rzeki,

gdzie czekała na nie ciężka praca. Potężny kamienny most wznosił się wolno, ale przęsło po przęsło zbliżał się do drugiego brzegu. Z wysokiego zbocza kamieniołomu dzień w dzień spadały większe i mniejsze głazy, wydobywane pracowicie przez najsilniejszych mężczyzn przy pomocy żelaznych łomów. Kamienie staczały się szeroką lawiną na sam dół, blisko koryta Rzeki, gdzie zgromadzony tłum, a z nim Panienska z Czarownicą przenosił je w stronę mostu. Na samym moście pracowali fachowi rzemieślnicy, otrzymując kromkę chleba więcej niż inni. Niektórzy z nich chowali ją skrzętnie za pazuchą lub łapczywie zjadali - inni zaś wspomagali nią słabszych od siebie. Chleb roznoszono w południe i wieczorem. A po zachodzie słońca ponury, zmęczony pochód wracał do Miasteczka. W oknach domów zapalały się wówczas wątle światełka świec lub lamp, które jednak rychło gasły, gdyż wszystkich oczekiwał kolejny, męczący dzień, na który trzeba było znaleźć nowe siły.

I to była monotonia tego długiego, długiego roku. Ten niezmienny rytm każdego dnia. Niezmienny - i bolesny.

A zarazem każdy z tych pozornie monotonnych dni niósł ze sobą coś nowego. Jakiś kolejny okruszek wiedzy o złożonej ludzkiej naturze. Początkowo Paniencie zdawało się, że każdy nowy okruszek wypiera stary, przecząc mu we wszystkim.

- Ludzie są tchórzliwi - myślała Panienska, widząc po raz chyba tysięczny, jak w pokorze klękają przed nadzorcą. W chwilę potem dziwiła się odwadze człowieka, który odsunął na bok mocującą się ze zbyt ciężkim głazem kobietę i mimo uderzeń bąta, krwawiących mu plecy, brał go z jej rąk i niósł sam.

- Ludzie są godni pogardy - myślała Panienska, widząc silnego, młodego mężczyznę, który kopał małe dziecko, chcąc mu wyrwać jego kromkę chleba. W chwilę później nasłuchiwała cichego pomruku Pieśni Jedynej, niosącego się od jej najbliższego sąsiada.

- Ludzie są dobrzy i źli, odważni i tchórzliwi, szlachetni i godni pogardy - mówiła Czarownica, uśmiechając się wąskimi wargami na widok zdumienia w oczach Panienski. - A najdziwniejsze jest to, że najczęściej wszystkie te cechy naraz goszczą w jednym tylko człowieku. I dopiero wówczas jest on prawdziwą całością. Całością zarazem silną i słabą, godną szacunku i godną współczucia. Taki właśnie jest człowiek. Wielki i mały jednocześnie.

- Człowiek jest zatem czymś najdziwniejszym w całym wszechświecie - mówiła Panienska z irytacją. Nie mogła tego pojąć, choć pojmovalo to znakomicie każde zwykłe dziecko, chowane od początku w ludzkim świecie. Ją wychowywały Czarownice, izolując od ludzi i do piętnastego roku życia miała do czynienia jedynie z ich chłodnym rozumem, rozległą wiedzą, łagodną choć nieco skrytą serdecznością. Czarownice były dla niej kimś normalnym, a ludzie... Ludzie - byli niepojęci i nienormalni.

- Właśnie dlatego tu jesteśmy - odpowiadała Czarownica jej niespokojnym myślom. - Żebyś zrozumiała, iż nie masz racji, bo świat ludzi jest mimo wszystko twoim światem. Należysz do niego, a nie do nas, Czarownic.

Do zakończenia budowli brakowało już niewiele. W Paniencie radowała się na ten widok każda część jej istoty. Myślała już tylko o dniu, w którym wraz z Czarownicą opuszczą Miasteczko. Tęskniła do rozległych, bezpiecznych lasów i przytulnych leśnych pieczar, myślała o poczuciu wolności jaką dają przepastne puszcze i widok bezkresnego nieba nad głową. Zaczęła liczyć każdy dzień i każdą noc dzielące ją od wiosny. Wiosna była tą granicą. Wtedy miała się zakończyć budowa mostu, wtedy mijał rok jej pobytu w Miasteczku - i wtedy nadchodziły jej kolejne urodziny. Tym razem kończyła szesnaście lat.

ROZDZIAŁ XIV

... wreszcie nadeszła wiosna, a raczej wczesne przedwiośnie. Tu, w ponurym Miasteczku, niewiele go było widać. Zieleń nieomal nie istniała. Najeźdźcy od setek lat stopniowo wycinali wszystkie drzewa, a w ich miejsce, na pustych placach budowali swoje baraki, w których przechowywali narzędzia, broń, a niekiedy nawet w nich nocowali. Zew krwi dawnych koczowników powodował, że nieważne było dla nich, jaki był dach nad głową, byle był. Niekiedy mogło go nie być i też było dobrze. Z tradycji pradawnego życia na Wielkich Stepach - które były rozległym pustkowiem suchych traw i niskich krzewów - wzięli przekonanie, że drzewo liczy się jedynie jako budulec, krzew - jeśli rodzi jadalne owoce. Kwiaty w ogóle były im zbędne.

... więc zieleni nie było. Wraz z zielenią niepostrzeżenie, ale trwale zniknęły z Miasteczka ptaki, a nawet owady. Spośród tych ostatnich pozostały jedynie muchy i pająki. O nadejściu wiosny nie mówiły zatem ani pąki na drzewach, ani ożywiony, radosny śpiew ptaków czy szum owadzich skrzydełek - a jedynie niebo, coraz błękitniejsze, z białymi, rozświetlonymi słońcem obłokami. I nowy zupełnie zapach powietrza, który z wiatrem niósł się aż tu z odległych lasów i pól. Wyjawszy to przedwiosenne niebo, wszystko w Miasteczku było po staremu ponure, brudne, zaniedbane.

- Ach, być teraz w Lesie... - wzdychała Panienska. - Tam wiosna jest wiosną...

Gdy nadeszła wreszcie ostatnia noc, poprzedzająca ostatni dzień pracy przy budowie mostu, Czarownica spytała swą wychowankę:

- Czy nauczyłaś się już rozumieć tych ludzi i współczuć im?

- Tak, chyba tak, ale nie wszystkim - odparła niecierpliwie Panienska.

- Czy w ich cierpieniu dostrzegasz godność i dumę? Czy w zamian za ich obecne poniżenie nie powinni być kiedyś wywyższeni?

Och, tak, ale nie wszyscy - pokręciła głową Panienska.

- Czy pokochałaś tych ludzi za ich nędzę, biedę, za ciężkie życie?

- Nie wiem - odparła niechętnie Panienska. - Chciałabym ich pokochać, ale nie wiem, czy zdołam wszystkich ogarnąć tą miłością. Nie zdołam. I nie chcę! Nie potrafię! A tak naprawdę to mam ich dość i nie mogę nacieszyć się myślą, że jutro nas już tu nie będzie.

Czarownica westchnęła jakby ze smutkiem. Po chwili obie zasnęły, umęczone kolejnym dniem ciężkiej pracy.

Ostatni dzień ich pobytu w Miasteczku nadszedł wraz z mrocznym świtem. Niebo było bure, a słońce schowało się za gęstymi chmurami. Siąpił drobny deszcz. Gdyby nie nadzieja, że jeszcze dziś wieczór może opuszczać to smutne miejsce, wstać byłoby o wiele trudniej. Panienska jednak zerwała się radośnie i nawet myśl o czekających na nią kilkunastu godzinach ciężkiej roboty nie psuła jej humoru.

Już po chwili szły wolno w milczącym i smutnym tłumie mieszkańców, zmierzając w stronę Rzeki. W rytm wrzasków nadzorców rozdzielili się na trzy duże grupy, z których jedna zaczęła się wspinać w górę kamieniołomu, druga pozostała u jego stóp, a trzecia zajęła swe miejsce na moście. Do osiągnięcia drugiego końca Rzeki brakowało już najwyżej pół metra. Wraz ze świstem bata, który - bez żadnego powodu, ot, dla wprawy opadł na plecy stojącego najbliżej mężczyzny, rozpoczęła się mordercza harówka.

Czas mijał wszystkim niezwykle wolno, jak wszystkie te dni mijającego roku. Każda godzina wyraziście, aż do bólu, dzieliła się na 60 minut, a każda minuta zawierała w sobie 60 doskonale wyczuwalnych sekund. Tylko Paniencie tym razem pracowało się lekko, szybko, a każda minuta zbliżała ją do chwili, w której wraz z Czarownicą zarzucią na plecy swoje żebracze płaszcze - i nowym mostem ruszą przed siebie, heen, daleko, ku wolności, jaką daje samotność i bezkresność Lasów.

Pracowali, jak zawsze, w ciszy. Nie była to praca, której towarzyszy śpiew, czy pogodne rozmowy - co Panienska widywała czasami na Wsi. Czarne sylwetki Najeźdźców zamykały wszystkim usta. Na twarzach nie pojawiał się nawet cień uśmiechu. Nigdy nie można było przewidzieć, co mogłoby zirytować okrutnych nadzorców, więc każdy z pracujących starał się po prostu jak najmniej wpadać w oczy. A śmiech... o, tak, śmiech był rzeczą bodaj najbardziej podejrzaną.

W południe, jak zwykle, została rozdana pierwsza porcja chleba i po krótkiej przerwie powrotem podjęto pracę. Gdy słońce jęło chylić się ku zachodowi, prześwitując słabo przez grube warstwy chmur, Panienska szepnęła swej Opiekunce:

- Już tylko godzina lub dwie i jesteśmy wolne... Czarownica w milczeniu kiwnęła głową i dalej porała się ze swym potężnym kamieniem. Panienska chwilami

podejrzewała ją, że używa magii i czyni swoje kamienie lżejszymi niż były naprawdę, ale wysiłek widoczny na twarzy Czarownicy przeczył tym podejrzewaniom.

- Ciekawe, czemu nie chce ulżyć swojej i mojej doli, choć przecież mogłaby to uczynić z dziecinną łatwością. Trochę magii i nasze kamienne głazy byłyby leciutkie jak piórka. Nigdy jej o to nie pytałam, ale sądzę, iż gdybym to zrobiła, byłaby na mnie zła - myślała Panienska, męcząc się ze swym głazem. Toczyła go powoli, pokieroszowanymi rękami z kamieniołomu w stronę Rzeki. Z wdzięcznością przyjęła kromkę chleba, wsuniętą jej do kieszeni przez wysokiego mężczyznę, który czyniąc dyskretnie ten gest zdołał wyszeptać niemal bezgłośnie:

- Rośnij, chłopcze, rośnij i m na szkodę... Odczytała te słowa raczej z jego myśli niż z ruchu warg, ale wiedziała, że nie idzie tu specjalnie o nią. Wszyscy starsi myśleli przecież, że jeśli nawet nie za ich życia, to za życia ich synów i wnuków - zgodnie ze słowami Pieśni - okrutny los niewolników ulegnie odmianie. Każde z tych młodziutkich chłopców i dziewcząt będzie musiało mieć wówczas siły, by odbudować zrujnowany kraj.

Ugryzła kęs chleba i w tym momencie usłyszała krzyk. Głośny i rozpaczliwy, jaki wydaje się w obliczu dramatu, któremu nie można zapobiec. Obejrzała się i ujrzała, że z wysokiej, stromej ściany kamieniołomu toczą się potężne głazy, zmierzając prosto ku miejscu, gdzie znajdowała się wraz z grupką innych dzieci. Spojrzała w stronę krzyczących - stali pobladli, wpatrzeni w kamienną lawinę, nie wykonując jednak żadnego gestu. Przeciwnie - byli jakby gotowi do natychmiastowej ucieczki, a zarazem znieruchomiali ze zgrozy. Głuche potężne dudnienie toczących się wielkich kamieni zbliżało się z sekundy na sekundę i widoczne było doskonale, że obojętnie w którym kierunku próbowałyby odbiec ta grupka najmłodszych robotników - głazy i tak by ich dosięgły. Panienska zbladła, stanęła jak wryta, myśląc gorączkowo, czy zna jakiegokolwiek żaki ecie mogące powstrzymać straszną, niosącą jej i współtowarzyszom, kamienną śmierć. Ale takiego zaklęcia nie знаła, zaś głazy toczyły się coraz szybciej i szybciej...

... nadzorcy otwarli szeroko oczy, nie tyle przerażeni nieuchronnym wypadkiem, ile raczej zaciekawieni nim, cofając zarazem swe konie na bezpieczną odległość.

I wówczas gdy staczająca się z ogromnym hukiem kamienna kaskada właśnie miała dosięgnąć najbliższej znajdującej się dziecko - głazy... znieruchomiały. Wszystkie. Kilkadziesiąt potężnych kamieni tkwiło martwo w najbardziej niezwykłych, nieprawdopodobnych pozycjach na zboczu góry i tylko ich leciutkie, niemal niewidoczne drganie wskazywało na to, że przed chwilą, pędząc z niespotykaną szybkością, nie z własnej woli zatrzymały się w pół drogi. Był to istny cud, lub...

- Uciekajcie! - dał się słyszeć znajomy głos i Panienska ujrzała Czarownicę stojącą naprzeciw kamienną lawiny z szeroko rozpostartymi ramionami. - Uciekajcie, gdyż długo ich tak nie utrzymam!

Od jej dłoni biegły ku gigantycznym głazom ledwie widoczne srebrzyste niteczki, fluidy magicznej siły. Panienska przypadła do niej instynktownie, zaś Opiekunka niecierpliwym i szybkim ruchem odepchnęła ją daleko od siebie, daleko od toru pędzących wcześniej kamieni - które znowu zaczęły leciutko drgać. I nagle wszyscy runęli do ucieczki. A gdy cały plac był już pusty - Czarownica opuściła dłonie i głazy znowu jęły się toczyć, jak gdyby nigdy nic, jakby wcześniej wcale nie znieruchomiały w swym szalonym pędzie. Stoczyły się z hałasem ku korytu rzeki i znieruchomiały, tym razem za sprawą siły naturalnej.

W tłumie przebiegł cichy, a potem coraz to narastający jęk zdumienia i ulgi. Za to pełen wyłącznie zdumienia wrzask wydali z siebie czarni nadzorcy na wielkich koniach.

- Brać ją! - wykrzyknął donośnie jeden z nich i w ciągu paru sekund Czarownicę, z wtuloną w nią Panienską otoczyło sześciu jeźdźców na koniach z długimi batami w rękach.

- Czarownica! Czarownica...! - zachichotał radośnie przywódca. - Mamy wreszcie prawdziwą, najprawdziwszą Czarownicę!

- O panie, ten chłopak, Kisbe, nie ma nic z tym wspólnego - wyszeptwała szybko Czarownica, zginając kornie plecy. Jednak, o dziwo, nie spadł na nie bat. W oczach Najeźdźców zadowolenie ze schwytania Czarownicy przemieszane było z nabożnym lękiem. Bowierni - jak sami ujrzeli - była to prawdziwa Czarownica. Obawiali się jej magicznej sztuki i choć przez nich osaczona, wydawała się im groźna. W końcu dopiero co, dwie, trzy minuty wcześniej dowiodła swej ogromnej mocy.

- Panie, puść tego chłopca - prosiła tymczasem Czarownica. - Nie znam go. Przybiegł do mnie w strachu, pozwól mu wrócić do jego rodziny.

Przywódca przez chwilę zdawał się wahać i gdy już ruchem ręki nakazał, by oderwać chłopca od Czarownicy i puścić wolno - mały, chudy i zabiedzony człowieczek z tłumy, kłaniając się uniżenie, powiedział:

- O panie, nie wierz tej wiedźmie. Ten chłopak nie jest stąd i przybył tu wraz z nią. Pamiętam to doskonale. Na pewno jest jej pomocnikiem. I zapamiętaj, panie, że byłem ci wierny!

Obserwujący to wydarzenie tłum bezgłośnie zakołysał się i wzburzył. Mały człowieczek potoczył rozpaczliwie oczami po swoich rodakach i dodał błagalnym głosem:

- ... moja żona i dzieci umierają z głodu...

Tłum wydał z siebie ciężkie westchnienie litości - i pogardy. Czarownica spojrzała na niego i spojrzeniem szarych oczu połączonym z dyskretnym uśmiechem wąskich

warg przekazała mu znak przebaczenia. Jedynie Panienska patrzyła na donosiciela z pogardą i nienawiścią. Przywódca Najeźdźców zaśmiał się donośnie i rzucając małemu człowieczkowi niewielki pieniążek, zawołał:

- Do więzienia! Oboje do więzienia! A obchodźcie się z nimi w miarę łagodnie, gdyż mogą się jeszcze przydać!

Jeźdźcy zawrócili swe wielkie konie i otaczając ze wszystkich stron Czarownicę z Panienką pognali je w stronę Miasteczka. Biegły obie, ledwo łapiąc oddech i kalecząc stopy, a ich związane dłonie przytrzymywał długi sznur, przywiązany do siodła jednego z koni. Przewracały się, wstawały i znowu biegły. Tak znalazły się na Rynku, a po chwili zostały wepchnięte do podziemi Ratusza, gdzie zatrzasnęły się za nimi grube, żelazne drzwi.

Panienska rozejrzała się: znajdowały się w ciasnej, mrocznej klitce, wilgotnej i brudnej, zbudowanej z dużych, spojonych gliną kamieni. Jedynym źródłem światła było małe, okratowane gęsto okienko, umieszczone niemal pod sufitem. Klitka, choć z pozoru pusta, była jednak pełna cichych odgłosów, stępań, drapania, pisków.

- Szczury - mruknęła Czarownica. - Mam nadzieję, że się ich nie boisz.

- Nie - odparła obojętnie Panienska, rozglądając się cały czas wokół.

- Dlaczego podbiegłaś do mnie, zamiast uciekać? - spytała Opiekunka. - Czy uczyniłaś to, bo... bo chciałaś być ze mną?

- Chyba zrobiłam to odruchowo, bo zawsze byłam z tobą lub z którąś z twoich Sióstr - powiedziała Panienska i nadal rozglądała się po ich więzieniu. Z jednej z niewielkich szpar wyszedł spory szczur i wspiął się na jej nogę. Panienska schwyciła go i patrząc mu w oczy spytała w mowie zwierząt:

- Czy jest tu możliwość innego wyjścia niż przez te żelazne drzwi?

- Znasz naszą mowę - stwierdził szczur z szacunkiem. Nie ma tu żadnego wyjścia. Przez nasze korytarze nie przecisniesz się, a zresztą one nie wiodą na zewnątrz. Jak zresztą taki duży człowiek może zmniejszyć się do rozmiarów największego nawet szczura?

- Znasz takie zaklęcie? - spytała Panienska Czarownicy.

- Och, oczywiście, ale nie użyję go. Sama słyszałaś, że ich korytarze nie wprowadzą nas na dwór.

- Ale zawsze jest to jakaś szansa!

- Nie uczynię tego. Każda z nas, Czarownic, ma prawo do użycia trzech magicznych sztuk w ciągu całego swojego życia w celu ratowania samej siebie. Ja już zdażyłam wykorzystać wszystkie trzy. Więc siebie ratować nie mogę, a nad tobą właśnie się zastanawiam.

- Więc dlaczego odmówiłaś swojej Siostrze, Czarownicy Drugiej, wzięcia jednej z jej sztuk! Pamiętam to doskonale! - obruszyła się Panienska.

- Gdyż ona powinna mieć takie same szansę jak ja odparła chłodno Opiekunka.

- A nie sądzisz, że ja sama mogłabym przemienić się w szczura i wyjść szczurzym korytarzem gdzie bądź w Ratuszu, a potem wysmyknąć się jakoś w szczurzej postaci na zewnątrz?

- Mogłabyś - odparła Czarownica. - Ale nie ma pewności, czy potem byłabyś władna odczarować się z powrotem. Widzisz, wtedy gdy grozi naprawdę duże niebezpieczeństwo, zdarza się, że pewne zaklęcia jakby na złość nie działają. Zwłaszcza gdy służyć mają tobie samej, a nie innym ludziom. I gdy wypowiada je uczennica Czarownic, a nie ona sama.

- Ależ dlaczego?!

- Nasza czarodziejska magia przed tysiącami lat zaistniała po to, by czynić przy jej pomocy dobro innym. Taka też była tradycja Akademii, w tym duchu kształciła ona wszystkie uczennice. Uczono tam też, zgodnie z doświadczeniami tysięcy lat, że magia używana wyłącznie dla własnej korzyści często zawodzi. Istnieje zatem ryzyko, że pozostaniesz w postaci szczura do końca życia, albowiem nie miałaś do tej pory okazji, by spłacić Wielkiej Magii swój dług, czyniąc coś dobrego innym, nie sobie. Mnie zaś z tobą nie będzie, gdyż tylko ja mogłabym cię odczarować, bo czyniłabym to nie na własną, ale na twoją korzyść. Pojmujesz to?

- Taka magia nie przydaje się na nic! Jest głupia i bez sensu! - syknęła Panienska, a szczurek, trzymany cały czas przez nią w rękach, nagle ugryzł ją w palec.

- Co robisz?! - krzyknęła z gniewem i rzuciła małe zwierzątko na ziemię.

- Wyczułem w tobie wiele złości i bałem się, że mi coś zrobisz - odparł szczurek. - Rzucając mnie o ziemię, chyba wywichnęłaś mi palce u tylnej łapki. To boli...

- Idź sobie wreszcie - rzekła niecierpliwie Panienska. Czarownica zmarszczyła brwi patrząc na swą uczennicę i w milczeniu rzuciła na ziemię połowę swojej wieczornej kromki chleba, którą do tej pory trzymała w kieszeni. Szczurek porwał ją łapczywie i pobiegł podziemnym korytarzem do swej nory.

- Zbyt łatwo i pochopnie wpadasz w gniew - ostrzegła ją Czarownica. - A gniew twój nie spada na prawdziwych winnych, ale na przypadkowe istoty. Będziesz musiała to zmienić - dodała surowo.

- Jeśli zdążę przed śmiercią - mruknęła Panienka w odpowiedzi.

- Poślę szurka, żeby wywiedział się jakie plany mają Najeźdźcy wobec nas - szepnęła Czarownica i przywołała szare zwierzątko magicznym zaklęciem.

Szczurek przybiegł i stanął w oczekiwaniu na dwóch tylnych łapkach, wpijając w nią swe czarne, malutkie, przypominające koraliki oczy.

- Czy któreś z twoich sióstr i braci zna język ludzi? spytała.

- Tak, siostra Uymks. Dużo czasu spędza w tutejszej kuchni, więc nauczyła się ich języka.

- Czy mógłbyś poprosić ją, by podsłuchiwała, co Najeźdźcy mówią o naszym przyszłym losie?

- Dla ciebie, pani, zrobię to z przyjemnością. Widać, że lubisz i szanujesz wszystkie żyjące istoty, nie tylko swój ludzki gatunek - odparł szczurek rzucając równocześnie kosę spojrzenia na Panienkę.

Gdy zniknął, Czarownica spytała swą wychowankę:

- Czy opłacała się poprzednia złość, którą wyładowałaś na niewinnym zwierzęciu? Ten szczur nigdy nie spełniłby twojej prośby, a moją spełnia chętnie.

- Gdyby nie spełnił mojej, za karę zamieniłabym go... zamieniłabym go w pluskwę!

- I cóż osiągnęłabyś tą przemianą? Nadal żadne z jego sióstr ani braci nie przyniosłoby ci potrzebnych wieści!

Panienka zamilkła na chwilę, a potem szepnęła niechętnie:

- Masz rację. Mnie samej nie podoba się to co zrobiłam.

Wąskie wargi Czarownicy rozchyliły się w słabym uśmiechu. Westchnęła z ulgą, jednak długa zmarszczka przecinająca jej czoło nie wyprostowała się. Czarownica rozmyślała nad ocaleniem swej wychowanki. Dla siebie nie widziała już żadnej szansy - poza Wielką Tajemnicą Czarownic, ale ta spełniała się jedynie w ogniu stosu.

- Nie mogę uwierzyć w twoje opowieści o zakazach i świętych Prawach Magii - podjęła nagle Panienska. - Przecież raz, będąc jeszcze z twoją poprzednią Siostrą, zamieniłam się w kotkę i bez żadnych trudności powróciłam do swojej postaci?

- Widać nie groziło ci wówczas naprawdę wielkie niebezpieczeństwo - odparła Czarownica. - Lecz nie radzę ci dokonywać tego po raz drugi, zwłaszcza gdy żadnej z nas przy tobie nie będzie. Nawet gdybyś biegła nie wiem jak szybko, w postaci szczura, nie osiągnęłabyś i tak Wysokich Gór przed zachodem słońca. Sama wiesz, że po tym terminie pozostałabyś na zawsze szczurem. Ciągłe myślę nad tym, co mogłabym zrobić dla ciebie, tak aby to było rozsądne i bezpieczne.

- Więc myśl. Ja też się nad tym głowię. Chciałabym jednak wyprowadzić nas obie z tego więzienia. I to nim będzie za późno.

- Czyżbyś mnie lubiła? - uśmiechnęła się Czarownica.

- Chyba tak, nie zastanawiałam się nad tym - odparła wychowanka, nie dostrzegając skurczu, który przebiegł przez twarz jej Opiekunki. - Czuję jednak, że będziesz mi jeszcze potrzebna. Nie mogę cię utracić.

- Odpocznijmy chwilę, mamy jeszcze trochę czasu - odparła oschle jej Opiekunka i usiadła w kącie mrocznej celi. Zapadło długie milczenie. Po godzinie dało się słyszeć delikatne drapanie pazurków i przed czarownicą stanęły dwa szczury.

- To jest moja siostra Uymks - powiedział większy ze szczurów. - Ona opowie ci, co zdołała usłyszeć.

- O pani - podjęła ochotczo szczurzyca. - Słyszałam od mego brata, że znasz nasz język, więc jak przypuszczam, jesteś naprawdę Czarownicą. Tradycja wielu tysięcy lat głosi, że Czarownice nigdy nie uczyniły krzywdy żadnemu ze zwierząt, przeciwnie, pomagały im w potrzebie. Stąd wnoszę, że to drugie ludzkie stworzenie nie jest Czarownicą...

- Nie jest - przytaknęła zapytana.

- Gdyby nią była, nigdy nie rzuciłaby naszego brata na ziemię w taki sposób, że potłuł sobie tylne łapki - mówiła dalej Uymks. - A skoro nie jest czarownicą, lecz jedynie ludzką, pełną słabości wad istotą, więc wybaczymy jej razem z bratem nieopanowane odruchy.

Pomimo mroku panującego w celi Czarownica dojrzała kątem oka rumieniec rozlewający się na twarzy jej wychowanki. "Szczurza nauczka była na pewno lepsza niż moja" pomyślała z satysfakcją. Panienska poruszyła się gwałtownie, zaś szczurzyca spytała:

- Czy ta ludzka, biedna istota chce przeprosić mojego brata?

- Chcę go przeprosić - szepnęła Panienska. - 1 powiem ci, Czarownico, że teraz... że dopiero teraz zaczynam rozumieć ludzi z Miasteczka... I wiem... to znaczy chciałam powiedzieć, że wiem już, iż jestem bardziej do nich podobna niż sądziłam. Czułam się od nich lepsza, a nie jestem... nie mam prawa czuć się lepsza.

- Nie jesteś za to głupia - powiedziała szczurzyca. - Umiesz przyznać się do błędu. A teraz posłuchajcie: wasi wrogowie bardzo długo klócili się co mają z wami zrobić. Jedni, a była to niestety większość, żądali, żeby was od razu spalić na stosie, nie czekając aż uknujecie jakąś magiczną sztukę, która was ocali. I już, już wydawałoby się, że to zdanie przeważy, kiedy cały spór przeciął ich przywódca, mówiąc: "Wiecie, że nasz pan i władca, sam Urgh XIII żąda, żeby każdą schwytaną Czarownicę prowadzić przed jego oblicze, zanim zostanie spalona." Na to inni zawołali: "Cóż z tego?! Zawsze potem okazuje się, że Urgh zamiast nas nagrodzić, karze surowo, gdy czarownice są fałszywe! Spalmy tych dwoje od razu i będzie spokój!" Na to rzekł dowódca: "Urgh obiecał worek złota za prawdziwą Czarownicę". Wtedy oni ryknęli: "A za fałszywą topór lub baty!" Wówczas rzekł znowu dowódca: "Niczym nie ryzykujecie, worek złota jest pewny, na własne oczy widziałem, czego ta kobieta, być może na spółkę z tym chłopcem, dokonała: wstrzymała na kilka sekund spadającą z wysokiej góry kamienną lawinę potężnych głazów!" Po jego słowach podniósł się wrzask, ale już wtedy wszyscy byli za tym, że jednak jest prawdziwą Czarownicą i worek złota jest już w ich kieszeniach. Jeśli jednak dobrze pojęłam ich słowa, postawienie was przed Urghiem nie ocali wam życia, a co najwyżej nieco przedłuży. Władca będzie z wami rozmawiać, ale potem i tak będziecie spalone. Nie pojmuję tylko, czemu ci wrzaskliwi ludzie biorą tę dziewczynę za chłopca. Czyżby z powodu tych krótkich włosów?

Doprawdy, nie mają żadnego instynktu, bo naszym zdaniem to stworzenie ludzkie jest n i a. Każde zwierzę od razu to poczuje.

- Dziękujemy ci Uymks i tobie także, bracie szczurze rzekła Czarownica. - Kto wie, może wymyślimy jakiś sposób ratunku, mamy jeszcze bowiem trochę czasu...

- ... nawet całkiem sporo - dorzuciła szczurzyca. - Z tego, co usłyszałam, teraz wyrusza do Urgha konny posłaniec, aby zawiadomić go o was i spytać, co z wami uczynić. Zanim posłaniec wróci z odpowiedzią, zapewne minie ta noc, a może i kawałek poranka. Wówczas jednak już nie będzie dla was ratunku...

- Dziękuję wam jeszcze raz - odparła spokojnie Czarownica. - Zostawcie nas teraz same, żebyśmy się mogły zastanowić nad swoim losem i szansami ucieczki...

- Niczego nie wymyślicie - pokręciła łebkiem szczurzyca. - Ten loch jest mocny i dobrze pilnowany. My nie umiemy wam pomóc. Mimo to życzymy szczęścia. Zajrzymy tu jeszcze o świcie, żeby pożegnać się z wami. Głowę daję, że jeszcze tu będziecie...

Czarownica z powrotem usiadła w swym kącie i zamyśliła się głęboko. Panienska przez jakiś czas obserwowała ją z nadzieją, ale gdy Opiekunka nie zwracała na nią uwagi, pograżyła się we własnych, niewesołych myślach. Jeszcze nigdy w jej niemal szesnastoletnim życiu niebezpieczeństwo nie było tak realne i bliskie.

ROZDZIA XV

Konny posłaniec mknął chyżo po drogach i bezdrożach dawnego Wielkiego Królestwa, aby jak najszybciej dotrzeć w pobliże Ardżany. Była już druga godzina w nocy, gdy na zmęczonym koniu dotarł do skraju Dżungli, porastającej ruiny dawnej stolicy. Tu skręcił w stronę warownego Zamku na zboczu skalistej góry. Nim opadł zwodzony most, posłaniec wykrzyczał na drugą stronę głębokiej, wypełnionej wodą fosy: "Siła Urgha!" - i z tętentem końskich kopyt przebył ostatnią przeszkodę. Hasło, zmieniane prawie co wieczór, obowiązywało dopiero od roku, gdy lęk i podejrzliwość władcy Imperium, Urgha XIII rosły wraz ze zbliżaniem się, wieszczonego przez Pieśń Jedyną, Dnia Wyzwolenia. Urgh, nie wiedząc którędy i jak nadejdzie Groźba Pieśni, podwoił straże u bramy, zamkowej gwardii nakazał nie odstępować swojej osoby, gdy opuszczał komnatę i wprowadził owe co noc zmieniane hasła, obowiązujące przy wejściu i wyjściu z Zamku.

Gdy przybył konny posłaniec, Urgh XIII nie spał. W przeciwieństwie do swych poprzedników na tronie Imperium, którzy zasypiali ledwo złożyli głowę na łożu - ostatni z Urghów cierpiał na bolesną bezsenność. Chodząc wielkimi krokami po komnacie noc w noc przeklinał swoich przodków, wielkich Urghów z kolejnych dwunastu pokoleń za to, że właśnie on, trzynasty z rzędu, urodził się w tak fatalnym czasie. On, Urgh, urodził się w Czas Przepowiedni głoszonej przez Pieśń Jedyną. Wszyscy jego poprzednicy na tronie słuchając jej słów zżymali się, karali śmiercią śpiewaków, palili na stosach Czarownice, prawdziwe i fałszywe - ale spali spokojnie. Nie za ich życia miała się bowiem spełnić prorocza Pieśń. A najistotniejszą, uderzającą cechą plemienia Najeźdźców było życie z dnia na dzień - i niezawracanie sobie głowy przyszłością.

Urgh XIII doskonale pamiętał dzień śmierci swojego ojca. Znowu widział przed oczami siebie, kilkunastoletniego chłopca - i zakutego w zbroję potężnego Urgha XII. Do ostatka, do samej śmierci nie pozwolił zdjąć z siebie zbroi i umierał stojąc, wsparty na swym mieczu.

- Byłem żołnierzem i jako żołnierz umrę - ryczał swym sługom, gdy nadaremnie nakłaniali go, by zrzucił z siebie niewygodną stal i położył się w łożu. Była to zima i na kominku płonął ogień, odbijając się purpurowymi refleksami od złocistego pancerza ojca.

- Ostatnia taka spokojna i dobra śmierć w naszym rodzie! - zaśmiał się nagle Urgh XII zsiniałymi wargami. - Ty, mój mały, nie będziesz mieć ani spokojnego życia, ani tak dobrej śmierci, we własnej komnacie, przy ciepłym kominku. Ciebie zabije Pieśń

Jedyna, bowiem właśnie dla ciebie została ona stworzona. Cóż, mój maty, masz pecha. Siedem setek, siedem dziesiątków i siedem lat od podboju przez nas Wielkiego Królestwa minie właśnie za twego panowania. I jeżeli ta przeklęta Pieśń nie myli się, jest naprawdę Pieśnią wieszczą... ha! mój maty! ciężki będzie twój los!

Śmiech zamarł mu na ustach i głowa nagle opadła na piersi. Urgh XII skonał, oddając swe dziedzictwo synowi. Dziedzictwo obciążone klątwą Pieśni, którą ułożył nie wiadomo kto i nie wiadomo kiedy - a która miała się spełnić za życia jego, ostatniego z panujących Urghów, Urgha XIII... Nie, Urgh XII nie śmiał się z syna, ani nie cieszył się nieszczęściem, które miało spaść na jego głowę. Po prostu jak każdy Urgh nie umiał nikomu współczuć i uważał, że każdy musi sam, twardo, porać się ze swym losem. Nieuniknione zaś - jest Nieuniknionym.

... ale właśnie dlatego Urgh XIII nie mógł spać i nocami chodził po swojej komnacie, rozmyślając nad sposobami zaradzenia Nieuniknionemu. Nic jednak nie wymyślił. Ani on, ani jego doradcy, ani nawet najchytrzejszy z nich, zdrajca i zaprzaniec własnej krwi, Woodou. Jedyne co umiał robić, to podwajać warty wokół siebie i zwiększyć armię, wcielając do niej wszystkich, co do jednego swoich podwładnych. Więc też armia ta była najpotężniejszą ze wszystkich w całej ośmiowiekowej historii trwania jego rodu w tym podbitym kraju.

Ba, była to armia wielokrotnie większa niż ta, która kraj podbiła! Poza jej, szeregami pozostali jedynie dawni obywatele Wielkiego Królestwa i to nie wszyscy. Wielu bowiem zdradziło, jak Woodou i oddało swoje usługi kolejnym Urghom. Niektórzy z nich z pokolenia na pokolenie trwali przy Najeźdźcy jako słudzy, nawet zdołali zapomnieć, jaki był ich ród - i mówiły o tym jedynie tajne akta na Zamku w Ardżanie, gdzie nigdy nie zapomniano, kim są w rzeczywistości.

- Panie, przybył posłaniec - przerwał nocne rozmyślenia króla podniecony głos Woodou. - Ma wieści, które może cię zaciekawią, a nawet ucieszą...?

- Dawaj go - burknął Urgh.

Posłaniec przykląkł na jedno kolano i chwiejąc się, umęczony długą drogą bez odpoczynku, wyjąkał:

- Panie, w naszym Miasteczku, w lochu, trzymamy Czarownicę i jej pomocnika, chłopca w wieku około szesnastu lat. Czy mamy ich spalić, czy też...

- Durniu! Od dawna rozesłałem wici do wszystkich moich wodzów, że szukam Czarownicy! Na stos zawsze jest czas! Gdzie ona? W lochu, ale gdzie? I jak daleko?

- Pół nocy gnałem konno, bez przerwy - wykrztusił posłaniec.

- Więc teraz pojedziesz drugie pół nocy razem z moją gwardią. Jej i tylko jej oddacie Czarownicę z chłopcem. A resztą chłopiec mi nie jest potrzebny. Możecie go od

razu zabić. Ważna jest Czarownica. Choć nie wierzę, aby była prawdziwa. Podsyłacie mi stale same fałszywe!

- Panie, ta jest najprawdziwsza w świecie - wyjąkał posłaniec. - Daję ci na to własną głowę jako gwarancję.

- A cóż takiego zrobiła, by nazywać ją od razu Czarownicą? Zatrula wasze studnie? Zrzuciła z konia waszego dowódcę? - zakpił ponuro Urgh.

- Nie, panie. Ona wstrzymała na kilka sekund lawinę potężnych głazów, toczącą się ze stromego zbocza.

- Cooo?! - wrzasnął Urgh. - 1 dopiero teraz mi to mówisz? Byłaby to w takim razie najprawdziwsza z Czarownic! A nie jedna z tych, jakie mi tu dziesiątkami sprowadzał ten nędzny Woodou. Wiedziałem! Wiedziałem, że Pieśń Jedyna nie może kłamać w każdym wierszu, jak chcą mi niektórzy wmówić. Skoro Pieśń głosi, że Czarownice istnieją, i między innymi za ich sprawą dopełni się Przepowiednia, to muszą być! Jadę z wami! Woodou! Osiodłać mi konia i zebrać oddział najdzielniejszych żołnierzy z mojej osobistej gwardii!

- Tak, panie, ale radziłbym na razie nie zabijać tego chłopca ... rzekł Woodou i wyszeptał coś swemu władcy prosto w duże, czerwone ucho.

- Nie wierzę ci! Ale i tak na wszelki wypadek obedrzemy go żywcem ze skóry, a potem spalimy! - huknął tubalnie Urgh i wybiegł z komnaty, nim Woodou go powstrzymał.

Po chwili już w Zamku, mimo nocy, panował wielki ruch. Nie minął nawet kwadrans, gdy konny oddział ruszył przez zwodzony most.

- Kiedy powinniśmy znaleźć się w twoim Miasteczku? zapytał władca posłańca.

- W niewiele godzin po wschodzie słońca, o ósmej rano najpóźniej...

I noc na drogach Wielkiego Królestwa rozstąpiła się od końskich kopyt.

* * *

Szarzało. Ale jeszcze na niebie było widać ostatnie gwiazdy - Wymyśliłaś co? - Panienska niecierpliwie przerwała parogodzinne milczenie Czarownicy.

- Nie. Przewertowałam w pamięci wszystkie Księgi Magiczne, z których ongiś pobierałam nauki, ale nie znalazłam niczego. Jest jedna, ale bardzo ryzykowna możliwość. Uratuje ci na pewno życie, ale kto wie, czy nie przekreśli tego co ważniejsze... Mimo wszystko w ostatniej chwili, gdy już nie będzie czasu na nic, tylko na śmierć, przemienię cię w tak małego ptaszka, który prześliznie się przez te kraty.

Jako ptaszek pofruniesz wysoko w góry, gdzie pożegnałaś moją Siostrę Drugą. Tam musiałabyś poczekać kilka dni, aż pojawi się Siostra Czwarta i ufać Najwyższym Bogom, że uda się jej ciebie odczarować. Ale kogo w ptaka przemieniono i oderwał się od ziemi, najczęściej już na zawsze pozostaje w chmurach i na ziemię nie wraca. Gdyby mojej Siostrze Czwartej przydarzyło się jakieś nieszczęście i nie stawiała się na umówione spotkanie, zostałabyś jako ptak, do końca swego życia. O ile wiem, nie znasz zaklęcia przemiany z ptaka w człowieka. Moje siostry miały zakaz uczenia cię zaklęć związanych z ptakami, gdyż są one niebezpieczne i wolno je używać jedynie Czarownicom. A i to tylko raz w całym życiu. Dlatego na ogół zostawiamy je na Godzinę Stosu...

- Godzinę Stosu...? - spytała Panienka.

- Tak. W Godzinie Stosu, jeżeli nie uda się nam jej ominąć w swym życiu, w chwili gdy pierwsze płomienie ognia ogarną nasze ciało, przemieniamy się w ptaka i wyfruwamy z płomieni lecąc w Wysokie Góry. Tam pozostajemy do końca swego życia wiodąc życie wolnych, ale niemych ptaków. Nawet najbieglejsza z Czarownic nie jest w stanie porozumieć się z Siostrą Ptakiem. Niemota jest zapłatą wobec Losu za Dar Życia. I to jest właśnie Wielka Tajemnica Czarownic.

... a jednak twoja Siostra Druga przemieniła się w orła! Sama to widziałam na własne oczy - odparła Panienka. - To prawda, miała potem kłopoty, nie mogła wrócić do własnej postaci i ja musiałam jej trochę pomóc, ale udało się wrócić do ludzkiej skóry.

- Och, biedna Siostra... - oczy Czarownicy Trzeciej niepokojąco zamglily się. - A zatem w Godzinie Stosu nic nie ustrzeże jej przed straszliwą męką. Biedna, widać chciała w ten ostateczny sposób ratować ciebie, ryzykując bezpowrotną utratą najcenniejszego daru. Tak, mogła to uczynić jedynie dla ciebie, choć groziło jej, że pozostanie już na zawsze tam, w nieboskłonie, blisko Wysokich Gór i Gwiazd...

Panienka nagle drgnęła:

- Powiedziałaś Gwiazd? Gwiazdy... o Bogowie...

Podbiegła szybko do malutkiego, zakratowanego gęsto okienka. Szarzejące już niebo było zeń ledwie widoczne, ale jeszcze mrugały na nim ostatnie złotosrebrzyste Gwiazdy.

- ... Gwiazdy! Jeszcze tam są, ale wkrótce znikną. Tylko one mogłyby nam pomóc!

- Co mówisz?

- Zamilcz na chwilę - mruknęła Panienka, wspinając się ku okienku. - Chodź tu bliżej i spoglądaj na tę dużą, mrugającą Gwiazdę, błagając ją w myślach o pomoc. Nie ustawaj ani na chwilę...

- ... ach tak - szepnęła Czarownica Trzecia. - Siostra Druga wspominała mi o twojej przyjaźni z Gwiazdami. Więc wystarczą moje myśli?

- Wystarczą, byle skupiły się na tej jednej, jedynej: myśli o ratunku. Twoja i moja myśl pomkną w przestrzeni daleko, daleko, aż dotrą do tej Gwiazdy. Gwiazda, jeśli zechce, zrozumie je. Jeśli będzie miała taki kaprys, to spełni prośbę dwóch Ziemianek, lub też zlekceważy ją, uda, że wcale jej nie słyszała. A teraz myśl. Myśl całą sobą...

I w lochu zapadło ciężkie, pełne napięcia milczenie. Oczy dwóch więźniarek utkwione były w złotym, migocącym punkcie na coraz to bardziej szarzącym niebie. Ich pełne intensywnej rozpaczmyśli gęstniały, skupiały się w niewidoczną falę powietrzną i szybowały w przestrzeń. Były szybsze niż dźwięk i światło, gdyż tylko myśl może w paru sekundach pokonać niezmierzone obszary i nic nie będzie dla niej przeszkodą - chyba że trafi na inną myśl, silniejszą od siebie. Ale w tym akurat czasie nikt na ziemi nie próbował przesyłać swych myśli Gwiazdom i Niebieska Droga była wolna.

Oczy obu więźniarek nie odrywały się od złotego punktu na niebie, które szarzało, szarzało, szarzało... a potem zaczęło niebieszczeć. I wówczas złocisty punkt zniknął sprzed ich oczu.

Spojrzały na siebie.

- Usłyszałaś odpowiedź Gwiazdy? - spytała z napięciem Czarownica.

Panienka pokręciła głową.

- Nie. Za mało czasu miała na odpowiedź.

- Ona zniknęła. Wszystkie zniknęły. Niebo rozjaśniło się - powiedziała Czarownica. - A skoro ich tam nie ma, to nie mogą nam pomóc. Zaraz wzejdzie słońce.

- One są tam cały czas - powiedziała Panienka. - Tylko nie widzimy ich za dnia. Jeśli nas usłyszały...

- Jeśli zechcą... szepnęła Czarownica. - Są przepełnione poczuciem swej ważności?

- Nie. Są równie potężne i zarazem równie biedne jak Ziemia. Może znając swój bezmiar kłopotów, zechcą pojąć nasze... ?

Słońca jeszcze nie było widać zza murów Ratusza, ale jego pierwsze promienie już padały na Rynek, rozświetlając go i ujmując nieco smutnej brzydoty i śladów zniszczeń.

- Mówiłem, że jeszcze tu będziecie! - usłyszały za sobą pisk szczurzyca. Stała na tylnych łapkach razem ze swym towarzyszem. - Wiedziała, że nie ma dla was ratunku. Nikt stąd nie wyjdzie, może tylko ptak...

- ... malutki ptaszek - poprawił szczur. - Kraty w oknie są gęste. A przemiany w szczura lub myszkę jednak nie radzę, bo moi bracia i siostry nie lubią obcych.

W lochu panowało milczenie. Szczury wyczuwając swą zbędność zniknęły. Czarownica i Panienska siedziały nieruchomo i w ciszy. Niebo za wąskim okienkiem błękitniało i rozświetlało się złościście od ciągle niewidocznego z lochu słońca.

- Jeszcze poczekamy - szepnęła Czarownica. - Ale gdy już nie będzie innego wyjścia, przemienię cię w ptaka. Uczynię to jednak w ostatniej chwili. Do samego końca dam szansę Losowi.

- A ty? Co z tobą?

- Mnie nic nie pomoże. Mówiłam ci, że wykorzystałam już prawo do trzech sztuk magicznych we własnej obronie. Zostało mi jedynie prawo przemiany w ptaka w Godzinie Stosu. Dziękuję Bogom i za tę łaskę.

Czas mijał. Znowu zapadło milczenie. Obie więźniarki odczuły daremność swych starań i przygnębione oparły się o ścianę lochu. Czarownica bezsilnie przymknęła oczy, zaś Panienska z ponurym żalem wpatrywała się w snop coraz jaskrawszego światła, spływający do ich celi z małego okienka. W promieniach słonecznego blasku wyraźnie widać było drobinki kurzu, wirujące w powietrzu i wielką, gęstą pajęczynę rozsnutą w jednym z kątów. Pająk jednak - zamiast siedzieć przycupnięty w jej sieci - gnał szybko w stronę krat okienka na swych długich, zgiętych nogach.

- On ucieka, a my... - wyszeptała Panienska ze smutkiem. Pająk właśnie zniknął z drugiej strony gęstej kraty. Czarownica otworzyła oczy i spytała z zaciekawieniem:

- Dlaczego ucieka? Jego pajęczyna jest mocna, bezpieczna, więc czemu ją porzuca? I czemu robi wrażenie oszalałego ze strachu?

Nagle znowu zjawiły się szczury. Stały na tylnych łapkach a ich długie wąsy drżały nerwowo:

- Żegnamy was - powiedziała szybko szczurzyca. - Nasze przednie straże już wryły wyjście na zewnątrz ratusza. Tu zaczyna być niebezpiecznie. Więc uciekamy wszyscy, cały nasz tutejszy szczurzy ród.

- Niebezpiecznie? Co masz na myśli? - spytała Czarownica.

- Nie wiem, ale wszyscy, ilu nas jest, wyczuwamy coś groźnego, co zbliża się coraz szybciej i szybciej. Jedyne co wiemy, to że musimy stąd jak najszybciej uciec. Wiesz

chyba, że szcurzy ród wyczuwa niebezpieczeństwo już na długo przedtem, zanim ono się stanie i na przykład opuszcza statek na oceanie przed jego zatonięciem? Teraz właśnie mamy przecucie, że tutaj i to szybko stanie się coś bardzo groźnego dla naszego życia. Żegnajcie!

I szcurzy zniknęły w jednej z dziur.

- Spójrz - szepnęła Czarownica. - Te karaluchy też uciekają. Cała ich armia, która tkwiła bezpiecznie w tej celi przez długi czas, porzucają teraz i pędzi z całych sił, wciskając się we wszystkie szczeliny...

- Ja też zaczynam dziwnie się czuć - odparła cicho Panienska. - Mam takie uczucie, jakby zaraz coś miało się stać. Coś bardzo groźnego, ale...

- ... ale nie dla nas. Tak. Też tak to odczuwam - odparła Czarownica. - Spójrz, szaleje bardzo silny wiatr, prawie jak huragan, a zerwał się tak nagle i niespodziewanie... Jedno z nielicznych drzew, które tu jeszcze stoi, przegina się, mimo grubego pnia, niemal ku ziemi. Spytam tego drzewa, co się dzieje...

Czarownica przytknęła twarz do kraty i wbiła wzrok w tańczące na silnym wietrze konary drzewa.

- Ono mówi - zaczęła monotennie - że do Miasteczka zbliża się duża gromada jeźdźców. Jadą coraz szybciej, gdyż wiatr im sprzyja, nie muszą pokonywać jego oporu. Ale ten wiatr, mówi drzewo, jest bardzo dziwny. Nic wcześniej go nie zapowiadało, nie wyczuła jego nadejścia żadna roślina. Korzenie tego drzewa, które sięgają daleko w głąb, gdyż liczy ono sobie prawie dwieście lat, wyczuwają w Matce Ziemi napięcie, jakiego od wieków nie czuły. Ono jeszcze mówi, że Matka Ziemia zaczyna się ruszać, tam, głęboko, u jego korzeni...

- Ziemia zaczyna się ruszać...? - spytała Panienska. - Dziwne doprawdy. Nigdy nie słyszałam o ruszającej się samej z siebie ziemi... Słyszysz? Z oddali już dochodzi tętent kilkudziesięciu koni. To pewnie jadą po nas żołnierze strasznego Urgha... Ale Ziemia... tak... ja teraz też czuję, że Ziemia się rusza...

Rzeczywiście, ziemia ruszała się. Ta pod ich nogami i ta wokół Ratusza, w którego lochu tkwiły. Ruszała się co prawda wolno, ale dziwnie, to pęczniąc w jednym miejscu, to zapadając w innym, ale jej ruch zaczynał niemal niedostrzegalnie z początku, a potem coraz widoczniej przyśpieszać... przyśpieszać... przyśpieszać...

- Spójrz - szepnęła Czarownica, obejmując Panienskę swym opiekuńczym ramieniem.
- Wielkie głązy, z których zbudowane są ściany naszego lochu, też zaczęły się ruszać...

- Nie wytrzymują ruchu ziemi, zaczną się rozsypywać odparła Panienska równie cicho.

- Tak - rzekła wolno Czarownica. - Te głazy tego nie wytrzymają. Chyba wkrótce runie jeden lub dwa, a wówczas... wówczas runą mury naszej celi, a zaraz potem cały Ratusz...

Nagle ich uszu zaczęło dobiegać głuche dudnienie, które wydobywała z siebie Matka Ziemia, kotłując się i przewalając coraz silniej i silniej, szybciej i szybciej. Wydawało się, że pod ziemią ktoś gra na setkach, ba, tysiącach potężnych bębnow!

- Ależ to jest trzęsienie ziemi! - oznajmiła zdumiona Czarownica. - Tylko raz w życiu widziałam coś takiego, bardzo, bardzo dawno temu, w Wysokich Górach! Jeżeli to jest właśnie to, grozi nam ogromne niebezpieczeństwo! Ziemia w każdej chwili może rozewrzeć się pod naszymi nogami, wpadniemy w jedną z głębokich szczelin, która natychmiast się nad nami zamknie! Albo też umrzemy pod gruzami tego gmachu! Dziwne, ale jednak nie mam przecucia śmierci... Spójrz! Ściany lochu się rozstępują i czynią nam przejście! Biegnij!

- To spowodowały Gwiazdy! - krzyknęła Panienska, skacząc równocześnie zręcznie przez ruiny ściany, która przedtem dzieliła ich od wolności. - Nie pojmujesz? To one uczyniły, dla nas! Dały nam szansę! Burzą mury, które nas uwięziły!

Gdy tylko obie znalazły się na zewnątrz, gmach Ratusza, jak dziecinna zabawka z kart, runął, zapadając się w sobie i grzebiąc na wieki tych Najeźdźców, którzy nie zdążyli go opuścić. Jednak prawie wszyscy, tyle że bez swych zbroi i mieczy, tłoczyli się przerażeni z dala od wzburzonej ziemi, patrząc na ruiny. Unoszący się wokół gęsty pył uniemożliwił im dostrzec dwie więźniarki, przemykające teraz ulicami, byle dalej od Miasteczka. Tak dziwnie się złożyło, że w kierunku, który winny obrać Opiekunka ze swoją wychowanką, ziemia była nieruchoma, drzemiąca, obojętna. W przeciwnym zaś kierunku, skąd najeżdżali właśnie gromadą Najeźdźcy z Urghiem XIII, falowała nadal, rozwierała pod kopytami koni rozległe przepaście, to znowu wybrzuszała się, strasząc je tym bardziej. Nie słuchając nawoływań jeźdźców konie rozpiechły się we wszystkie strony.

Ale tego już Panienska z Czarownicą nie widziały. Biegły teraz bowiem ostatnią z uliczek Miasteczka, prowadzącą prosto do nowego mostu. Żaden z Najeźdźców nie mógłby ich gonić, bowiem dzieliła je od nich bariera ciągle wzburzonej ziemi. Uciekinierki nie wiedziały też, że trzęsienie ziemi objęło swą mocą jedynie teren wokół Ratusza, nie uszkadzając żadnego z domów w Miasteczku i nie czyniąc krzywdy jego mieszkańcom.

- Pod gruzami tego Ratusza leży twoja Czarownica, Panie - szepnął Woodou swemu władcy. - Zapewne martwa. Wątpię też, by ocalał chłopiec, jej pomocnik. Swoją drogą, ciekawi mnie, kim był...

- Głupcze! - warknął Urgh, powściągając wodze swego oszalałego ze strachu konia. - Jeśli to była prawdziwa Czarownica, a wszystko na to wskazywało, na pewno

zdażyła uciec! Kto wie, czy to nie ona sama wywołała te straszliwe tańce Ziemi i zburzenie Ratusza! A ten, kto ją schwyta wykrzyknął nagle potężnym głosem - otrzyma w nagrodę worek złota i tytuł generała!

Żołnierze stali jednak bezradnie, nie mogąc nadal przekroczyć granicy gniewnej, skotłowanej ziemi. Zagradzała im ona drogę właśnie w stronę mostu. Nad gruzami Ratusza powoli opadał pył.

Czarownica z Panienką nie nękanie żadną pogonią opuściły Miasteczko i szybkim krokiem wędrowały do czerniejącego na horyzoncie Lasu. Już nie widziały, jak ziemia ułagodziła się, znieruchomiła, a grupy żołnierzy rozproszyły się we wszystkich kierunkach, szukając uciekinierów. Wówczas były jednak one na tyle daleko, że wszelka pogoń nie była im groźna. Oto bowiem rozwierała się przed nimi zbawcza, zielona brama Lasu.

ROZDZIAŁ XVI

Zielona brama Lasu... Próg utkany z gąszczu borowiny i mchu; odrzwia uformowane z grubych konarów dębu i /wieńczenie z korony drzew - a zaraz potem ledwo widoczna wąziutka ścieżynka, wijąca się głęboko w gęstwinę i wiodąca niechybnie do wody, gdyż wydeptały ją lekkie nogi saren, zajęcy i lisów.

- Lesie, mój kochany Lesie! Witaj wolności! - wołała Panienska, przytulając twarz do białych, brzozowych pni, by zaraz potem tarzać się we mchu, obmywając w nim miejski kurz i brud, który - choć z pozoru niewidoczny - przeniknął jej w ciągu ostatniego roku głęboko pod skórę.

Czarownica spoglądała na nią z uśmiechem pełnym pobłażania, ale widać było, że i ona cieszy się widokiem bezpiecznej zielonej głuszy.

- Nienawidzę miast i uwięzionych tam ludzi! - krzyczała Panienska najgłośniejszym jak umiała, po całym, długim roku niespokojnych szeptów, niespokojnych spojrzeń, strachu, czy aby ktoś nie podsłuchiwał ich słów, niespokojnych myśli i snów pełnych koszmarów.

- Te miasta i ludzie byli kiedyś zupełnie inni - przypomniawszy jej z wyrzutem Czarownica. - I sama czytałaś o tym w Księżce Wielkiej i Mniejszej. Nie oni zawinili, że ich domy to teraz nędzne, ubogie klatki, a ulice miast to pułapki pełne wrogów. Cały rok uczyłam cię współczucia dla ich doli, czyżby nic w tobie z niej nie zostało?

- Och, daj mi spokój! Nareszcie jestem znowu wolna i nawet nie chcę pamiętać tego co było! - zawołała jej zniecierpliwiona wychowanka. - Chodźmy lepiej szybko do źródła i obmyjmy w nim wszystkie ślady tamtego okropnego życia!

Czarownica zmarszczyła brwi, a na twarzy jej pojawił się wyraz smutku i zwątpienia, ale nic nie mówiąc podążyła za szybko biegnącą Panienką. Ścieżka już gdzieś po

godzinie doprowadziła je do bystrej strużki wody, sączącej się wzdłuż spiętrzonych, omszałych głazów. Zdjęły swoje długie, proste suknie, wyprały je w źródlanej wodzie i ułożyły do suszenia na słońcu. I choć poprzeczna długa zmarszczka nie zniknęła z czoła Czarownicy, widać było, że i jej ogromną ulgę sprawiło obmycie się lodowatym, przezroczystym strumykiem. Odrośnięte już kędziory Panienki znowu zalśniły pszenicznym złotem. Przyciemniona orzechowym sokiem twarz rozjaśniła się, poróżnowiała, a szaroniebieskie oczy rozświetliła tak wielka radość, że nie przypominały już nieba przed burzą - ale niebo tuż po niej.

W spojrzeniu obserwującej wychowanek Czarownicy mieszały się wzajem to uznanie dla jej urody, zdrowia, pełni życia - to niepokój połączony z dziwnym smutkiem.

- Jak długo tu zostaniemy? - spytała ta nagle. - Chciałabym jak najdłużej!

- Całe życie? - spytała Czarownica. Panienka namyślała się chwilę.

- Tak... chyba tak... Nie... Nie wiem. Może całe życie to zbyt długo, ale... pół życia?

Czarownica westchnęła. Długa zmarszczka nie zniknęła jej z czoła, przydając jej oczom smutku i gniewu.

- Nie jesteś lisem, sarną ani wilkiem, żeby zawsze żyć w lesie. Jesteś człowiekiem i musisz nauczyć się żyć wśród ludzi. Musisz pojmować ich biedę, kłopoty, troski...

- Nawet jeśli ludzie żyjący gromadami we wsiach i miasteczkach są niewolnikami, a wy, Czarownice, chowałyście mnie na wolną istotę?! I taką właśnie jestem?!

- Tym bardziej - odparła Czarownica. - Właśnie dlatego, że nosisz w sobie iskrę wolności, powinnaś żyć wśród tych biednych, zniewolonych ludzi. Właśnie dlatego.

Panienka zamilkła. Po dłuższej chwili spytała z udawaną obojętnością:

- Co dalej? Gdzie teraz pójdziemy?

- Za trzy dni mijają twoje kolejne urodziny. Skończysz szesnaście lat. Przystaniesz być Panienką, która dopiero co wyrosła z dziewczynki, a wcześniej z Dziecka. Daję ci jeden dzień i jedną noc na radość obcowania z Lasem, a potem powędrujemy w Wysokie Góry, na spotkanie z moją Siostrą Czwartą.

- Ileż was jest, tych Sióstr... - westchnęła kapryśnie Panienka. - Czy całe swoje życie będę przechodzić z rąk jednej do drugiej i nigdy to się nie skończy? Czy nigdy nie będę sama decydować o swoim losie?

- Jest nas tylko pięć - odparła chłodno Czarownica Trzecia i biorąc swój bury płaszcz oddaliła się w głąb Lasu.

Panienka siedziała w milczeniu, patrząc, jak woda spływa szybko wśród kamieni, coraz niżej i niżej.

- ... to małe źródło przemienia się w stróżkę, stróżka w strumyk, a ten zaś w rzeczka. Rzeczka, zgarniając sąsiednie strumyki przeobraża się w rzekę, aby potem, na nizinach, rozlać się szeroko, szeroko... Tak niewiele z pozoru tej wody tu, w źródle, a ileż w niej siły, jaka moc... - myślała mrużąc sama do siebie. Było jej przykro. Wyczuła, że zraniła swoją Opiekunkę.

- Mogłabym, tak jak ta woda, zostać w tym małym zagłębieniu źródła na całe życie. Słowem - zostać w Lesie. Byłoby mi dobrze, źródłanie czyste i bezpiecznie. Ale mogę też wybrać inną drogę, jak tamta stróżka, która spływa coraz niżej i niżej po głazach, rozlewając się coraz szerzej, i płynąc ciągle naprzód i naprzód, coraz dalej i dalej, nie wiadomo gdzie, wydrążając coraz szerszy i głębszy ślad. I kiedyś będę musiała wybrać, już bez ich pomocy. Ale jeszcze nie wiem, co wybiorę - wyszeptła Panienka do siebie.

Jej słów słuchał tylko mały, przycupnięty na najbliższym głazie szary ptak, przekręcając główkę to w lewo, to w prawo. Gdy jednak Panienka chciała wyczytać coś z jego oczu - nie udało się jej to. Zdziwiona swą nieudolnością, patrzyła, jak ptak rozwija skrzydła i znika.

- To mogła być jedna z ich Sióstr, jedna z tych, które nim spalono na stosie, przemieniły się w ptaka i już nigdy nie wrócą do ludzkiej postaci. W dodatku są ptakami niemymi - wymruczała Panienka.

- Tak - odparła Czarownica za jej plecami. - Oby tylko nie była to Siostra Czwarta lub Piąta. Wówczas mogłoby zdarzyć się nieszczęście o wiele większe niż śmierć.

- Jakie nieszczęście?

- ... ale to nie była żadna z nich, gdyż chyba bym to wyczuła. A zatem była to jedna z tych, które zginęły sto, trzysta lub nawet siedemset lat temu - mówiła dalej Czarownica.

- Pytałam, jakie nieszczęście? Że straciłabyś Siostrę?

- O wiele większe - odparła Czarownica. - Że straciłabym nadzieję. Nie tylko ja. Wszyscy, którzy żyją w tej ponurej krainie.

I urwała w taki sposób, że Panienka nie odważyła się spytać o nic więcej...

Cały ten dzień i taką część nocy, ile tylko mogła wytrzymać bez snu, Panienka poświęciła na cieszenie się Lasem. Gonila po drzewach wiewiórki i przemieniała je na mgnienie oka w małe szyszki, by potem z powrotem uchwycić w dłonie puszystą rudą kulkę i dostrzec jej radość, gdy znowu śmigala wśród drzew.

Przytulała się do grubych pni świerków, sosen, brzoź i dębów, słuchając, jak płyną w nich ożywcze soki. Rozmawiała z ptakami, wypytując je o to, co widzą, gdy wzbijają się wysoko w chmury. Ba, przywołała nawet strzygi, żeby namówić je do wspólnej zabawy, ale te tylko zachichotały i zniknęły. Gdy kładła się w mchu, przykładając ucho do ziemi - słyszała, jak ziemia jęczy i wzdycha, jak wrze pod nią życie, nie mniej intensywne, niż to na ziemi.

- Tam, pod ziemią, są całe światy, równie wielkie jak nasz - powiedziała Czarownicy. - Są światy mniejsze, jak świat mrówek, kretów czy nornic, ale wyczuwam, że głębiej są też światy ogromne i mroczne, których nigdy nie powinno się budzić ani przywoływać na ziemię. Wydaje mi się, że to właśnie one, na prośbę Gwiazd, wywołały trzęsienie ziemi w Miasteczku. Gdybym wówczas wiedziała, jak te Moce są potężne i groźne, nigdy bym się na to nie ważyła...

- Musisz Gwiazdom podziękować za pomoc, jeszcze tej nocy - przypomniała jej Opiekunka. - A mroczny świat Podziemia jest tematem, którego lepiej nawet nie poruszać. My, Czarownice, przynajmniej raz w życiu musimy - nie ciałem, ale swym duchem - zejść tam, do Królestwa Podziemi, do Prastarych Mocy, które ongiś jako jedyne rządziły tym światem i wieloma innymi światami. Nasz duch wchodzi tam wówczas, gdy po długim używaniu Daru Magicznego lub trwonieniu go, Dar ten słabnie. Wtedy jedyna szansa, by go odzyskać, to zstąpić do Królestwa Podziemi i napić się z krynicy mądrości Prastarych Mocy, tak aby ich nie obudzić. Ale to straszna wyprawa... Proszę cię jeszcze raz, żebyś pamiętała o Gwiazdach.

I rzeczywiście: gdy tylko zapadła noc i na niebie pojawiły się pierwsze złotosrebrzyste punkciki, Panienska usiadła na omszałym głazie i wpatrując się w granatowe niebo przesłała Gwiazdom słowa wdzięczności.

- Tak... tak... tak... - pulsowały Gwiazdy. - Tak... tak... zrobiliśmy to dla ciebie, małej ludzkiej istoty, gdyż nie zagrażało to substancji Ziemi. Święte są bowiem Prawa Kosmosu i nikomu nie wolno ich naruszać. Możemy wpływać o tyle na losy ludzi, o ile zmiana ta nie narusza losów planet. Jesteśmy więc w stanie spełniać prośby małe, takie jak twoja, ale nie wolno spełniać takich, które mogłyby zmienić losy Kosmosu...

“Szkoda, że nie mogę być astrologiem - myślała Panienska. - Obcowanie z Gwiazdami jest o tyle ciekawsze niż przebywanie wśród ludzi. Ale gdy dorosnę i wyzwolę się spod ich wpływu, będę astrologiem, i już.”

Spała tej nocy bardzo krótko, gdyż żał jej było każdej chwili spędzonej w Lesie, po długim, ciężkim roku życia w Miasteczku. Skoro świt wyruszyły dalej, w stronę Wysokich Gór. Wędrując, Panienska zauważyła, że tym razem zbliżają się do nich od innej strony niż poprzednio.

- Za każdym razem od innej strony - wyjaśniła jej Opiekunka. - Zapewne nie zapamiętałaś, ale byłaś już w trzech różnych stronach dawnego Wielkiego Królestwa. Gdy osiągniemy serce Gór, tym razem udasz się w kolejną, czwartą stronę, na Północ.

- Wolałabym zostać w Górach - westchnęła Panienska. Wielkie Królestwo jest nudne, ciągle tylko wsie i Najeźdźcy, miasteczka i Najeźdźcy, miasta i Najeźdźcy, i niewola, niewola, niewola. Wolność w dawnym Wielkim Królestwie jest tylko w Lasach i Wysokich Górach.

- Siedemset siedemdziesiąt pięć lat temu wolność była wszędzie, w każdym zakątku kraju, zarówno w największym mieście, jak i w najmniejszej wiosce. Była w sercach mężczyzn, kobiet, dzieci, starców. Nie trzeba jej było szukać w Lasach i Górach - powiedziała surowo Czarownica. - 1 kto wie, może nadejdzie dzień, w którym wolność wyjdzie z Lasów i Gór, rozprzestrzeni się po całym kraju i znowu nastanie Wielkie Królestwo.

- A któż ma tego cudu dokonać? - spytała kąpiąco Panienska. - Gwiazdy? A może ty lub ja?

- Może Gwiazdy, a może ty lub ja? - uśmiechnęła się Czarownica.

Wędrowały teraz wyżej i wyżej, nie spotykając poza zwierzyną żadnej żywej istoty, nie widząc choćby w największej oddali czarnych sylwetek Najeźdźców. Tych noga nigdy tu nie stała. Tak jak bali się mrocznej czeluści Lasów - żywili zabobonny lęk przed Wysokimi Górami. Oni - potomkowie kolejnych Urghów i ich wasali - mieli we krwi step, długie konne wędrówki po równinach, gdzie już z oddali widać było każde niebezpieczeństwo, jakie tylko mogłoby im zagrozić. Wieczni koczownicy - choć żyli w podbitym przez siebie Wielkim Królestwie prawie osiem długich wieków - nadal woleli rozjeżdżać konno po równinach i dolinach podbitego państwa, niż osiąść gdzieś na stałe lub zbliżyć się do groźnych Lasów i Wysokich Gór. Zabraniali też tego swym zniewolonym poddanym - i co jakiś czas przesiedlali całe ludzkie gromady, całe wsie lub miasteczka z ich dotychczasowych siedzib w inne miejsce, trzymając je zarazem z dala od Lasów i Gór. Jakby bali się, że Lasy i Góry wchłoną ich niewolników i nigdy nie zwrócą. A niewolnicy byli Urghom niezbędni: to oni siali, orali, uprawiali ziemię, żywiąc całe watahy Urghowej armii. To oni pracowali w pocie czoła w licznych kopalniach, przy budowie domów i baraków, warowni i fortec, w warsztatach tkających sukno, robiących buty, szyjących odzież. Tylko wytwarzanie broni Najeźdźcy pozostawili wyłącznie sobie. Dzięki pracy podbitego narodu Wielkie Królestwo, choć niemiłosiernie grabione, ciągle istniało. Urghowie umieli tylko niszczyć - i korzystać z cudzej pracy. Mieszkańcy dawnego Wielkiego Królestwa znali smak pracy i nie brzydzyli się go, choć praca pod batem pachołków Urgha nie była pracą wolną, dającą ludziom szczęście i satysfakcję. Była pracą niewolniczą, której owoce spożywali nie oni, ale ich wróg.

... więc Panienska z Czarownicą, nie nękanie żadnym pościgiem, wędrowały swobodnie coraz dzikszą, górską krainą, napotykając jedynie lisy, sarny, wilki, niedźwiedzie. Ale żadne z tych zwierząt nie zwracało na nie uwagi, ani zagrażało ich życiu. Nawet największe drapieżniki, żyjące w najdzikszych górskich ostępach wyczuwały już z daleka charakterystyczny - na szczęście tylko dla nich, nie dla każdego zapach Czarownic i zostawiały je w spokoju. Owszem, przychodziły na każde skinienie ich ręki, bez obawy i z dumą, ale na wszelki wypadek wołały je omijać z daleka, by nie usłyszeć jakiejś niewygodnej dla siebie prośby, która mogłaby naruszyć ich swobodę.

Wędrowniczki szły dwa dni i dwie noce, odpoczywając co jakiś czas, a parę godzin nocnych śpiąc u podnóży drzew, otulone swymi grubymi płaszczami. Żywiły się, jak zwykle, leśnymi owocami, suszonym mięsem i chlebem - wyciąganymi bez ograniczeń z przepastnego worka Czarownicy - a nawet plastrami miodu, które wiedźma bez obawy zabierała dzikim pszczołom.

- Chleb i mięso w waszych workach nigdy się nie kończą, tyle że jest się po nich niemal od razu z powrotem głodnym - zauważyła z przekąsem Panienska.

- Twoje podejrzenia są słuszne! - zaśmiała się Czarownica.

- Tylko mała częśćka naszego pożywienia jest prawdziwa i rzeczywiście zaspokaja głód. Reszta to magiczne suchary i magiczne mięso. Tworzę je dla nas z Niczego, więc choć żując, czujemy ich smak, dają one tylko magiczne nasycenie, a nie prawdziwą sytość. W rzeczywistości jesteśmy nadal głodne, choć nie od razu to czujemy. Byłoby jednak niebezpiecznie żywić się tylko magią, dlatego w moim worku zawsze jest trochę prawdziwego jedzenia, ot, tyle byśmy nie pomarły z głodu. Więc ten plaster miodu to dla nas prawdziwe bogactwo!

Panienska zauważyła, że im bliżej była gór, tym bardziej zmieniała się sylwetka jej Opiekunki. Niemal z godziny na godzinę prostowała się, wzrok jej jaśniał, a z twarzy znikwały zmarszczki.

- Ile masz właściwie lat? - spytała w zadumie. - Zapewne nie ma na to odpowiedzi?

- Nie ma. Czarownice nie mają wieku. Ich ciało zużywa się, jak wszystkie ciała, ale o wiele wolniej niż ciało zwykłego człowieka. Lecz ich pamięć i umysł są bezdenne, w niczym nie ograniczone czasem i nie starzeją się nigdy.

- Więc co robi Czarownica, gdy jej ciało mimo wszystko postarzeje się nieodwołalnie i musi wreszcie umrzeć? - spytała niecierpliwie Panienska.

- Znacznie wcześniej, niż to nastąpi, każda z nas znajduje uzdolnioną magicznie uczennicę. Oczywiście, musi ona wyrazić zgodę na wybranie losu Czarownicy, gdyż nie każda dziewczyna pragnie takiego życia, mimo że jest ono parokrotnie dłuższe. Jest to jednak żywot bardzo samotniczy, pamiętaj o tym. Żadna z nas nie ma męża,

dzieci, rodziny. Żadna nie ma prawa pokochać jednego tylko człowieka, czy choćby jedno tylko zwierzę. Musi kochać wszystkich równo i równo obdarzać swymi darami. A skoro kochamy wszystkich, nas nie kocha nikt. Ludzie pragną mieć czyjaś miłość na wyłączność i tylko wówczas ją odwzajemniają.

- Więc w dniu, w którym nadejdzie śmierć twego ciała, wchodzisz duchem i umysłem w ciało młodej dziewczyny? zdziwiła się Panienka, a w jej oczach pojawił się niepokój i zarazem satysfakcja.

- Tak. Moje ciało umiera długo, powoli stygnie, a coraz chłodniejsze dłonie trzymają żywe, ciepłe ręce wybranej dziewczyny. Nasze oczy wpatrują się w siebie tak długo i intensywnie, aż wreszcie w momencie całkowitej śmierci mojego ciała, ja staję się nią. I wówczas jej oczy, jakiego by nie były koloru, przebarwiają się w szare. Moje martwe ciało, które żyje przeciętnie trzysta lat, w okamgnieniu rozsypuje się w proch i znika, bowiem wiatr porywa go i rozsypuje daleko, daleko. Niektóre drobiny trafiają do ludzkich siedzib, niekiedy w postaci pyłu wpadają komuś do oka. Jeśli jest to dziewczyna, pyłek kiełkuje w niej stając się zalążkiem przyszłego magicznego daru. Ale zdarza się to bardzo rzadko. Dlatego znalezienie utalentowanej uczennicy - następczyni jest bardzo trudne, a niekiedy nawet niemożliwe. Wówczas Czarownica umiera naprawdę, a wraz z nią znika bezpowrotnie jej cała wiedza i magiczne talenty. A wiedza ta i talenty nie są jednakowe wśród wszystkich Sióstr, zawsze coś je różni.

Panienka uśmiechnęła się domyślnie:

- ... rozumiem. Cały czas okłamywałyście mnie. Lecz, jak widzę, twemu ciału daleko jeszcze do trzystu lat...? Czy nie za wcześnie zatem wybrałaś mnie na siebie?

Czarownica roześmiała się.

- Nie, nie wybrałam cię na siebie, ani ja, ani żadna z moich Sióstr, które przecież kolejno opiekowały się tobą! Zapewniam cię, że każda z nas ma jeszcze co najmniej ze sto lat czasu na szukanie następczyni!

- Więc ja...? Kiedy się dowiem, do czegoż jestem wam potrzebna?

- Do spełnienia - mruknęła Czarownica i przyspieszyła kroku. Panienka już wiedziała, że nie dowie się ani słowa więcej.

Krajobraz stawał się coraz dzikszy i piękniejszy w swej surowej, naturalnej urodzie, nie tkniętej ręką człowieka. Nie tkniętej...? Panienka przybywała w te strony po raz trzeci. Najpierw była ośmioletnim dzieckiem, potem Dziewczynką trzynastoletnią, wreszcie Panienką. Teraz miała lat szesnaście. Ale oczy Panienki już nie były oczami Dziecka czy Dziewczynki i widziały więcej. Kraina Wysokich Gór jawiła się jej teraz inaczej. I Panienka nagle odkryła, że ta dzika okolica jednak nosi na sobie ślady pradawnej działalności człowieka. To co ongiś brała jedynie za chaotycznie spoczywające jeden na drugim głazy, dziś w jej oczach przyoblecło się w kształt ruin.

Jeszcze można było dostrzec pozostałości okrągłej wieży, zarys szerokich schodów, ślad po fundamentach jakiejś potężnej, niezwykle rozległej komnaty, którą jakby w pół przecięła wysoka, samotna skała.

... a więc tu, wysoko w Górach, stała kiedyś, przed wiekami jakaś budowla. Dziwna budowla, zapewne nie zwykła ludzka siedziba, skoro czyjeś ręce postawiły ją tu, z dala od ludzi, łąk, pastwisk, uprawnych pól. Teraz to tylko ruiny. Nie... nie tylko. Panienska ma uczucie, że tu ruiny nie są zwykłym zwałowiskiem kamieni, że ta dziwna budowla wciąż żyje, choć uległa całkowitemu zniszczeniu - a w formie tego życia jest coś niepojętego. Jest w niej jakiś wielki, niemal zimowy chłód - i zarazem bujne, gorące, wiecznie żywe namiętności, drzemiące gdzieś, głęboko skryte.

- To musiała być świątynia - mówi głośno Panienska a echo odpowiada jej:

- To jest świątynia.

Nie, nie echo. To wysoka dojrzała kobieta o śniadej twarzy i szarych, niemal stalowych oczach. Ubrana jest w taki sam budy, żebraczy płaszcz jak Czarownica Trzecia i wygląda niemal jak jej siostra. Jest jej Siostrą.

- Witaj, droga Siostrze Czwarta! - mówi Trzecia z wyraźną radością. - Cała, zdrowa i w ludzkiej postaci. Jak to dobrze!

- Nie musiałam stawać się ptakiem, choć dotarła do mnie smutna wieść, że nasza Siostra Druga, pragnąc ratować tę istotę odebrała sobie ów bezcenny dar, przemieniając się w orła - odparła Czarownica Czwarta. - Ale ciebie, droga Siostrze, widzę taką, jaką chciałabym zawsze oglądać. Więc to jest moja wychowanka...

- Tak, to ja jestem Panienką - mówi Panienska wyniośle, choć sama nie wie czemu.

- Nie jesteś już Panienką. Jesteś Dziewczyną - poprawia ją tamta spokojnie. Wyniosłości jakby nie dostrzegła.

- A jakie jest moje imię? - pyta szybko Dziewczyna. Przecież każda istota ludzka w Wielkim Królestwie nosi jakieś imię! Posiadają je Najeźdźcy, ba, mają je psy i koty, jeśli tylko przyplątały się do ludzi. Czy nie pora, bym wreszcie i ja poznała swoje imię? Dziecko... Panienska... teraz Dziewczyna. Mam tego dość!

- Poznasz swoje imię za rok - odpowiada spokojnie Czarownica Czwarta. - Gdy na nie zasłużysz.

- Więc idźcie sobie teraz tam, w te ponure ruiny i obgadajcie mnie! Obmówcie! Zawsze to czynicie! Mruczycie swoje tajemnice bez końca, patrzycie na mnie podejrzliwie, a w waszych oczach maluje się to gniew, to podejrzliwość, to znowu zawód! - zawołała Dziewczyna. Wraz z mianem Dziewczyny poczuła się nagle doroślejsza, pewniejsza siebie i gniewna, wręcz zła o tę jakąś przekłętą tajemnicę,

której żadna z Czarownic nie zamierzała jej zdradzić. Jej imię? Jej przyszły Los, skoro nie miała być ich następczynią? Słowa Pieśni Jedynej? I wreszcie, dlaczego to właśnie one zajmowały się nią cały czas, jak własną córką?

- W naszych oczach nie maluje się podejrzliwość, ale smutek, gdy się tak zachowujesz - szepnęła Czarownica Czwarta.

- Nie wiem, czyja to wina, może i moja? - powiedziała jakby zmartwiona Trzecia. - A może i Pierwszej, i Drugiej, i moja także? Lub też ona już taka jest i żadna z nas nie popełnia błędów, ale to Los odciska swoje piętno na jej osobie?

Dziewczyna spłoszyła się. Gniew Czarownic przyjęłaby z otwartym czołem. Ich smutek ją przygnębił.

- Przepraszam - szepnęła. - Porozmawiajcie swobodnie, a ja pochodzę po tych dziwnych rumach...

Dwie wysokie postacie w burych długich płaszczach spoglądały w ślad za nią z głęboką troską w szarych, przejrzystych oczach.

ROZDZIAŁ XVII

W szarych oczach Trzeciej z Czarownic, żegnającej swą wychowankę, tak jak w oczach dwu poprzednich zamigotało na krótko coś na kształt żalu, gdy ta, nie odwracając głowy, powędrowała z nową Opiekunką wąską ścieżką wśród głazów. Trzecia Czarownica jeszcze długi czas śledziła wzrokiem wysmukłą, niemal chłopięcą sylwetkę dawnej Paniarki, zaś Paniarka - dziś już Dziewczyna - szła szybkim, sprężystym krokiem u boku Czarownicy Czwartej, śledząc z ukosa wyraz jej twarzy. Niczego jednak nie umiała się dopatrzeć. Z pewną urazą dostrzegła, że choć pragnęła wyrzucić jak najlepsze, najciekawsze wrażenie, chyba się jej to nie udało. Twarz nowej Opiekunki była spokojna, ale pochmurna.

- Mówiłyście, że te ruiny to świątynia? - przerwała wreszcie przykre, przedłużające się milczenie.

- Dawna Wielka Świątynia, do której dwa razy w roku wyruszały z całego kraju ogromne procesje mieszkańców Królestwa: na Święto Wiosny, które wypadało mniej więcej o tej porze i w Przeddzień Zimowego Snu - odparła Czarownica Czwarta. - Na czele procesji, która wyruszała ze stolicy Królestwa, Ardżany, szła zawsze cała królewska rodzina, świątynia była równie potężna jak otaczające ją wysokie, skaliste szczyty gór i sama też zbudowana z dużych, skalnych głazów, spojonych gliną. Nie była niczym ozdobiona; nie wisały w niej święte obrazy, nie stały święte posągi, nie leżały dywany, nie kapala od złota, srebra i drogich kamieni. Była tylko skałą, ziemią i gliną - wszystkim tym, co dała sama Matka Natura. Ale mimo to, a może właśnie dlatego była bardziej świątynna niż wszystkie najbogatsze świątynie całego

Wielkiego Królestwa razem wzięte. Jej zbudowane z potężnych głazów ściany otaczały bowiem Świąte Miejsce...

- ... skoro tak, to nawet jeśli zniknęły ściany i dach, Świąte Miejsce musiało pozostać? - zauważyła chytrze Dziewczyna.

- Mogą zniknąć ściany, dachy i schody, ale Świąte Miejsca, skoro są naprawdę świętymi, zniknąć nie mogą!

- Świąte Miejsce nie zniknęło, ale zostało ukryte - odparła Czarownica. - Tej Świątyni nie zburzył bowiem czas, wiatr, deszcze czy śniegi, ale trzęsienie ziemi.

- Trzęsienie ziemi?! - zawołała zaskoczona wychowanka.

- Tak. Siedemset siedemdziesiąt pięć lat temu, gdy Urgh I podbił już cały kraj, o jego uszy dopiero wówczas obita się wieść o Wielkiej Świątyni, wysoko w górach, kryjącej w swym wnętrzu Świąte Miejsce, które było sercem Wielkiego Królestwa i instrumentem jego władzy...

- Instrumentem jego władzy? - powtórzyła nie rozumiejąc Dziewczyna.

- Tak. Świątym Miejscem był po prostu Świąty Kamień, na którym stawali zawsze kolejni synowie królów, aby Ka - . mień mógł zdecydować, który z nich winien być następnym władcą...

- Więc to t u znajdował się Świąty Kamień - powtórzyła z najwyższym przejęciem Dziewczyna. - Był i go nie ma...?!

- Urgh I, niszcząc Wielkie Królestwo, zapragnął też zniszczyć jego serce i jego ducha, czyli Wielką Świątynię. Wojska Najeźdźców runęły w stronę Wysokich Gór, przepojone żądzą niszczenia i rabunku. Tak, rabunku, bowiem w głowach im nie powstało, że Wielka Świątynia może być tylko skałą, kamieniem, ziemią, gliną. Liczyli na duże i bogate łupy. Więc żołnierze Urgha gnali niemal na wyścigi w stronę, którą wskazali im zdrajcy, jacy zawsze znajdują się w każdym podbitym państwie. I wydawało się im, że nie ma nic prostszego, niż zdobyć nie bronioną przez nikogo Wielką Świątynię. Okazało się jednak, że była to jedyna przegrana bitwa Urgha, choć jego przeciwnikiem była nie armia, ale sama Matka Natura. Konie i żołnierze Urgha nie byli przyzwyczajeni do gór, lecz do stepowych równin. Nim jeszcze dotarli w pobliże Świątyni, już duża część armii musiała się wycofać. Konie w większości okulały, jedni żołnierze wpadali do przepaści, a innych zabijały na miejscu zsuwające się z niewiadomej przyczyny potężne głazy. Nie wiedząc nic o tym, wjeżdżając hałaśliwie całą armią w Wysokie Góry, obudzili Złe Echa górskie, które sprzysięgły się przeciw ich obecności i jęły ich straszyć swymi głosami. Gdy wreszcie, przetrzebieni, ale ciągle liczebni, dotarli blisko Świątyni, rozległo się nagle potężne, głuche dudnienie i ziemia zaczęła drgać pod ich nogami. Tam gdzie do tej pory była gładka droga, rozwierały się przepaście, do których wpadali, wraz ze swymi końmi,

przeżeni żołnierze, a wówczas ziemia nagle zwierzała się, zamykając ich w sobie na wieczność. I choć wszystko to razem trwało krótko, było tak pełne grozy, że pokonana przez Matkę Naturę armia Urgha I uciekła z przekłętego jej zdaniem miejsca, by już nigdy nie wrócić. Od tej pory cieszy się ono tak złą sławą, że choć mija prawie osiem wieków, żaden z Urghów ani jego żołnierzy nie postawił tu swojej stopy. Niestety, trzęsienie ziemi zniszczyło też świątynię. Runęły potężne głazy, tworzące jej ściany, ziemia nagle zapadła się, aby potem wybrzuszyć. Gdy wreszcie uspokoiła się, na powierzchni pozostały jedynie fragmenty fundamentów gmachu. Zaś tam, gdzie dawniej znajdowało się Święte Miejsce, jest dziś wysoka, skalista góra, której szczyt zdaje się sięgać chmur.

- ... a Święty Kamień? - niemal bez tchu spytała Dziewczyna, gdyż Kamień ów, gdy tylko usłyszała o Nim od swych Opiekunek, niezwykle mocno oddziaływał na jej wyobraźnię. Niekiedy zasypiając miała złudzenie, że Go widzi: potężny, omszały głaz, w kształcie wielkiej koleby...

- Święty Kamień zniknął wprawdzie z ludzkich oczu, ale istnieje nadal, w głębi góry. Góra jakby przykryła Go sobą. Chwilami wydaje się nam, Czarownicom, że Matka Natura specjalnie wraz z Prastarymi Mocami wywołała trzęsienie ziemi, by ukryć na zawsze Święty Kamień przed Najeźdźcami. Tak, że już nigdy żaden Urgh do Niego nie dotrze. Gdyby nawet udało mu się pokonać zabobonny lęk i dotrzeć w te okolice, musiałby zwalić całą potężną górę, aby dojść do Świętego Kamienia. Ale i wówczas mieliby przeciw sobie Matkę Naturę i tylko Bogowie wiedzą, co Ona by uczyniła.

- Więc chcesz powiedzieć, że już nikt i nigdy nie dotrze do Świętego Kamienia?! Że na wieki utkwiał w sercu tej skały?

- Powiedziałam, że nigdy nie dotrze do niego żaden Urgh - odparła z naciskiem Czarownica.

Szły dłuższą chwilę w milczeniu, spadzistymi, zielonymi halami, które spływały w dół i w dół, coraz dalej od Wysokich Gór. Pasły się na nich jelenie, kozice i sarny, przyglądając się wędrowniczkom podłużnymi, wypukłymi oczami.

- Nawet nie pytasz, dokąd zmierzamy? - spytała wreszcie Czarownica.

- Myślę... myślę, że wiem gdzie - odparła Dziewczyna. W oczach Czarownicy zabłysła ciekawość i nieme pytanie.

- Poznałam już wiele wsi i miasteczek. Znam Wielkie Lasy i Wysokie Góry... - zaczęła niepewnie Dziewczyna. - Wydaje mi się, że z jakiegoś powodu chcecie, żebym знаła całe Wielkie Królestwo, więc... Więc chyba idziemy teraz tam, gdzie mnie jeszcze nie było, do Ardżany, dawnej stolicy. Ale nie wiem po co i wydaje mi się, że to błąd.

- Błąd?

- Tak, narażamy się na jeszcze większe niebezpieczeństwo niż to, które groziło nam do tej pory - powiedziała Dziewczyna. - Przecież cały czas tropią nas Najeźdźcy. Nie wiem, czy tylko dlatego, że jesteście Czarownicami, czy też jeszcze z innego powodu. Wiem tylko, że gdy zbliżamy się do ludzkich siedzib, niebezpieczeństwo rośnie. W każdej ze wsi czy Miasteczek, w których byłam do tej pory, zawsze cudem ratowałyśmy się przed schwytaniem. W ostatnim z Miast wreszcie nas naprawdę schwytano i tylko Gwiazdy pomogły w ucieczce. Nawet twoja Siostra Trzecia była bezradna. Ileż razy Gwiazdy mogą pomagać? Nie sądzę, by można je było nudzić swymi prośbami częściej niż raz w życiu. A w stolicy będziemy narażone na niebezpieczeństwo bardziej niż gdzie indziej. I wreszcie pewnego dnia nie uda się nam uciec.

- Mimo to musisz poznać Ardżanę. I zapewniam cię, że zmienisz wówczas zdanie - odparła z uporem Czarownica. Dziewczyna zamilkła, wiedząc dobrze, że na razie to one, jej Opiekunki mają ostatnie słowo, a nie ona.

“Ale pewnego dnia” - pomyślała - “pewnego dnia pokażę im, że jestem od nich mądrzejsza...” Ledwo jednak pomyślała te słowa, na jej policzki wypełził rumieniec, gdyż ujrzała wpatrzony w siebie bystry i wszechrozumiejący, szary oczy swojej nowej Opiekunki. I choć nie było w nich śladu szyderstwa, Dziewczyna zawstydziała się.

Odpoczywając co jakiś czas, drzemiąc nocami po kilka godzin wśród wysokich traw, to znowu wędrując dalej i dalej, niestrudzone podróżniczki zbliżały się do niegdysiejszej Perły Miast, królewskiej Ardżany. Jeśli jednak parę wieków temu podróżny zmierzający do stolicy już z oddali widział jej białe wieże, wysmukłe i wysokie pałace, kamienice i publiczne budynki, zieleń ogromnych parków - to dziś Ardżana z oddali wyglądała jak śpiący nędzarnik okryty żebraczym płaszczem, skryty wśród bujnej i dzikiej zieleni.

* * *

Ajok, syn wielkiego Urgha XIII nudził się. Wprawdzie spełniło się jego największe marzenie, bowiem ojciec odesłał wszystkich groźnych i nienawistnych mu nauczycieli - ale w zamian chłopiec zyskał nadmiar wolnego czasu, z którym nie bardzo wiedział co robić.

Wątlej budowy, niewysoki, o jasnych, niemal dziewczęcych złotych kędziornach, Ajok w niczym nie przypominał swego walecznego ojca. Ba, nie przypominał w ogóle nikogo z jego rodu, czy choćby kogokolwiek z żołnierzy. Jeśli oni byli na ogół potężni, mocno zbudowani, o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych i mocnych szczękach, czarnowłosi, ciemnooczy i śniadzi - to on stanowił ich zupełne przeciwieństwo. Nawet jego Matczyne Imię było dziwaczne, jak na obyczaje Urghów. W rodzie tym, zanim syn z ręki umierającego ojca zyskał imię Urgha i kolejną liczbę, oznaczającą ciągłość panowania - nosił miano, jakim obdarzyła go przy urodzeniu

matka. Imiona te miały także swoją rodową tradycję - i brzmiały jak dźwięk oręża, groźnie, gardłowo, jak imię po ojcu. Matczyne imię jego ojca, nim objął władzę, brzmiało Krhak, a dziadka Agrht, pradziadka za lat chłopięcych wołano Werght. I tylko jego własne imię, Ajok, brzmiało śmiesznie łagodnie, niemal dziewczęco i zbyt śpiewnie jak na twardą mowę rodu jego ojców.

To imię, szczególnie w ustach jego ojca, zawsze brzmiało dziwacznie, ba, niemal pogardliwie. Chociaż nie... nie zawsze. Ajok doskonale pamięta, że jeszcze za życia matki, gdy on sam miał dziewięć, dziesięć lat - ojciec to imię wypowiadał z czułością i dumą. Wszystko zmieniło się potem, gdy matka umarła, a on, Ajok, został sam, pozbawiony jej uczucia, opieki i delikatności. A wkrótce potem opiekę tę przejęło czterech groźnych i brutalnych nauczycieli walki na miecze, walki na pięści, jazdy konnej i strzelania z łuku. Wtedy, nieomal z dnia na dzień, okazało się, że nie ma mowy, by Ajok nauczył się choćby jednej z tych straszliwych dla niego sztuk. Z konia spadał po parunastu metrach najpowolniejszego, końskiego truchtu. Ale też konie Urghów nie były koniami zwykłymi: kopały, gryzły, gnały jak wichry i słuchały tylko silniejszych od siebie. Każdy miecz, nawet najłżejszy, był dla niego zbyt ciężki. Wątpliwe ręce nie były zdolne napiąć ciężki haku, a walka na pięści przyprawiała go o taki strach, że na sam widok barczystego nauczyciela, Ajok chował się w najciemniejszy kąt komnaty.

Kto wie, może Ajok powoli i z trudem nauczyłby się co nieco z tego, co usiłovali wpoić mu nowi nauczyciele - gdyby przeskok nie był tak gwałtowny i okrutny. Prosto z objęć kochającej i czulej matki - do brutalnych, gwałtownych poszturchiwań i rozkazów; wprost ze świata baśni i poezji w świat okrutnych męskich zabaw. Ajok miał wówczas raptem dwanaście lat. Wtedy też słyszał z jej ust ostatnie baśnie i deklamował jej, w tajemnicy przed ojcem, swoje najnowsze wiersze. A potem matka umarła. Dziwna to była choroba, która ją zabrała. Wyglądało na to, że matka powoli umiera, usycha, jakby więdnąc w murach zamku, w którym osadził ją Urgh jako swą żonę. Splendory możnowładców nie dawały jej żadnej radości. Całymi dniami przesiadywała z Ajokiem w swojej komnacie i z jakąś ogromną tęsknotą wypatrywała czegoś przez okno. Gdy chłopczyk patrzył w ślad za jej wzrokiem, dostrzegał tylko jakieś skryte w dzikiej, bujnej zieloności ruiny. Dość późno, już po śmierci matki, dowiedział się, że te ruiny i ta zielona spowijająca je Dżungla to Ardżana, ongiś stolica tego kraju, jeszcze zanim przybyli tu wszechpotężni Urghowie. Ale tego dowiedział się po jej śmierci. Ajakowi wydawało się, iż umarła z jakiejś nieokreślonej tęsknoty, która była silniejsza od jej miłości do syna i wreszcie zabrała ją w sposób bezpowrotny.

Gdy matka umarła, niemal już w rok po jej śmierci próbował nieśmiało powiedzieć ojcu o swych wierszach; pokazać mu, że nie jest taką niezgugą, za jaką mają go tu wszyscy, gdyż umie pisać wiersze; prawdziwe, najprawdziwsze wiersze. Był to wiersz o matce, dzikiej róży, ostatnim z kwiatów kwitnących w ponurej warowni, której pozbawione zieleni kamienne mury musiały ją w końcu zabić. Ojciec wpadł wtedy w szal. Po raz pierwszy, choć nie ostatni zbił wówczas Ajoka swoim pejcem do konnej

jazdy i raz na zawsze zakazał "bełkotać te niedorzeczności, niegodne syna prawdziwych Urghów".

Ajok był niemal gotów spełnić wszystkie żądania ojca, bardzo pragnął go zadowolić - ale nie umiał i nie mógł. Nie umiał dorównać dzikością i siłą swym rówieśnikom - synom królewskich rycerzy - i nie mógł rozstać się na zawsze z tym, co łączyło go z matką: ze światem baśni i poezji. To matka dziecka nauczyła go patrzeć na świat swoimi oczami - nie ojciec, który pojawiał się rzadko, brzęcząc długim mieczem, tupiąc groźnie grubymi butami i krzycząc tubalnym głosem. Matka nauczyła go miłości do ptaków, zwierząt i roślin, a nawet owadów. Doskonale pamiętał, jak nie pozwalała mu zabić nawet pszczoły, czy rozdeptać mrówki, a każda jaskółka kojarzyła mu się z jej baśnią o Królowej Jaskółek, więc jak mógłby ćwiczyć się w łuku strzelając do nich...? To matka zaludniła jego dziecięcy świat wyobraźni dobrymi Czarownicami, mówiącym zwierzostanem w Wielkich Lasach i poezją, która frunie na skrzydłach ptaków, na chmurze niosącej deszcz, na warkoczach wiatru. Matka wreszcie nauczyła go pisać i czytać - co było rzeczą dość rzadką w królewskim rodzie Urghów, nie wspominając już o jego rycerzach. Tyle, że pismo matki było całkiem inne niż to, którym pisano rozkazy jego ojca...

... i była to pierwsza tajemnica, z jaką zetknął się mały Ajok. Długo nie umiał jej rozwiązać. Dopiero po śmierci matki, gdy został sam i zaczęły mu towarzyszyć nienawistne spojrzenia nauczycieli, narażonych na wieczne pogroźki Urgha za niemożność wykształcenia syna na prawdziwego rycerza - ze skapo rzucanych tu i ówdzie słów jęła mu się rysować odpowiedź na tę zagadkę. Była ona wręcz nieprawdopodobna: wydawało się - gdy zaczął układać tę łamigłówkę z podchwyconych słów i zdań - że jego ojciec, waleczny Urgh XIII, nie wahający zdać się nigdy, co należy czynić, popełnił niepojęty błąd, jaki - zdaniem jego rycerzy - mści się na nim do dziś. Otóż Urgh XIII zamiast pojąć za żonę jedną z plemiennych księżniczek swego rodu - co tradycyjnie czynili jego ojcowie i pradziadowie - ożenił się z ... niewolnicą! Uczynił swą małżonką mieszkankę tej podbitej krainy, którą pewnego dnia ujrzał w pobliżu swego Zamku. Z podsłuchanych szeptów i słówek Ajok zrozumiał, że jego ojcu nie zarzucano, iż zakochał się w niewolnicy. To było na porządku dziennym i wielu rycerzy nie tylko kochało swoje niewolnice, ale płodziło z nimi dzieci - lecz dzieci te także pozostawały niewolnikami. Jednak jego ojciec, Urgh XIII, ożenił się z tą dziewczyną! Uwiedziony jej czarem, stracił głowę i wziął ślub! Niektórzy rycerze przebąkiwali nawet, że było w tym fakcie coś z czarnej magii, coś czarnoksięskiego, że dziewczyna ta, matka Ajoka, po prostu powinna zostać spalona na stosie, a nie stanąć pod ślubnym baldachimem z ich władcą. "Zauroczyła go..." - mówiono.

Tym samym spłodzony z tego małżeństwa syn, Ajok, został jedynym i głównym spadkobiercą rodu. Ajok - mieszaniec, Ajok - syn niewolnicy, Ajok - półniewolnik następcą tronu!

Ajok nie dziwił się miłości ojca. Doskonale pamiętał Matkę - i mimo woli zawsze porównywał ją z żonami rycerzy Urgha. Matka - wysmukła, piękna, delikatna - i one: z reguły mocno przysadziście, mocno zbudowane, niemal męskie w obojętności, pokrzykujące rubasznymi głosami i władające mieczem równie sprawnie jak ich mężowie. Ale płodziły dzieci na miarę swych wojowniczych, drapieżnych rodów. Zaś Ajok był jak matka: wątpliwy, wrażliwy, delikatny.

- On jest karą za grzech Urgha przeciw rodowym nakazom - usłyszał raz ponury głos swego stryja, rozmawiającego ze stryjenką.

- Jest karą za waszą słabość do tych niewolnic - syknęła mściwie jego żona.

Ajok czuł się winny. Żał mu było ojca i jego zawiedzionych nadziei. Wiedział, że nie jest godny, by dziedziczyć po Urghu XIII podbite przez jego dziadów Imperium. Ani nie jest godnym, ani nawet nie byłby w stanie utrzymać tak ogromnego kraju w ładzie, dyscyplinie i posłuszeństwie. A zresztą jak mógłby ciemnieć rodaków swojej matki...?! Więc Ajok wcale nie dziwił się, że jego ojciec coraz cieplejszym wzrokiem patrzy na swego siostrzeńca, Warghra.

- Oby mu oddał kiedyś swój tron, może by mnie wówczas zostawił w spokoju - marzył Ajok w czasie uciążliwych i przynoszących mu wstyd lekcji fechtunku czy konnej jazdy, gdy tuż obok jego rówieśnik i zarazem kuzyn, Warghr, kręcił w powietrzu młynki potężnym mieczem.

Tak, Urgh XIII, jego ojciec, cierpiał przez niego, Ajoka więc choć chłopiec odczuł ogromną ulgę, gdy nauczyciele orzekli, iż nie ma co dalej trudzić się jego nauczaniem, czuł równocześnie żal i wstyd. Żal - że aż do tego stopnia zawiódł nadzieje i ambicje ojca, wstyd - że jest inny od wszystkich w swoim rodzie. Aż tak inny - że nie ma tu dla niego miejsca. Owszem, umie pisać wiersze - ale ktoś w rodzie Urghów lub wśród rycerzy ojca chciałby je czytać? Mógłby - czuł to wyraźnie - pisać całkiem dorzecznymi księgami o Matce Naturze, o której tyle nauczył się od swojej matki - ale królewscy Urghowie chlubil się panowaniem nad Naturą, a nie współżyciem z nią czy też - o Bogowie! - miłością do Niej! A zresztą rodowi Urghów księgi nigdy nie były potrzebne. Dlatego teraz Ajok tak ogromnie się nudzi, bowiem w całym Zamku nie ma ani jednej, choćby i najgłupszej księgi do czytania. Owszem, w komnacie jego ojca jest trochę zapisanych papierów, ale zawierają wyłącznie wojskowe rozkazy i sprawozdania, w dodatku pisane są prymitywnym, plemiennym językiem, tak prostacko, że nie ma sensu ich czytać. Ajok nawet próbował, lecz utknął na sprawozdaniu o workach pszenicy zebranych ubiegłego lata od wieśniaków tej krainy i na kwartalnym wyliczeniu urobku z kopalni złota. Zapamiętał tylko jedno zdanie: "Złota - 24 kilogramy, straty w niewolnikach - 112". Po tym zdaniu Ajok uciekł. Pomyślał bowiem, że przecież jego matka, gdyby nie została poślubiona Urghowi, mogła pracować w takiej kopalni i jedynym śladem po niej byłaby jakaś jedność z tej liczby: 112...

... więc Ajok nie bardzo wiedział, co ze sobą robić. Nie chciał przebywać wśród rówieśników i patrzeć, jak biją się na miecze lub pięści, wydając radosne, gardłowe okrzyki. Tym bardziej nie mógł przyglądać się, jak strzelają ze swych łuków do przelatujących ptaków. Na szczęście większość tych ostatnich już nauczyła się omijać z daleka Zamek, jakby wiedząc,^ że czeka je tu niczym nie zasłużona, okrutna śmierć. Śmierć dla wprawy ich morderców.

Więc Ajok nudził się, pozostawiony sam sobie, bo jak długo można pisać wiersze tak, aby nie stawały się coraz gorsze i gorsze, lub też ile można ułożyć baśni, aby nie zaczęły się powtarzać. I właśnie w ten sposób, mając nadmiar wolnego czasu, gdy już ojciec rozstał się z wszelkimi nadziejami co do jego osoby - Ajok odkrył, że w całym zamku najciekawszym miejscem jest kuchnia... Owszem, bał się. Cóż by to było, gdyby ojciec odkrył, że jego już osiemnastoletni syn - idealny wiek dla rycerza! - szwęda się po zamkowej kuchni wśród niewolnic i niewolników, a nawet usiłuje im pomagać?! Ajok nie chciał o tym myśleć. I nie myślał, bowiem zamkowa kuchnia stała się dla niego najmiłszym miejscem. Po pierwsze - w ogóle nie wchodzi tu z tupotem nóg i zgrzytem broni Urghowi rycerze, nie wrzeszczą, nie plują co chwila na podłogę, nie popychają się nawzajem w rubasznej zabawie i nie zioną winem lub piwskim, którym dopiero co się nażłopali. Po drugie - wszystkie pracujące tu dziewczyny i kobiety, w jakiś odległy co prawda sposób, przypominają mu matkę. Są o wiele wyższe i smuklejsze niż kobiety z rodu Urgha, a ich głosy cieńsze i delikatniejsze, bardziej śpiewne. Po trzecie - jakoś go. polubiły.

Na początku było to niełatwe. Widok królewskiego syna budził w nich popłoch i strach. Niewolnice milkły z chwilą jego wejścia i garbiły plecy, jakby w obawie, że zaraz spadnie na nie bat. Musiało minąć wiele czasu, musiały oswoić się z jego codziennym widokiem w kuchni, nim ponownie zaczęły rozmawiać. A jeszcze więcej czasu, nim zaczęły w tej rozmowie być całkiem swobodne. I dwa razy tyle czasu, nim go polubiły. A dziesięć razy tyle, nim Ajok zdołał z ich ust usłyszeć to - co usłyszał...

Tak, dziesięć razy tyle, gdyż Ajok już niemal od roku chowa się w zamkowej kuchni przed nienawistnymi spojrzeniami ludzi z rodu jego ojca - a tam wita go serdeczność i sympatia. Nawet współczucie. Ajok czuje, że te kobiety naprawdę go lubią; niektóre przytulają go jak matka lub głaszczą po głowie, inne próbują rozpędzić jego wieczny smutek wesołymi piosenkami. Jakby całkiem zapomniały, że on, Ajok, może za parę lat otrzymać z rąk swego ojca imię i liczbę: URGH XIV. Może, ale nie musi. Bowiem sprzysiężenie rycerskich rodów jest tak silne, że szansę syna jego stryja, kuzyna Warghra, rosłą z miesiąca na miesiąc. Mówi się nawet o tym, że Urgh go usynowi. Wprawdzie władca jeszcze broni się przed tą myślą, jeszcze śni mu się po nocach syn waleczny rycerz, jeszcze liczy na jakiś cudowny przypadek ale rycerze i rodzina szepczą mu do ucha, że jest to jedyne i honorowe wyjście, aby nie ośmieszyć tak znamienitego rodu. W zamkowej kuchni chyba nikt się nad tym nie zastanawia. Te dziewczyny i kobiety widzą w Ajoku półsierotę, którego matka pochodziła z ich krwi; widzą nieporadnego, drobnego chłopca, którego smutek i samotność należy rozproszyć serdecznością i śpiewem.

... ś p i e w e m. I stało się. Pewnego dnia Ajok usłyszał cichutko wymruczane słowa Pieśni Jedynej i aż osłabł ze wzruszenia. Bo to była poezja. Poezja co prawda bardzo prosta, ale za to najprawdziwsza i samorodna, jak mu powiedziały kobiety. Tę Pieśń stworzyły wiatry i deszcze, śniegi i chmury, rzeki i jeziora, drzewa i ptaki - człowiek jedynie ją podstuchiwał. I nie była to zwykła poezja - ale poezja wieszcząca. Miała Moc sprawdzania się.

I Ajok przestał się nudzić. Całe ranki i popołudnia spędzał w zamkowej kuchni i spisywał jej słowa. A spisywanie to nie miało omalże końca. Tak wiele było wersji owej niezwykłej Pieśni. Były wersje prościutkie, o prostych i krótkich ludowych rymach, śpiewane po wsiach i były długie, z rytmem choć bez rymu, rozlewne jak rzeka, przypominające dawne święte Pieśni.

Wieczorami Ajok przepisywał wszystko, zwrotka za zwrotką do grubej, zrobionej przez siebie księgi - nazwał ją Księgą Pieśni - a każda pierwsza litera nowej zwrotki była pięknie iluminowana. Słowa Pieśni wchodziły mu w serce, w duszę i w umysł - którym analizował każde ich możliwe znaczenie - i nieomal w całe ciało. Ajok powoli zaczął odczuwać, że to on sam jest tą Pieśnią, że jest jakąś jej częścią. I choć wąty, bez daru walki, poczuł, że jest Jej, Pieśni, rycerzem i że o Nią, i jej spełnienie, będzie walczył. Zawsze.

ROZDZIAŁ XVIII

Podróżniczki zbliżały się do celu. I choć Ardżana dawno nie była Perłą Miast Królestwa Wielkiego, a z oddali przypominała nędzarza, drzemiącego pod żebraczym płaszczem, jej widok oszołomił Dziewczynę. Bowiem mimo upływu czasu i zniszczeń jakich on dokonał, miasto ciągle nosiło w sobie piętno dawnej królewskości.

Wiatr, deszcze, śniegi i czas wyłobily w Ardżanie swoje własne, niepowtarzalne kształty. Budowane ongi z białego, gładkiego kamienia budowle były wprawdzie trwalsze niż jakiegokolwiek inne, na przykład drewniane, ale wszędzie tam gdzie woda rozmyła łączącą skalne bloki zaprawę, kamienie zwały się burząc powoli całe ściany, gdy budowla już utraciła swoją stabilność. Inne jednak stały nietknięte, lśniące białością swych ścian, owinięte jedynie zielonymi pnączami. Więc Ardżana przypominała miasto zbudowane przez szaleńca - lub przez szaleńca burzone. A wśród tych na poły stojących, na poły zwalonych ścian, wśród wysokich, smukłych kolumn, podtrzymujących nie istniejące lub nietknięte stropy, wśród wysokich usypisk białego kamienia, wśród pałacyków, które zachowały wszystkie ściany, ale pozbawione były dachu, bądź też dach istniał, ale brakowało połowy ścian, czy wreszcie wśród mnogości szerokich lub wąskich i krętych schodów, które pięły się ku nie istniejącym pałacom i wieżom - wszędzie tam pieniała się gęsta, bujna, dzika zielen. Drzewa, krzewy, kwiaty, pnącza - w ilościach godnych dżungli, a nie miasta. Ardżana była więc Dżunglą - zieleni i kamienia. A w tej Dżungli unosił się śpiew ptaków, których całe gromady fruwały z drzewa na drzewo; kamienie cichutko

chrzęściły pod cielskami ogromnych żmij, które w opuszczonych ruinach założyły swe gniazda; ujadły donośnie zdziczałe stada psów - których jednak nie obawiały się wcale równie zdziczałe stada kotów.

- Nie widzę tu ludzi... - szepnęła zdziwiona Dziewczyna.

- Bo też ich tu nie ma - odparła Czarownica Czwarta, uśmiechając się wąskimi wargami na widok pełnego ulgi zdumienia swej wychowanki. - Nie ma ludzi co najmniej od pięciu wieków. Pamiętaj, że najsilniejszy atak armii Urgha runął właśnie na Ardżanę. A po zwycięstwie żaden z kolejnych Urghów nie zamierzał zamieszkać w Królewskim Pałacu o 77 bramach, niezwykle trudnych do strzeżenia. Urghowie wybrali zatem na swą siedzibę warowny zameczek myśliwski, który mieści się w pobliżu Ardżany, ale nie w niej samej. Żaden podbity naród nie pragnie mieszkać pod samym bokiem wroga, więc Ardżana z wolna pustoszała. Równocześnie potęga dawnego Wielkiego Królestwa najwyraźniej uwidoczniła się właśnie w Ardżanie, w jej pięknych pałacach, których perłą był Pałac Królewski, w ogromnych bibliotekach, teatrach, stadionach sportowych, akademiach nauk wszelakich, w domach zdrowia. Koczując przez wieki po Wielkim Stepie plemiona Urgha nienawidziły miast, gdyż nie umiały ich budować. Doskonale za to umiały niszczyć i grabić. Cała ich złość i nienawiść wyładowały się na Ardżanie, z której rychło uciekli wszyscy mieszkańcy. Gdy miasto było już rozgrabione i puste, Najeźdźcy pozostawili je w spokoju.

- Więc będziemy w Ardżanie zupełnie same...? - oczy Dziewczyny rozbliły się ciekawością i zadowoleniem. - Tak blisko siedziby wroga i mimo to...

- ... mimo to bezpieczne - dokończyła Czarownica Czwarta. - Do tych ruin nikt się nie zapuszcza.

- Ale co będziemy tu robić? I jak długo?

- Mamy rok czasu. Cały rok, żeby poznać każdy zakątek Ardżany i to co zostało z królewskiego Pałacu. W nim też zamieszkamy - powiedziała Czarownica. - Do tej pory poznawałaś historię tego kraju tylko z Ksiąg i naszych opowieści. Pora, żebyś ujrzała ją na własne oczy. Tu każdy kamień jest kroniką dziewiętnastu wieków świetności i ośmiu wieków niewoli Wielkiego Królestwa. To pozornie martwe miasto mówi pełnym głosem o samym sobie i gdy ktoś zechce lub potrafi, usłyszy Jego głos.

Przystanął na chwilę. Znajdowały się teraz na doskonale uchwytej granicy między zieloną, pełną koniczyny łąką - a skrajem miasta, który znaczyła ocalała ściana jakiegoś mieszkalnego budynku. Zachowała się nawet zdobna, żelazna brama, wisząca na potężnych, wkutych w kamień zawiasach. Gdy ją wolno uchyliły, zaskrzypiała - i Dziewczyna ze swoją Opiekunką przekroczyły granice stolicy. Z różowego zmięzchu łąki weszły w mroczną, szeroką sień, która jednak wprowadziła je ponownie w różowy blask zachodzącego słońca, gdyż budynek ocalał jedynie w

połowie - a w drugiej, na pozbawionej dachu przestrzeni piętrzyła się zielona Dżungla.

- Teraz, zanim ruszymy dalej, połkniesz ziarenko karadormu - powiedziała Czarownica i na jej wyciągniętej dłoni zabelala drobna kuleczka wielkości fasolki.

- Co to?

- Gdy je połkniesz, twoje ciało nabierze zapachu, którego nie lubią żmije. Dzisiejsza Ardżana to królestwo żmij. Jest ich chyba ze sto razy więcej niż ongiś mieszkańców Królestwa! Karadorm cię przed nimi uchroni. Wprawdzie nie będą przed tobą uciekać i będziesz musiała oswoić się z ich bliskością - ale żadna cię nie ukąsi, nie zatruje swym jadem, gdyż twoja krew mogłaby je zabić. Są zbyt mądre, by ryzykować życiem. A zresztą nasza obecność nie będzie im przeszkadzać. One nam też nie. Wręcz przeciwnie, to dzięki tym żmijom Najeźdźcy unikają Ardżany, bowiem ukąszenie tego akurat gatunku to śmierć w straszliwych męczarniach, na którą nie ma ratunku...

Mimo wiary w słowa Opiekunki, Dziewczyna niezdolna była ukryć drżenia, gdy ujrzała obecne, prawowite mieszkanki dawnej stolicy. Trzy wysmukłe, obłe, zielono połyskujące cielska wypęzły właśnie spod zwaliska kamieni i kołysząc płaskimi głowami wpiły się w nadchodzące małymi, ostrymi oczkami. Po chwili jedna z nich zbliżyła się zwinnie do Dziewczyny i oplótła wokół jej nogi - aby natychmiast umknąć.

- Widzisz - zaśmiała się Czarownica. - Zapach karadormu jest dla nich nieznośny. A do jutra, mam nadzieję, oswoisz się z naszymi nowymi przyjaciółkami na tyle, by nie drzeć wówczas, gdy zechcą darzyć cię swymi względami i oplotą się wokół twej szyi czy ramion...

Dziewczyna, nic nie mówiąc zaczerwieniła się ze złości, iż Czarownica dostrzegła jej strach.

- Strachu nie trzeba się wstydzić - szepnęła jej Opiekunka. - Człowiek pozbawiony całkowicie lęku przestaje być człowiekiem. Odwaga osiągnięta bez pokonania lęku nie jest odwagą. A teraz chodźmy dalej. Zbliża się noc i musimy znaleźć sobie miejsce do spania. Ardżana jest ogromna i do Pałacu Królów dotrzemy najwcześniej jutro, jeśli nie później...

* * *

Do tej pory Dziewczynie wydawało się, że najbardziej ze wszystkiego w tej krainie kocha Wielkie Lasy i Wysokie Góry. Nagle pojęła, że jej prawdziwą miłością staje się Ardżana. Dawna stolica Luilów, mimo ruin wciąż potężna, rozprzestrzeniająca się na niewyobrażalnej powierzchni ciągle nosiła w sobie piętno królewskość. Białe, ciosane kamienie, z których była ongiś zbudowana, splecione nierozzerwalnie z panoszącą się wszędzie zielenią, zdawało się, że utworzyły jakąś trzecią, niepojętą,

a zarazem wspaniałą całość: tworu zarazem rąk ludzkich i Matki Natury, w przedziwny sposób jednak nie skłóconego ze sobą, lecz współżyjącego w harmonijnej symbiozie.

W ruinach domostw i pałacyków ocalało tylko to, na co nie połamali się żołdacy Urgha - i co przez przypadek najlepiej harmonizowało z kamieniem: ozdoby z żelaza, miedzi, brązu, drewniane i kamienne płaskorzeźby, wyblakłe, ale wciąż piękne malunki na ścianach. Złoto, srebro, drogie kamienie i wszelkie przedmioty zbytku zniknęły. Dziewczyna nie żałowała, że ich tu nie ma, gdyż raziłyby w tym otoczeniu. Złotem były tu promienie słońca, przenikające swobodnie przez mury i kładące się jasnymi plamami na ruinach i zieleni. Srebrem były krople rosy, skrzące się co rano, a wielokolorowy blask drogich kamieni zastępowały pąki purpurowych, żółtych, Szafirowych i różowych kwiatów. Przemykające wśród ruin smukłe ciała zmijały się blaskiem szmaragdów.

Równocześnie wystarczyło na chwilę zamknąć oczy, by wyobrazić sobie Ardżanę w jej dawnym, królewskim przepychu: gładkie, szerokie ulice wypełnione tłumem strojnie odzianych ludzi, toczące się cicho karoce, uderzające urodą budowle z białego kamienia, fontanny, parki, pełne cennych rzeźb, wielkie amfiteatry - i sam Pałac Królów.

Nim Dziewczyna z Czarownicą dotarły wreszcie do niego, minął nie jeden dzień, ale trzy. Trzeba bowiem było pokonywać nie tylko labirynt ruin, ale i dżunglę zieleni. Wiele razy gubiły się nie mogąc odnaleźć wyjścia z ruin jakiegoś pałacu - i to właśnie było cudowne. Coraz to pięty się na jakieś szerokie, wysokie schody, które prowadziły donikąd, o czym jednak przekonywały się dopiero stojąc na ich szczycie, gdy pod ich nogami ziała jedynie przepaść. Kręta układanka pokoi jakiegoś pałacyku stawiała je nagle twarzą przed zamkniętą ścianą - i musiały zawracać do punktu wyjścia, szukając innej drogi. Dżungla zieleni zapraszała w swój cień, otwierając pnie drzew, ale gdy w nią weszły, wyprowadzała je prosto pod wysoki mur jakiejś budowli, pozbawionej zdawało się jakiegokolwiek bramy.

Miały jednak tak wiele czasu przed sobą - cały długi rok - i tak wielkie poczucie swobody, bezpieczeństwa, niezależności, że wszystko stawało się cudowną przygodą.

- Nie żałuję Ardżany - powiedziała pewnego dnia Dziewczyna.

- Dlaczego? - spytała jej Opiekunka. - Była ongiś pyszną, dumną stolicą, a jest tylko ruiną, obrośniętą Dżunglą...

- Tak, ale jest wolna, naprawdę wolna, nie widzisz tego? Wolna, piękna, dzika i swobodna. Nie jest taka jak Miasteczka i Wsie. Nie ma w niej panów i niewolników, Najeźdźców i ich donosicieli. Ardżana nigdy nie została pokonana, skoro Najeźdźcy nie ośmielają się tu wchodzić. Pozostała sobą, choć w ruinie.

Czarownica pomyślała, że jej uczennica najbardziej ze wszystkiego kocha wolność i jej wąskie wargi uśmiechnęły się z satysfakcją.

Mijały wiele budynków, na poły zwalonych, choć niektórym udało się ocaleć w zarysie dawnych kształtów i ciągle zdobiły je smukłe wieżyczki, lekkie balkony, wysokie kolumny. Czarownica przypominała sobie ich nazwy lub przeznaczenie.

- ... tu chyba był pałac rodu Brajanów, jednego z najbardziej rycerskich w całym Wielkim Królestwie. W każdym pokoleniu wszyscy synowie, a nawet kobiety wspaniale władali mieczem i zanim Luil XXIII wydał edykt o zakopywaniu broni i zakazie jej użycia, ród Brajanów założył Akademię Rycerską. Szkoła ta istniała ponad 400 lat i wykształciła tysiące świetnych rycerzy, a wstąpić mógł do niej każdy kto chciał, byle nadawał się do miecza. Brajanowie długo nie mogli pogodzić się z rozkazem króla, chcieli nawet wzniecić bunt i uniemożliwić Luilowi XXIII przeprowadzenie jego zamiaru. Namawiali ludzi, by nie zakopywali broni, krzyczeli, że zamiana mieczy żelaznych na drewniane może się kiedyś srogo zemścić, jeśli równocześnie nie uczyni tego cały świat. Ale Luil XXIII nie słuchał, a jego poddani uwierzyli, że wystarczy zakopać broń i już nigdy nie będzie żadnej wojny. Brajanowie musieli się poddać, jednak w tajemnicy przed królem zatrzymali swe miecze. Oni jedni, ze wszystkich rodów, zanim polegli w Dniu Podboju, zabili wielu, wielu wrogów. Wszyscy inni byli całkiem bezbronni...

Dawny pałac Brajanów wydawał się budowlą surowszą w kształcie niż inne, pozbawioną balkoników, kolumnienek, wieżyczek, jakby upodobanie do wojaczki upraszczało także ich codzienne wymagania.

- ... a to musiał być chyba Dom Zdrowia, jeden z wielu, kto wie jednak czy nie ten największy - orzekła Czarownica, gdy wplątały się w ogromny labirynt niedużych pokoików, z którego zdawało się, że nie ma wyjścia. - W Domach Zdrowia leżeli chorzy, jeśli ich choroba nie nadawała się do leczenia w domu mieszkalnym. Pierwsze Domy Zdrowia założył Luil X, w czasie potężnej epidemii, która przetoczyła się przez kraj, przyniesiona hen, z Dalekich Stepów, przez handlarzy. Luil X postawił medycynę w Wielkim Królestwie na bardzo wysokim poziomie i za jego czasów wyszkolono setki biegłych lekarzy, wynaleziono mnóstwo bezcennych leków i nowych metod leczenia. Później, gdy Luil XIII przywrócił dobre imię i bezpieczeństwo życia Czarownicom, one także przychodziły leczyć w Domach Zdrowia. Były bowiem i są nadal takie choroby, wobec których medycyna jest bezradna i nie ma na nie leku w postaci uzdrawiającej pigułki. Są to choroby duszy i umysłu. A nikt nie umie tak dobrze wejrzeć w duszę i umysł człowieka jak Czarownica. Zanim jednak Luil XIII uznał nasze zdolności, a nawet uhonorował je wysoko, jego poprzednicy spalili na stosach wiele naszych Sióstr. Szczególnie groźny i okrutny w tym względzie był Luil III, którego ukochana żona zmarła młodo, a źli doradcy wmówili mu, że stało się to za sprawą rzucanych przez nasze Siostry uroków. Nie sądzi jednak, że Luil XIII był aż tak mądry, by sam z siebie wydać edykt nakazujący chronić i szanować Czarownice. Znacznie wcześniej swą mądrość wykazał lud. Przed zemstą królów chronili nas

wieśniacy i mieszczenie, rzemieślnicy, a nawet żołnierze. Wiedzieli bowiem doskonale, że potrafimy i chcemy im pomagać. Znali nasz dar leczenia chorób, odwracania niebezpieczeństw i złego losu, obrony przed prawdziwie złymi mocami, które co jakiś czas budzą się ze snu i pojawiają się na ziemi, przybierając dziwne kształty. Luil XIII uhonorował jedynie powszechne żądanie narodu, ale uczynił to z przekonaniem. Był też na tyle mądry, by nawet założyć Akademię Magiczną. Od tej pory nie musiałyśmy chyłkiem, pod karą śmierci, nauczać magii, gdy napotkaliśmy szczególnie uzdolnione dziecko. Każda dziewczynka, której rodzice stwierdzili, że posiada nadzwyczajne dary lub moc, mogła udać się do naszej Akademii. Tam Czarownice stwierdzały, czy jest to moc istic czarodziejska, czy tylko mały dar magicznych psikusów dla zabawienia gawiedzi lub słabe znachorskie zdolności. Prawdziwie zdolne dziewczynki zostawały naszymi uczennicami. Ale same zdolności nie wystarczały. Wiele razy musiałyśmy usuwać z Akademii bardzo zdolne uczennice, gdyż nie umiały, bądź nie chciały pojąć, że magia musi służyć wyłącznie dobru ludzi, a nie dobru Czarownic lub wybranych przez nie istot. Prawdziwa Czarownica nigdy nie odwróciłaby złego losu, gdyby miała pewność, że w zamian obróci się on przeciw innej osobie. Bywa bowiem zło nieodwracalne i trzeba się z nim wówczas pogodzić lub zwalczyć je inaczej. Cóż z tego, że odegnasz złą chorobę od jednego człowieka, jeśli przejdzie ona do sąsiada i już nie opuści go? Niestety, trafiały się uczennice, które gotowe były to uczynić w zamian za złoto czy drogie kamienie. Musiałyśmy nie tylko pozbywać się ich, ale także odbierać im magiczną moc, bowiem zdolna ona była przynieść ludziom wyłącznie krzywdę, a nam, Czarownicom, zepsuć dobre imię.

Dziewczyna słuchała w milczeniu, mijając setki niedużych pokoi Domu Zdrowia. I choć ściany niektórych z nich były zwałone, drzwi dawno wylamane, schody urywały się połowie wysokości, a wielki hol pośrodku zasypany był stosem głazów - jeszcze dziś widoczna była rozległość tej budowli i jej przeznaczenie. Wędrowniczkę wyłoniły się wreszcie z ruin i brnęły teraz zieloną Dżunglą, bowiem właśnie dżungla pokrywała to, co ongiś było szerokimi, wygodnymi ulicami. Gdzieś tam jeszcze, w samym środku zielonego gąszczu tkwiły głazy, kamienne płyty, stanowiące ongiś nawierzchnię, lub znieca z gąszczu zieloności wynurzał się na połę cały, na połę zniszczony kamienny pomnik kogoś, kto ongiś żył tu i zasłużył sobie na wdzięczną pamięć rodaków. Te - niekiedy całkiem dobrze zachowane - kamienne wizerunki żywych niegdyś ludzi, oplecione teraz gąszczem zieleni, czyniły dziwaczne i niepokojące wrażenie.

- Ile jeszcze wieków musi minąć, żeby z Ardżany nie pozostało nic, tylko ta Dżungla i zatopione w niej resztki białych kamieni? - zastanawiała się głośno Dziewczyna. Upłynie kolejne osiem wieków niewoli i może już nikt w całym dawnym Wielkim Królestwie nie będzie pamiętał, ani nie zechce nawet uwierzyć, że ongiś kwitło tu jedno z najpiękniejszych miast świata?

- A może nie miną nawet dwa, trzy lata i Ardżana będzie znowu stolicą Wielkiego Królestwa? - mruknęła Czarownica.

- Jakim cudem? Kto mógłby to sprawić? - zdziwiła się jej wychowanka.

- "... przez siedem setek, siedem dziesiątek

i siedem lat trwało w agonii Wielkie Królestwo - choć żyło,

żyło w pamięci i sercach ludzi - teraz wskrzeszone

znowu odbuduje swoją potęgę, na chwałę owych

co byli wierni. Wzrośnie Ardżana, stara stolica

w całej urodzie białych kamieni. Cofnie się dżungla..."

Czarownica na pół mówiła, na połę śpiewała te słowa, a Dziewczyna słuchała ich jak w zamroczeniu.

- Pieśń Jedyna... - szepnęła. - Kiedy wreszcie poznam ją całą?

- Już wkrótce - odparła z powagą jej Opiekunka.

ROZDZIAŁ XIX

Po krótkim nocnym odpoczynku, spędzonym wśród ruin Domu Zdrowia, podróżniczki obudziły się i podjęły dalszą wędrówkę. Teraz znalazły się wśród szczątków dawnej Akademii Nauk. Założona przez Luila XI, w skromnej jeszcze postaci, z roku na rok rozrastała się, aż za panowania Luila XIX stała się niemal miastem w mieście. Każdy z kolejnych królów doceniał rolę nauki w swym państwie - mówiła Czarownica, idąc wolnym krokiem wśród ruin - lecz Luil XIX uczynił ze swych uczonych i twórców prawdziwą arystokrację ducha. To w jego czasach głębszy ukłon składano uczonemu czy artyście niż nawet najsprawniejszemu rycerzowi lub królewskiemu urzędnikowi, a nawet kupcowi, który zdobył najwięcej worków ze złotem.

- Nie sądź, że stało się to od razu i nagle - opowiadała Czarownica. - Dużo czasu musiało minąć, nim ludzie pojęli, że bogactwo rozumu przewyższa bogactwa złota i drogich kamieni, czy też bogactwo władzy. Pojęto też, że o wiele łatwiej jest posiadać sztukę zwyciężania w rycerskich turniejach niż na przykład sztukę pisania uczonych ksiąg czy malowania obrazów, od których nie można oderwać oczu.

Akademia Nauk rozciągała się na ogromnej przestrzeni i przebycie jej zajęło podróżniczkom niemal cały dzień - choć szybciej poruszały się jednak wśród ruin niż dawnymi ulicami, które w całości pochłonęła dżungla. Z kolei ruiny były trudne do przebycia z całkiem innych przyczyn. Nie dlatego, iż za swe siedziby obrały je złotozielone żmije. Tych już Dziewczyna całkiem przestała się obawiać. Ale labirynty pokoi, korytarzy, schodów, to całych, to znowu zwałonych ścian, nie pozwalały iść stale naprzód. Wędrowały więc właśnie jak w labiryncie - to idąc naprzód, to znowu

zawracając, niekiedy nawet setki metrów w tył, aby potem ująć parędziesiąt metrów w przód.

Kolejna noc zastała je w ruinach ostatniego budynku Akademii Nauk, poza którym panowała już niepodzielnie dżungla - niezwykle gęsta i najeżona trującymi kolcami rozlicznych krzewów.

- To musi być dawny Plac Pałacowy - westchnęła Czarownica. - Było to ongiś miejsce nader rozległe, niemal niemożliwe do objęcia wzrokiem, a jeśli tak, to jedynie z najwyższej pałacowej wieży. Piękny, ogromny, okrągły, tętniący życiem plac - a w jego samym środku stał Pałac Królów. Tu przyjeżdżały karawany kupieckie z całego świata, aby zaprezentować królowi, jego rodzinie i poddanym swoje towary. Po tym placu spacerowali w wolnych od pracy chwilach mieszkańcy stolicy i niemal wszyscy przybysze, sycąc swe oczy urodą Pałacu. Plac był nie tylko placem; w wydzielonych połaciach rozrastały się wielkie parki, pełne zielonych trawników, z rzadka rozsianych potężnych drzew, a wśród nich stały pomniki wszystkich kolejnych królów i co znacniejszych rycerzy, uczonych i artystów. Setki fontann zraszało zieleń swymi wodotryskami. Kochały te fontanny zwłaszcza dzieci, które w upalne dni kapały się w nich ze swymi psami, wydając radosne piski. Na tym placu odbywały się doroczne turnieje rycerskie, a także turnieje poetyckie. I nieraz zdarzało się, że dopiero co uwieńczony laurem poeta wdziewał na siebie rycerski strój i stawał w szranki. Oczywiście, turnieje na miecze, łuki czy topory były bezkrwawe, bowiem już Luil VI zabronił pojedynków do ostatniej krwi. Wspaniałe było życie na pałacowym placu. Wiem o tym doskonale, bowiem właśnie z tym placem sąsiadowała Akademia Magiczna...

Czarownica rozłożyła swój płaszcz na omszałym kamieniu, przysiadła na nim i zapatrzyła się w nieprzenikniony gąszcz zieleni, jakby widziała tam Plac Pałacowy w całej swej dawnej wspaniałości. A po placu, wśród tłumów przechodniów szły tam one wszystkie, one z czasów Luila XXIII - Trzyście Sióstr Starszych, wielkich i wszechpotężnych władczyń Akademii Magicznej, kochanych przez lud, szanowanych przez króla. A dziś...? Dziś już osiem spośród nich pędzi żywot niewielkich i niemych szarych ptaków, które wyfrunęły z płonących stosów. Nieme, choć czujne strażniczki ruin Wielkiej Świątyni i Świętego Miejsca...

- O, moje drogie Siostry... - westchnęła Czarownica, układając się do snu. Po całym dniu wędrowania przez ruiny Akademii Nauk obie czuły się zmęczone.

- A jak przebrniemy przez tę Dżungłę? - wymamrotała sennie Dziewczyna, przeganiając złotozieloną żmiję, która usiłowała zająć jej miejsce.

- Być może trzeba będzie użyć szczególnego rodzaju magii - szepnęła Czarownica, otrząsając się ze wspomnień. Po chwili obie już spały; jedyne dwie ludzkie istoty wśród potężnych ruin dawnej, wielkiej stolicy. Cichy śpiewny syk żmij towarzyszył im niby kołysanka.

Gdy wschodzące słońce obudziło Dziewczynę, ujrzała Czarownicę w rytualnej, na poły klęczącej pozycji, z wyciągniętymi ramionami, szepczącą jakieś zaklęcia. Wychowanka z napięciem obserwowała jej czynności. Po długiej, długiej chwili, gdy wydawało się, iż już nic sienie stanie - Dziewczyna dostrzegła, że między rozwartymi szeroko dłońmi Czarownicy zaczyna, coś delikatnie połyskiwać, jakby wąska, długa, cieniutka, srebrzysta nić. Nić? Raczej smuga światła? Powoli, powoli smuga ta intensywniała i przypominała teraz jak gdyby zmaterializowany promień Księżyca. Jednak na niebie świeciło słońce, nie księżyc. Promień drgał, pulsował światłem i nadal zmieniał swój kształt - a choć dzień już dawno zwyciężył i przegonił noc, to coś, co materializowało się w dłoniach Czarownicy, miało nocny, mroczny rodowód. Ułynęły kolejne, napięte ciszą chwile - ustało nawet brzęczenie owadów, śpiew ptactwa i syczenie żmij; cała przyroda wokół znieruchomiła w oczekiwaniu. I oto w rozwartych dłoniach Czarownicy tkwił Miecz. Ku temu kształtowi zmierzało od początku srebrzyste światło, w rytm zaklęć wszechpotężnej Wiedźmy - która teraz westchnęła z ulgą i złożyła go delikatnie wśród traw. Leżał tam, lśniąc srebrzyście i zdawało się, że w każdej chwili gotów jest zniknąć.

- To jest miecz magiczny - wyjaśniła wreszcie Opiekunka, a jej dłonie drżały. - Nie raniąc drzew tej dżungli, kwiatów czy krzewów, ani niczego co w niej żyje, gdyż wówczas obróciłaby się ona przeciw nam, utoruje nam ten miecz wolną drogę przez Dżunglę. Długo to trwało i musiałam użyć całej swojej Mocy. Najtrudniej jest bowiem stwarzać Coś z Niczego. Obawiam się, że wkrótce będę musiała zejść do Podziemi, by u Prastarych Mocy wzmocnić swój magiczny dar. T o bowiem wyczerpało mnie aż nadto.

- Dlaczego ja tego nie umiem? - spytała Dziewczyna z urazą. - Uczyłyście mnie jak przemieniać Coś w Coś, ale stwarzać Coś z Niczego, nigdy! Chciałabym to umieć. To o wiele ciekawsze niż przemiany szyszek w wiewiórki.

Czarownica pokręciła przecząco głową.

- Ale ja chcę! - tupnęła nogą Dziewczyna. - Muszę i chcę! Czemu mi odmawiasz?!

- Nie podnoś głosu przy Magicznym Mieczu, bo sprowadzisz na nas nieszczęście - odparła surowo jej Opiekunka. Nie jesteś Czarownicą ani też nigdy nią nie zostaniesz. Warto, byś poznała odrobinę magii, choćby po to, by lepiej dawać sobie radę w naszym obecnym, pełnym niebezpieczeństw życiu Ale prawdziwa dziedzina czarów jest zastrzeżona tylko dla najwyższej wtajemniczonych. Posiadło ją tylko Trzynaście Sióstr Starszych, a w Akademii Magicznej uczono jej jedynie wybrane uczennice, godne najwyższego zaufania. Bowiem do stwarzania Czegoś z Niczego trzeba przywołać na pomoc drzemiące głęboko pod ziemią Prastare Moce, Moce Najstarszego Świata i biada temu, kto uczyni to zbyt gwałtownie i je przy tym rozbudzi. Moce te ongiś władały także naszym światem, wówczas gdy jeszcze nie było na nim człowieka. Nie wykluczone, że to one go stworzyły. Gdyby rozbudziły się, kto wie czy nie zapragnęłyby ponownie władzy nad ziemią, ale wówczas musiałby

zniknąć z niej człowiek. Nie ma bowiem tu, na ziemi, miejsca dla nich obu naraz, rozumiesz? A jeśliby człowiek nawet ocalał, znalazłby się w niewoli znacznie okrutniejszej niż niewola u prymitywnego, barbarzyńskiego Najeźdźcy. Bowiem Najeźdźca, sam będąc człowiekiem, panuje tylko nad ciałem ludzi, swych niewolników. Podziemne, Prastare Moce zapanowałyby nad ich umysłem, a taka niewola, zapewniam cię, jest najstraszliwsza i nie ma z niej żadnego wyjścia, żadnej ucieczki, ani sposobu obrony.

Dziewczyna milczała chwilę, wpatrując się w Magiczny Miecz, połyskujący srebrzysto wśród traw, a potem szepnęła cicho:

- Gdybyś mi jeszcze zechciała powiedzieć, kim mam być, jeśli nie Czarownicą, może wówczas pogodziłabym się z tym, że nie cała dziedzina Czarów będzie mi dostępna...

- Już niedługo - uspokoiła ją Czarownica. - Gdy skończysz siedemnaście lat, nasza Siostra Piąta opowie ci wszystko...

- To prawie cały rok - pokręciła głową Dziewczyna.

- Tylko dziesięć miesięcy - rzekła łagodnie jej Opiekunka. - A w ich czasie poznasz każdy kamień Ardżany i każdą komnatę dawnego Pałacu Królów. Będziesz tu się czuła rzeczywiście jak w domu. I spłynie na ciebie Czar o wiele ważniejszy niż przemiana Niczego w Coś. Będzie to Czar Przeszłych Wieków, pozornie odległych i już nieobecnych, ale w rzeczywistości wiecznie żywych. Człowiek bez swojej przeszłości jest jakby martwy, jego teraźniejszość jest martwa.

Czarownica przyklęka i ostrożnie wzięła do rąk Magiczny Miecz, który natychmiast rozjarzył się srebrzystym wewnętrznym światłem. Ruszyły naprzód w stronę Dżungli tak gęstej, iż nie sposób było do niej wejść inaczej niż z maczetą lub potężnym, ostrym nożem - i zabijać wszystkie znajdujące się na ich drodze rośliny. Potężne drzewa wyrastały niemal jedno koło drugich, między nimi rozprzestrzeniały się gęste, ostre krzewy o kłujących i trujących kolcach, a wszystko razem oplatały śliszkie pnącza, tworząc szczelną, nie do przebycia zieloną ścianę.

Dżungla śpiewała. Śpiewała głosem milionów dzikich pszczół, os i trzmieli, głosem niemal wszystkich gatunków ptaków, cichym i melodyjnym sykiem żmij, drzeniem swych liści na wietrze. Ten śpiew - dziki i swobodny - kojarzył się Dziewczynie z Przasasami, z erą panowania na ziemi Prastarych Mocy. W tej dżungli, zajmującej całą przestrzeń dawnego Królewskiego Placu, nigdy jeszcze nie stanęła noga człowieka. One były tu pierwsze. One pierwsze po setkach lat miały dotrzeć do Pałacu Królów, lub tego co z niego zostało, jeśli pokonała go Dżungla. A wszystko na to wskazywało.

Lśniąca klinga Magicznego Miecza przybliżyła się do gęstej, zielonej ściany - i przebiła ją bezboleśnie. Nie, nie przebiła... Wszędzie tam, gdzie kierowało się ostrze Miecza, zielona ściana pokornie rozstępowała się. Czarownica z Dziewczyną wstąpiły w wąziutką ścieżkę, która natychmiast zamknęła się za nimi, gdy tylko ruszyły naprzód. Ten marsz był powolny i niepokojący. Zewsząd otaczała je nieprzebyta ściana Dżungli i jedynie przed nimi, tam gdzie kierował się Miecz, ciągle na nowo i na nowo tworzyła się mała ścieżynka.

Dziewczyna najpierw rozglądała się wokół z niespokojną ciekawością, ale wkrótce, wiedzona jakimś wezwaniem, utkwiała wzrok w Lśniącym Mieczu - i wówczas nagle utraciła poczucie czasu. Wydawało się jej, że mijają wieki, zaś ona sama wstępuje powoli w niezwykle, zaczarowane, niewidoczne dla ludzkich spojrzeń Królestwo. Początkowo osądziła, że jest to jedynie Królestwo Ciemności, gdyż tracąc sprzed oczu zieloność Dżungli, ujrzała, iż otacza ją całkowita ciemność, głęboka i czarna. Lecz gdy wzrok już się z nią oswoił, zaczęła rozpoznawać jakieś ulotne, chybotliwe, choć potężne kształty. Zdawały się płynąć w mroku - jak w wodzie - w jakimś leniwym, spowolniałym rytmie i choć wydawało się to niemożliwe, były czarniejsze niż otaczająca je czarna Ciemność. Dziewczyna na wpół sennie pomyślała, że pragnie stopić się w Jedność z tym najczarniejszym i najpotężniejszym z czarnych, nieokreślonych kształtów i popłynąć wraz z nim w Nieznane. Muśnięcie tego niematerialnego, ale wyraźnie realnego kształtu spowodowało, iż poczuła się bezgranicznie szczęśliwa.

- Idę... - powiedziała bezwiednie i głośno. - Idę do was...

Czarownica nagle szarpnęła ją za ramię, brutalnie i boleśnie, wpijając zarazem swoje paznokcie w ciało Dziewczyny aż do krwi:

- Nie patrz w Miecz... Natychmiast oderwij wzrok od Niego! Spójrz w zieleń... szybko... Grozi ci ogromne niebezpieczeństwo! ... szybko... szybko!

Napomniana w ten sposób, z początku jeszcze nie czuła ani bólu wbijających się w jej ciało paznokci Czarownicy, ani jej głosu, ale powoli, powoli jedno i drugie zaczęło do niej docierać. Z najwyższym trudem odwróciła wzrok od Magicznego Miecza i utkwiała go w zielonej ścianie Dżungli. Ale nie rozpoznała jej. Zieleń jawiła się jako szarość, zaś ona, Dziewczyna, była chora. Powoli i z wysiłkiem zaczęła rozpoznawać kształt drzew i krzewów. Jeszcze długo, długo były szare, nim wreszcie przeobraziły się w zielone. Najpierw poczuła ogromną tęsknotę do Królestwa Ciemności, które tak raptownie opuściła - a później równie ogromną ulgę, że znowu jest tu, u boku swej Opiekunki. Ta szła cały czas naprzód, ale jej spojrzenie utkwione było niespokojnie w twarzy wychowanki. Po chwili jednak Czarownica odprężyła się.

Właśnie stanęły pod wysoką ścianą z białego kamienia, która nagle zagroziła im dalszą drogę. Dżungla nie panoszyła się tu już tak wszechpotężnie, więc Czarownica przyklękała, trzymając Miecz w szeroko rozwartych dłoniach i znowu jęła szeptać

swoje zaklęcia. Jej twarz, pełna najwyższego skupienia, była blada i pokryta kropelkami potu. Srebrzysta klinga po chwili zaczęła blaknąć. Najpierw z wolna zniknęło dziwne, wypełniające ją światło, a później zaczęły zanikać także jej kształty. Za moment była tylko wąskim, srebrnym promieniem. W sekundę później i on się ulotnił. Magiczny Miecz powrócił w swoją Nicość.

Teraz dopiero Czarownica westchnęła z ulgą i przysiadła, zmęczona, na ziemi:

- Z mojej winy byłaś blisko najpotężniejszego niebezpieczeństwa. Zapomniałam cię ostrzec, że pod żadnym pozorem nie wolno spoglądać w Magiczny Miecz i jego światło. W ogóle nie wolno patrzeć na Nic, co powstało z Nicości. Podziemne Moce wprawdzie drzemią, ale ciągle są o wiele potężniejsze niż my, nawet gdy śpią. I w tym śnie zdolne są wziąć w niewolę twój umysł, bez żadnego wysiłku ze swej strony. One to czynią niemal bezwiednie, mimochodem...Zapatrzyłaś się w Magiczny Miecz i zatraciłaś poczucie czasu. To był twój pierwszy krok w Ich kierunku. Jeszcze byłaś ze mną, ale już częścią swego umysłu znajdowałaś się po i c h Stronie, w ich Królestwie. Gdybyś patrzyła w Miecz jeszcze dłużej, ale na szczęście twoje słowa ostrzegły mnie co się dzieje, to choć twoje ciało szłoby nadal tu, koło mnie, w rzeczywistości byłabyś już tam i nie miałabym żadnej możliwości, żeby cię przywołać. Ich Moc jest o wiele potężniejsza niż nasza, choć pochodzi ona rodem także stamtąd. Lecz jest jedynie małą częścią ich możliwości. Gdybyś umysłem została tam, byłabyś wówczas Arghillem - istotą, którą niektórzy czczą jako świętą, ale naprawdę jest to tylko nieszczęsne stworzenie, które popadło przez przypadek w niewolę Prastarych Mocy. Dusza Arghilla - choć ciało ma takie jak my, ludzkie i przebywa wśród ludzi - nigdy nie powróci do ziemskiego świata, ale błąka się bez celu w Podziemnym Królestwie, nie mogąc znaleźć drogi powrotu. Bo też nie ma takiej. Jedynie my, Czarownice, ją znamy. Dziewczyna otrząsnęła się.

- Już nie marzę, by stwarzać Coś z Niczego - wyznała Opiekunce. - A jeszcze tam, w ruinach Akademii Nauk poprzysięgłam sobie wbrew twojej woli nauczyć się tego. Sama. Z ich pomocą. Teraz wiem, że miałaś rację. Byłam już o krok od Nich i to było straszne, choć zarazem wspaniałe. Gdyby nie ty, byłabym już Arghillem...

- Widzę, że Ardzańskie Mury dokonują w tobie przemiany. Po raz pierwszy przyznajesz się do błędu. Nie lubiłaś zdaje się tego czynić.

- Nie lubiłam - przyznała Dziewczyna.

- Tak, ale teraz masz więcej niż szesnaście lat. Dojrzewasz, doroślejesz, a cechą dorosłości jest umiejętność przyznania się do błędu. Inaczej, mając nawet z pięćdziesiąt lat, będziesz nadal dzieckiem. Ale oto jedna ze ścian Pałacu Królów. Musimy znaleźć bramę. Chciałabym, żeby to była brama główna...

Szły wzdłuż wysokiego muru z białego kamienia, mając z prawej strony nieprzebytą Dżunglę. Mur, o dziwo, zachował się w dobrym stanie. Wydawało się, że toczy stałą

walkę z przyrodą - i ją wygrywa. Nie pozwolił się zniszczyć, ani - jak wszystko na to wskazywało - nie dopuścił Dżungli w głąb pałacowego dziedzińca. Idąc, Czarownica opowiadała Dziewczynie historię Pałacu Królów. Zaczął budować go już Luil I, gdy na jego skronie kapłani i plemienni książęta włożyli koronę. Wcześniej ród Luilów był jednym z wielu książęcych rodów w krainie, złożonej z paru tysięcy niewielkich plemion. Były to plemiona osiadłe. Tworzyły swoje osady, uprawiały rolę, posiadały też swoje rycerskie zagony. Jednak w przeciwieństwie do koczowniczych, dzikich plemion z Wielkich Stepów, te nie toczyły między sobą wojen, ale współżyły w miarę harmonijnie, tocząc jedynie drobne potyczki.

- Szczerze mówiąc, Wielkie Królestwo powstało jedynie dzięki Najeźdźcom - zaśmiała się Czarownica. - Ich wojowniczy przodkowie ciągle napadali na spokojne plemiona tej krainy, porywali dzieci, kobiety, niewolników, broń, bydło i wszelki dobytek. Aby stawić im skutecznie czoła, małe plemiona łączyły się w większe, te z kolei jednoczyły się z innymi wspólnotami, aż wreszcie powstał naród wielki i potężny, zjednoczony duchem wspólnych interesów: obrony swego spokojnego życia. A wówczas zaistniała potrzeba wyboru króla. Wszyscy książęta zjechali w Wysokie Góry, gdzie od pradawnych wieków stała Wielka Świątynia, a w niej znajdowało się Święte Miejsce - którego roli jak dotąd nikt nie dociekł. Tylko niektórzy, najbardziej wtajemniczeni kapłani podejrzewali, iż ta rola związana jest z pasowaniem na króla. Początkowo trwały między książętami kłótnie, ale wreszcie najstarszy kapłan, natchniony tajemniczym snem, nakazał, by każdy z książąt kolejno wstępował na Święty Kamień, który sam wskaże, kto winien być królem. Uniesieni ambicją plemienni książęta stawali na nim, ale Kamień albo spał wiecznym snem, bądź też zrzucił niektórych z siebie, niemal ze złością. Wielu z książąt orzekło wówczas, że to zwykłe brednie, że żaden kamień, nawet najświętszy nie może zdecydować o wyborze króla! I wówczas, jako jeden z ostatnich stanął na nim młody książę z rodu Luilów - a Święty Kamień leciutko zadrżał, jakby z ulgą i rozjarzył się ciepłą poświatą. Więc nikt nie sprzeciwił się, gdy na jego głowę włożono koronę i nazwano go Luilem I. Wszyscy, nawet najbardziej żądni władzy pojęli bowiem, że bogowie sprzyjają będą tylko jego, Luila, rządowi. I tak się stało. Wyobraź sobie teraz, że zamek, pierwszy jaki zbudowano w Wielkim Królestwie - istnieje po dziś dzień! Może w postaci ruin, ale istnieje - i stanowi samo serce późniejszego Pałacu Królów, który rozbudowali już kolejni królowie tego rodu. Ów zamek to po prostu wielka, biała, kamienna komnata, pośrodku której stoi również kamienny królewski tron. Nazwano go potem Białą Salą i miała ona niespotykany owalny kształt. Zbudowana była na wzór amfiteatru - kamienne, szerokie schody - ławy opadały coraz niżej i niżej dokoła, a na samym dole, na szerokiej, owalnej przestrzeni stał tron. Kolejni królowie rozbudowywali Zamek, nie tykając jednak Białej Sali Luila I, jedynie dodając nowe pomieszczenia. A gdy umilkły echa wojen z sąsiednimi, koczowniczymi plemionami dzisiejszych Najeźdźców - zamek zaczął przekształcać się w Pałac. Nie był już miejscem obrony i walki, ale miejscem zamieszkania, odpoczynku, przyjmowania gości, miejscem nauki i zabawy. Mieszkała w nim nie tylko królewska rodzina, ale także wielu uczonych, pisarzy, malarzy, muzyków czy zręcznych rzemieślników. Pałac zawsze był otwarty dla

każdego z poddanych. Dlatego właśnie prowadziło do niego 77 bram, jedna główna, szeroka, ozdobna, z wielkimi kutymi w żelazie drzwiami i 76 bocznych, całkowicie otwartych, łukowatych i równie szerokich.

- Dlaczego aż tyle tych bram? - zaśmiała się Dziewczyna.

- Aby uniknąć tłoku, gdy ktoś pragnął odwiedzić króla i jego rodzinę lub rodziny innych mieszkańców - roześmiała się w odpowiedzi Czarownica. - A chętnych co dzień było paręset osób, a nieraz i ponad tysiąc. Pałac tętnił życiem od rana do nocy. Ta wielość bram była wygodna także dla królów. Gdy bowiem doskwierał im już nadmiar gości i przybyszów z różnych dalekich stron, wymykali się po prostu jedną z nich i ruszali do Zamku - tego w którym teraz rezyduje Urgh XIII, lub do swych ukochanych Lasów.

- Kochali zatem Lasy - westchnęła Dziewczyna.

- Tak. Ród Luilów wyrósł w Wielkich Lasach i nigdy, z pokolenia na pokolenie, nie wygasła w nim miłość do nich. Prawdziwie wolni i swobodni czuli się właśnie tam. Ale oto chyba nasza brama główna...

Z głównej bramy jakimś cudem pozostało ogromne, hakowate, rzeźbione w kamieniu zwieńczenie i duży fragment bocznych murów. Na obluzowanych zawiasach nadal zwiślały potężne, żelazne drzwi, kute na całej swej powierzchni w delikatny zwierzęco - roślinny wzór. Dwie wielkie klamki, jakby na ironię, miały kształt smukłych, wygiętych żmij, których wąskie łby stanowiły sam uchwyt. A teraz właśnie żmije objęły Pałac w swe władanie...

- Tą bramą wchodziło się na dziedziniec od frontu Pałacu. Dziedziniec, bardzo rozległy, otaczał cały Pałac dookoła. Zaś sam Pałac z kolei budowany był dookoła starodawnej, Białej Sali Luila I, która była pierwotnym i pierwszym Zamkiem królewskiego rodu - mówiła Czarownica rozglądając się wokół. Z dziedzińca nie zostało wiele. I tu rozplenila się zieloność, choć nie aż w tak bujnej formie. Jej swobodny rozwój zahamowały wysokie pałacowe mury i grube, szczelnie ułożone marmurowe płyty, wyłożone gęsto na całej przestrzeni, tworząc bladoróżową posadzkę.

Dziewczyna stanęła w bramie głównej i jej oczy w zachwycie chłonęły widok, który się przed nią rozpostarł. Wbrew przypuszczeniom, Pałac uległ zniszczeniu w nikłym tylko stopniu. I oto teraz, pośrodku dziedzińca, otoczonego lekkim, choć wysokim murem z białego kamienia, którego krańce trudno było dostrzec, rozpościerał się Pałac Królów, zbudowany cały także z oślepiająco białego kamienia i przykryty szmaragdowe połyskującym dachem. Jakimś cudem zachowały się prawie nietknięte wszystkie jego nieduże, smukłe wieżyczki, których była nadzwyczajna mnogość, a także balkoniki i rozległe tarasy, krużganki obwodzące Pałac wzdłuż jego pierwszego piętra, wsparte na smukłych kolumnkach. Pałac właściwy także miał wiele bram,

ale było ich równo o połowę mniej niż w murach zewnętrznych. W Pałacu także najważniejsza i najdobniejsza była brania główna, do której wiodły szerokie schody z różowego marmuru, a pozostałych 37 bram bocznych, tak jak w pałacowym murze, nie posiadało drzwi, a jedynie hakowate zwieńczenia. Wszystko stało otworem, jakby ci, którzy przed wiekami opuszczali Pałac w pośpiechu, zapomnieli go zamknąć. Na dziedzińcu, w gorących promieniach słońca wygrzewało się setki tysięcy żmij. Na widok podróżniczek z bezdźwięcznym sykiem zaczęły opuszczać swe miejsca i znikać we wszelkich możliwych dziurach i szparach.

- Połknijmy ponownie karadorm - rzekła Czarownica. Jest ich tu o wiele więcej niż w samym mieście. Jakby wyczuły, że to Pałac jest królewską, a zatem jedynie właściwą dla nich siedzibą. A teraz spróbujemy do niego wejść...

Dziewczyna - na którą urok tego miejsca oddziaływał silniej niż wszystko, co kiedykolwiek do tej pory ujrzała odczuła dziwne drżenie na myśl o przekroczeniu progu Pałacu Królów. Nagle, nie wiedząc czemu, zaciążyło jej całe brzemię jego wielowiekowej historii, jego świetności i upadku. Brzemię to było na przemian ciężkie i bolesne - to znowu lekkie, ciepłe, pełne wewnętrznej radości.

- Ardżana - szepnęła cichutko sama do siebie. - Chyba ją kocham równie mocno jak Las i Wysokie Góry. Jest w niej dziwna godność, duma i piękno. Jak w Lesie. Ale Las jest dziełem Matki Natury, a ją stworzyli ludzie. A skoro ludzie... ci, stąd, z tej zniewolonej krainy, ich prapraprzodkowie, to musieli być również godni szacunku, skoro umieli tworzyć takie zaklęte w kamieniu piękno...

Przymknęła oczy i wydawało się jej, że słyszy echo odgłosów rzezi, jaka miała tu miejsce, gdy na bezbronnych mieszkańców Pałacu napadła czarna wataha Najeźdźców. Oczami wyobraźni widziała uniesione bezradnie w górę drewniane miecze, niezdolne przeciwstawić się stali i żelazu napastników. Słyszała jęki rozpacz, bezsilności, płacz konających, ojców, matek i dzieci, słabe nawoływania umierających z ran starców. Wzdrygnęła się cała na myśl o przemocy, która dotknęła to miejsce, ten kraj, tych ludzi...

... otworzyła oczy. Na pałacowym dziedzińcu trwała charakterystyczna dla tego miejsca cisza - którą pogłębiało jakby, a nie przerywało, brzęczenie milionów os, pszczoł i trzmieli, syk żmij, szum liści na wietrze.

- Po raz pierwszy od siedmiuset siedemdziesięciu pięciu lat słysząc na tym dziedzińcu głos ludzi - powiedziała Czarownica jakby w odpowiedzi jej myślom. - Chodź już...

I obie wkroczyły na szerokie, kamienne schody głównej, pałacowej bramy.

ROZDZIAŁ XX

Czarownica miała rację, że rok spędzony w ruinach Ardżany to niewiele na poznanie miasta i Pałacu. Samo zwiedzanie tego ostatniego trwało niezmiernie długo, zanim Dziewczyna uznała, iż jej stopa stanęła we wszystkich komnatach, nie pomijając nawet rozległych, posępnych i mrocznych podziemi i rozświetlonych poddaszy. Zwłaszcza że nie szło tylko o to, aby znaleźć się w każdym z pomieszczeń. Dziewczyna pragnęła wczuć się w ich atmosferę, rozpoznać - bez pomocy Opiekunki - jakie było przeznaczenie danej komnaty, rodzaj życia, które w niej trwało, nim Najeźdźcy brutalnie je przerwali. A w każdej z sal Dziewczynie zawsze wydawało się, że słyszy i czuje czyjaś nieobecna Obecność. Obecność dawnych, prawowitych mieszkańców tej niezwyklej budowli, w której tak łatwo można było się zagubić, gdyż dobudowane wokół nietykanej i świętej Białej Sali króla Luila I komnaty i korytarze przybierały niekiedy postać labiryntu.

Choć napastnicy zagrabilili wszystko co było tego warte, Pałac nadal czynił wrażenie bogatego. Zdobily go kamienne płaskorzeźby, wykute w żelazie, brązie i miedzi zdobne elementy drzwi, okien, ścian i szczytków mebli; potężne żyrandole, których kryształowe, podłużne lzy, dzwoniąc o siebie grały jakąś niezwykle melodię, wpasowane w kamienne ściany mozaiki, wielkie, żelazne świeczniki. I choć zewnętrzne części Pałacu, pełne słońca dzięki ogromnym oknom, w których nie ocalała ani jedna szyba, czyniły wrażenie piękniejszych, bardziej przytulnych i komfortowych - największe wrażenie wywarła na Dziewczynie pradawna Biała Sala. Wydawało się, że Najeźdźcy nie uczynili jej żadnej krzywdy; że jaką była przed wiekami, taką pozostała w swej prostej, surowej urodzie. Owального, niezwykle kształtu, miała dokoła, wzdłuż ścian szerokie kamienne ławy, opadające niedużymi stopniami coraz niżej i niżej. Tam, na samym środku na sporej, pustej, także owalnej przestrzeni stał biały, kamienny tron. Jego jedyną ozdobą było oparcie, wykute w kamieniu przez nieznanego rzeźbiarza w kształcie dwóch lwów. Ich grube łapy były poręczami tronu, a dwa wzniesione w górę i jakby rozwarłe w niemym ryku pyski tworzyły wsparcie dla głowy.

Czarownica potwierdziła, że Biała Sala Tronowa nigdy nie wyglądała inaczej. Podobnie jak Wielka Świątynia wśród Wysokich Gór nie nosiła śladów żadnych ozdób. I mimo to, a może właśnie dlatego miała w sobie piętno niezwyklej godności.

Widok Białej Sali - gdy po raz pierwszy do niej weszły wprowadził Dziewczynę w jakiś niewytłumaczalny, dziwny trans. Stała sztywno w pobliżu tronu i rozglądała się wokół rozszerzonymi oczami, długo, długo, jak najdłużej. Poglaskała dwa kamienne lwy, a potem przyklękła i położyła głowę na pustym, kamiennym siedzisku. I gdy tak zamarła w tej pozycji, wydawało się jej, że słyszy odległe głosy - głosy żywych, którzy przebywali ongi w tej sali, wraz z wybijającym się niskim, surowym choć pełnym ciepła głosem Króla. Otworzyła oczy - sala była pusta. Gdy znowu je zamknęła, ponownie usłyszała ów ściszony gwar: głosy Króla, rycerzy, uczonych, artystów... Ta sala ciągle żyła i drżało w niej echo dawno minionych wieków, słyszalne jedynie dla wybranych. Biały kamień wchłonał ongiś te dźwięki i teraz przekazywał je komuś, kto umiał je słyszeć. Nad jej opuszczoną głową, o czym nie

wiedziała, pojawiła się delikatna, ledwie widoczna mgielka. Na ten widok wąskie usta Czarownicy zdrząły. Ciało Dziewczyny także przeszło drzenie i powstała wreszcie blada, osłabła, niema.

Dopiero po długim, długim milczeniu, Dziewczyna szepnęła:

- Chodźmy z tego miejsca. Nie mamy prawa zakłócać jego spokoju i dostojności.

Czarownica odwróciła głowę, by jej wychowanka nie dojrzała dyskretnego uśmiechu pełnego satysfakcji.

Minęło wiele miesięcy, z których upływu Dziewczyna nawet nie zdawała sobie sprawy. Życie w Ardżanie pochłaniało ją bez reszty - a zwłaszcza Pałac Królów i jego otoczenie. Nie mogła zresztą odbiegać dalej, poza pałacowe mury, gdyż tam nadal panowała nieprzenikniona Dżungla. Biegała więc samotnie po komnatach Pałacu, często nasłuchując dalekiego Echa z Przeszłości. Niekiedy Echo milczało, lecz czasem odzywało się ściszym gwarem głosów. Dopiero żółknijące i opadające na pałacowy dziedziniec zeschnięte liście uprzytomniły jej, że właśnie kończy się jesień. Gdy pewnego ranka obudziła się zmarznięta pod swym ciepłym przeciwieństwem - na całym dziedzińcu leżała gruba warstwa śniegu. A za murami nie było już zielonej i nieprzebytej Dżungli. Wśród surowej bieli stały tylko grube i wysokie pnie drzew. Gęstwina lian obumarła, spadając na ziemię, zaś krzewy utraciły liście i wyraźnie obnażyły swe trujące kolce. I nagle Dżungla stała się miejscem stosunkowo łatwym i prostym do przebycia.

* * *

Ajok nie tylko nauczył się recytować Pieśń Jedyną, ale podchwycił też jej nieskomplikowaną, o zmiennym rytmie melodię i przebywając w samotni swej komnaty, mrucał ją bezwiednie całymi godzinami. Pod łóżem, przykrytym grubymi futrami, chował teraz swój największy skarb: własnoręcznie sporządzoną Księgę. Jedyną prawdziwą Księgę, jaka była w całym Zamku. Była to Pieśń, spisana czarnym inkaustem na szarym, czerpanym papierze, a każda litera kolejnej zwrotki była pięknie iluminowana. Ajok nie miał prawdziwych farb - na dworze jego ojca nie było żadnych artystów ani uczonych - więc czerwienią była po prostu własna krew z nakłutego palca, zieleń stanowił gęsty sok z roślin, a żółć skradziony z kuchni szafran. Miał pewne kłopoty z błękitem, ale rychło odkrył, że inkaust zmieszany z pewną ilością wody niebieszczeje, więc i błękitu nie brakło.

Ajok nie musiał podsłuchiwać rozmów w kuchni zamkowej, żeby odkryć wieszcy charakter Pieśni. Świadczyła o nim niemal każda zwrotka. Tak, to była Pieśń Prorocza i musiała się spełnić. Zdaniem Ajoka nic i nikt nie mógł temu proroctwu zagrozić. Żebyż Pieśń była tylko wieszca! Nim przecież dotarł do jej końca, poznał - po raz pierwszy w życiu - historię Wielkiego Królestwa. Ajok był zbyt mały, by poznać ją wcześniej, gdy jeszcze żyła jego matka, która zapewne знаła tę historię

doskonale. I nagle Ajok dopiero teraz uprzytomnił sobie, że matka była zbyt wystraszona, by mu cokolwiek mówić, by uświadomić mu, kim on, Ajok, jest naprawdę: że w połowie tylko jest synem dzikiego i brutalnego rodu, który wziął we władanie tę piękną ongiś i wolną krainę, zabijając większość jej mieszkańców. Ale w drugiej połowie...? Tak, dopiero teraz Ajok pojął, że przez całe swoje życie matka obawiała się nie tylko swego męża, Urgha XIII, ale całej jego rodziny. Była zastraszona, cicha i smutna, a słysząc czyjeś kroki tłumiła głos do szeptu i rozglądała się wokół pełna lęku. W jakiś sposób nawet bała się jego, Ajoka - gdyż jednak był również synem tego dzikiego, bezwzględnego władcy i dlatego nie mówiła mu nigdy całej prawdy. Teraz, gdy Ajok poznał melodię - jedną z wielu melodii Pieśni, tak jak wiele było jej odmian - jakby przez mgłę przypomniał sobie, że nutki te niekiedy, cicho, cichuteńko nuciła mu matka do snu. Dlatego melodia ta nie była mu całkiem nieznaną i z łatwością ją sobie przyswoił. Co prawda matka nuciła ją bez słów, jak kołysankę - pragnąc, by ją poznał, i zarazem bojąc się tego.

Pierwsze zwrotki uprzytomniły Ajokowi, jak potężne zło i gwałt zadał ród Urghów tej krainie i jak wspaniałą musiała być ona, nim nastąpił jej upadek. Kolejne zwrotki ukazały mu całą, nieopisywalną wręcz krzywdę, jaką jej mieszkańcom zadano w Dniu Podboju i zadawano nadal, przez długie osiem wieków - karząc batem, a nawet śmiercią za niczym nie udowodnione winy, zmuszając do niewolniczej pracy, tropiąc buntowników jak wściekłe psy, nawet tam gdzie ich wcale nie było. Mimo to powstała Pieśń Jedyna - i była śpiewana w całej tej podbitej krainie, choć za ten śpiew można było oddać głowę. I ta część w Ajoku, która pochodziła z rodu jego matki, odczuła ogromną dumę. Zaś ta, która wywiodła się z lędźwi jego ojca, boleśnie, całym swym jestestwem odczuła palący wstyd. Ajok dostrzegł to, czego nigdy nie wiedział i nie chciał dojrzeć nikt z rodu jego ojca: że oni, Najeźdźcy są iście barbarzyńcami, zaś gnębieni przez nich mieszkańcy podbitego kraju potrafili i zapewne nadal potrafią tworzyć, budować, myśleć. Napastnicy umieją jedynie grabić, niszczyć, pustoszyć. I Ajok nagle pojął, że jeśli minie jeszcze parę wieków panowania rodu jego ojca - ostatni ślad po Wielkim Królestwie zniknie z mapy tego świata. Pozostaną tylko ruiny, zgliszcza, zraniona ziemia. I być może Urghowi wojownicy dopiero wówczas ją opuszczą, aby szukać innych, bogatszych krain do grabieży.

Wówczas to Ajok zaczął prosić swego Boga, żeby Pieśń Jedyna spełniła się do końca, do ostatniej litery ostatniej zwrotki. Bóg Ajoka był Bogiem całkiem innym niż ten, do którego modlił się jego ojciec. Bóg Urgha XIII był równie okrutny i groźny jak on sam. Bóg Ajoka był samą dobrocią i rozumiał doskonale swego małego wyznawcę. Z Bogami w tej nieszczęsnej krainie było na szczęście całkiem inaczej niż ze wszystkim innym. Każdy mógł wybrać sobie swego własnego Boga i modlić się do niego w dowolnie wybranej formie. Wspólne były tylko świątynie, w których oddawano im cześć. Ajok sądził jednak, że mimo wielości Bogów stwarzanych przez ludzi na ich własne wyobrażenie i potrzeby - tak naprawdę istnieje tylko jeden, choć pod różnymi nazwami i ten jeden, Jedyny, jest właśnie dobrym, rozumiejącym, litościwym. Ajok wierzył, że to ten właśnie Bóg pozwolił znękanym ludziom w Wielkim Królestwie pochwycić od wiatru, wody i deszczu słowa Pieśni Jedynej. I to On obiecał

im wyzwolenie. Będąc Bogiem dobrym, Bogiem Ajoka, a nie Urgha, uznał, jak głosiła Pieśń Jedyna, że wyzwolenie miało przyjść nie za sprawą miecza i krwi, ale za sprawą Ducha i Czarar. Dlatego Ajok swobodnie mógł modlić się o spełnienie Pieśni, bowiem życiu jego ojca nic nie zagrażało - poza klęską. Nie miał go pokonać rycerski Miecz, ale Czar - wskutek którego Urgh ze swą armią powróciłby jedynie tam, skąd przybył jego ród: na Wielkie Stepy. Zaś chłopiec, choć walczył w nim te dwie nierówne części jego jestestwa, odziedziczone po matce i ojcu, pojął, że Wielkie Stepy są właściwym miejscem dla grabieżczych, okrutnych i barbarzyńskich Najeźdźców. Stamtąd przyszli i tam powinni wrócić. Co on sam zrobiłby wówczas ze sobą - tego jeszcze nie wiedział.

Dość długo Ajok nie rozumiał, co oznaczają słowa: "Nim siedem setek, siedem dziesiątek i siedem lat minie". Jaki Czas one wytyczały? Na jaki punkt wskazywały wskazówki zegara Pieśni? Ajok nie był biegły w liczeniu i nie wiedział, ile wieków panują Urghowie w tym kraju. Dopiero nadsluchiwanie rozmów toczonych w kuchni uprzytomniło mu, że to przecież niemal już za niecałe dwa lata, ba, półtora roku! Zresztą wszystko zależy od tego, kto jak to liczy: czy Dzień Podboju rozpoczyna rok zerowy czy rok pierwszy...? Tak czy owak, jest to już bardzo, bardzo blisko i ta prorocza, wieszczka Pieśń spełnić ma się za życia Ajoka; co więcej, skoro tak właśnie jest, to Istota, która niesie za sobą ów Czar... I Ajok aż otrząsnął się z wrażenia, że te osoby są aż tak blisko. Muszą być blisko. Wynikało to niezbitie ze słów Pieśni!

Po raz pierwszy chłopiec odczuł żal, że nie ma w nim nic z rycerza. Gdyby był rycerzem, nie bacząc na własny lęk udałby się teraz tam, na spotkanie Czarar, żeby pomóc, gdyby ktokolwiek potrzebował jego pomocy. Ale ponieważ jest tylko słabym i wątłym chłopcem, nie umiejącym nawet napiąć haku - pętał go własny strach.

Ten sam strach - zauważył Ajok dopiero teraz - opętał ojca. Nie, nie ten sam. Przecież on, Ajok, wyczekiwał spełnienia się Pieśni, a ojciec wręcz przeciwnie... Ojciec lękał się, że każdy dzień i każda noc przybliżają go do Dnia Czarar. Dopiero teraz, znając Moc Pieśni, chłopiec zdołał to dostrzec. Teraz też ujrzał, ile tego strachu jest w każdym z rycerzy Urgha. Tyle że oni wszyscy bali się, bowiem nie wiedzieli, skąd ma nadejść Czar, i jak będzie to wyglądało, a on, Ajok, wiedział nieco więcej. Słowa Pieśni mówiły przecież wyraźnie:

"... i Czarownice w Czar ten spowiją istotę żywą

z rodu Luilów, którą powiodą przez wszystkie drogi.

Wielkie Królestwo pozna jak swoje. Uzdrowi ludzi,

uzdrowi ziemię, pozna Ardżany każdy zakątek.

I na dwa lata przed Wyzwoleniem tam dozna życia

swego odmiany. Poczujcie ojców swoich odwagę,

dumę i godność Luilów miana. I Czar w nią wstąpi...”

... więc chłopiec z dumą myślał, że on jeden, jedyny w całym Zamku wie to, co pragnęliby zapewne wiedzieć wszyscy. On jeden, jedyny - ten wyśmiewany przez wszystkich i pogardzany Ajok! On, nad którego brakiem wszelkich talentów biadał ojciec, wiedział to, za co sam potężny Urgh gotów by oddać połowę majątku!

I Ajok po raz pierwszy w życiu poznał smak bycia ważną osobą, osobą rozumniejszą niż inne dookoła - i pomyślał, jak bardzo mógłby wzbić w dumę swego ojca, gdyby tylko chciał. I zrobiło mu się trochę żal, że nie może tego uczynić, bo wówczas Czar Pieśni mógłby się nie spełnić; najważniejsze jej ogniwo, przebywające teraz właśnie w Ardżanie, mogłoby zostać rozerwane.

Tymczasem wraz z kolejnym ponurym, zimowym porankiem nadszedł dzień urodzin jego ojca. Pouczony przez natrętnego Woodou, Ajok włókł się noga za nogą do ojcowskiej komnaty, by złożyć mu życzenia.

- Obiecaj mu, Książę, że rychło nauczysz się strzelać z łuku i przestaniesz spadać z konia - terkotał zniechęcony mu sługa. - Ja wiem, że ty się tego nigdy nie nauczysz, ale po co ojca wpędzać w gniew? Jego gniew jest straszny i doprawdy radzę ci, obiecaj mu byle co, żeby nie krzyczał i nie musiał cię bić. Bowiem gdy już oberwiesz, później bici są ci, którzy akurat znajdują się najbliżej pod ręką, a zatem przede wszystkim ja. A wszystko to będzie wyłącznie twoją winą, Książę, bo ty jesteś jedną z przyczyn jego wściekłości i żalu. Więc obiecaj mu wszystko co tylko chcesz...
- sącył mu do uszu Woodou, niemal wlokąc go do komnaty ojca.

Ajok westchnął. Zawsze idąc tam czuł wszechogarniający go paniczny lęk. I zawsze pejcz Urgha rozcinał mu boleśnie skórę. Więc Woodou miał rację. Trzeba powiedzieć byle co, żeby ułagodzić gniew ojca. Ten gniew, który go niemal nie opuszczał.

Wielki Urgh przechadzał się po swojej komnacie dużymi krokami. Przypominał lwa, ze swoją grzywą włosów nad niskim czołem i małymi, złymi oczami.

- Po co go przyprowadziłeś? - warknął do Woodou na widok syna. - Czy chcesz przypomnieć mi, że oprócz innych zmartwień, mam jeszcze i to? Z nim?

- Dziś są twoje urodziny, o panie, więc twój syn... - zaczął przypochnie Woodou.

- Czy przypominając mi o urodzinach, chcesz w ten sposób dać mi do zrozumienia, że za dwa lata już nas tu nie będzie? - warknął gniewnie Urgh. - Że diabelskie czary tego kraju przegnają nas stąd i za dwa lata będziemy sobie składać życzenia na Wielkich Stepach lub w piekle?!

- Tatusiu, chciałem ci przyrzec, że... - zaczął niefortunnie Ajok cienkim i drżącym głosem, nie widząc rozpaczliwych znaków Woodou, by natychmiast opuścić pokój ojca.

- Gdybyś był moim prawdziwym synem, prawdziwym Urghem z krwi i kości, nie skamlałbyś tu teraz cieniutkim głosikiem, lecz pokonałbyś Zło, które nam grozi! Mnie, twemu ojcu i tobie, memu jedynemu następcy! - ryczał Urgh, zdejmując ze stołu swój ulubiony pejcz. - Wiedziałbyś, gdzie go szukać, ty mały głupcze!

Pejcz wzniósł się nad głową chłopca, który wyszeptał w tym samym momencie:

- ... ale ja właśnie wiem.

Ręka Urgha drgnęła. Woodou wychylił głowę zza fotela, gdzie jak zwykle przycupnął.

- Co wiesz?! - zagrzmiało pytanie.

- Wiem, gdzie t o jest - wyszeptał Ajok przerażony. - Co?

- Ten Czar, który cię zgubi, ojciec... - Mów!

- Kiedy ja... ja tak naprawdę... - jąkał się Ajok, dopiero teraz uprzytomniając sobie, co powiedział, aby ratować własną skórę.

- Mów natychmiast, albo zbiję cię tak, że wyniosą cię stąd moi słudzy - zagroził Urgh, podsuwając chłopcu swój pejcz pod oczy. Małe, żelazne kuleczki na jego końcu zabręczały, jakby przypominając o ranach, jakie zdolne są czynić.

- To nie ja... - wyszeptał przerażony tym, co się dzieje, chłopiec. - To nie ja wiem, to Pieśń Jedyna. Wystarczy uważnie wsłuchać się w jej słowa, rozszyfrować je...

- Więc mów te słowa - rozkazał Urgh. Woodou już na dobre wyszedł zza fotela i także nachylił ku chłopcu swą lisią twarzyczkę. Chłopiec zadrzał i niemal bezwiednie, bez udziału swej woli zaczął mówić:

“... Wielkie Królestwo pozna jak swoje. Uzdrowi ludzi,

uzdrowi ziemię, pozna Ardżany każdy zakątek.

I na dwa lata przed wyzwoleniem tam dozna życia

swego odmiany. Poczuję ojców swoich...”

- Dość - przerwał Urgh i jego usta uśmiechnęły się z triumfalnym okrucieństwem. - Reszta tych bredni mnie nie ciekawi. Woodou, byłeś głupcem! A kazałem ci przecież myśleć! To ty miałeś być ten sprytny i rozumny, to miała być twoja specjalność. Wiesz dobrze, że ja sam umiem jedynie władać mieczem. A jednak to nie ty, mój najwierniejszy i najchytrzejszy sługa, lecz on, mój syn, ta niedojda, zrozumiał, gdzie i czego należy szukać! Rozsyłałem żołnierzy po całym kraju, by szukali wiatru w polu, tropiliśmy Czarownice tam, gdzie ich wcale nie było, a mój syn...

... urwał i klepnął Ajoka w plecy tak, że ten nieomal upadł.

- Jestem dumny z mego syna! - zaśmiał się grzmiąco. - 1 pomyślę o jakiejś nagrodzie dla niego! A teraz, Woodou, zbierz moich najlepszych ludzi i wymyśl sposób, jak dotrzeć do serca Ardżany, tak aby was nie pożarzyły te żmije...

- W zimie one śpią, o panie, i nie są groźne...

- Wyruszamy zatem od razu do tej przeklętej Dżungli! Sam stanę na czele armii! Przygotuj armaty i kusze!

- Panie - szepnął Woodou - wybaczone, ale ten plan - to ogromny błąd. Jeśli naprawdę w Ardżanie przebywa ta Istota, to nie jest sama, lecz z Czarownicą. Tak wynika z Pieśni, gdyż i ja ją znam, choć przegapiłem widać niektóre płynące z niej informacje. Twoja armia narobi takiego hałasu, że nim podejście do Pałacu Królów, te istoty już będą daleko. A coś mi mówi, że jeśli mamy ich szukać to jedynie tam.

- To już są ruiny, ten ich cały Pałac Królów! Ruiny i zielsko!

- Tego nie wiemy na pewno, panie. Zostaw tę sprawę mnie. Pozwól, że ja sam spróbuję ci przyprowadzić tę Istotę, i kto wie, może też Czarownicę.

- Tym razem Czarownica jest mniej ważna - burknął Urgh. - Ale pamiętaj, Woodou, że jest to twoja ostatnia szansa. Dam ci wszystko co zechcesz, ale musisz mi przyprowadzić Istotę z Pieśni. Ilu chcesz zatem zbrojnych?

- Zbrojni, panie, niech jedynie otoczą Dżunglę i nie wchodzą do niej. I niech zachowują się cicho... - odparł Woodou prostując się na całą długość swej pokurczonej sylwetki. Ajok, już nie zauważany przez ojca, tkwił w kącie komnaty, ze zwieszoną głową. Po twarzy ciekły mu łzy. Łzy rozpaczy i lęku. Lęku - że zabił to, co było jego jedyną miłością. Zabił Pieśń Jedyną w jej najsłabszym i zarazem najważniejszym ogniwie. Wskazał drogę do serca rodzącego się Czarar. A rozpaczął nad samym sobą i swoją wielką słabością. Ta słabość spowodowała, że wydał ojcu tę Pieśń, właśnie on, jej odkrywca i wielbiel, on, który się z nią utożsamiał.

- ... przypomnij sobie Miasteczko, panie - mówił dalej Woodou. - Miałeś ze sobą najdzielniejszych rycerzy, swoją gwardię, ale Czarownica i tak uciekła, a razem z nią ten wyrostek. Nie dziwiłbym się, gdyby to on był wspomnianą w Pieśni Istotą, mówiłem ci o tym.

- Więc co chcesz uczynić? - przerwał Urgh.

- Twoi żołnierze nie mają nic do roboty, muszą tylko stać murem wokół całej Ardżany i nie czynić hałasu. Zaś ja sam wezmę ze sobą najwyżej dziesięciu najlepszych ludzi, zdolnych poruszać się równie cicho i bezszelestnie jak koty. Pójdziemy nocą, aby nie być widocznymi na śniegu i weźmiemy sieci. Bowiemy tylko w sieć, i to bardzo gęstą,

można schwytać prawdziwą Czarownicę i towarzyszącą jej Istotę. Schwytana w sieć i owinięta w nią gęsto, nawet gdyby przemieniła się w mysz czy ptaka, i tak nam nie ujdzie. Ale jeśli się uda, to Czarownicy w ogóle nie będziemy ruszać, a jedynie to coś z Pieśni. Dżungla zimą na szczęście jest możliwa do przejścia. A my dotrzemy do Pałacu Królów i będziemy tam czekać tak długo, zaczajeni, aż ta istota lub obie naraz z Czarownicą wpadną w nasze łapy. I nikomu z moich ludzi, także mnie, nie będzie wolno się poruszyć, choćbyśmy mieli wrosnąć w ziemię jak drzewa, byle nie spłoszyć tych, których tak długo szukamy.

- Życzę ci, Woodou, żeby to było jak najszybciej - odparł Urgh. - A jeśli coś zepsujesz... Biada ci!

Woodou zadrżał i pokręcił głową:

- Przysięgam, panie, że tym razem mi się uda. Czuję to. Nie zapominaj o tym, że wiem, iż twój koniec jest także moim końcem. Więc uczynię wszystko... wszystko...!

Ajok, na którego już nikt nie zwracał uwagi, opuścił ojcowską komnatę i zaszył się w najodleglejszy zakątek Zamku. Nie miał odwagi iść do zamkowej kuchni, gdzie odczułby serdeczność i bliskość ludzi z rodu jego matki. Nie mógłby, gdyż przed chwilą on, Ajok, tych ludzi zdradził. I gdyby miał więcej odwagi, odebrałby sobie życie. Ale nie miał jej nawet tyle. Więc pozostała mu tylko rozpacz.

* * *

Dżungla w tej zimowej porze była całkiem inna, choć równie piękna. I nagle okazała się nader łatwa do przebycia.

Gęste pnącza opadły, krzewy straciły liście, a ostre, trujące kolce były wyraźnie widoczne. Wystarczyło umiejętnie przesuwac się wśród grubych, czarnych pni drzew, żeby przedostać się na drugą stronę dawnego Pałacowego Placu, żeby zwiedzić nie oglądaną do tej pory pozostałą część miasta. A tam właśnie znajdowała się siedziba dawnej Akademii Magicznej, którą Dziewczyna bardzo pragnęła ujrzeć.

- Czy wasza Akademia była większa niż inne budynki?

- Mniejsza - uśmiechnęła się Czarownica w odpowiedzi. I całkiem zwyczajna w kształcie. Uczennic było niewiele. Parę na rok, to wszystko, a niekiedy jeszcze mniej lub wcale. Nie sądz, że dzieci obdarzone magicznym darem rodzą się często. Wręcz przeciwnie. Z drugiej strony ludzie zazwyczaj biorą za czary to, co jest zwykłym, choć nie odkrytym darem niemal każdego człowieka. Często przecież można przewidzieć przyszłość z samej logiki następujących po sobie faktów i nie ma w tym nic czarodziejskiego. Wystarczy też umiejętność doboru właściwych ziół, aby wyleczyć kogoś z bardzo ciężkiej choroby. Podobnie bywa z telepatią. Dar ten posiadają nie tylko Czarownice...

- ... z telepatią? - zaciekała się Dziewczyna. - Nie znam takiego słowa. Co ono oznacza?

- Dar przekazywania myśli na odległość. Posiada go bardzo wielu ludzi, ale nie wiedząc o tym, nie rozbudzili go w sobie. Dam ci przykład: jeśli będę bardzo intensywnie o czymś myśleć, a ty znajdując się nawet wiele kilometrów ode mnie, będziesz starała się wsłuchać w głosy, które do ciebie dobiegają, głosy wewnętrzne oczywiście, może się zdarzyć, że usłyszysz mój głos i to co chcę ci przekazać. Rozumiesz? wyjaśniła Czarownica. - Dar ten posiada wiele zwierząt, a mieli go wszyscy ludzie, dawno temu, przed milionami lat, zanim jeszcze zbudowali swoje miasta i stworzyli cywilizację. Oddalenie od Matki Natury osłabiło ten dar, a szkoda. Wielu nieszczęść można by uniknąć, gdyby ludzie nadal umieli się telepatycznie porozumiewać.

- Naucz mnie tego - rzekła Dziewczyna.

- Tego się nie uczy. To się w sobie odkrywa - uśmiechnęła się jej Opiekunka. - Odkryj więc w sobie, gdy odejdziesz ode mnie w głąb miasta, i spróbuj przekazać mi swoje myśli. Ale nie za szybko, bo przez najbliższe dwie, trzy godziny będę bardzo zajęta.

Dziewczyna ruszyła powoli dziedzińcem w stronę głównej, wyjściowej bramy. Czarownica przez chwilę spoglądała na nią z rosnącym zadowoleniem. Przebywanie w murach Ardżany odmieniło jej wychowanek. Stało się tak, jak miało się stać, jak stać się musiało. Historia świetności Wielkiego Królestwa, zakłeta w tych ruinach, przemówiła do wyobraźni i uczuć Dziewczyny. Te mury udzieliły jej swojej godności i dumy. Teraz nawet jakby się inaczej poruszała, inaczej mówiła. Nie jak na pół dzikie, chowane w lesie dziecko - ale niemal jak prawdziwa księżniczka. Owszem, nadal była uparta, nawet wówczas gdy nie miała racji, ale i to minie, bowiem tchnące pradawną mądrością mury stolicy udziela Dziewczynie i tej lekcji. Trzeba jeszcze tylko trochę czasu. Niewiele. Jest go jeszcze akurat tyle, aby naprawiło się to, co jest skazą na jej charakterze. No i Siostra Piąta... Jedyna z Sióstr, posiadająca dar dostrzeżenia skazy na pozornie czystym diamencie i usunięcia jej. A Siostra Piąta już za kilka miesięcy dopełni swego dzieła. Jej szlif będzie ostatni - i najważniejszy.

Czarownica odprężyla się. Zbyt długo żyła w stałym napięciu. Ona i jej Siostry. Zbyt często musiała używać daru magicznego, sięgając nawet do magii dla najwyżej wtajemniczonych. Teraz jej dar nadwyrężył się i to mocno. Wczoraj na przykład jedynie dla wprawy chciała przeniknąć przez ścianę - i nie udało się jej. Groźny to sygnał i nie wolno go lekceważyć. W każdej chwili może się okazać, że potrzebuje pełnej Mocy. A zatem teraz, gdy Dziewczyna przediera się przez śnieżną tym razem Dżunglę do ruin Akademii Magicznej, ona, Czarownica, zapadnie na krótko w swój ozdrowieńczy, wzmagający magiczne dary sen. A w tym śnie jej Duch powędruje do Prastarych Mocy, w podziemia i napije się z ożywczej krynicy. Gdy powróci, Czarownica będzie znowu wszechmocna, a taką właśnie winna być, jeśli ma jeszcze służyć przez kilka miesięcy swej wychowance...

... Woodou i dziesięciu jego najlepszych ludzi stali skryci za grubymi pniami drzew, koło głównej bramy. Woodou wiedział, że dalej nie trzeba iść, a nawet nie należy. Stary Pałac Królów krył w sobie zapewne niejedną zagadkę i niejedno ukryte przejście czy skrytkę. Nie wolno zatem spłoszyć zwierzyny i zaganiać ją w miejsce, gdzie łatwiej jest się skryć niż gdziekolwiek indziej. A zresztą Woodou bał się tego miejsca. Pałac mógł być nawiedzany przez upiory i królewskie cienie. To, że zachował się w tak znakomitym stanie po ośmiu wiekach, zakrawało na cud lub na czary. Tylko upiory mogły maczać w tym swoje szpony. Upiory i Czarownice. Pałac powinien popaść w ruinę jak wszystko wokół - a jednak stoi i to niemal nie naruszony! Woodou ujrzał go teraz po raz pierwszy w swoim życiu i aż zachłysnął się z wrażenia, mimo że ujrzał jedynie tę część, którą można było dostrzec zza głównej bramy. Widział też, że i jego ludzi nieco spłoszył ten widok. Do ruin przywykli, mijali je wszak po drodze, ale ta prawie nienaruszona, królewska budowla zaniepokoiła ich. A byli bardzo zabobonni. Od razu zaczęli myśleć o upiorach, tak zresztą jak Woodou. O upiorach z królewskim pochodzeniem...

- Jak ludzie, którzy stworzyli takie piękno, mogli dać się tak szpetnie podejść barbarzyńcom z Wielkich Stepów? pomyślał przelotnie i przez ułamek sekundy, na pół świadomie, poczuł się dumny, iż przynależy do takiej rasy. Nie miał zresztą nigdy złudzeń, kim są Najeźdźcy, którym zdecydował się służyć. - Gdyby to wielkie, królewskie Imperium nie runęło, z jaką radością służyłbym dziś władcom rodu Luilów - myślał. - Ci barbarzyńcy przerażają mnie, ale cóż robić? Tylko w Urghu moja szansa na dostatnie życie. Nie chcę umierać z nędzy jak moi rodacy. A teraz, gdybym przyprowadził Urghowi cenną zwierzynę, mogę się od niego spodziewać nie byle jakich splendorów!

... a zwierzyna tam była. Tam, za pierwszym murem pałacu - i Woodou to wiedział na pewno. Mówił mu o tym nie tylko instynkt, ale i słuch. Choć nie słyszał treści rozmów, ale przecież nie było to słuchowym omamem, te odległe dźwięki, najwyraźniej dwa głosy, dwóch żywych kobiet rozmawiających ze sobą.

- Dwie kobiety ... - myślał Woodou. - Jedna starsza, ma głos wyraźnie niższy i druga bardzo młoda, jej głos wibruje śpiewnie jak u ptaka... Ale dlaczego dwie kobiety? Jedna jest Czarownicą, to pewne, tak wynika z Pieśni, lecz druga...? Czyżby Istota, o której mówią ostatnie zwrotki Pieśni, miała być Dziewczyną? Mogło być i tak, czemu nie? Pod pojęciem "Istota" nie kryje się żadna wyraźnie określona płeć. To my, na Zamku, uznaliśmy, że jeśli Urghowi ma ktokolwiek zagrozić, to jedynie mężczyzna z rodu Luilów, no bo kobieta...? Jakże? W jaki sposób? I czemu w Miasteczku, w którym omal nie zgubiło nas to straszliwe trzęsienie ziemi, Czarownica była z chłopcem...? Ale przecież dziewczynę łatwo przebrać za chłopca, wystarczy jej obciąć włosy... i umyć w wywarze z dębu, przyciemnić... Tak, ciągle szukaliśmy i szukaliśmy Czarownicy z chłopcem, i to złotowłosym. Nawet donoszono nam z tej czy innej wsi lub miasteczka, że włóczą się tam stara kobieta i jakaś dziewczynka, ale nigdy w jakiś szczególny sposób nas to nie interesowało, tak przywykliśmy do myśli, że to powinien być chłopiec... Dziwnie toczą się te losy, bo i cóż może

dziewczyna uczynić Urghowi? Rycerz z rodu Luilów, to rozumiem... Stawiłby mu czoła w walce i wygrał, ale dziewczyna...? Lecz ten Czar, jakiś dziwny Czar, o jakim mowa w tej przeklętej Pieśni... Czary w tym kraju są domeną kobiet! Czuję, że ten głupi szczeniak, Ajok, wie o wiele więcej, niż mówi...

Woodou i jego ludzie niemal bez ruchu stali w pobliżu pałacowej bramy już prawie dwa dni. Zmieniali się co cztery godziny i wtedy połowa z nich zapadała w krótki sen. Jedli tylko suchary, a zamiast wody brali do ust garść śniegu. Wyraźnie było widać, że mają już tego dość.

... śnieg - myślał Woodou. - Gdyby nie on, nigdy byśmy tu nie dotarli przez tę zieloną, straszliwą dżunglę. Cóż za wspaniały zbieg okoliczności! Głuptas Ajok odkrywa, że one są w sercu Ardżany, mówi to ze strachu Urghowi i akurat jest śnieg! Los nam sprzyja! A swoją drogą mały nie jest wcale durniem, za jakiego wszyscy go mają. Rzecz w tym, że my wszyscy, tak, ja też, tak bardzo boimy się Pieśni Jedynej, że nigdy nie wsłuchaliśmy się naprawdę w jej słowa. Strach obezwładnił nam umysł. Ten strach spowodował, że nigdy nie próbowaliśmy zgłębić dokładniej jej treści i znaczenia, jej szyfrów i zagadek. Gdyby nie Ajok, w ogóle nie zwrócilibyśmy uwagi na to, co faktycznie ta Pieśń głosi i jak wiele jest w niej szczegółów, dokładnych niemal wskazówek...!

Na dziedzińcu Pałacu dość długo panowało milczenie. Ale oto znowu dobiegają z niego głosy. Woodou natęży całą swoją uwagę, ale nie może rozróżnić słów, tylko brzmienie dwu głosów: ten młody, melodyjny i starszy, o wiele surowszy, chłodny.

... obyż zechciały się rozdzielić! - modli się Woodou do swego Boga. Jego Bóg jest Bogiem chytrkości, ma niedużą, lisią twarzyczkę, jak Woodou, i z jego pomocą udało mu się zająć uprzywilejowane miejsce u boku Urgha. Nie było to trudne, bowiem Urghowie nie grzeszą rozumem. Ich Bóg jest wyłącznie Bogiem siły. Ale cóż może siła bez rozumu? Dlatego Woodou stał się Urghowi niezbędny, mimo tylu niepowodzeń w tropieniu zbliżającej się klęski i prób zapobiegnięcia jej. Ale teraz, jeśli mu się nie uda, Urgh może naprawdę stracić do niego swoją słabość, ba, może pozbawić go życia! Strach, który przepelnia go coraz mocniej i mocniej każdego dnia i każdej nocy, powoduje, iż Urgh traci głowę, staje się coraz bardziej gwałtowny, dziki, brutalny. I nieobliczalny.

- ... żeby się rozdzieliły, choć na chwilę - modli się Woodou. - Żeby to ona wyszła sama, a Czarownica niech pozostanie tam, w pałacowych murach. Po co mi Czarownica? Czarownice znają zbyt wiele sposobów uniknięcia swego losu. Są groźne. Żeby ona zechciała wyjść sama przez tę bramę. Wtedy już będzie nasza...

Jeden z głosów brzmi coraz bliżej. Ten wyższy, młodszy. Woodou natęży swoją uwagę i daje znak swoim ludziom. Wszyscy się budzą i stoją teraz nieruchomo za pniami drzew.

Czterech stoi przy samej bramie, po dwóch z każdej strony. U ich stóp leży sieć. Nie widać jej, gdyż Woodou zadbał, aby przykryć ją śniegiem.

Teraz zamilkły oba głosy... słyhać jedynie czyjeś kroki... lekkie, szybkie. Jakby ktoś biegł zwinnie i z radością. "Tak biegnie tylko ktoś młody" - myśli Woodou, cały napięty. Ten ktoś biegnący jest już parę metrów od bramy... jest już przy niej... zaraz w nią wejdzie...

Bura sieć poderwana sprawnymi, silnymi rękami opada na smukłą, biegnącą postać. Przez chwilę w bladym zimowym słońcu lśnią złote włosy, przez ułamek sekundy widać jasną, przestraszoną twarz i szarobłękitne oczy. Zanim jednak usta otwierają się do krzyku, silna ręka Woodou spada na nie i knebluje brudną szmatą. A potem Woodou precyzyjnie, nie za mocno, ale i nie za słabo, uderza w głowę. Istota w sieci, przez chwilę jeszcze szamocąca się, nieruchomieje. Jej ciężar staje się teraz jakby większy, ale i łatwiejszy do niesienia. Dziesięciu ludzi przemyka szybko i chyłkiem między pniami drzew.

- Trzeba się śpieszyć - myśli Woodou. - Przez tę dżunglę i ruiny, mimo zimy, będziemy przedzierać się co najmniej dwa dni. Oby tylko tamta nas nie dogoniła. Dlaczego jeszcze jej tu nie ma. Czyżby spała? Ale czy Czarownice w ogóle śpią...?

* * *

Czarownica leży nieruchomo na jednej z ław kamiennej tronowej Białej Sali. Ma zamknięte oczy, jej twarz pobladła, rysy dziwnie wyciągnęły się. Ktokolwiek by ją teraz ujrzał, sądziłby, że umarła. Lecz ona żyje, tyle że Duchem jest daleko, daleko stąd. Jej Duch błądzi teraz w Królestwie Podziemi, blisko tajemniczych i groźnych Prastarych Mocy. I choć One ciągle drzemią, jednak z samej ich bliskości duch Czarownicy czerpie siłę, odnawia swoje cudowne właściwości i dary. Bowiem dary magii i czarów pochodzą właśnie stąd, z serca ziemi, z drzemiącej Potęgi Prastarych Mocy w swym podziemnym Królestwie - a nie z jakichkolwiek królestw nadziemnych.

Powieki Czarownicy drgają leciutko. Jej Duch, przebywający już głęboko pod ziemią, zaczyna się niepokoić. Zdaje mu się, że go ktoś woła. Kto? Prastare Moce? Nie, One przecież drzemią. Więc kto? Człowiek. Gdzie jest ten człowiek i dlaczego woła? Woła niecierpliwie, ze strachem i z niesamowitą siłą telepatyczną. Brzmienie tego Głosu zdolne jest uszkodzić delikatny mózg Czarownicy, ma tak niezwykle wręcz natężenie. A zatem to nie jest Głos żadnej ze Sióstr. One umieją posługiwać się darem telepatii, czynią to delikatnie i cicho. Powieki Czarownicy drgają coraz szybciej. Jej Duch jeszcze nie zdążył napić się z Krynicy Mądrości Prastarych Mocy, ale czuje, że musi wracać i to jak najszybciej. Taki gwałtowny powrót jest niebezpieczny - i dla Ducha, i dla ciała Czarownicy. Duch jest osłabiony wyczerpującą i straszną podróżą do Królestwa Podziemi, a jeszcze nie zdążył odnowić swych sił. Czarownica otwiera oczy. Jest tak słaba, że nie może wstać. Nie wolno bezkarnie przywoływać jej Ducha,

blądzącego pod ziemią. Zbyt szybki i gwałtowny powrót powoduje, że Czarownica w pierwszej chwili nie wie, gdzie jest. Z jej twarzy spływa pot, czuje dreszcze. Jest chora. I nie słyszy już żadnego wołania. Czy zatem zdawało się jej tylko, że ktoś wołał? Że jej mózg odebrał tak potężny i rozpaczliwy krzyk człowieka, iż do tej pory ból tkwi we wszystkich jego komórkach? Jeśli ten pełen lęku krzyk istotnie miał miejsce - mogła krzyczeć tylko Dziewczyna. Jedynie jej mózg mógł przesłać z telepatycznym brakiem wprawy ten zbyt silny, niepokojący sygnał. Ale przecież teraz panuje cisza. Nic nie słyhać, Dziewczyna zapewne biega swobodnie po ruinach i nieprędko powróci. I bawi się tą nową zabawką, jaką jej dała Czarownica Czwarta - telepatią. Nie bacząc na jej prośby, by nie czyniła tego przez jakiś czas. Tak to do niej pasuje - pokazać Opiekunce, że jej nie posłucha.

Czarownica jest teraz chora i wie, że tylko jedno może ją uratować. W tej chwili słabe jest nie tylko jej ciało, słabe i chore; osłabiony jest jej Duch, który utracił swoje dary. Tylko ona Czarownica będzie bezużyteczna dla swej wychowanki. Co będzie jeśli wychowanka nagle wróci i znowu obudzi ją z jej cennego snu i wędrówki Ducha? Nie wolno do tego dopuścić. Za żadną cenę. Dziewczynie nic się nie stanie, gdy pobędzie trochę sama w bezpiecznej Ardżanie - a ona, Czarownica, wyśle swego Ducha z powrotem do Podziemnego Królestwa, ale tym razem na dłużej. Inaczej bezpowrotnie utraci swój czarodziejski dar.

Więc teraz Czarownica z najwyższym trudem zwleka się z kamiennej ławy i niemal czołgając, wlecze swe osłabione ciało w stronę kamiennego tronu Luilów. Tylko jej wiadomo, że pod nim znajduje się schowek, ukryte wejście do tajnego pomieszczenia, gdzie nikt i nic nie przerwie jej magicznego snu. Czarownica wczółguje się tam blada, spocona i zapada niemal natychmiast w stan letargu. Obudzi się z niego dopiero wówczas, gdy jej Duch da znać, że już czas, że jest gotów, że na nowo się narodził, potężniejszy niż kiedykolwiek. Dziewczyna poczeka, bo gdzież mogłaby iść...?

Ciało Czarownicy nieruchomieje i nawet nie czuje, jak do skrytki wpełza zielonożłota żmija i szukając ciepła wtula się w jej ciało. Również zasypia. Ta śpiąca nie jest zwykłym człowiekiem, ale Czarownicą. Żmija to czuje i nie przeszkadza jej nawet silny zapach karadormu. Najważniejsze jest to ciepło w zimowym chłódzie i dziwne impulsy, które wstrząsają tym ciałem i dają żmii prawdziwą przyjemność. Kto wie, może ona, żmija, stanie się teraz żmiją - czarownicą i będzie istotą znaczną wśród innych żmij...?

ROZDZIAŁ XXI

Dziewczyna dwukrotnie odzyskiwała przytomność w czasie nużącej wędrówki przez ruiny Ardżany - i dwukrotnie ją traciła. Gdy odzyskała ją już w pełni i otworzyła oczy, właśnie zapadł zmrok. Dopiero teraz poczuła, że całe jej ciało obezwładnia silna i gęsta sieć, przez którą nawet mysz by się nie przecisnęła.

Teraz już nieśli ją żołnierze, silni, brutalni, hałaśliwi. Ludzie Woodou dotarli bowiem do skraju ruin, rubasznie witani przez gwardię Urgha.

- Do króla, szybko! - rozkazał Woodou, przekazując im bezcenny ciężar. Jeden z żołnierzy wrzucił ją na konia i sam pogalopował na przedzie. Za nim jechał drugi, mając w siodle Woodou. Zaś dokoła, na wszelki wypadek, otaczała ich niemal cała armia. Na Zamku jarzyły się wszystkie światła, a sam Urgh stał w jednym z okien. Długo i niecierpliwie, przez kilka dni i nocy, niemal nie śpiąc, wypatrywał powrotu swego sługi, aż wreszcie usłyszał z oddali nerwowy tętent wielu koni. Opadł zwozony most, aby za moment podnieść się z powrotem, zamykając szczelnie jedyne wejście na zamkowy dziedziniec. Jeźdźcy już zdejmowali z konia swoją branżę.

- Macie go?! - ryknął Urgh, oszalałym z niepokoju głosem.

- Mamy ją - powtórzył Woodou butnie. Jego pokręcona figurka tym razem była wyprostowana na całą, skądinąd też niewielką wysokość, a oczy spoglądały prosto w twarz Urgha, z ponurą radością i dumą. To on, Woodou, był bohaterem dnia. On, uważany zawsze za chytrego, zdradzieckiego tchórza, w przeciwieństwie do stojących twarzą w twarz z wrogiem rycerzy - był teraz prawdziwym herosem.

- Jak to j ą? - zdziwił się Urgh dotykając dziwnie bojaźliwie opłataną w sieć postać. - Dlaczego j ą? Myślisz o Czarownicy? A gdzie ta Istota z rodu Luilów, która nam przecież bardziej zagraża?

- To właśnie ona - odparł z satysfakcją Woodou, widząc zdziwienie swego władcy.

- Niemożliwe!!! - zaryczał nagle Urgh. - Jakaż dziewczyna mogłaby mi zagrozić?! Mnie?! Rycerzowi?! Co ty mówisz Woodou! Znowu popełniłeś jakąś, tym razem straszną, pomyłkę! Jeśli to nie jest Czarownica, to w takim razie i c h służąca, ale nie ten ktoś.

Woodou pobladł. Jego mózg pracował teraz intensywnie. Skoro zgodnie z Pieśnią Jedyńą ktoś, za czyją sprawą miało runąć Imperium Urgha, przebywał w Ardżanie pod opieką Czarownicy, to nie mógł to być nikt inny, tylko wskazana przez Pieśń Istota. A może jednak Urgh miał rację? Może w Pałacu Królów przebywały trzy osoby: ta Istota, jej Opiekunka i ich służąca...? Lub jakakolwiek przypadkiem zaplątana tam dziewczyna? Skoro tak, to wszystko stracone, gdyż nieudane porwanie jedynie ostrzegło Czarownicę, która już drugi raz nie da się zaskoczyć...

- Panie, twój syn zna dobrze Pieśń Jedyńą - odparł po chwili, kryjąc swój strach przed pomyłką. - Zdradził się z tym przed nami. Jego zapytaj, czy t o może być dziewczyna!

Ajoka nie trzeba było szukać daleko. Drżący i przerażony stał tuż obok, w tłumie rycerzy i żołdaków, wpatrując się w nieruchomą postać, której - prócz kształtów -

prawie nie było widać. Jego serce przepelniała rozpacz. Czyż nie stało się bowiem tak, że to za jego, Ajoka, zbędnym gadulstwem przerwany został wieszcy czar Pieśni Jedynej? Teraz Urgh - ojciec odbierze życie tej Istocie, przewidzianej przez Los do przyniesienia wolności ciemżonemu krajowi jego matki. Kto tę Istotę zastąpi? Przecież nie on, tchórzliwy i słaby. W dodatku ta Istota musi pochodzić z prastarego rodu Luilów, prawowitych władców Wielkiego Królestwa.

- Ajok! - usłyszał nagle surowy, groźny głos ojca. - Czy to może być dziewczyna?

- Nie rozumiem... - wyjąkał Ajok, wyrwany nagle ze swych myśli.

- Pytam cię, czy Pieśń Jedyna określa w sposób wyraźny płeć tej Istoty? Czy może ona być dziewczyną?

Ajok pomyślał nagle, że mógłby skłamać, lecz uprzytomnił sobie, że to i tak nie uratowałyby życia skrytej w sieci Istocie. Kto wie nawet, czyby go nie skróciło, przez zawód i wściekłość ojca.

- Tak - powiedział bezwiednie. - To może być dziewczyna, a nawet wiele na to wskazuje. Ta pieśń nigdy i nigdzie nie określiła jej płci, ale... - i prawie odruchowo wyszeptał:

“... mieć będzie ta Istota włosy koloru złota,

pszenicy tego kraju,

oczy jak niebo przed burzą i dar magiczny

nieduży

wzięty z Luilów córki, ostatej z tego rodu,

która zbiegła przed wrogiem...”

- Czemu znowu mamrociesz jakieś bzdurne wiersze?! wrzasnął Urgh, zbliżając swą ogromną, sinoczerwoną twarz do drobnej i bladej twarzy syna.

- On mówi fragment Pieśni, która wszystko objaśnia powiedział z triumfem Woodou. - Istota w sieci, dziewczyna, ma włosy koloru złota i także oczy, jak mówi Pieśń. Pomyśl, panie! Nikt nigdy z nas się nad tym nie zastanawiał, paraliżował nas lęk, zbyt wielki, by wsłuchiwać się uważnie w słowa Pieśni. To nie tylko może być dziewczyna, ale to p o winna być dziewczyna, nie chłopiec. A dowiódł tego twój wspinały, rozumny syn, o panie...

Brat Urgha z rodziną powiedli po sobie niespokojnym wzrokiem. Szansę ich syna, Warghra, na objęcie władzy po stryju zaczęły maleć.

- Dlaczego? - spytał oszołomiony Urgh. - Dlaczego dziewczyna?

- Opis tej Istoty zawarty w Pieśni wyraźnie wskazuje na dziewczynę. A poza tym, panie, czyżbyś już zapomniał własne, rodowe przekazy? - pytał triumfalnie Woodou, już nie piskliwym, ale donośnym głosem. - Ostatnia z córek Luila XXIV, Luella, obdarzona magicznym darem, żona nadwornego maga, uszła pogoni Urgha I i wszelki ślad po niej zaginęła. Twój praprapradziad tropił ją po całym kraju, ale bezskutecznie. Jego następcę długo niepokoiła myśl, czy aby z tego związku nie narodziło się dziecko, gdyż dziecko to byłoby prawowitym pretendentem do tronu. Mogłoby kiedyś zagrozić waszemu panowaniu. Żołnierze twych pradziadów zabili wiele kobiet w ciąży o jasnych, złotych włosach, ich mężów, ich dzieci. Ale żadną z nich nie była Luella. Niestety, twoi późniejsi pradziadowie, nie czując zagrożenia dla swej władzy z niczyjej strony, zapomnieli, że w tym kraju prawdopodobnie nadal żyją gdzieś prawowici potomkowie królewskiego rodu. Wprawdzie tylko ze strony kobiety, ale za to kobiety obdarzonej darem magii. Zapomnieli, o panie. Dopiero Pieśń Jedyna, rozprzestrzeniając się po całym kraju, trafiła wreszcie do uszu królewskich Urghów i uprzytomniła, że widmo tego królewskiego rodu, rodu Luilów, ciągle gdzieś krąży. Ale po setkach lat już nie było żadnego wyraźnego śladu i niemożliwością byłoby wytropić spadkobierców Luila XXIV. Lecz skoro wszystko zaczęło się od dziewczyny, królowy Luelle, która blisko przestawała z Czarownicami, na dziewczynie też powinno się skończyć. Ten magiczny dar, o którym wspomina Pieśń i który ma posiadać także ta istota, posiadały w rodzie Luilów jedynie córki. Nigdy nie mieli go synowie. Zatem, o panie, masz przed sobą ostatnią żyjącą i prawowitą potomkinię rodu, rodu prawdziwych królów tej podbitej krainy...

Ciało oplatane siecią poruszyło się gwałtownie. Zebrani wokół rycerze z lękiem odsunęli się, krzycząc:

- Zabij ją!

- Zabij! Nie czekaj! - podchwyciły głosy zebranych na zamkowym dziedzińcu rycerzy i żołdaków.

- Przerwij tę przeklętą Pieśń i zabij ją! - zakończył brat Urgha, potężnej budowy rycerz o podobnej do swego brata lwiej grzywie włosów i niskim czole.

Urgh, oszalały nagle z triumfu, uwolniony od wszystkich lęków i koszmarów nocnych, dręczących go niemal od urodzenia, wzniósł w górę swój miecz, gdy w ciszę, która nagle zapadła, wdarły się dwa naraz głosy:

- Nie czyn tego! Nie zabijaj! - zawołali niemal równocześnie Woodou i Ajok. W głosie pierwszego brzmiała nuta ostrzegawcza, a w drugim jedynie bezsilna rozpacz.

- Dlaczego? - spytał posępnie Urgh, powstrzymując niemal w ostatniej chwili swój miecz.

- Ojcie, błagam cię... - zaczął Ajok, ale Urgh odepchnął go i wbił swe małe, czarne oczy w Woodou:

- Pytam jeszcze raz, dlaczego?

- Odpowiem na to pytanie, gdy będziemy sami - wyszeptał Woodou tycząc dokoła niespokojnym wzrokiem.

- Zabij ją! - zaryczało ponownie żołdactwo i rycerze z bratem królewskim na czele. - Inaczej ona zabije cię w taki czy inny sposób!

- Więc co mam uczynić? - spytał niemal bezradnie Urgh. Powodowany zawsze instynktem swej dzikiej, żadnej krwi natury, był wspaniały w walce, ale tracił głowę tam, gdzie należało myśleć. Dlatego Woodou stał mu się z czasem niezastąpiony, nawet gdy popełniał pomyłki.

- Na razie ukryj ją, panie - wyszeptał teraz sługa do ucha władcy. - Potem ci wszystko wyjaśnię...

- Ale gdzie? Gdzie mam ją ukryć? W lochach? A tamto trzęsienie ziemi w Miasteczku, pamiętasz? - spytał Urgh bezradnie.

- Na stos! Na stos! - niosło się echo okrzyków żołdactwa. - Lub przebij ją mieczem! Nie czekaj!

- Jeśli ona jest z królewskiego rodu, lecz po kądzieli, odziedziczyła, o czym mówi też Pieśń Jedyna, talenty magiczne - szeptał szybko Woodou swemu panu. - Musisz więc zamknąć ją w komnacie pozbawionej jakichkolwiek otworów, nawet najmniejszych. Inaczej przemieni się na przykład w pająka czy mysz i ucieknie...

- Więc gdzie mam ją zamknąć?! - zawołał niemal zrozpaczony Urgh. Wszelkie przeszkody wywoływały w nim zawsze gniew, zaprawiony żalem do okoliczności, które je spowodowały.

- Zabij ją i nie słuchaj tego lisa! - krzyknął w tym momencie jego brat. - Jeśli jest także Czarownicą, nigdy sobie z nią nie poradzisz! Zróbmy stos i spalmy ją!

- Zróbmy stos! - podchwycili żołnierze, licząc na uciechę, jaką sprawiało im palenie czarownic.

- Panie, radzę ci mnie wysłuchać - wyszeptał znowu Woodou. - Odniesiesz z tego wielką korzyść. A zamkniesz ją w jednym, jedynym pomieszczeniu, które nie ma ani okien, ani zwykłych drzwi i całe wykute jest z litego metalu...

- Myślisz o moim skarbcu? - zaniepokoił się Urgh. - A gdzie przeniosę złoto?

- Nigdzie. Zostanie razem z nią. Ona, o panie, jest o wiele cenniejsza dla ciebie niż całe to złoto.

- Zgoda. Na stos zawsze mamy czas - oznajmił Urgh. Zamknijcie ją zatem w skarbcu...

Po dziedzińcu przebiegł niechętny szmer głosów, które jednak zaraz umilkły, gdy Urgh potoczył wokół złym dzikim wzrokiem.

- ... twoi rzemieślnicy, o panie, będą całą noc budować pokój, który by odpowiadał naszym zamiarom i tam ją rankiem przeniesiemy, gdyż w skarbcu rychło by się udusiła dokończył Woodou. Urgh, niczego nie pojmując, bezwiednie kiwał głową.

Żołnierze, dźwigający opłatana w sieć Dziewczynę, posłusznie ruszyli do skarbcza. Uchylone na krótko żelazne drzwi ukazały jarzące się w świetle pochodni bogactwo: złote sztaby i monety, diademy, pierścienie, bransolety i naszyjniki, drogie kamienie, kolie, srebrne ozdoby. Wszystko to należało ongiś do królewskiego i rycerskich rodów Wielkiego Królestwa. A teraz na tym złotym skarbie spoczęła, opłatana w sieć, ostatnia potomkini rodu Luilów, prawowita właścicielka tych bogactw. Ale wołałaby nie mieć ani cząsteczki tego skarbu, byle odzyskać wolność.

* * *

Urgh spiesznie udał się do swojej komnaty. Za nim biegł, ledwie nadażając, Woodou. Nikt nie zauważył Ajoka, który wślizgnął się tam jeszcze przed nimi i przycupnął w ciemnym kącie za kotarą. Sam nie wiedział, jak zdobył się na ten, w jego mniemaniu, akt wielkiej odwagi. Wiedział za to jedno: ostatnia żyjąca w tym kraju istota z prawowitego królewskiego rodu Luilów z jego winy znalazła się tutaj, zdana na łaskę i nieszczęście jego ojca. W oczach wszystkich rycerzy Urgha Ajok dojrzał widmo stosu. Teraz pragnął się dowiedzieć, jak i dlaczego mogło się dokonać to, co wydawało się niemożliwe: że od natychmiastowej śmierci tę dziewczynę uratował nie kto inny, ale jej najzacieklejszy tropiciel Woodou. Dlaczego to uczynił? Co chciał przez to osiągnąć? Ajok nie wątpił o tym, że Woodou musiał przyświecać jakiś mroczny i na pewno zły cel. Uratował Luelle - gdyż takie musiała mieć imię zgodnie z tradycją rodu - nie z dobrego serca bądź dlatego, że odezwały się w nim wyrzuty sumienia lub jakiś wewnętrzny głos odpowiedział mu, że on, Woodou, jest przecież mieszkańcem tej krainy, a nie Najeżdźcą. Nie, Woodou musiał wymyślić coś okropnego...

Urgh ze swym sługą znaleźli się w komnacie i Ajok znieruchomiał za kotarą, zamieniając się cały w słuch, gdyż Woodou zazwyczaj szeptał. Urgh za to swoim obyczajem grzmiał na całą komnatę.

- Co wymyśliłeś, Woodou, ty pomociu diabelski?! - ryknął teraz z nieskrywaną ciekawością.

- Ciszej, panie, w twoim zamku są także złe uszy... szepnął Woodou.

- Chyba kpisz! - ryknął jego pan. - W moim Zamku ja jestem najpotężniejszy i wszyscy obawiają się mego gniewu!

- Tak, panie, ale niektórzy cieszą się ze zmartwienia, jakie masz...

- Pieśń Jedyna i jej wróżby? - zaśmiał się Urgh. - Wszak wszystkim mieszkańcom Zamku one także zagrażają!

- Tak, panie, ale masz też inne zmartwienie. Twój syn... i Woodou zawiesił głos.

Urgh milczał chwilę, wreszcie odparł ponuro:

- Tak, mój syn nie jest godny miana Wielkich Urghów i nawet gdyby ta przeklęta Pieśń nam nie zagrażała, to ja, Urgh XIII, nie mam następcy...

- ... ale mógłbyś mieć - dodał szybko Woodou.

- Głupiś! Nie mam żony i jestem za stary, by płodzić nowych synów!

- Nie musisz, panie. Twoim następcą, który przyniesie prawdziwe szczęście temu krajowi, będzie nie kto inny, ale właśnie twój jedyny syn, Ajok, przyszły Urgh XIV...

- Cóż ty bredzisz, Woodou! Doskonale wiesz, że on się do tego nie nadaje. Boli mnie to, ale cóż z tego? Nie ma na to żadnej rady. Moi rycerze słusznie zażądali, żebym swoim następcą uczynił mego siostrzeńca, Warghra. Ajok na tronie przyniósłby memu rodowi tylko wstyd i nawet nie umiałby tego tronu utrzymać! Teraz, gdy Pieśń Jedyna...

- ... właśnie o to mi idzie, o panie - rzekł tryumfalnie Woodou. - Twój syn jest jedynym, który jest zdolny odmienić los tego kraju, wieszczony w Pieśni i zarazem los całego twego rodu - wyszeptał Woodou, a gdy jego pan otworzył usta ze zdziwienia i zamilkł, oniemiały, Woodou ciągnął dalej:

- Wystarczy, o panie, żeby twój syn poślubił tę dziewczynę. Usta Urgha w niemym zdziwieniu rozwarły się jeszcze szerzej, ale jego brwi zaczęły marszczyć się groźnie, jakby król miał zaraz wybuchnąć wściekłym gniewem. Po chwili jednak jego czoło rozpogodziło się, a złość ustąpiła miejsca ciekawości.

- 1 czego chcesz w ten sposób dokonać? - spytał.

- Twój syn przez ślub z ostatnią córką rodu Luilów, władców i założycieli tego kraju, zyska prawo rządzenia nim, prawo moralne i faktyczne. Ocali bowiem jej życie i wprowadzi na tron. W ten sposób wypełnią się wróżby Pieśni Jedynej. Pomyśl tylko: w zgodzie z wróżbami tej Pieśni, Luilowie powrócą na swój tron i to w sposób bezkrwawy. Ale zarazem ty, o panie i twój ród wcale go nie utracicie. Pieśń zostanie przechytrzona! A lud tej krainy, z którym mamy tyle kłopotów, uwierzy, że Pieśń -

wypełniła się do końca, co zresztą heroldowie obwieszczą zaraz po ślubie Ajoka z tą istotą. I lud przestanie się buntować!

Urgh najpierw zaniemówił, ale w miarę słuchania słów Woodou na jego twarzy malowały się coraz to inne uczucia. Wreszcie po chwili ryknął radosnym, donośnym śmiechem:

- A niech cię...! Ty masz łeb, Woodou. Dam ci pas rycerski w nagrodę za ten pomysł, choć zapewniam cię, żeś do rycerza niepodobny. I ozłocę cię, Woodou! Jesteś rzeczywiście najmądrzejszym człowiekiem w tej krainie. Mogą teraz sobie śpiewać Pieśń Jedyną, ale Ona już nam nic nie uczyni! Mogą sobie spiskować, żeby mój syn ustąpił swe prawa następcy tronu na rzecz Warghra! Ale nie ustąpi! Już wiem, Woodou, zrobię cię moim pierwszym ministrem, z workiem złota na dobry początek!

Lisia twarzyczka Woodou rozjaśniła się. Woodou miał dziś naprawdę swój największy dzień w życiu. Na ten dzień zdrajca pracował całe życie. I wreszcie się opłaciło. Z pacholka trzymającego wodze Urghowego konia stał się pokojowcem, z pokojowca - sekretarzem, a teraz...? On, niewolnik z urodzenia - bo któż pamięta te bajdy o dawnym Wielkim Królestwie - zostanie ministrem i będzie wydawał polecenia rycerzom swego pana!

- A teraz, nie bacząc, że to noc, każ obudzić rzemieślników - powiedział całkiem nowym, stanowczym tonem do swego władcy. - Pamiętaj, że w tym skarbcu dziewczyna bez powietrza wkrótce się udusi. Trzeba szybko obić drzewem jedną z mniejszych zamkowych komnat, a w okna wstawić najgrubsze szyby. Nigdzie nie śmie zostać najmniejsza szpara, w którą mogłaby się wślizgnąć choćby mysz. W grube, dębowe drzwi wstawimy małe okienko z bardzo gęstą kratą, przez które będziemy podawać jej jedzenie... Poza mną, tobą i... tu Woodou zachichotał - ... narzeczonym, nikt nie będzie miał prawa tam wchodzić. Ta komnata spełni podwójną rolę: nie dopuści, aby nasza cenna zdobycz jakkolwiek szparą uciekła w postaci na przykład myszy, a równocześnie ochroni ją przed możliwą śmiercią z ręki zwolenników Warghra na tym tronie. A pod drzwiami postawimy podwójne straże.

- Ale po co on, ten głupiec, mój syn, ma tam wchodzić? wrzasnął Urgh. - Wystarczy, gdy ujrzy narzeczoną w dniu ślubu! A ten urządzimy w ciągu tygodnia!

- Mój panie, twój syn, tak bardzo tobie niemiły, jest w dziwny sposób życzliwie traktowany przez wszystkich twych niewolników. Nikt o tym nie wie, poza mną, ale podbił serca całej twjej kuchennej służby...

- Jedyne dziecko króla pospolitował się z niewolnikami w kuchni?! - ryknął Urgh. - Ściąć ich wszystkich, aby nikt o tym nie wiedział!

- Nie krzycz na niego, panie, i zostaw służbę kuchenną w spokoju. Śledziłem każdy jego krok, na wszelki wypadek, i wiem, że tylko przez swe przyjaźnie z niewolnikami

poznał dokładnie tę przeklętą Pieśń, a gdy poznał, okazało się, że tylko on jeden umie ją właściwie tłumaczyć. Ci niewolnicy niechący oddali wspaniałe usługi i kto wie, czy się jeszcze do czegoś nie przydadzą. Dzięki nim i Ajokowi ta dziewczyna znajduje się teraz w twoim skarbcu, jako jego najcenniejsza perła...

- To prawda, Woodou - przyznał niechętnie Urgh.

- Co więcej, właśnie taki chłopiec jak Ajok potrafi zyskać sympatię tej dziewczyny. Wówczas ona przestanie się wzdragać przed ślubem, zrozumie, że jest to dla niej jedyna szansa uratowania życia. Powiem jej: ślub albo stos.

- Masz głowę na karku, Woodou - przyznał Urgh łaskawie. - Sam bym tego nigdy nie wymyślił. Ani tym bardziej żaden z moich ministrów i rycerzy... Więc idź, wydaj rzemieślnikom polecenia, a ja nareszcie się prześpię. Po tylu bezsennych nocach nareszcie będę spać bez koszmarów!

Ziewnął potężnie raz i drugi, a potem jak stał, runął na szerokie, przykryte futrami łoże i niemal natychmiast zachrapał. Już nie widział, jak Woodou, kłaniając mu się nisko, opuścił komnatę, ani tym bardziej nie dostrzegł smukłej figurki Ajoka, który bezszelestnie wyszedł zza kotary. Nikt z wartowników, strażujących dzień i noc pod drzwiami władcy, nie zdziwił się, widząc syna, wychodzącego z pokoju ojca. Czyż nie było to normalne...?

Urgh spał, chrapiąc donośnie. Woodou, mimo nocy, pełen energii pilnował przygotowania drewnianej komnaty - klatki, która musiała być gotowa już rankiem. Zaś Ajok...

Ajok nie spał, a w jego umyśle aż kotłowało się od zmiennych, niezwykle podniecających wrażeń.

- Czyż ten Woodou nie jest jednak mądry? - myślał chłopiec. - Luelle, gdyż tak powinna mieć na imię ta dziewczyna, jest na pewno piękna. Ma złote, pszeniczne włosy, a oczy pochmurne, szarobłękitne, jak niebo przed burzą. Na pewno ją pokocham... Zasiądę na tronie razem z nią, czemu nie? Ale jeszcze w dniu ślubu, lub nawet wcześniej szepnę jej, że to właśnie ona, potomkini rodu Luilów będzie prawdziwą władczynią. Ja pozostanę u jej boku tylko dla pozorów, dla uspokojenia groźnych rycerzy mego ojca, a naprawdę to wcale nie będę rządził, bo mnie to nie interesuje. Będę pisał wiersze i księgi, potem iluminował je najpiękniejszymi farbami. Będę hodował ulubione zwierzęta... będę dobry dla służby... Będę szczęśliwy... tak, na pewno będę razem z Nią szczęśliwy.

Księżyc, zakryty dotąd chmurami, złotym sierpem wypłynął znowu na granatowe niebo - i myśli Ajoka zmieniły się. W sposób właściwy poetom, Ajok ulegał zmiennym, niecierpliwym, kapryśnym nastrojom i pomysłom.

- ... a jeśli Ona będzie ze mną nieszczęśliwa? Jeśli nie zechce mnie na męża? Jeśli pragnie tylko, aby do samego końca wypełniła się Pieśń Jedyna? Co wówczas?... - twarz Ajoka nagle rozjaśniła się. - Wtedy pomogę jej stąd uciec!

Chmury znowu przysłoniły księżyc, a noc stała się mroczna, groźna, niemal czarna.

- ... jak mógłbym pomóc jej uciec z warownego Zamku? Przecież to niemożliwe! Nawet mysz się tędy nie przecisnie bez zgody mojego ojca! Wszędzie stoją podwójne lub nawet poczwórne stráže! Nie, nigdy to mi się nie uda, a skoro tak... To jednak ślub, który uratuje ją od stosu, jest lepszym wyjściem... lecz jeśli ona go nie pragnie? Jeśli jedyne co pragnie to wolność? Prawdziwa wolność...? A czyja w ogóle chcę tego ślubu? Szczerze mówiąc, nie bardzo. Po co mi żona, nawet z najlepszego rodu i najpiękniejsza? Przywykłem przecież do samotności i wystarczyłoby mi, gdyby ta nieznajoma dziewczyna z Pieśni pozostała moim jedynym przyjacielem. Nigdy nie miałem przyjaciela. Poza służbą w kuchni, która mnie lubiła, nie miałem nikogo takiego, kto by... no takiego, kto by mnie lubił nie z litości ani współczucia, ale dla mnie samego, takiego jakim jestem. To by było wspaniałe, gdyby właśnie ona zechciała być moim przyjacielem...

Gdy Ajok tak miotał się sam na sam ze swymi myślami Dziewczyna w skarbcu leżała nieruchomo, skrępowana siecią, z szeroko otwartymi oczami mimo całkowitej ciemności. Wzywała z całych sił Czarownicę, bez słowa, skupiając jednak całą swą istotę na tym bezgłośnym wołaniu. I była niemal pewna, że choć nigdy nie próbowała tego sposobu jej myśli drogą telepatii musiały dotrzeć do opiekunki. A jednak w odpowiedzi słyszała tylko ponurą, głuchą ciszę skarbcza. I do jej serca po raz pierwszy naprawdę wkradł się lęk i przekonanie, że to niebezpieczeństwo jest rzeczywiście niebezpieczeństwem poważnym.

* * *

Ciało Czarownicy, sztywne, nieruchome, z pozoru martwe, spoczywało w tajemnym schowku pod kamiennym tronem w Białej Sali Pałacu Królów. Jej Duch przebywał daleko - i głęboko, w Królestwie Podziemi, jak najbliższej Prastarych Mocy. Krażył wokół Nich cicho, bezszelestnie, pijąc z niewyczerpalnej krynicy ich Potęgi, nabierając nowych sił. Głuchy na wszelkie wezwanie z ziemi - Duch Czarownicy delikatnie ocierał się o drzemiące Prastare Moce, tak aby ich nie zbudzić. Z tych przecież drzemiących Prastarych Mocy wzięły się wszystkie tajemnicze i niezwykle Dary, jakie posiadały niektóre z ludzkich istot. To z nich wziął się ogień i woda, życie i śmierć, dar uzdrawiania i zabijania, miłość i nienawiść, całe Dobro i całe Zło tego świata. Duch Czarownicy postanowił nie opuścić tego miejsca tak długo, aż nie wrócą mu wszystkie, zużyte już siły. Bez nich jego właścicielka nie mogłaby służyć pomocą swej wychowance, nigdy też nie spełniłaby się Pieśń Jedyna...

W Pałacu Królów trwała niczym nie zmałona cisza; nie były zdolne przerwać jej ciche, melodyjne syki żmij. Przeciwnie, ta melodia współgrała z ciszą, którą mógłby

przerwać jedynie głos człowieka, A zresztą żmije także spały i melodyjny syk był tylko echem ich kolorowych, zielonozłotych snów.

ROZDZIAŁ XXII

Z głębokiego snu zbudził Ajoka poufały szept Woodou. Sługa jego ojca stał nachylony nad nim i mówił z fałszywą uniżonością:

- Mój młody panie i władco, czas wstawać. Czeka cię bowiem nie lada niespodzianka. A i trudne zadanie...

Ajok ocknął się gwałtownie i otworzył szeroko oczy. Nagle przypomniał sobie wydarzenia minionej nocy, rozmowę Woodou z ojcem, szalone plany i własną gonitwę myśli.

- Zapewne ci wiadomo, że schwytałem Istotę z Pieśni Jedynej - szeptał dalej Woodou gorliwie. - Zostałem za to ministrem twego szlachetnego ojca i teraz już z tej wysokiej pozycji będę mu służyć najlepszymi radami, na jakie tylko mnie stać. A potem, mój młody panie, gdy korona z jego czoła spłynie na twoje skronie, stanę się twoim najwierniejszym sługą. I ministrem. Już teraz, dzięki moim radom będziesz najślawniejszym spośród wszystkich władców Imperium. Będziesz równie sławny jak twój praprapradziad, Urgh I, który podbił ten wspaniały kraj. On bowiem go tylko podbił, ale ty, mój młody, dumny panie, ocalisz go od zagłady...

- ... zagłady? - wymamrotał Ajok.

- Tak, zagłady, którą mu wróży przeklęta Pieśń Jedyna, wymyślona przez złe i okrutne Czarownice, niosące zło tej krainie. I tylko ty jesteś w stanie odsunąć widmo tej klęski, żeniąc się z prawowitą potomkinią królewskiego rodu Luilów. Proroctwu stanie się zadość, gdyż ród ten powróci na tron, ale zarazem nikt z was go nie utraci.

- Ona mnie nie zechce - wyszeptał Ajok z rozpaczą - gdy się dowie, że to ja ją zdradziłem, ja, który jedyny pojąłem słowa Pieśni... Ona mnie znienawidzi!

- Nie musisz tego mówić, mój panie. Któż ci każe? A nikt z nas cię. nie zdradzi. Za chwilę udasz się do jej nowej komnaty i wspomnisz, że twój ojciec pragnie ją spalić na stosie, lecz ty jesteś gotów ocalić jej życie przez ślub. Wprowadzisz ją dzięki temu na tron, należny jej rodowi.

Ajok słuchał oszołomiony. Słowa Woodou trafiały do jego myśli i marzeń z minionej nocy. do tej części jego istoty, która wyrosła z Urghowej krwi, z jego nasienia. Zarazem ta częśćka jego osobowości, którą dziedziczył po matce, wzdragała się zarówno przed kłamstwem, jak i przed intrygą, mającą uniemożliwić spełnienie się Pieśni. Chłopiec równocześnie czuł, że biorąc w tej intrydze udział, oddaje się w ręce Woodou - i ogarnęło go obrzydzenie.

- Pieśń Jedyna jest ponad wszystkim - wyjął wreszcie z bezradną szczerością, gdy po krótkiej wewnętrznej walce duch zmarłej matki zwyciężył ponury, lecz żywy cień Urgha XIII.

- Jeśli zdradzisz się z takimi myślami przed ojcem, nie tylko spali natychmiast tę dziewczynę, ale kto wie czy razem z nią nie spłoniesz na tym stosie i ty. Wówczas Pieśń Jedyna i tak się nie spełni, gdyż do Czaru zabraknie tej Istoty sykną ze złością Woodou. - Masz w swoich rękach jej życie lub śmierć. Więc zastanów się, co wybierasz. Na drugiej szali znajduje się długie i szczęśliwe panowanie rodu Urghów na tej ziemi. Chcesz czy nie, jesteś z rodu Urghów i Pieśń Jedyna zagraża najbliższej ci osobie, twemu ojcu. Ale zagraża też i tobie! I jego, i ciebie czeka śmierć!

Ajok pomyślał, że to nieprawda. Jeszcze dźwięczały mu w uszach słowa odpowiedniej zwrotki:

“ I stanie się wolność. Bez kropli krwi wrażej,

bez zgiełków bitewnych, przemocy i wojny,

bez ofiar i katów. Tak stanie się wolność.

I wrócą na stepy ci, co ją zabrali.

gdyż tam ich miejsce...”

Postanowił jednak już nic nie mówić o Pieśni Jedynej, nie zdradzać jej sensu, skoro tak niewielu go pojmuje. Raz to uczynił i okazało się fatalne w skutkach. Teraz musi naprawić zło, które sam sprawił, choćby nie wiem jak piękne obietnice składał mu Woodou, fałszywy sługa jego ojca i zdrajca swego narodu.

- Dobrze, prowadź mnie do Luella - oznajmił niezwykle zdecydowanym jak na siebie głosem.

- Luella? - zdziwił się Woodou.

- Widzę, że wcale nie znasz Pieśni, z którą tak walczysz. Imię Luella nosiły wszystkie córki królów w rodzie Luila. Skoro tak, to i ona je nosi - wyjaśnił oschle Ajok.

Woodou wzruszył ramionami. Imię schwytej istoty było mu obojętne, byle spełniły się plany i nadzieje, jakie z nią wiązał. A na wszelki wypadek nie chciał się do niej zbliżać. Coś z Czarownicy musiało w niej tkwić, skoro właśnie Czarownice ją wychowały. Jeśli zechce popisać się swoją magiczną władzą, niechże czyni to wobec tego szczeniaka! Niech nawet zamieni go w skunksa - wówczas skunks będzie jej mężem!

Dziewczyna, uwolniona z sieci w nowej komnacie - została do niej przeniesiona niemal w ostatniej chwili; już zaczęła się dusić z braku powietrza i uwierzyła, że nadchodzi śmierć. Wówczas nagle otworzyły się drzwi skarbcza, a ciemność rozjarzyła się gwałtownie światłem dnia, które oślepiło na chwilę jej oczy. Dopiero po dłuższej chwili, gdy otworzyła je ponownie, ujrzała, że znajduje się w jasnym, drewnianym pokoju. Deski jeszcze pachniały świeżym drzewem - i lasem. Komnata dzięki nim miała cudowny, tak bliski jej zapach - ale była więzieniem. Okno było szczelnie zamknięte i miało tak grube szyby, jakich nigdy nie widziała. Za oknem dostrzegła nieduży zamkowy dziedziniec, potem warowny mur, a za murem... Tak, za murem, w pewnej oddali od Zamku rysowały się w jasnym brzasku dnia zarysy ruin Ardżany. Aż; drgnęła z radości. Ale gdy powiodła wzrokiem po komnacie, pojęła, że nie ma z niej ucieczki. Nawet jako malutka myszka nie wyśliznie się z tego miejsca. Przypadła do wszystkich zakątków pokoju, ale wszędzie jej niecierpliwe dłonie natrafiały tylko na gładkie, grube drewno. Rozejrzała się za jakimś poręcznym, ostrym narzędziem - ale w pokoju był tylko pusty stół, dwa krzesła, zaślane futrem łóżko i małe pomieszczenie łazienkowe, także całe wyłożone drzewem. A drzwi...? W drzwiach nie było nawet malutkiej szparki, poza gęsto zakratowanym okienkiem. Po chwili wzruszyła ramionami. Co by jej przyszło z przemiany w myszkę i ucieczki mysią dziurą? Gdyby nie napotkała żadnej z Czarownic do zachodu słońca, mogła pozostać w mysiej postaci do końca życia. Jak to mówiły jej Opiekunki? Jeśli używa się czarów tylko dla własnego, a nie cudzego dobra, mogą one zawieść...

Dziewczyna długimi krokami jęła chodzić po swoim więzieniu. I choć było ono luksusowe w porównaniu z lochem w Miasteczku - jednak tamten loch stwarzał jakieś możliwości, gdy tu... Ardżana była blisko - i zarazem dalej niż kiedykolwiek. A jej Opiekunka milczała.

- A może ci, którzy mnie porwali, zabili ją? - myślała z niepokojem. - Może wówczas, gdy utraciłam przytomność, schwytali ją i spalili, choć ja nic o tym nie wiem?

Znowu skupiła całą wolę i umysł na jednej myśli - wezwaniu do Czarownicy. Ale ponownie odpowiedziała jej tylko cisza. Nagle ciszę przerwały kroki. Ktoś zbliżał się do drzwi jej komnaty i przywarł twarzą do małego, zakratowanego okienka:

- Będziesz mieć gościa, o pani. Syn naszego pana i władcy UrghaXIII, księżę Ajok...

Dopiero te słowa przypomniały jej z całą wyrazistością wydarzenia minionej nocy, o których niemal zapomniała. Światła setek pochodni na zamkowym dziedzińcu, tłum groźnych Najeźdźców, ona spowita w sieć i jakiś straszny człowiek, cały w zbroi, z głową lwa, wrzeszczący, że należy ją zabić; krzyk wydarty z setek gardeł "Na stos! Zabić ją! Na stos!" Czyjeś słowa, mówiące o tym, że jest dziewczyną, choć powinna być chłopcem, ale przecież królewska córka Luelle... więc i ona może...?

Dziewczyna drgnęła i jakby dopiero teraz przebudziła się naprawdę.

- Królewska córka, Luella...? - wyszeptala z naglym zrozumieniem. Nim otwarto drzwi i wszedl przez nie watly, bladly chlopiec w jej wieku - w ulamku minuty przebiegly przez jej umysl tysiaczne myśli. Tlumaczyly one tak wiele zagadek i odpowiadaly na tyle pytan, na ktore zadna z jej Opiekunek nie zamierzala udzielac odpowiedzi. Wiecej ona, Dziewczyna, jest...

- Dzień dobry, Luella - wyjąkał bladly chłopiec nieśmiało.

- Luella? - spytała mimo woli z nie mijającym zdziwieniem. Jeszcze nigdy, w całym jej życiu, nikt nie zwrócił się do niej po imieniu. A ten chłopiec wita ją właśnie w ten sposób, w dodatku wypowiadając tradycyjne imię królewskich córek z rodu Luilów.

“O Bogowie” - jęknęła w głębi duszy, pełna lęku, niepewności i zarazem szczęścia.

- Witam cię, Ajoku - odparła głośno, oschle i z godnością, gdy tymczasem w jej mózgu nadal szalało kłębowisko myśli.

- Patrzę na ciebie i... - chłopiec urwał. Szaroniebieskie oczy Dziewczyny spoglądały na niego z onieśmielającą powagą. - Gdy pomyślę, że właśnie ty jesteś Istotą, o której mówi Pieśń Jedyna, że jesteś jej główną bohaterką, najważniejszym ogniwem...! Aż słabo robi mi się z wrażenia i nie wiem doprawdy, jak z tobą rozmawiać...

Dziewczyna milczała z godną miną, ale jej serce znowu gwałtownie zabiło. Do tamtych doszła bowiem nowa zagadka: “Ja i Pieśń Jedyna? Wiecej jest jakiś związek między nami? I dlatego one tak nie chciały, bym za wcześnie tę Pieśń poznała? Ale cóż mogę odpowiedzieć, skoro nawet nie znam Pieśni? I nie pojmuję, jakże to ja, właśnie ja mam być jej bohaterką...?”

- Znasz zatem Pieśń Jedyną? - spytała oględnie, cały czas dbając o iście królewski wyraz twarzy, choć w rzeczywistości nie wiedziała, jaki on ma być, ten właśnie wyraz twarzy i jej mimika była przesadna. Jednak przejęty Ajok tego nie spostrzegł. Myślał bowiem właśnie, że Luella jest piękna. Zbyt piękna - i że powinno się ją opiewać w pieśniach i wierszach, ale nie powinno się być jej mężem, gdy jest się Ajokiem, wątłym, słabym chłopcem, który umie jedynie pisać wiersze. “Mógłbym jej poświęcić wiersz, nawet niejeden, ale nie mogę być jej mężem” - pomyślał ze smutkiem, a zarazem z pewną ulgą. Myśl o małżeństwie w gruncie rzeczy przerażała go. Dopiero teraz pojął to z całą wyrazistością i decyzyjnie, że na pewno nie będzie zabiegać o rękę tej wspaniałej księżniczki, baśniowej Istoty z Pieśni Jedynej sprawiła, że poczuł się wolny. Wolny - i szczęśliwy, bo równocześnie był blisko niej.

Nagle ku swemu przerażeniu ujrzał, że w szaroniebieskich oczach Luella coś zalśniło. Łzy...?

- Ty płaczesz? - spytał przejęty. - Płaczesz, że jesteś w niewoli? Ja ci pomogę, przysięgam! Zobaczysz, że uda mi się i uciekniesz z tego miejsca! A Pieśń Jedyną się spełni. Do samego końca!

Tak, Dziewczyna płakała. Nie z rozpacz. Czarownice nauczyły ją nie poddawać się nawet w trudnych sytuacjach. Płakała, bowiem na jej szesnastoletnie barki spadło nagle zbyt wiele. Z beztroskiej, zdolnej uczennicy tajemniczych Czarownic stała się potomkinią wielkiego królewskiego rodu - i zaczęła na niej ciążyć jakaś ogromna, nieznana odpowiedzialność, związana z Pieśnią Jedyną. A tymczasem ona nic o tym nie wiedziała. I nadal właściwie nic nie wie. Co ma powiedzieć temu chłopcu? Prawdę - czy też dalej udawać pełną godności i dumy królewską córkę, której nic nie jest straszne?

- Ajoku... - wyszeptała nagle wiedzioną jakimś tajemniczym impulsem. - Ja do dziś nie wiedziałam, kim jestem, i nie znam Pieśni Jedynej, poza paroma zwrotkami o historii Wielkiego Królestwa i jego niewoli. Nie wiem, o czym mówisz, i nie wiem, co mam robić. Po raz pierwszy usłyszałam, że ja i Pieśń jesteśmy ze sobą w jakiś sposób związane. To, kim jestem, spadło na mnie tak nagle... i to jest piękne, ale... ale zarazem okropne! Dopiero teraz zaczynam się bać, i to jak! Jeszcze wczoraj bałam się tylko śmierci, a dziś wiem, że to chodzi o coś znacznie większego niż tylko moja śmierć czy moje życie. Pomóż mi to pojąć, Ajoku...

- Nie wiedziałaś, że jesteś Luella? - zdumiał się Ajok. - 1 nie znasz Pieśni Jedynej? Jakże to możliwe?

- Nie wiem, kto mnie urodził, nie pamiętam mojej matki, nie pamiętam prawie nic z mojego dzieciństwa. Wydaje mi się, że zawsze, od początku byłam córką Czarownic, choć długo nie wiedziałam, że one są Czarownicami. Do siódmego roku życia opiekowała się mną Czarownica Pierwsza, potem była to Czarownica Druga, zaś jako trzynastoletnia Panienska przeszedłam w ręce Czarownicy Trzeciej. A tam, w sercu Ardżany została moja przedostatnia z Opiekunek, Czarownica Czwarta. Podobno istnieje jeszcze Piąta, którą miałam ujrzyć tej wiosny. Żadna z Opiekunek nie chciała powiedzieć mi mego imienia, nie rzekła ani słowa o moim przeznaczeniu, choć teraz, gdy sobie przypominam niektóre ich słowa, wiążą się one z tym, czego dowiedziałam się tutaj, ale to były jedynie aluzje, i to tak odległe... Dość długo sądziłam, że ja także mam być Czarownicą. Ile razy w czasie naszej wędrówki przez kraj śpiewano gdzieś Pieśń Jedyną, moje Opiekunki nie pozwoliły nigdy, bym poznała jej zakończenie - mówiła Dziewczyna, a wraz z jej opowiadaniem, które wchłaniał w siebie rozgorączkowany Ajok, przybywało jej odwagi i obsychały pierwsze w życiu lzy. - W Ardżanie, w Pałacu Królów byłam dziwnie szczęśliwa, nawet bardziej niż w Lesie, a zarazem niespokojna. Czułam, że dzieje się ze mną coś niepojętego, co wiąże mnie z każdym kamieniem Pałacu i całej Ardżany, z każdym ocalałym fragmentem miasta, jakbym kiedyś, bardzo, bardzo dawno temu wyszła z niego i znowu wróciła. A przecież nigdy wcześniej go nie widziałam!

- To był Czar - powiedział z przejęciem Ajok i zanucił:

“W latach niewoli Czar się rozsnuwa, Czar dawnych dziejów,
Czar wyzwolenia. Niosą go wichry, deszcze i śniegi, niosą go rzeki
I Czarownice w Czar ten spowiją istotę żywą z rodu Luilów,
którą powiodą przez wszystkie drogi;
Wielkie Królestwo pozna jak swoje.
Uzdrowi ludzi, uzdrowi ziemię,
pozna Ardżany każdy zakątek
i na dwa lata przed wyzwoleniem tam dozna życia swego odmiany.
Poczuje ojców swoich odwagę dumę i godność Luilów miana.
I Czar w nią wstąpi.”

Dziewczyna słuchała niemal całą sobą, chłonąc każde słowo, zaś Ajok nucił dalej tę dziwną Pieśń o zmiennym rytmie:

“Mieć będzie ta istota włosy koloru złota,
pszenicy tego kraju,
oczy jak niebo przed burzą i dar magiczny nieduży
wzięty z Luilów córki
ostatniej z tego rodu, która zbiegła przed wrogiem...”

- To ja - pomyślała z nagłym lękiem, ale zaraz opanowała się. Ajok zaczynał kolejną zwrotkę:

“I siedem setek, siedem dziesiątek, siedem lat mija,
Już Czarownice wiodą Istotę z rodu Luila,
bowiem Dzień nadszedł...”

- Dość - szepnęła nagle Dziewczyna. - Nie mów więcej ani słowa. Nie chcę wiedzieć, co będzie dalej.

- Boisz się? - spytał także szeptem Ajok.

- Tak. Boję się. Bo to wszystko razem jest takie nieprawdopodobne...

- O n e, Czarownice - zaczął w nagłym natchnieniu Ajok - wiedziały dobrze, co robią, gdy nie obciążały ciebie, dziecka, dziewczynki, panienki, a nawet dziewczyny tą wiedzą. Ta wiedza teraz na tobie ciąży, jak kamień, widzisz?

- Tak. Pomyślałam dokładnie to samo, że skoro Czarownice nie chciały, abym знаła do końca Pieśń, to musiały mieć swoje racje. One prawie zawsze mają rację, wiesz? Ten fragment Pieśni powiedział mi na szczęście tylko to, czego już się dowiedziałam w tym Zamku. Tak głośno przecież krzydzeli wszyscy na dziedzińcu, kim jestem, i że należy mnie spalić... A resztę... resztę prawdy dowiem się tak, jeśli mnie nie spalą i nadejdzie Czas - zakończyła gwałtownie.

- Nie spalą cię - powiedział z przejęciem Ajok. - Ale... ale widzisz... oni postawili jeden warunek... Wstyd mi powiedzieć... To naprawdę nie moja wina!

Dziewczyna zaśmiała się widząc nagle zawstydzienie chłopca.

- Mówże! Czy to takie straszne?

- Straszne. Dla ciebie - wyznał Ajok. - Ja... ja., bym to uczynił, gdybyś chciała ratować swoje życie za taką cenę. Ja teraz mogę dla ciebie zrobić wszystko, co tylko zechcesz. Bo ty jesteś Pieśnią, a ta Pieśń jest wszystkim co kocham...

- Powiesz wreszcie? - poganiała go Dziewczyna.

- Mój ojciec nie spali cię na stosie, jeśli zostaniesz moją żoną - powiedział Ajok tak szybko, iż zdawało mu się, miał przynajmniej taką nadzieję, że te słowa wcale nie padły. I wtedy usłyszał śmiech. Luelle śmiała się, i było w jej śmiechu coś z okrutnego szyderstwa, choć także i coś ze szczerzego rozbawienia. Ajok odczuł nagle ogromny smutek. Luelle dostrzegła widać zmianę na jego twarzy, gdyż spoważniała, a śmiech urwał się szybko:

- Nie gniewaj się - rzekła przepraszająco. - Sam chyba wiesz, że to niemożliwe. Czarownice na pewno nie chowały mnie na twoją żonę, a ja... ja chciałabym spełnić ich nadzieje. Teraz dopiero ujrzałam, że nie są to tylko ich własne nadzieje. One prowadziły i prowadzą mnie ścieżkami Pieśni Jedynej, a ja mam po prostu iść i nigdzie nie zbaczać, rozumiesz?

- Tak - szepnął Ajok. Coś nadal ścisnęło go w gardle, a oczy miał wypełnione żalem. Było mu bardziej przykro, niż wówczas gdy kpił z niego ojciec za jego cherlawość. Ona, Luelle, miała niewątpliwie rację, ale czy musiała okazać to właśnie w taki sposób? Szyderczym śmiechem? Skoro on, Ajok, sam doskonale rozumie śmieszność tej propozycji?

- Więc pomożesz mi uciec? - spytała Luella.

- Tak - otrząsnął się chłopiec z własnych, smutnych myśli. - Musimy tylko wymyślić jakiś mądry sposób, a na to jest jeszcze trochę czasu. Nasz ślub ma nastąpić za tydzień. Do tego momentu musimy udawać, że chcemy go oboje. Mamy zatem dokładnie pięć dni na obmyślenie sposobu, który musi być pewny i niezawodny. Pamiętaj, że gdyby nas schwytano, już by nas nic nie uratowało. Ja... cóż, ja niewiele znaczę, ale ty musisz żyć.

- Ty też musisz żyć - szepnęła Luella z uśmiechem i położyła rękę na dłoni chłopca, którego uraza stopniała pod tym dotykiem. - 1 dlatego musimy razem uciec.

- Tak, ale gdzie? - spytał rozsądnie Ajok. - Do Ardżany nie ma sensu, skoro cię tam raz schwytano... - i urwał gwałtownie, przypominając sobie, że schwytanie Luelle było głównie jego zasługą. Błądą twarz powiódł mu szkarłatny rumieniec. Dziewczyna udawała, że tego nie widzi, choć patrząc w oczy chłopca już od dawna czytała w nim jak w otwartej księdze.

- Uciekniemy w Wysokie Góry - odparła. - A tam poznasz smak prawdziwej wolności.

- Ale... ale w Wysokich Górach straszy - zająknął się chłopiec. - Podobno żyją tam jedynie wskrzeszone upiory! Chodźmy lepiej na Pustynię, do Pustelnika, który jest dobry i łagodny, jak mi mówiła ongiś matka.

Luella zaśmiała się drwiąco.

- W Wysokich Górach straszy tylko Najeźdźców! A ty idziesz tam ze mną, królewską córką! - wyprostowała się dumnie. Oczami wyobraźni ujrzała na swych skroniach koronę i uśmiechnęła się do tego widoku. Nie dostrzegła, że chłopiec spłoszył się:

- Ja też... ja też jestem Najeźdźcą, więcej, jestem synem króla Najeźdźców.

- Nie bój się, ja cię ochronię - rzekła łaskawie Dziewczyna. Pierwsze uczucie ogromnej odpowiedzialności, jaka na nią spadła wraz z wiedzą o tym, kim jest, zaczęło ustępować próznemu zadowoleniu. Nagle myśli, że ona, mała żebraczka - włączająca się wraz z Opiekunkami po drogach i bezdrożach tej krainy - jest królową, której praw do Wielkiego Królestwa nikt nie śmiał podważyć, zaczęła się jej podobać.

Chłopiec tymczasem myślał, że nawet gdyby miało mu się coś stać, nawet gdyby miał oddać życie w tej niespodziewanej przygodzie - gotów jest je oddać. Pomoże w ten sposób Pieśni i zarazem odkupi swoją zdradę.

Gdy Ajok wyszedł, nastrój Luelle odmienił się i znowu jęła długimi krokami chodzić po swojej komnacie - więzieniu. Nie była pewna ucieczki. Choć w oczach chłopca wyczytała szczerą i prawdziwą chęć pomocy, nie wierzyła w jego możliwości. Wyczytała też bowiem chwiejność charakteru, słabość i lękliwość. Bała się, czy nie

zawiedzie w ostatniej chwili. Jednak innego wyjścia nie było. Jej Opiekunka wciąż milczała. Albo stało się coś bardzo złego - albo Luella na wyrost uwierzyła we własną umiejętność telepatii. Może Czarownica przebywa w Ardżanie, czekając na nią, tylko ona, Luella, nie umie się z nią porozumieć w ten tajemniczy sposób? Wszak nigdy wcześniej go nie próbowała...

Ach, gdyby ta komnata nie miała tak grubych szyb, mogłaby przywołać jakiegoś ptaka, nawet z oddali, żeby poprunął do Pałacu Królów i przywiózł wieści! Niestety, pokonać tak grube szkło mogłaby tylko prawdziwa Czarownica, a ona nią nie jest. Okno deformowało też obraz za nim i ruiny Ardżany wydawały się ponure, posępne, złowróżbne. Z wolna nadchodziła noc. Druga noc jej niewoli na Zamku Urgha XIII. A czwarta - spędzona z dala od Czarownicy.

* * *

Noc spłynęła także na ruiny Ardżany i wpełzła do Sali Tronowej Pałacu Królów. Zielonozłote żmije spały na kamiennych ławkach cicho sycząc w półśnie. Jedna z nich, owinięta wokół kamiennej głowy lwa nagle znieruchomiła i wydała z siebie głośniejszy, melodyjny syk: coś poruszyło się pod tronem.

Leżąca dotąd nieruchomo Czarownica uniosła głowę, a jej zamknięte powieki delikatnie zadrgały. Na twarz powoli wracała jej naturalna śniadość, ustępując śmiertelnej bladości. Po chwili otworzyła oczy, a wówczas śpiąca razem z nią żmija wyszła ze skrytki pod tronem. Czyniła to niechętnie, bowiem choć ciało to czuć było karadormem - zachowało też zapach lasów, pól, gór, a zapach ten sprawiał żmii przyjemność w tej chłodnej zimowej porze. Czarownica przeciągnęła się i z pewnym trudem zaczęła wracać do rzeczywistości. Po chwili już stała pośrodku tronowej sali, rozglądając się dokoła. Widok zielonozłotych towarzyszek doli przywrócił jej przytomność umysłu.

- Spałam magicznym snem - wymamrotała do siebie. - Obawiam się, że znacznie dłużej niż zawsze. Gdzie jest ona?

Oczy Czarownicy bez trudu pokonały mrok i wślizgnęły się w każdy zakątek Pałacu. Patrzyła teraz swobodnie przez mury, ruiny i nagą w tej zimowej porze Dżunglę. Jej duch, wzmocniony w krynicy Prastarych Mocy poszybował nad całą Ardżaną. Ale Dziewczyny nie było. Nigdzie. Teraz Czarownica wyrzuciła z siebie mocny, choć bezgłośny telepatyczny okrzyk: "gdzie jesteś?!" Ale odpowiedziała jej cisza.

- Może nie umie jeszcze posługiwać się telepatią - pocieszyła samą siebie i spróbowała jeszcze raz - "To ja" - wędrowało przez świat dawnego Wielkiego Królestwa jej nieme wołanie - "Odpowiedz!"

- Jest noc - pomyślała nagle przytomnie. - Może ona śpi? Nie słyszy? Ale przecież ten Głos trafia nawet do śpiących.

Po raz trzeci Czarownica skupiła całą swoją wolę - wszystkie na nowo odzyskane moce i zawołała bezgłośnie:

“Gdzie jesteś?! Odpowiedz?!”

Śpiąca na posłaniu z futer w swym zamkowym więzieniu Dziewczyna drgnęła. Jej powieki otwały się, zamknęły, otwały na nowo.

- Ktoś mnie woła - pomyślała współprzyciennie. - Ajok? Strażnicy? Sam wielki Urgh?

Wołanie znowu dosięgnęło jej mózgu. Dziewczyna nagle zerwała się ze swego posłania. Pojęła, że wzywają Opiekunka. Mimo woli podeszła do okna, jakby widok ruin Ardżany zbliżał ją do Czarownicy i koncentrując wszystkie swoje siły, bezgłośnie odparła:

- Jestem. Żyję. Znajduję się w niewoli Urgha...

Czarownica zwinęła się w kłębek z bólu. W jej mózg, niby ostry sztylet, wwiercał się głos jej wychowanicy.

- O Bogowie - jęknęła wiedźma. - Ona nie zdaje sobie sprawy ze swojej mocy. Jej Głos może zabić...

Trzymając dłonie przy kołatającej od ostrego bólu głowie, Czarownica zawołała bezgłośnie:

- Mów cicho! Mów spokojnie! Zabijasz mnie! Twój Głos ma ostrość sztyletu!

Mimo bólu jej oczy uśmiechały się. Dziewczyna żyła, a to było najważniejsze. W dodatku posiadała jeszcze jeden dar, o którym do tej pory obie nie wiedziały - dar Głosu, i to najpotężniejszego o jakim kiedykolwiek Czarownica słyszała. “Przyda się jej kiedyś, gdy spełni się Pieśń” - pomyślała. - “O ile się spełni...”

- Jestem w niewoli Urgha - powtórzyła Dziewczyna ciszej, ale jej Głos i tak ranił mózg Czarownicy. - Chcą mnie wydać za jego syna, lub spalą na stosie. Innego wyboru nie mam.

- Nie wolno wychodzić ci za mąż, w dodatku za syna Urgha! - przesłała wezwanie. - Przerwie się wówczas ogniwo Pieśni. Nie wolno!

- Nie chciałaś mi mówić o Pieśni, nie chciałaś mi mówić kim jestem - powróciła odpowiedź wwiercając się z całych sił w uszy Czarownicy. Ból tym razem był tak ogromny, że Czarownica zwinęła się w kłębek i upadła na kamienną posadzkę.

- Zabijesz mnie - powtórzyła mimo to łagodnie. - Ścisź swój Głos.

Przez myśl przebiegło jej podejrzenie, że Dziewczyna świadomie chce jej zadać ból - z zemsty za to, że nie uświadomiła ją wcześniej, kim jest i jakie jest jej przeznaczenie.

- Więc już wiesz - mówiła Czarownica dalej łagodnym, ściszym głosem. - Wcześniej wiedzieć nie powinnaś. Najpierw byłaś na to zbyt mała, to by cię tylko przeraziło. A teraz... zbyt prędko wbijasz się w dumę. Ta wiedza jest kamieniem u twej szyi, a nie powodem do pychy.

Przez chwilę odpowiadała jej tylko wibrująca niemym, choć gwałtownym gniewem cisza. Potem gniew rozplynął się w drgających falach głosu.

- Nie wyjdę za mąż, nie obawiaj się - przyszła wreszcie odpowiedź. - Ten chłopiec też tego nie chce i pomoże mi uciec.

- Dobrze - odparła Czarownica. - Powiadom mnie o terminie i sposobie ucieczki, wtedy pomogę wam. A teraz kończę, jestem zmęczona. Dopiero wróciłam z Królestwa Podziemi.

Opadła na kamienną ławę i koła przerażający ból głowy. Po chwili wyszła na pałacowy dziedziniec. Tonał w mroku bezksiężycowej nocy. Było zimno, ale rześko. Wiedźma otuliła się szczelnie swym grubym płaszczem i patrząc w granatowe niebo zaczęła rozmyślać nad swoją wychowanką. Na jej ustach to błąkał się ledwie widoczny półśmiech, to znowu zastygały one w gorzkim niepokojem.

- Siostrze Piąta - szepnęła sama do siebie. - Czeka cię trudne zadanie. O tym, iż jest królowną, nasza uczennica dowiedziała się zbyt wcześnie...

ROZDZIAŁ XXIII

Cały Zamek żył zbliżającym się ślubem jedyne syna UrghaXIII z ostatnią potomkinią królewskiego rodu Luilów. Rozbrzmiewały wszędzie rubaszne żarty i donośne śmiechy. Wróżba nadchodzącego coraz szybciej upadku Imperium Urghów wydawała się oddalać, aż niemal znikła.

- Przerwiemy najważniejsze ogniwo Pieśni Jedynej - tłumaczył wszystkim Woodou, ubrany w niezwykle zdobny, błyszczący strój Pierwszego Ministra. Sam zresztą obmyślił każdy szczegół tego ubioru. Jego figurka była już teraz zawsze wyprostowana, na całą niedużą wprawdzie wysokość, a oczy po raz pierwszy, zamiast błędzić niespokojnie w różnych kierunkach, spoglądały władczo na rozmówców. Nawet brat wielkiego Urgha, Grhdak, musiał pogodzić się z porażką swych ambitnych planów osadzenia na tronie swego syna - które i tak przecięłaby brutalnie wieszczka Pieśni. Teraz jej groza oddaliła się, a Grhdak szybko uznał za zyskowną najnowszą propozycję Woodou: jego syn otrzyma tytuł wicekróla i ogromne włości do samodzielnego władania. Chytry Woodou wiedział, jak

obezwładnić największego wroga - a zarazem zapewnić mocną władzę, gdyby Ajok i Luelle, osadzeni na tronie, poczęli czynić jakieś głupstwa.

- Masz głowę nie od parady! - powtarzał zadowolony Urgh. - Nie wiem co bym bez ciebie zrobił. Chybabym umarł z lęku przed tą przeklętą Pieśnią lub też zjadłoby mnie to moje własne stado wilków.

Jego radość przybierała co prawda formy kłopotliwe dla Woodou. Władca klepał go po wątych plecach tak, że Woodou wzdygał się z bólu - lub zmuszał do wypicia ogromnego kufła piwa, po którym wiernemu słudze kręciło się w głowie. Był jednak gotów znieść te drobne niedogodności dla utrzymania nowej, tak wysokiej pozycji.

Dwanaście niewolnic szyło suknię ślubną dla panny młodej. Zgodnie z obyczajem Urghów, szyta ona była z najcieńszych, białych, jagnięcych skórek, wyprawionych jak najdelikatniejsza materia i obszytych ozdobami ze srebra, drogich kamieni i złota. Gdy wartownicy wpuszczali je do komnaty narzeczonej, aby mogła zrobić kolejną przymiarkę - ich oczy z uwielbieniem wpatrywały się w piękną królową, ale Dziewczyna dostrzegła w nich także smutek.

- Dlaczego jesteście ponure, choć ślub to wesela uroczystość? - pytała chytrze niewolnic, swoich współrodaczek. Wraz z Ajokiem umówili się, że dla dobra ucieczki będą udawać pogodzenie z nieuniknionym losem.

- O pani - szepnęła jedna z dziewcząt. - Przerwywasz Łańcuch Pieśni w jego samym sercu. Twój naród już zawsze będzie w niewoli, a my wraz z nim.

Luelle położyła dłoń na głowie klęczącej u jej stóp dziewczyny, ale nie rzekła ni słowa, gdyż do komnaty energicznym krokiem wszedł Urgh XIII. Luelle ujrzała go po raz pierwszy. Przez całe pięć dni niewoli władca Imperium ani razu nie pokazał się jej na oczy, obawiając się czarów. Był też wręcz zdumiony odwagą swego syna, który z sali tej nieomal nie wychodził.

- 1 cóż, moja przyszła synowo? Cieszysz się nadchodzącym ślubem?

- Chyba tak, o panie. W każdym razie wolę ten ślub niż stos, gdyż taki właśnie wybór mi dałeś. I czuję, że polubię twego syna.

Urgh zarechotał rubasznie:

- Tylko tobie może udać się to, co mnie przychodzi z najwyższym trudem. Choć dzięki ślubowi z tobą wartość mego syna wzrośnie. I nikt już nie ośmieli się podważać jego prawa do tronu.

Stał w pewnej oddali i choć zachowanie jego było jak zwykle hałaśliwe, czuł się dziwnie skrępowany, w sposób dla siebie całkiem nowy. Ta złotowłosa Dziewczyna, wysoka i smukła, kojarzyła mu się z łąkiem, prześladowającym go przez całe

panowanie, ze złowrogim Czarem Pieśni Jedynej, z nocnymi koszmarami. On, Urgh XIII, podobnie jak cały, długi rząd jego przodków, był ogromnie zabobonny i przesądny. Czarownice napawały go lękiem, a myśl, że - w zgodzie z przekazem Pieśni - tej dziewczynie matkowały właśnie Czarownice, przyprawiała go o nieznaną słabość. Równocześnie było w niej coś z jego dawno zmarłej żony - ta smukłość nie znana kobietom jego rodu, złocistość włosów, śpiewny głos. Zaś miłość do żony, uwieczniona wydaniem przez nią na świat syna - cherlaka tkwiła w nim jak zadra.

- A zatem do jutra, przyszła synowo - przerwał wreszcie przedłużające się milczenie.
- Jutro o tej porze dopełni się święty obrządek zaślubin.

Luelle wyniośle i godnie skłoniła głowę.

W tym samym czasie Ajok przebywał w zamkowej kuchni. Ciągłe pamiętano tu go jako smutnego, samotnego pól sierotę, dziwnie odbiegającego zachowaniem od całego urghowego dworu. Jednak choć w kuchni, gdy tylko wchodził, zawsze panowała serdeczna i swobodna atmosfera - tym razem kucharki i ich pomocnice pracowały w milczeniu, a nastrój był pełen przygnębienia.

- Jutro mój ślub - powiedział nieśmiało Ajok, szukając w oczach niewolnic dawnej życzliwości. Jednak jeśli zasługiwał na nią w ich oczach biedny, samotny chłopiec - to Ajok, przyszły następca tronu i mąż Luelle został potraktowany z chłodną niechęcią i przesadną fałszywą uniżonością.

- Potrzebuję waszej pomocy - mówił dalej chłopiec, ale nikt nie odezwał się ani słowem. - Jeśli znacie jakieś posiadające silnie nasenną moc zioła, to chciałbym... - wszystkie oczy w kuchni skierowały się na niego w milczeniu - ... chciałbym mieć dziś wieczór duży dzban wina, dla czterech strażników, aby także uczcili moje jutrzejsze wesele...

Przez chwilę w kuchni panowało całkowite milczenie, ale po paru sekundach co poniektórym, bystrzejszym, rozbłysły radośnie oczy. Pod drzwiami komnaty, w której więziona była Dziewczyna z Pieśni, czuwało zawsze czterech strażników.

- Przyjdź przed wieczorem, dostaniesz swój dzban - rzekła poufale kucharka i uśmiechnęła się do Ajoka po dawnemu, z ciepłą serdecznością.

... Woodou nie był głupi. Gdyby tak było, wielki Urgh nie uczyniłby go swoim Pierwszym Ministrem, mimo że pochodził z rodu niewolników. Woodou nie dał się nabrać na rzekomą uległość tej Istoty. Luelle... Paskudne imię, wzięte prosto z imion jej ojców. Woodou - zdrajca nienawidził wszystkiego co było związane z rodem Luilów.

- Straże pod komnatą królowny mają się zmieniać co godzinę - oznajmił. Polecenie przyjęto.

- Co kilkanaście minut każdy ze strażujących ma obowiązek zaglądać do komnaty przez okienko w drzwiach - dorzucił. Strażnicy skinęli pokornie głowami.

- Żądam, aby księżę ostatni wieczór przed ślubem spędził w swoich pokojach, nie u narzeczonej - oświadczył Ajokowi ostrym, nowym dla siebie tonem. Ten ton podobał mu się tak, jak nowe ubranie.

Ajok zadrzał. Czyżby wszystkie plany miały runąć? Rozsypać się dzięki chytryści tego lisa - zdrajcy? Nie odpowiadając ani słowem słudze swego ojca, udał się do narzeczonej.

- Luelle, grozi nam ogromne niebezpieczeństwo. Woodou czegoś się domyśla i żąda, żebym ten wieczór spędził z dala od ciebie - wyszeptał. Dziewczyna wyprostowała dumnie głowę, a w jej oczach zapalił się gniew.

- Czy to on jest księciem i następcą tronu, czy ty?! Idź do ojca i oświadczyć mu, że ambicje jego sługi zbyt rosną. Pragnie on rozkazywać nawet tobie, królewskiemu synowi. Wkrótce zechce rozkazywać i samemu władcy... a ty... ty tymczasem mnie kochasz i pragniesz być ze mną jak najdłużej, choćby po to żebym nie zmieniła zdania!

Urgh krążył jak lew po swojej komnacie, słuchając sprytnych słów, które Luelle włożyła w usta Ajoka, żeby przechytryć lisa - Woodou i utrafić w czuły punkt ambicji władcy.

- On?! Ten marny, wyniesiony przeze mnie do wszelkich godności niewolnik?! Pacholek od koni! Sługus! On pragnie rozkazywać tobie, memu synowi?! On śmie używać wobec ciebie słowa "Żądam"? W takim razie ja, wielki URGH, rozkazuję ci, abyś ostatni wieczór przed ślubem spędził z twoją narzeczoną!

Podśluchujący pod drzwiami Woodou zbladł ze złości. Posępne myśli, krążące mu po głowie, nasiliły się. Nigdy nie widział, by Ajok mówił tak zdecydowanym tonem do swego ojca. Wszystko to razem sugerowało, iż należy być czujnym. No cóż, jego pan i władca nie ma dość ani rozumu, ani sprytu. Skoro tak, to on, Woodou będzie sam, osobiście, wraz z czwórką strażników czuwać pod drzwiami tej dziewczyny przez całą noc. Nie zmruży oka, ale upilnuje cennej zdobyczy. Zbyt wielka i cenna stawka wchodzi w grę, aby uwierzyć pochopnie parze podstępnych szczeniąt, jakimi w gruncie rzeczy są syn Urgha i ta uczennica Czarownicy!

... Czarownica właśnie tego dnia usłyszała Głos swojej wychowanki. Był już łagodny i cichy, jakby zdolna Dziewczyna pojęła natychmiast wskazówki swej Opiekunki.

- Uciekamy dziś wieczorem, gdy zapadnie zmrok.

- Gdzie?

- W Wysokie Góry.

- Będę tam podążać za wami - odparła Czarownica. - Gdy już będziecie w trakcie ucieczki, wyślij mi sygnał. Możecie liczyć na moją pomoc. Zaś gdyby Woodou usiłował ci przeszkodzić, pomyśl o swoim Głosie...

I Czarownica zamilkła. "O moim Głosie?" - pomyślała ze zdziwieniem Luelle.

Tymczasem Czarownica zaczęła przedzierać się przez Dżunglę, aby znaleźć się możliwie jak najbliżej Zamku. Jej siły i możliwości zwiększyły się i wzmocniły w krynicy Prastarych Mocy. Zawsze tak było. Dotarcie do skraju ruin zajęło jej raptem dwie godziny, nie dwa dni. Teraz siedziała na czarnym pnium i czekała na chwilę, w której znowu zacznie być niezbędna swej wychowance - i obie uratują najważniejsze ogniwo Pieśni Jedynej, na które porwali się barbarzyńcy. Obie...? Wszak jest jeszcze ten chłopiec, syn Urgha. I tego można było się spodziewać. Wszak nie kto inny, ale one, Czarownice, przewidziały, że kiedyś może zaistnieć taka możliwość, iż ich Istota trafi w łapy Urgha. A kiedy to było! Gdy jeszcze Luelle nie było na świecie! Ani tego chłopca, Ajoka. To one wybrały najpiękniejszą dziewczynę z rodu dzisiejszych niewolników, Arlin. One ją wybrały i przekonały - mimo jej oporu i lęku; one nauczyły, jak doprowadzić Urgha do ślubu. Nie kłamały. Powiedziały Arlin szczerze, że jej życie będzie smutne i ponure, ale za to jej syn kto wie, czy nie odegra w Pieśni Jedynej ważnej roli. One, też, Czarownice, pouczyły zasmuconą Arlin, jak ma wychowywać swego przyszłego syna. I przekonały ją.

- Biedna, śliczna Arlin płakała i broniła się, ale potem pojęła, jak wiele to może znaczyć: złamanie Urghowej siły w jej najczulszym miejscu, w osobie jego syna, który wszystko weźmie z matki, a nic z ojca - myślała Czarownica. - Za naszą sprawą Arlin zdobyła serce Urgha, za naszą sprawą Urgh tak oszalał z miłości do niej, że zgodził się na ten niebywały w dziejach jego rodu ślub z niewolnicą. Za naszą wreszcie sprawą syn Urgha pokochał poezję, a nie miecz, i z góry skazany został na miłość do Pieśni Jedynej, gdyż na Zamku Urgha poezji nie było, więc pierwsze zetknięcie się z Pieśnią zachwyciło chłopca. Pieśń wzięła go w niewolę. Zwyciężyła krew matki, a nie ojca... - Czarownica westchnęła głęboko i wymamrotała na koniec: - Nie, nie zawiodła nas nasza moc sterowania ludzkimi losami, nawet jeśli są to losy nie narodzonych jeszcze dzieci. 'Zrobiliśmy to dla Wielkiego Królestwa, łamiąc święte prawa magii i kiedyś za to odpokutujemy.

Przygotowania do jutrzejszego ślubu weszły w swą najgorętszą fazę. Kuchnia pracowała dzień i noc na pełnych obrotach, przygotowując niezliczone mnóstwo potraw. Z piwnic wytańczano ogromne beczki z piwem i winem.

Urghowi żołnierze nie mogli się oprzeć i już dziś zaczęli próbować, czy ich smak jest na tyle wyszukany, że nadaje się na jutrzejszą ucztę. Już pod wieczór pijani żołdacy i rycerze z donośnym śmiechem i chrypliwymi śpiewami zataczali się po zamkowym

dziecińcu. Lecz Urgh XIII nie gniewał się o to, lecz sam ochoczo opróżniał pełne kufle ze swoją świtą.

- Wszyscy na Zamku są nietrzeźwi, włącznie z królem. Przytomność zachowa jedynie kilkunastu strażników - myślał z lękiem Woodou. - Stracili głowę i sądzą, że mają złotego ptaka w klatce, nie muszą się już nim zajmować...

- To pijaństwo sprzyja naszym planom - szepnęła Luella do Ajoka, patrząc ze swego okna na hałaśliwą hulanke.

- Tak, niech się opiją, a potem posną - wyszeptał Ajok pobladłymi wargami. Bał się i nawet nie próbował kryć tego przed swoją towarzyszką. Tym bardziej potrzebny był mu spokój, jaki spływał na niego od Luelle. Luella w rzeczy samej przywykła do tego, że życie jest wieczną ucieczką. Czarownice nauczyły ją, że w trudnych sytuacjach trzeba zachować przytomność umysłu - im bardziej zbliżała się pora ucieczki, tym bardziej jej umysł chłódł i stawał się sprawniejszy. Rozwiązała już nawet ostatnie słowa Czarownicy, gdy rozmawiały o Głosie...

Ich szaty do przebrania się były schowane w futrach okrywających łoża Dziewczyny. Ajok znosił je co dzień, po kilka, skryte pod płaszczem. I teraz trzeba było tylko przebrać się w nie. Ona i chłopiec będą wyglądać jak dwóch Urghowych pacholków.

Teraz strażnicy, tkwiący niewzruszenie pod drzwiami jej komnaty i spoglądający z zazdrością na spitych kolegów, muszą otrzymać swoje wino, po którym natychmiast zmorzy ich mocny sen. Wino musi podać Ajok, przybierając iście książęcą i swobodną postawę. Ale właśnie tego chłopiec nie umiał i Luella, ściskając jego dłoń, użyła trochę magicznej mocy, by dodać mu odwagi.

- Strażnicy nie mają prawa dostrzec, że się czegoś boisz pouczała go, nie odrywając magnetycznego wzroku od jego oczu. - Zachowasz się jak prawdziwy, wesoły książę, na dzień przed swym ślubem. Będziesz mówić do nich z pańska, ale życzliwie.

Ajok przemógł się. Przyszedł z zamkowej kuchni ze swym dzbanem i stojąc pod drzwiami narzeczonej powiedział swobodnie:

- Pora i wam napić się na zdrowie jutrzejszej młodej pary. Oto mój dar, dar księcia dla wiernych sług. Nie jest go wiele, więc nie upijecie się, ale przynajmniej poczujecie smak wina...

Strażnicy spojrzeli po sobie niepewnie, ale rozejrzawszy się wokół stwierdzili, że nie ma nikogo, kto mógłby zganić ich za picie na służbie. Już po chwili wrywali sobie wzajem znakomity trunek. Gorzkawy smak ziół dodał winu aromatu. Żaden ze strażników nie dostrzegł skrytego za odległym filarem Woodou, który śledził tę scenę z posępną satysfakcją. Oto jego podejrzenia się spełniały. Teraz wszyscy na Zamku są pijani, ale on, Woodou, ma jeszcze do dyspozycji czwórkę przytomnych i czujnych

strażników przy bramie głównej... Patrzył, jak strażnicy pod drzwiami Luelle jeden po drugim zapadali w mocny sen, tak jak stali. I czekał.

- Już pora. Uciekamy! - dobiegł Czarownicę Głos jej wychowanki, tym razem tak nie zamierzenie mocny, że słuchająca skuliła się z bólu. Otrząsnęła się jednak szybko i znowu skupiła całą swoją moc. Po chwili w miejscu, w którym siedziała na pniu, zaczęła gromadzić się gęsta, mleczna mgła i długim, białym językiem pełzła w stronę bramy Zamku...

Luelle i Ajok w strojach urghowych pachółków uchylili drzwi komnaty - więzienia. Aby wyjść, musieli z całych swych sił popchnąć je, gdyż drogę zagradzali leżący bezwładnie strażnicy. Po chwili już zbiegali z wieży, w której znajdował się pokój Dziewczyny, a wreszcie - zdenerwowani - zaczęli przekradać się rzęsiście oświetlonym dziedzińcem. Ale żaden z pijących i podochoconych żołdaków nie zwracał uwagi na nic, poza beczkami z winem i piwem. Większość już spała, głośno pochrapując, w tym samym miejscu, w którym ich zmorzył sen. Inni, bełkocąc coś, obciągali kolejne kufle. W oknach komnaty Urgha było jasno, widać i tam trwała radosna uczta.

... z dziedzińca chłopiec z dziewczyną weszli teraz w mroczną sień warownej wieży, która prowadziła do bramy głównej. Za nią dopiero był zwodzony most. Brama była jak zawsze zamknięta, a czwórka strażników, choć zazdrośnie patrzyła na swych popijających kamratów, trwała niestrudzenie na swych stanowiskach.

- Na rozkaz Urgha otwieraj! - zawołał Ajok, daremnie usiłując ukryć drżenie głosu.

- Gdzież to się wybieracie? - spytał dobrodusznie jeden ze strażników. - Nie żał wam tego piwa, co zostanie w beczkach?

- Właśnie, gdzież to się wybieracie? - usłyszeli nagle jadowity, cichy szept i z mroku wyłonił się Woodou. - Wszak jutro wasz ślub? Czyżbyście chcieli się nań spóźnić? - syczał zdrajca, nie kryjąc zarazem swej radości. Oto znowu jako jeden, jedyny z Urghowej świty wy kazał czujność. Doprawdy zasłużył na miano Pierwszego Ministra! Strażnicy nadal tkwili przy bramie, nie nasłuchując zbyttnio, co mówi Woodou, gdyż obawiali się jego małpiej złośliwości, woleli stać w bezpiecznej odległości. A nuż by poczuł zapach wina, którego jedynie spróbowali, nim nadeszła ich pora stróżowania?

- Jedno moje słowo i wróćcie do Zamku - syczał tymczasem Woodou z nietajoną satysfakcją widząc lęk malujący się na twarzy Ajoka. Spokojny wyraz twarzy Luelle zaniepokoił go i już, już miał otworzyć usta, by krzyknąć na strażników, gdy Istota z Pieśni, wpatrzona cały czas w jego oczy, jakby chciała przeniknąć kryjące się w nich myśli, nagle uśmiechnęła się z jakąś dziwną zuchwałością jak na jej sytuację.

... i wówczas Woodou w samym środku swego mózgu usłyszał potężny Głos. Głos bez dźwięku, choć dziwnie mu znany. Głos, który jak sztylet rozdzierał mu wnętrze głowy:

- Milcz, Woodou, bo cię zabiję - mówił ten Głos w jego głowie. - Jeśli zechcę to spalę na proch wszystkie twoje mózgowy komórki, a wówczas na nic nie przydasz się Urghowi...

Ostatnią myślą Woodou - nim przed oczami rozlała mu się bolesna purpura - była myśl, że przecież jest to Głos tej stojącej tuż koło niego Dziewczyny, choć owa istota ani na chwilę nie otworzyła ust. A potem niezwykle ostry, świdrujący ból powiększył się - i Woodou stracił przytomność, padając na ziemię. Cała ta scena nie trwała dłużej niż kilka sekund. Jedyne co strażnicy zdolali ujrzeć, to że Woodou, stojący obok pary pacholków, nagle przewraca się na ziemię, nie tknięty przez nich nawet palcem. Dwójka strażników przypadła do niego, wołając bezradnie na przemian:

- Co ci się stało, panie?... To Pierwszy Minister Urgha, niech to licho, wszystko spadnie na nas... I co z nim zrobić? Leży jak kłoda... całkiem bez zmysłów...

- Lepiej zanieście go do jego komnaty i przywołajcie lekarza - powiedział Ajok grubym głosem to, co podszeptała mu Luella. - A ty otwieraj bramę, póki co, bo nasz pan nie daruje opóźnień ani tobie, ani nam - zwrócił się Ajok do trzeciego ze strażników. Tamta dwójka już oddalała się pośpiesznie, niosąc ze sobą chuderlawe ciało Woodou, cięższe niż zwykle, gdyż pozbawione przytomności.

- Powiedz hasło! - zachnął się tamten zdenerwowany poprzednią sceną i w tym momencie Ajok zmartwiał, a jego nogi aż ugięły się ze strachu. Zapomniał o tak ważnej, a w dodatku łatwej do przeprowadzenia sprawie! Byle żołdak ojca powiedziałby mu to hasło, gdyby wcześniej o nie zapytał... Luella od razu pojęła, co się dzieje, i wpiła rozpaczliwie swój wzrok w oczy strażnika, by odczytać jego myśli. W blasku pochodni spoglądały teraz na nią - nieduże, ciemne, nieco bezmyślne. W ostatniej chwili wyczytała w nich odpowiedź:

- Zaślubiny - powiedziała spokojnie, pogrubiając nieco swój głos. - Hasło "zaślubiny", a teraz szybko otwieraj bramę i spuszcza most, inaczej Urgh cię wychłosta. Idziemy szukać ziela jałowca do wianka panny młodej, gdyż taki był zwyczaj w jej rodzie i nie chce bez niego stanąć do ślubu.

Dwaj strażnicy, wlokący bezwładne ciało Woodou, już wchodzili do Zamku. I znowu uciekinierzy mieli szczęście, gdyż jakoś nikt na dziedzińcu nie zwrócił uwagi na ten niezwykle wszak widok. A może pomyśleli sobie, iż Woodou także jest pijany...?

Brama, skrzypiąc, powoli uchylała się. Równocześnie usłyszeli stukot zwodzonego mostu, który właśnie opadł na drugi brzeg głębokiej fosy.

- A to co znowu? O Bogowie, ratujcie... - odezwał się nagle zaniepokojony, niemal wylękł głos strażnika. - Nad dziedzińcem zamkowym widno, widać gwiazdy na niebie, a tu, za bramą mgła niby mleko!

- Co ty gadasz? - spytał lękliwie czwarty strażnik, wyglądając przez bramę, która skrzypiąc uchyliła się jeszcze szerzej. - Bogowie, to chyba nie mgła, lecz jakieś czary! Czy nie lepiej by zawiadomić kogo...?

Strażnicy z zabobonnym lękiem wpatrywali nią w gęstą, mleczną mgłę, która spowijała całą okolicę Zamku, niby śmiertelnym całunem zamazując i pochłaniając wszelkie cienie, ciała i kształty. W swym zdziwieniu i przestachu nawet nie zauważyli, że dwóch pachołków wtopiło się w tę mgłę i zniknęło im od razu sprzed oczu. Mgła wchłonęła ich w siebie - i widocznym było, że już ich nie wyda z powrotem.

- Ten lisiec Woodou nagle się przewraca, tu ta mgła... i czemu tamci tak od razu w nią wleźli, zamiast się cofnąć... Ja bym za diabła tam nie wleźł... magia jakaś, czy co? mamrotał z lękiem jeden ze strażników.

- Idź lepiej i szybko zawołaj kogo - odpowiedział jego kolega. - Nie podoba mi się to wszystko. A bramę zamknijmy natychmiast, zanim ta magiczna mgła wypełni do naszego Zamku. Czort wie, czy ona nie robi ludziom co złego?

Gdy Woodou ocknął się w swej komnacie, jeszcze zanim zjawił się nadworny lekarz - brama była już zamknięta, a strażnicy daremnie przyzywali kogoś z rycerzy. Opici winem rycerze zataczali się i nie pojmowali mówionych do nich słów.

- Otwierajcie bramę, wołajcie żołnierzy, wzywajcie naszego króla! - krzyczał daremnie Woodou, gdy ślaniając się dotarł wreszcie na dziedziniec.

Otwarta z powrotem brama ukazała jeszcze gęstszą mgłę niż poprzednio. Gdy Woodou zebrał wreszcie parunastu jako tako trzymających się na nogach żołnierzy - ci odmówili opuszczenia Zamku. Wpatrywali się w opary mlecznej mgły z osłupieniem i obezwładniającym lękiem. I choć każdy domyślał się, że to czary - nikt, nawet Woodou nie domyślił się, że Czarownica do mlecznej, gęstej barwy swych oparów dodała też aromat strachu, którego zapach rozsnuwał się teraz, podwajając jeszcze naturalny strach oglądających to zjawisko.

- Każdy, kto tam wejdzie, udusi się - mruzcili żołnierze.

- Istne mleko, nie widać nawet na krok, tylko szalony by tam polazł...

Wezwany pośpiesznie Urgh najpierw wylał sobie na głowę wiadro lodowatej wody, by otrzeźwieć od nadmiaru wypitego wina. Gdy wreszcie, nadal otumaniony, dotarł do bramy, najpierw zaryczał gniewem i donośnie wzywał swoją gwardię, ale potem widok przeraźliwej mgły i jego wystraszył.

- To czary - wyszeptał z właściwym swemu plemieniu lękiem przed wszystkim co niezwykle. - A te czary uczyniła Czarownica, którą niedbale pozostawiłeś w Ardżanie, zamiast schwytać także i ją! - zwrócił się z furią do Woodou. Twoja to wina i doprawdy zapłacisz tym razem głową!

Woodou stał przerażony i bezradny. Cały aż dygotał z niecierpliwości, aby gonić uciekinierów, a zarazem strach przed czarami był w nim równie silny jak u żołnierzy Urgha. Zdradzając swój naród - Woodou utracił naturalny wśród jego rodaków szacunek i miłość do Czarownic i zaczął ich bać się wręcz nieporównanie więcej niż sami Najeźdźcy. Główne i najcenniejsze ogniwo Pieśni Jedynej, które jemu, Woodou, udało się rozerwać, zazębiło się znowu z pozostałymi, tworząc złowróżbny łańcuch, zaciskający się na szyi władcy podbitego Imperium, Urgha XIII i wszystkich jego sług.

- Panie - rzekł patrząc jadowicie na władcę, dla którego zdradził swój naród. - Jeśli ta przeklęta Pieśń się spełni, a istnienie tej dziewczyny potwierdza jej wiarygodność, wówczas obaj stracimy wszystko, i to wkrótce. Więc póki co, korzystaj jeszcze z mojej głowy, bowiem jest lepsza od głów wszystkich twoich rycerzy razem wziętych. Tylko ja czuwałem tej nocy, gdy wszyscy wokół się opili, a ja sam dla Istoty, która zna magię, to trochę za mało. Nie masz teraz zresztą nikogo na świecie poza mną, bo twój jedyny syn także uciekł. Któż pozostanie ci wierny, gdy mnie zabijesz? Twój czyhający na koronę brat...?

Urgh nic nie odparł. Jego wielka, lwia twarz była purpurowa z gniewu i strachu. Wszyscy - król i jego słudzy - stali zmartwiali, wpatrując się w skłębioną, gęstą mgłę, która kotłowała się tuż, tuż za zamkową bramą, nie przekraczając jej jednak ani o metr.

- Ta mgła pochłonęła moją ostatnią nadzieję - rzekł ponuro król. - Teraz pozostaje mi tylko czekanie na własny koniec.

- Nadzieję, panie, należy mieć do ostatka - odparł Woodou uniżenie, wcielając się znowu z dumnego Pierwszego Ministra w gorliwego i niepozornego sługę.

ROZDZIAŁ XXIV

Ajok i Luella byli we mgle bezradni jak dzieci. Po przekroczeniu zwodzonego mostu zapadli w nią jak muchy w mleko i gdyby nie trzymali się cały czas za ręce, nigdy by się nie odnaleźli.

- To sprawka mojej Opiekunki - powiedziała Luella z dumą. Ajok ledwie dosłyszał jej słowa, choć był tuż obok. Mleczny pył tłumił i pochłaniał wszelkie dźwięki. - Gdyby nie ta mgła, jeźdźcy schwytałiby nas w ciągu parunastu minut.

- Ale teraz nie wiemy, gdzie iść. Kto wie, może kręcimy się w kółko i wcale nie oddalamy od Zamku? - odparł bojaźliwie Ajok.

- Ja wiem, prowadzi mnie Głos Czarownicy - rzekła chętnie Dziewczyna.

Ajok leciutko się wzdrygnął. To jednak coś całkiem innego - zachwycać się Czarownicami z Pieśni Jedynej, istotami utkanymi z poezji i czarów, a czymś całkiem innym iść na spotkanie jednej z nich. Dziewczyna wyczuła jego lęk i roześmiała się:

- O tak, ona zamieni cię w małą myszkę, gdy tylko zechce. A zamiast palców ma taaakie potężne szpony!

Wyczuła jednak, że jej towarzysz jest naprawdę przerażony i ścisnęła go uspokajająco za rękę.

- Jesteśmy ci przecież dłużne, pomogłeś nam. Nie musisz się obawiać ani mnie, ani jej, mojej Opiekunki. I nie ma szponów. Jest nawet w jakiś sposób ładna...

Mimo wszechogarniającej mgły, Luella szła teraz szybko i lekko, wiodąc Ajoka za sobą. Chłopiec jednak potykał się co krok, drżał z lęku i zimna.

- Nie bądź taka ciamajda - rzekła niecierpliwie Luella, za którymś kolejnym potknięciem się Ajoka, spowalniającym ich marsz. Chłopiec zawstydzony i aby to ukryć, zaczął na nowo rozmowę.

- Nie pojmuję, co się stało Woodu? Jeden jego okrzyk i natychmiast by nas zatrzymano. A on tymczasem runął na ziemię bez czucia!

- Ja to uczyniłam - odparła zadowolona Dziewczyna. Raniłam go moim wewnętrznym Głosem. Mój Głos, jak powiedziała Czarownica, mógłby zabijać!

- Ale chyba go nie zabiłaś! - zawołał przerażony Ajok. Gęsta mgła, pochłaniająca dźwięki, stłumiła panikę w jego tonie.

- A jeśli nawet? - spytała lekceważąco Luella.

- Jak możesz mówić to tak spokojnie! Przecież wówczas złamałabyś jedno z Praw Pieśni! Ona wyraźnie mówi, że nikt nikogo nie będzie zabijał, że nastąpi kres zabijania, a wyzwolenie przyjdzie za sprawą Czarar, nie śmierci!

I chłopiec mimo woli wyrecytował odpowiednie słowa:

“I szczyzną prawa wojen okrutne za sprawą Czarar.

Śmierci nie zada ani brat bratu ni wróg wrogowi.

Życie się stanie dobrem najwyższym, większym niż złoto

Życie zrodziło Istotę z Czarar i słowa Pieśni...”

Luella pobłogosławiła mgłę, która uniemożliwiła Ajokowi dostrzec rumieniec wstydu na jej twarzy.

- Nie zabiłam go - powiedziała wreszcie ze ściśniętym gardłem. Obezwładniłam tylko i chyba na krótko.

Ale równocześnie cicha złość zapanowała w jej sercu. Zatliła się w niej malutka zazdrość, że on, ten wąty chłopiec zna słowa Pieśni Jedynej i zamiast tego żeby ona sama mogła ustrzec się od błędu, on musi ją pouczać. Uczucie to jednak tylko drasnęło jej serce i zaraz zniknęło. Zaś Luella zawstydziła się znowu i pojęła potrzebę obecności Czarownic. Do tej pory to one ją strzegły przed błędami - teraz na szczęście ma u swego boku tego chłopca, który tak bardzo kocha Pieśń, że zna jej każde słowo.

- Jak wiele brakuje mi do doskonałości - powiedziała z żalem.

- Och, nie, ty jesteś doskonała - zaprzeczył chłopiec gorąco. - Nie może nie być doskonałym ten, kogo zrodziła Pieśń Jedyna!

Luella z wdzięcznością przyjęła jego słowa i uznała, że są prawdziwe. Szli w tej mgle już kilka godzin. Ajok nareszcie oswoił się z nią i prowadzony pewną ręką swej towarzyszki przestał potykać się co chwila. Jednak w pewnym momencie oboje poczuli takie zmęczenie, że wiedzeni jedną myślą, ułożyli się na ziemi i przytuleni do siebie usnęli.

Obudziło ich słońce, którego promienie topiły śnieg dookoła. Ku swemu zdziwieniu nie byli wcale przemarznięci, gdyż okrywał ich gruby, bury płaszcz Czarownicy. Ona sama siedziała na kamieniu obok.

- Pora iść dalej - powiedziała. - Im szybciej wejdziemy do najbliższego Lasu, tym lepiej. Choć mgła jeszcze kotłuje się wokół Zamku Urgha, nie utrzymam jej już dłużej i zaraz opadnie. A wtedy ruszy pościg. W Lesie będziemy bezpieczni.

Ajok zdumiał się. Żadne ze słów Pieśni nie opisywało Czarownic - tylko ich czyny. A z czynów wynikało, że obdarzone były potężną mocą. Tymczasem na kamieniu siedziała stara kobieta. Miała zwykłą - najzwyczajszą, sympatyczną twarz i przygarbione plecy. Tylko oczy w tej sńiadej od wędrowek twarzy były dziwne: szare, głębokie, chłodne. Wąskie wargi Czarownicy uśmiechnęły się do Ajoka.

- Nie musisz się mnie bać - powiedziała w taki sposób, że lęk nieodwracalnie ustąpił z jego serca.

Las osiągnęli dość szybko - i wówczas przyszła pora na kolejne zadziwienie chłopca. Nigdy, w całym swoim życiu nie był dalej od ojcowskiego Zamku niż w sąsiednich wsiach i miasteczkach. Wszędzie tam zieleń zdawała się umierać i było jej niezwykle mało. Więc Las - mimo zimowej pory oszołomił chłopca swym bogactwem.

- Nie wiedziałem, że Lasy są tak piękne. Sądziłem, że są straszne - rzekł nieśmiało.

- Straszne są dla ludzi z rodu Urgha i jego żołnierzy. Ale w tobie płynie krew twojej matki, pięknej i dobrej Arlin, naszej współrodaczki, więc Las będzie ci życzliwy - odparła Czarownica.

Las był życzliwy. Szybko znaleźli suchą i ciepłą pieczarę, w której zaraz rozgościli się na dłużej.

- Przetrywamy tu do końca zimowej pory i doczekamy wiosny - wyjaśniła Czarownica.

- A na dwa dni przed twymi siedemnastymi urodzinami, Luella, podążymy w Wysokie Góry, na spotkanie mojej Siostry Piątej.

Luella w Lesie odżyła, witając go jak dobrego przyjaciela. A i on zdawał się przyjmować jej obecność z przyjemnością. Choć wyrosła już z lat dziecięcych i wchodziła w wiek młodej kobiety, bawili się z Ajokiem jak para dzieciaków. Tu wreszcie żadna pochwał Dziewczyna pokazała chłopcu parę magicznych sztuk, których nauczyły ją Czarownice. Przemieniała szyszki w lisy i na odwrót, rozmawiała z ptakami, przywołała nawet niedźwiedzia, który był jednak oburzony nonszalancją, z jaką wyrwała go z zimowego snu. Na dodatek oberwała też burę od Czarownicy, która znowu musiała jej przypomnieć, że magia nie służy zabawie, ale znacznie ważniejszym celom. Dziewczyna chciała nauczyć Ajoka choćby jednej z tych drobnych sztuk, jakie umiała, ale okazało się to niemożliwe. Ajok wpatrywał się usilnie w małego żuka, wędrującego leśną ścieżką, i rozpaczliwie, ze wszystkich swych sił myślał, aby żuczek przemienił się w żołędź. Wykonywał wszystkie wskazane przez Luellę gesty i wypowiadał właściwe słowa zaklęć - ale żuczek nadal pozostawał żuczkiem i szedł spokojnie swoją własną drogą, aby załatwić sobie tylko znane sprawy.

- Nie pojmuję - mówił zmartwiony. - Nie pojmuję, jak to się robi...

- Tego nie trzeba pojmować - wyjaśniała cierpliwie Czarownica. - To się ma w sobie i wystarczy ten dar rozbudzić. To przychodzi samo. Ale tobie nie przyjdzie. Moc czarodziejską posiadają jedynie osoby płci żeńskiej, a ty jesteś chłopcem. Nie jest ci to do niczego potrzebne, Ajoku. Masz przecież inny cel w życiu i osiągniesz go.

- Będę poetą i napiszę najwspanialszą z ksiąg, którą czytać będą wszyscy, a każde z jej słów odmieniać będzie ludzi na lepsze? - spytał niemal bez tchu Ajok.

- Już jesteś poetą - odparła Czarownica - i napiszesz swoją księgę, zapewniam cię.

Teraz Ajok już nie zazdrościł Luelli jej darów. Czasem tylko, gdy obserwował, jak przeobrażała małą rudą wiewiórkę w dużą kolorową piłkę, żeby nią podrzucać wysoko, pytał:

- Luella, czy jej to nie boli?

Ale Luella śmiała się wtedy i przywracała wiewiórcę jej pierwotny kształt.

- Głuptasie - mówiła - zastanawiasz się nad tym, co mnie by nigdy nie przyszło do głowy! Przecież widzisz, że ta wiewiórka dalej skacze sobie z gałęzi na gałąź!

Wiosna nadchodziła powoli, lecz niestrudzenie i ogarniała w swe posiadanie coraz więcej i więcej przestrzeni. Śnieg leżał jeszcze głęboko pod drzewami, a już drobne, jasnozielone i świeże igielki wychylały się ku słońcu ze świerkowych gałęzi. Napęczniały pąki na drzewach, oczekując tylko na mocniejsze słońce, aby pewnego dnia nabrzmieć i pęknąć, rozchylając zalążki młodych listków. Rozbudzone z zimowej melancholii ptaki od samego świtu wyśpiewywały swoje melodie.

- Nie wiedziałem, że może istnieć coś tak wspaniałego wzdychał po swojemu Ajok.

- Co za radość żyć! - krzyczała tymczasem Luella i tańczyła w jasnej plamie słońca, która rozbiła swój namiot na szarej do tej pory polanie.

Tylko Czarownica pochmurniała z każdym dniem. Luella, cała pochłonięta zwyciężającą z każdym dniem wiosną, nie dostrzegała tego. Jedyne Ajok spoglądał na nią z niepokojem.

- Jesteś smutna - powiedział wreszcie pewnego dnia. - A gdy jesteś smutna, czuję, że i we mnie narasta smutek...

- Od jakiegoś czasu prześladują mnie nieokreślone, lecz złe przeczucia. Ale nie myśl o tym. Czarownice mają takie niedobre dni - odparła krótko i skryła przed nim twarz. Od tej pory pilnowała się, aby uśmiech także czasem gościł na jej wąskich wargach i nie okazywała już jawnie niepokoju.

- Jutro wyruszamy w drogę - rzekła wreszcie w dniu, w którym pierwsze białe i żółte kwiaty wychyliły swe małe główki tuż koło topniejących gwałtownie śnieżnych zasp.

Luella i Ajok zasnęli w pieczarze niemal natychmiast, kamiennym snem młodych ludzi, którzy cały dzień spędzili na uganianiu się po lesie. Nie widzieli, jak Czarownica długo i niespokojnie obraca się z boku na bok na swym pościu z liści. Nie spostrzegli, kiedy wreszcie usnęła, ani tym bardziej kiedy nagle, rozbudzona w środku nocy usiadła i przyłożyła rękę do gwałtownie bijącego serca.

- Ktoś mnie wołał - szepnęła. - Kto...? Kto...? Nie rozumiałam słów, ale to były niedobre słowa. A teraz nic nie słyszę...

Nie spała już do rana. O brzasku wyruszyli w daleką drogę, do Wysokich Gór.

Luella cieszyła ta droga. Mogła teraz pokazywać oszołomionemu Ajokowi wszystko co było jej tak dobrze znane i bliskie - a dla niego całkiem nowe. To była najpiękniejsza część dawnego Wielkiego Królestwa. Pozbawiona ludzkich siedzib, a

tym samym wszechobecności Najeźdźców, sprawiała wrażenie wolnego kraju - kraju sprzed wieków.

Im bliżej było Gór, tym bardziej zachwyty chłopca rósł. Ich poszarpany majestatyczny łańcuch groźnie rysował się na horyzoncie, lecz chłopiec już się nie bał, widząc, że Czarownica z Dziewczyną czują się tu swobodniej niż gdzie indziej. To była ich prawdziwa ojczyzna, pełna bogatej roślinności, ptaków i zwierząt. A do tych ostatnich nikt nie strzelał z łuków, nie pozbawiał ich życia, nie zagrażał ich istnieniu i wolności. Więc podchodziły w miarę blisko, przyglądając się wędrowcom. Zachwycony chłopiec oglądał całe stada jeleni, górskich kozic, setki zajęcy i dzikich królików, wilki, a nawet pojedyncze niedźwiedzie. Ptaki śpiewały coraz radośniej, gdyż wiosna już bezpowrotnie zwyciężyła zimę - i łączyły się w pary, szukając miejsca na gniazda.

Zajęci tak sobą i otaczającym ich krajobrazem, zdawało się że nie dostrzegali rosnącego stale niepokoju Czarownicy. A jednak Ajok go widział. Wrażliwy niezwykle na nastroje innych osób, odbierał cały czas od Czarownicy impulsy jej smutku. I nie czuł się już tak bezpieczny jak wówczas, gdy na jej wąskich wargach gościł dyskretny, ironiczny uśmiech.

- Czy coś się stało? - spytał cicho, gdy Luelle odbiegła w radosnej pogoni za małą sarenką.

- Nie wiem. Wyczuwam jednak, że coś nie jest tak, jak być powinno. W nocy ktoś mnie wołał. Nie zdażyłam jednak ani odpowiedzieć na ten Głos, ani go rozpoznać - odparła równie cicho Czarownica.

Szli dalej, odpoczywając co jakiś czas, a noce spędzali w półśnie, okryci płaszczem Czarownicy. Mimo to nie odczuwali zmęczenia. Rzeńskie powietrze Gór dodawało siłę, a zimna woda ze źródeł i strumieni przywracała im o świcie przytomność umysłu, gdy obmywali się nią, czując, jak spływa z nich cały brud czasu niewoli. Tak, również Ajokowi nagle cały okres jego życia spędzony w Zamku wydał się także niewolą, gdy ujrzał, jak można żyć tu, u podnóża Wysokich Gór lub w Wielkich Lasach.

Do serca Wysokich Gór dotarli w trzecim dniu wędrówki.

- Nikt na nas nie czeka - zdziwiła się Dziewczyna. - A zawsze przecież była tu któraś z twoich Sióstr...

- Może przyszliśmy za wcześnie - odparła Czarownica, zaciskając niespokojnie wargi. Dopiero teraz Luelle dostrzegła jej lęk, ale nie od razu. Słowa Opiekunki uspokoiły ją i musiało minąć trochę czasu, by pojęła, że twarz Czarownicy jest cały czas pełna napięcia i rosnącego smutku; że uśmiecha się tylko wtedy, gdy ona i Ajok na nią patrzą.

Już nikt nie krzyczał, żeby wypróbować echo Wysokich Gór, żadne z nich nie biegało radośnie i teraz cała trójka wędrowców poddała się ponuremu nastrojowi swej przewodniczki.

- Chodź, pokażę ci Wielką Świątynię - powiedziała wreszcie Luelle do Ajoka, pragnąc przerwać przedłużające się milczenie.

- Wielką Świątynię? - oczy chłopca rozszerzyły się zarazem i zachwytem, i lękiem. - To przecież w takim razie tu...

- i urwał.

- Co tu? - spytała Dziewczyna.

- Och nic, musiałbym ci mówić kolejne strofy Pieśni, a sama prosiłaś, żebym tego nie czynił. Więc pokaż mi tę świątynię...

- Pokażę ci, ale niech ci się nie wyrwie ani słowo z Pieśni - szepnęła porywczo Luelle.

- Czy ty się jej boisz? - spytał Ajok wiedziony nagłą myślą.

- Boję się, a trochę jestem ciekawa... ale chyba bardziej boję się. Nie chcę znać mego przyszłego Losu...

Ruiny dawnego Świętego Miejsca uczyniły na chłopcu niezwykle wrażenie. Także Luelle, czy to poddała się nastrojowi chłopca, czy też dorosła na tyle, by więcej i inaczej czuć, choć była tu już dwukrotnie - po raz pierwszy pojęła, że to miejsce nie tylko było, ale nadal jest Miejscem Świętym; że z tych ruin promieniuje jakiś niezwykle nastrój dostojeństwa, powagi - a nawet grozy.

Ze ścian kamiennej świątyni pozostało niewiele, gdzieś fragment muru, to znowu tylko sam obrys fundamentów. Ciągnęły się one szeroko wszcz i daleko wzdłuż, ale w pewnym miejscu dalszą jej część zastawiała stroma, wysoka skała, piętrząca się tak wysoko, że trudno było dojrzeć jej wierzchołek. W środku ruin jeszcze gdzieś pozostały ślady kamiennych ław lub ich szczątki. Na niektórych widoczne były jeszcze wykute rylcem ozdobne wzory roślinne lub zwierzęce. Zachował się też spory fragment szerokich, stromych schodów, które musiały wieść do świątyni, ku jej głównej bramie.

Gdyby nie zwiedzanie ruin, które pochłonęło ich bez reszty, Ajok i Luelle poddałiby się ponuremu nastrojowi Czarownicy. Ta bowiem siedziała nieruchomo, jak wykuta z kamienia i spoglądała nieobecny wzrokiem hen w doliny, jakby wyglądała zbliżającego się wędrowca. Ale nikt nie nadchodził, choć już kończył się dzień.

- A może moje urodziny są jutro? - powiedziała wreszcie Luella. - Mogłaś przecież pomylić się obliczeniach i dopiero jutro lub nawet pojutrze ma nadejść twoja Siostra Piąta?

Czarownica spojrzała tylko na nią swymi szarymi oczami i nie odezwała się. Dziewczyna powściągnęła nagle, niezrozumiałą chęć objęcia jej, a nawet zawstydziała się tego odruchu. Przez całe, już siedemnastoletnie życie, nikt nigdy jej nie przytulał. Czarownice nie zwykły okazywać czułości, więc i ona, Luella, nie umiała się na nią zdobyć. Własny odruch serdeczności szybko wydał się jej śmieszny. Jednak Ajok, którego ongiś przytulała matka, a potem niewolnice z kuchni zamkowej, jeszcze pamiętał, czym jest w smutku serdeczna bliskość drugiej osoby. Usiadł koło Czarownicy i położył jej na ramieniu swą jasną głowę. Ta najpierw zdumiała się tym szczerym gestem, a po chwili - ku radości chłopca - na jej wargach przelotnie zdrzął słaby uśmiech. Luella śledziła go z pewną ulgą - i zarazem zazdrością. Ale nie zdobyła się na naśladowanie Ajoka.

- Czarownice przecież nie są do kochania! - pomyślała nagle i niecierpliwie wzruszyła ramionami.

Do snu Luella i Ajok zapragnęli ułożyć się wśród kamieni Wielkiej Świątyni, ale Czarownica zabroniła im tego.

- Mogłyby was nawiedzić koszmary senne - ostrzegła. Pamiętajcie, że jest to miejsce nawiedzane przez duchy, a duchy są różne, dobre i złe. We śnie moglibyście ulec ich wpływom i obudzić się innymi, niż jesteście, może lepszymi, ale któż zaręczy, czy nie opanowałby was jakiś zły duch...?

Ajok prawie że się przeraził słowami Czarownicy, ale widząc spokój, z jakim słuchała ich Dziewczyna, pojął, że boi się na wyrost. Spali zatem poniżej starych, kamiennych schodów, poza obrębem świątynnych fundamentów. Chłopiec jednak spał niespokojnie, budząc się co chwilę - i za każdym razem widział siedzącą nie opodal, na dużym kamieniu, Czarownicę, nieruchomą, zapatrzoną w dal niewidzącymi oczami. Nad ich głowami rozpościerało się wiosenne, jasnogranatowe niebo, pełne migocących złotych gwiazd - na które chłopiec spoglądał całkiem inaczej, gdy Luella opowiedziała mu o swoich z nimi rozmowach i o tym, jak gwiazdy uratowały ją i jej poprzednią Opiekunkę od pewnej śmierci. Do niedawna Ajok myślał, że gwiazdy są martwe, a jarzą się złością jedynie dla ich, ludzi przyjemności.

Kolejny świt stawał nad Wysokimi Górami. Jaskrawoczerwone słońce już wychylało swoją tarczę znad wznoszącej się powyżej świątyni stromej skaty.

Luella obudziła się gwałtownie i przecierając oczy rzekła do siedzącej nieruchomo Czarownicy:

- ... mogłam przecież spytać gwiazd...

- Nie trzeba - odparła ze smutkiem jej Opiekunka. - Ja już wiem. Spójrzcie...

Na gładkim kamieniu obok niej siedział niewielki szary ptak. Jego czarne, wypukłe oczy spoglądały na troje ludzi bez strachu i choć Ajok odruchowo wyciągnął rękę - nie uciekł.

- Chcesz powiedzieć, że... - zaczęła wolno Luella i wpiła swoje jasne spojrzenie w czarne oczy ptaka. Ale ujrzała w nich tylko pustkę. Te oczy, choć widziały, były nieme. Nie przekazywały żadnej myśli.

- Ten ptak nie mówi... - zakończyła wolno swą myśl - nie chce mi nic powiedzieć, choć przecież umiem nawiązać kontakt ze wszystkimi ptakami.

- Ten ptak nie powie ci ani słowa - rzekła Czarownica, a oczy jej zasnuwała cieniutka, lśniąca podejrzenie mgiełka. W zamian za wyzwolenie od śmierci w straszliwym ogniu stosu, Matka Natura odbiera mowę moim Siostram - ptakom. Dar życia jest bowiem sam w sobie bezcenny i musi im wystarczyć. Są żywe, wolne i pozostały im czas spędzają tu, w Wysokich Górach, w pobliżu Świętego Miejsca, ale nie mogą z nami rozmawiać. I nigdy nie będą mogły.

Poblady Ajok słuchał tych słów, domyślając się swoją wrażliwą naturą ich głębszego sensu. Już wiedział, że gdzieś, w brutalnym i okrutnym królestwie jego ojca, spłonęła na stosie jakaś kobieta, jedna z setek, jakie na nich płonęły każdego roku. Ale tym razem była to rzeczywiście prawdziwa Czarownica.

- Prawdziwa Piąta Czarownica...? - uprzytomnił sobie nagle i ze strachem. Odruchowo wyszeptał cichutko, sam do siebie jedną ze zwrotek Pieśni:

“Gdy Piąta spojrzy wzrokiem bezkresnym w Istotę Czarar,

powiedzie Luella w święte ruiny godną i czystą,

bo za jej sprawą, ta z rodu królów, odrzuci z siebie

to co jest skazą...”

Jego słów słuchał jedynie mały, niemy, szary ptak. Luella objął nagle chłód niepokoju, a Czarownica, siedząc nieruchomo, pogrążona była cała w żalu po utracie Siostry, której niemy ptak nie był w stanie nigdy zastąpić.

- O Bogowie... - westchnęła z ledwie skrywanym lękiem. - Gdybyż to się zdarzyło którejkolwiek z nas, Drugiej, Trzeciej czy mnie, byle nie tej, której zadanie pozostaje nie wykonane i Bóg tylko wie, na czym ono polegało...

Mijały godziny i żaden z wędrowców nie poruszył się, każde wierne swoim myślom. Wreszcie milczenie przerwała Luella:

- 1 co teraz? - spytała dźwięcznym, agresywnym tonem. Kto wie, gdzie miałam się udać z Czarownicą Piątą i co miałam robić? Czego się uczyć?

“Ja to wiem. I Czarownica też wie” - pomyślał Ajok, ale nic nie powiedział.

- Miałaś tu pozostać, w tych ruinach, przez cały rok, do swoich kolejnych, osiemnastych urodzin - odparła Czarownica, zbierając w sobie siły. - Więc też pozostaniemy tu, we trójkę, bez mojej Siostry. Co prawda ona tu jest, ale tak jakby jej nie było.

- Ale co miała robić? - ponowiła pytanie Luelle.

- Nie wiem - odparła sucho Opiekunka. - Każda z nas wiedziała, jakie jest jej zadanie, ale nie pytała o nie swoich Sióstr. Każda zdawała twej kolejnej Opiekunce kilka słów o tym, jak powiodło się jej z wykonaniem swojej misji. Żadna jednak nie wypytywała, co będzie robić następną. Ogólnie wiemy, co miała czynić Siostra Piąta, ale żadna z nas nie potrafi tego wykonać.

- A jednak, gdybyś uległa ciekawości i spytała twej Siostry Piątej, nim przemieniła się w ptaka, to... - zaczęła Luelle, ale Czarownica jej przerwała:

- ... mogłoby się okazać, i to z całą pewnością, że nie mam daru, który miała nasza Siostra. W przeciwnym wypadku nie musiałybyśmy dzielić się naszymi zadaniami i okresami wychowywania ciebie.

- Ale kto wyznaczył właśnie tę, a nie inną kolejność waszego opiekuństwa? - nie ustępowała Luelle.

- Los - odparła Czarownica. - Rzuciłyśmy magiczne kości i one ułożyły kolejność. Magiczne kości nigdy się nie mylą.

Jej głos brzmiał oschle i widać było, że życzy sobie zakończenia rozmowy.

A za rok...? - zamierzała spytać Luelle, ale głos uwiązł jej w gardle. Nie chciała wiedzieć, co będzie za rok. Kto wie, zapewne mógłby powiedzieć jej to Ajok, znający na pamięć całą Pieśń, każde jej słowo i chwytający w lot wszystkie jej szyfry i niedopowiedzenia, ale przecież sama prosiła go, by tego nie czynił. Czarownica zaś nie była skora do odpowiedzi. A w samej Luelle mieszały się dwa uczucia: ciekawości, co ma nastąpić dalej, ku czemu wiedzie ją Pieśń Jedyna - i strachu przed tą wiedzą.

- Jeśli tak - pomyślała z żalem, gniewem i zarazem lękiem - należy zatem spędzić ten rok jak najprzyjemniej. Kto wie, co przyniesie pierwszy dzień roku następnego?

... może ciężar, którego jej osiemnastoletnie wówczas barki nie zdołają unieść?

ROZDZIAŁ XXV

Gdyby Luelle chciała sięgnąć pamięcią wstecz, nie umiałaby określić, jak minął tamten pamiętny rok. Być może powiedziałyby:

- Trwał za krótko...

Był to bowiem jedyny rok w całym dotychczasowym, a i późniejszym jej życiu, w którym zdawało się, że na jej barkach nie spoczywają żadne uciążliwe obowiązki. Mimo ukończonych siedemnastu lat czuła się niemal dzieckiem, skorym do zabawy i radości, tym bardziej że teraz miała towarzysza - rówieśnika, co było dla niej fascynującą nowością. Wszak pierwsze szesnaście lat spędziła sam na sam z kolejnymi Czarownicami, nie wiedząc czym może być towarzystwo innych osób, a już zwłaszcza rówieśników. Nie знаła zatem nie tylko smaku miłości - którą wykluczał chłód i wszechpotężny umysł Czarownic, skupiony zawsze na sprawach najważniejszych. Nie znała też smaku przyjaźni. Teraz dopiero uczyła się, jak ona smakuje i jakie są jej reguły.

Gdyby spytać Ajoka o tamten rok, kto wie czyby nie odparł:

- Był wspaniały, ale za długi...

Wspaniały - bowiem Ajok dopiero teraz, w osiemnastym roku życia poznał urok zabaw z równą sobie wiekiem osobą i niemal cofnął się w erę dzieciństwa, którego po śmierci matki prawie że nie miał. Zarazem wydawał mu się tamten rok zbyt długi, gdyż cały czas wiedział, ile miesięcy dzieli ich od spełnienia się Pieśni Jedynej, i nie mógł się tego dnia doczekać. Przecież od chwili gdy ją poznał, kochał tę Pieśń i żył nią.

To, na co on wyczekiwał - Luelle mimo woli odsuwała od siebie, gdyż drażył ją wewnętrzny niepokój. Ilekroć jednak w jej szaroniebieskich oczach pojawiał się cień troski, ciężar tej nowej i uciążliwej samowiedzy o Przeznaczeniu, które ją czeka - odrzucała go całą swoją wolą, niemal całym swym istnieniem, ponieważ myśl o przyszłości coraz bardziej ją przerażała.

Dla Czarownicy ten rok był jednym z najgorszych w jej życiu. Utraciła bowiem jedną ze swych czterech ukochanych Sióstr. Na domiar złego, nie umiała się nawet domyślić, co straciła razem z nią, czym właściwie owa Siostra miała obdarzyć Dziewczynę, aby wypełnił się Czar.

Przez cały ten rok Czarownica niezwykle bacznie obserwowała swą wychowanę, ale wynik tych obserwacji mógł jak sądziła - przynieść głównie satysfakcję. Luelle była piękna, a w jej ruchach dostrzegało się nie tylko wdzięk, ale i naturalną godność, której nabrała w ruinach Ardżany. Jej inteligencja przewyższała zawsze inteligencję jej rówieśników. W chwilach zagrożenia umiała działać i stawić czoło niebezpieczeństwu. Posiadała niewielki, choć znaczący dar magii, akurat tyle, by

jako królewna nie zatraciła jednak cech człowieka i nie przeobraziła się w Czarownicę. Nie Czarownica miała bowiem zasiąść na prastarym tronie Luilów, ale ludzka istota.

W przekonaniu o doskonałości Dziewczyny utwierdzał jej Opiekunkę Ajok: Luelle jawiła mu się jako najprawdziwsza księżniczka, z krwi i ciała, księżniczka z ducha, Istota z Pieśni. Czarownica nie wątpiła o tym, że gdyby jej wychowanka znalazła się w jakiejś większej grupie osób, w sposób naturalny objęłaby w niej przewodnictwo. Mimo to pełna wątpliwości, w tajemnicy przed Luelle, a nawet Ajokiem, Czarownica poszła w Wysokie Góry, a tam przywołała niedźwiedzia:

- Jakie cechy winien mieć władca - aby był dobrym, rozumnym władcą dla swego narodu?

- Siłę - odparł Niedźwiedź, przestępując z nogi na nogę. Przywołany orzeł zjawił się niechętnie, ale bez chwili namysłu odparł na to pytanie:

- Duma, oto najważniejsza cecha władcy... Z kolei Opiekunka zawołała lisa:

- Chytrość i spryt, o pani, bez nich władcę można okpić...

Duży jeleń ze wspaniałymi rogami, kopiąc niecierpliwie ziemię kopytem, odrzekł:

- Musi być wolny. Uzależniając się od kogokolwiek, władca przestaje być władcą...

Czarownica nie pominęła nawet wróbla:

- Władca musi być pogodny! - zaczął i poszybował na najbliższe drzewo.

- Wszystkie te cechy moja wychowanka posiada - westchnęła z ulgą Czarownica. - Jeśli zatem moja Siostra Piąta miała ocenić efekt naszej pracy i doszukać się w niej skazy, którą należy usunąć, zapewne by jej nie znalazła. Przecież ta odrobina uporczywości, z jaką Luelle popada w gniew, to także są cechy rządzących, niekiedy nawet i przydatne... Nie, upór nie jest wadą, byle pojawiał się w słusznych sprawach, a rozum, który Dziewczyna posiada, ochroni ją przed błędnymi wyborami...

Więc ten rok był rokiem bardzo złożonym i niejednorodnym, zależnie od tego, kto go oceniał. W dawnym Wielkim Królestwie także przeżywano ten rok niezwykle intensywnie i wydawał się inny niż wszystkie. Wyczuwało się, że wszędzie narasta atmosfera wyczekiwania i napięcia. Wyczekiwanie na Coś, co ma nastąpić, przybrało w Najeźdźcach postać zabobnego lęku, który paraliżował ich, lub wręcz przeciwnie - czynił jeszcze bardziej okrutnymi niż zazwyczaj. Za to ich zniewoleni poddani coraz bardziej, z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, prostowali swe zgarbione, schyłone w lęku przed uderzeniem bąta plecy; ich oczy rozjaśniała nadzieja, ba, niekiedy nawet słycać było ich śmiech, a w serca wstępowała odwaga. Po wsiach i miastach, szczególnie wieczorem i nocą, coraz częściej było słycać zmienną melodię Pieśni

Jedynę - a Najeźdźcy, zamiast ścinać jak zazwyczaj głowy śpiewakom, woleli udawać, że niczego nie słyszą, jakby melodia ta odbierała im resztki odwagi. Bywały noce, iż zdawało się, że śpiewa cała wieś lub całe miasto, zaś Najeźdźcy, niewidoczni w swych kryjówkach, udawali, że ich nie ma. Bywało też wręcz przeciwnie: pijani z lęku ciemężyciele bili, zabijali lub zamykali w więzieniach nawet tych, których usta były nieme.

Niekiedy wydawało się, że Pieśń Jedyną śpiewa także wiatr, że spływa ona strumieniem rzeki i niosą ją obłoki na niebie. Że trzask każdego ptaka zawiera w sobie jej melodię; że słyhać ją w pluśnięciach deszczu o szyby. Oszaleli ze strachu Najeźdźcy zatykali wówczas uszy, zamykali oczy, próbowali pogrążyć się we śnie lub pijaństwie, byle o tym zapomnieć.

Na Zamku Urgha panował nastrój ponurego wyczekiwania i sprzecznych pomysłów, które podrzucali jego doradcy.

- Należy się uzbroić i stać w pogotowiu we wszystkich miastach i wsiach, niech na wszystkich drogach zrobi się czarno od naszych żołnierzy... - radzili jedni, wierzący jedynie w siłę miecza.

- Zabić już teraz wszystkich mieszkańców dawnego Wielkiego Królestwa, nie oszczędzając kobiet i dzieci - podpowiadali ci, którym strach odebrał rozum.

- Opuścić tę krainę, z której i tak wzięliśmy wszystko co cenne, i ruszyć z powrotem na Wielkie Stepy, gdzie będziemy bezpieczni - sugerowali inni, najbardziej ostrożni.

- Będziemy tu trwać do samego końca - odpowiadał z ponurą pasją Urgh XIII. - Podbiliśmy przed wiekami tę ziemię i jest nasza. Nikt nam jej nie odbierze! Żaden z naszych niewolników nie ma ani miecza, ani łuku, ani nawet siły mięśni wystarczającej do tego, aby nas stąd wygnać. A same słowa Pieśni nie wystarczą...

Urgh nie wypowiadał jednak własnych myśli, lecz powtarzał słowa swego doradcy Woodou, który w nocy szarpany lękiem o karę za własną zdradę, w dzień sączył swemu panu całkiem inne rady. Nie widział dla siebie miejsca na bezkresnych stepach, nie pojmował życia koczowników, nie cierpiał jeździć konno; wolał śmierć niż takie życie. Próbował sobie wmawiać, że w ostatniej chwili stanie się coś takiego, co uniemożliwi spełnienie się Pieśni - lub że Pieśń jest zwykłym wierszem, któremu nadano fałszywe, magiczne znaczenie.

- Czy jakaś głupia Pieśń, śpiewana przez bezbronnych i skazanych na naszą łaskę ludzi, może przeciwstawić się waszym mieczom, łukom, waszej sile i mnogości waszej armii...? - pytał chytrze, a Urgh kiwał głową, że to prawda, że przecież jakże by mogło się tak stać?

- Czy Istota, którą schwytaliśmy, lecz uciekła z pomocą twego syna, jest w stanie wspólnie z nim uczynić cokolwiek przeciw tobie? - pytał Woodou i Urgh ponuro kiwał głową, że skądże, oboje są słabi i bezsilni, mogli uciec, ale nie zwyciężą!

- ... a co z Czarownicami? - dodawał z niepokojem.

- Dałbym głowę, że Czarownica, spalona ostatnio w sąsiednim miasteczku, była tą samą, która ukrywała się w Ardżanie. I że była to naprawdę ostatnia już z Czarownic dawnego Wielkiego Królestwa - szeptał gorliwie Woodou. Sam przekonałeś się, panie, że nie ma prawdziwych Czarownic. Ileż ich przyprowadzano przed twoje oblicze i nigdy nie umiały niczego zczarować, nawet w godzinie śmierci.

Woodou nie przyznał się swemu panu, że osobiście skazywał na stos niewinne kobiety, byle tylko Urgh wierzył, że spalono kolejną Czarownicę, schwytaną dzięki jego, Woodou, sprytowi i wierności. Choć ta, którą ostatnio schwytano i spalono w jednym z miasteczek, musiała być prawdziwa. Wiele opowiadali o tym na Zamku ci, którzy ją schwytali i byli obecni przy jej śmierci. Schwytano ją bardzo prosto: leczyła właśnie śmiertelnie chore dziecko, którego matka, skazana na śmierć za śpiewanie Pieśni, przebywała w więzieniu. I gdy Czarownica skupiła całą swą wolę i umysł na chorobie - a ta zaczęła poddawać się i było pewne, że dziecko wyżyje - w ręce Najeźdźców oddał ją nie kto inny, ale sam ojciec dziecka, w zamian za obietnicę wypuszczenia jego żony. Czarownica, lecząc dziecko, nie zwracała uwagi na nic poza nim i nie dostrzegła, że w duszy ojca kiełkuje myśl o jej wydaniu.

- Głupi... - westchnął z satysfakcją Woodou. - Czarownicę schwytano i natychmiast spalono, nie dając jej szans na żadne sztuczki, a matkę dziecka i tak ścięto. Dziecko kat udusił własnymi rękami, gdyż dotykane przez Czarownicę, mogło przejąć coś z jej magicznych talentów...

Tyle tylko, że jeden z rycerzy Urgha na własne oczy widział, jak z ognia stosu wyfrunął nagle nieduży, szary ptak, którego wcześniej na pewno tam nie było. Legenda głosi, że właśnie w ten sposób Czarownice unikają śmierci, przemieniając się w ptaki, gdy płomień zaczyna ogarniać ich ciała. Czy trudno się potem dziwić, że żołdacy Urgha wprawiają się w łuku strzelając głównie do ptactwa? Że nienawidzą ptaków i skrupulatnie liczą każdego zestrzelonego?

- Gdybym umiał, sam bym je wystrzelał - mruczy Woodou z zaciętością. Jest błądy i zmęczony, bowiem cóż z tego, że w dzień uspokaja lęki swego pana, skoro noc w noc dręczą go koszmary?

- Tego dnia, o którym mówi ta przeklęta Pieśń, w samą 777 rocznicę naszego panowania, moi wszyscy żołnierze staną z bronią w ręku. A już w tej chwili jest ich prawie tylu co mieszkańców dawnego Wielkiego Królestwa - mówi chępliwie Urgh. - Na każdej piędzi ziemi będzie stał mój żołnierz i co kto mi zrobi?!

- Na każdej piędzi z wyjątkiem Wielkich Lasów, Wysokich Gór i Pustyni - myśli posępnie Woodou. - Tam ciągle nie sięga twoje panowanie, Urghu XIII, i boję się, że nigdy nie sięgnie. Ale też żyją tam tylko lwy, niedźwiedzie, orły i jelenie. A nad nimi nie musimy panować. Te stworzenia nas nie pokonają. Nie pokona nas też szalony starzec, leczący na Pustyni umierających, Pustelnik, którego zniszczy w końcu śmiertelna choroba, jaką mu przywłoką jego ukochani chorzy...

Urgh niekiedy rozmyśla o swym synu, ale nie tęskni za nim.

- Nie miałbym z niego żadnego pożytku - duma ponuro. Po co mi zresztą syn? Jeśliby miała spełnić się ta przeklęta Pieśń, nie osadzę nikogo przed śmiercią na tym tronie...

Chwilami staje mu przed oczami piękna twarz matki Ajoka, ale wówczas nie smutek, lecz złość zniekształca mu rysy, złość i gniew na własną słabość, za którą został ukarany takim potomkiem.

- Dobrze, że kiedyś moi przodkowie wydali surowy zakaz mieszanych małżeństw - myśli posępnie. - Inaczej całe to państwo pełne byłoby takich Ajoków, a nasze Imperium upadłoby samo z siebie, tracąc walecznego ducha. Ja jeden złamałem zakaz i co z tego wynikło?

Pustelnik na Pustyni nie myśli o Pieśni i wypełnianiu się Czarui - chyba jeden jedyny w całej tej krainie. Ze wszystkich miast i wsi od setek lat dążą ku niemu chorzy, nie znajdujący nigdzie poza nim pomocy. Często udaje mu się przy pomocy ziół i Mocy zawartej w dłoniach ocalić czyjeś życie. Niekiedy jest na to za późno i jedyne co może zrobić, to pomóc umierającemu przezwyciężyć lęk przy przekraczaniu Bram Wiecznej Krainy, a później pochować jego ciało w suchym piasku Pustyni. Cała Pustynia to piasek - i ukryte w nim szkielety. Ale to także życie, które udaje się ocalić i które potem wraca do ludzi, w świat niewoli, ale i świat nadziei, której nigdy nie zabije nawet najcięższa niewola. Pustelnik nie wie nic o zbliżaniu się Dnia Pieśni Jedynej, nie zna nawet jej słów, i nie ma czasu poznać, choć niekiedy nuca ją chorzy i umierający. Pustelnik skupiony jest tylko na tym, by uratować kolejne życie - i przywrócić je krainie niewoli. Tak czyni każdy lekarz, nawet jeśli śmierć byłaby wybawieniem.

I nikt w całym dawnym Wielkim Królestwie nie wie, czy jest to od setek lat stale ten sam Pustelnik, czy też co parędziesiąt lat inny. Ale nie ma to najmniejszego znaczenia.

Ten znaczący 776 rok niewoli przechodzi jak inne swoim własnym rytmem, od rozpasanego lata do żółtej, sennej jesieni, by potem przyoblec ziemię w biały śnieg, otulić nim nędzę człowieka i bogactwo Natury. A zaraz potem śniegi zaczynają topnieć, by ustąpić miejsca świeżo kielkującemu życiu. Ten rok przemija jak każdy inny, swoim własnym, niezmiennym rytmem, ale dla ludzi jest on niepowtarzalny i dla

każdego inny. Jednym płynie zbyt szybko, innym za wolno. Najeźdźcy najchętniej chcieliby zatrzymać Czas, ale ten płynie naprzód, nieustrudzenie.

* * *

Czarownica stała na schodach wiodących do ruin prastarej Świątyni i spoglądała w dół, w doliny, gdzie hen, w oddali, poruszały się drobne, zmniejszone przez odległość trzy bure sylwetki. Wydawało się, że zbliżają się niezwykle wolno, choć wytrwale. Na twarzy śledzącej je Czarownicy malowała się niecierpliwość i niepokój. Obok niej przycupnął nieduży, szary ptak i wypukłymi smutnymi oczami bez wyrazu, spoglądał w tę samą co i ona stronę.

Ajok stał koło Czarownicy, tłumiąc na próżno rozszalałe bicie serca. Oto niedługo, na jego oczach, wypełni się Pieśń Jedyna. Już jutro mija kolejna rocznica niewoli - tym razem ta właściwa, siedemset siedemdziesiąta siódma - i jest to zarazem dzień urodzin tej królowej z rodu Luilów, która stoi nieruchomo obok niego, ze spokojną twarzą i nawet najdrobniejszym grymasem nie daje po sobie znać, co naprawdę czuje. Ajok wie, że ona się boi - ale za sprawą tego Świętego Miejsca wstąpiły w nią duchy jej królewskich przodków i dlatego nie okaże strachu. Ale on istnieje - jest to strach przed odpowiedzialnością. Zbyt wielkie nadzieje zbyt wielu ludzi obciążają te dziewczęce ramiona. I choć Luella stoi wyprostowana, Ajokowi wydaje się, że ten ciężar zaraz przygnie ją ku ziemi.

Bure sylwetki trzech Czarownic rosną w oczach, a wkrótce wszystkie trzy rosną, silne kobiety stoją przy nich. Tak, Czarownica Czwarta też już dawno zrzuciła w górach swoją żebraczą skórę, ale działo się to tak niespostrzeżenie i wolno, że Ajok dopiero teraz spostrzegł, że cztery Siostry są właściwie dojrzałymi kobietami; żadna z nich nie jest staruszką, jakimi wydają się być wśród ludzi. I teraz rzeczywiście przypominają Czarownice: wysokie, smukłe, o śniadych twarzach i niezwykle oczach, z długimi, prostymi czarnymi włosami.

- Jutro Dzień Czar - mówią kolejno na powitanie, jedna po drugiej i słowa te brzmią jak zaklęcie. Ich wąskie wargi uśmiechają się do Luelle: ich twarze są spokojne, gładkie, nieruchome i tylko szare oczy zdradzają napięcie, gdy spoglądają w stronę Świątyni, a żal, gdy patrzą na swoją Siostrę - ptaka.

- Jutro Dzień Czar... - woła nagle gniewnie Luella - ... a ja nie wiem, co mam robić! Nigdy mi tego nie powiedziałyście. Przez cały czas, gdy z wami przebywałam, nie zdradziłyście ani słówkiem, co wiecie. Ajok wie o wiele więcej niż ja! Choć to przecież o mnie chodzi i o mój Los!

A wtedy Ajok, bezwiednie, jakby wbrew woli, zmuszony jakąś niezależną od siebie siłą, zaczyna cicho nucić. Po chwili przyłączają do niego swoje głosy cztery Czarownice, a echo powtarza za nimi słowa Pieśni, wzmacniając ją:

“Wysoko w górach, w starej Świątyni jest Kamień Święty.

Zaklęta jest w nim moc wszystkich przodków Luilów rodu

I gdy na Kamień stanie Istota z praocjów ducha

Duchem podobna do swoich ojców, darem do matki,

Kamień zwycięży. Urghów Imperium wróci na stepy.

Tak wielka Moc jest wzięta z Kamienia,

że wszystko zmienia...

I nikt nie zginie od cięcia miecza, ni z haku strzała

go nie uśmierci. Kamień zwycięży w bezkrwawej walce.

Na tron kamienny w Pałacu Królów powróci władca

godny korony, miłości ludzi, szacunku wrogów.

Ziemia rozkwitnie, znikną jej rany. Pieśń się wypełni.

Tak wielka Moc jest wzięta z Kamienia

że wszystko zmienia...”

Echo Wysokich Gór powtórzyło ostatnie słowa Pieśni.

- Więc jutro mam stanąć na świętym Kamieniu? - szepnęła Luelle.

- Tak - odparły Czarownice uroczyście. - Po ośmiuset latach na Świętym Kamieniu stanie znowu ktoś z rodu Luilów.

- Ostatni raz stał na nim Luil XXIV, jeszcze nim został królem - uzupełniła Czarownica Druga.

- Jutro staniesz ty, jedyna Dziewczyna w całym królewskim rodzie, w całej prastarej historii Wielkiego Królestwa i jeszcze bardziej prastarej historii Świętego Kamienia.

- Staniesz na nim jako ostatnia z królewskich, prawowitych potomków swego rodu - uzupełniła Trzecia.

- Dlaczego właśnie ja? - spytała Dziewczyna i w głosie jej Czarownice wyczuły leciutkie drżenie.

Po chwili milczenia na pytanie to odparła Czarownica Czwarta:

- Bo nie mamy innego wyboru. Z całego, długiego łańcucha królewskich potomków od czasów LuilaXXIV pozostałaś nam tylko ty.

- Zapewne nikt z nas nie będzie spał tej nocy - zaczęła Czarownica Pierwsza. - Mamy zatem czas i możemy opowiedzieć ci historię twego rodu...

... w rozsnuwający się wśród Wysokich Gór zmierzch zaczęła płynąć - jak dym z ogniska - cicha opowieść Czarownicy, której Ajok i Dziewczyna słuchali z zapartym tchem.

- ... księżniczka Luella ze swym mężem, Nadwornym Magiem, jedyni którzy przewidzieli zbliżającą się napaść i daremnie próbowali ostrzec królewski dwór - sami zbiegli w porę, choć ucieczka nie była łatwa. Księżniczka nosiła pod sercem swoje pierwsze dziecko. Instykt nakazał im uciekać w Wysokie Góry, w pobliże Wielkiej Świątyni. Tam też zgromadziły się wszystkie Czarownice, trzynaście Sióstr Starszych, wiedząc, że Święte Miejsce nie dopuści wroga do siebie. I rzeczywiście nie dopuściło: potężne trzęsienie ziemi zrujnowało Wielką Świątynię, grzebiąc wprawdzie Święty Kamień, ale też odstraszając raz na zawsze Najeźdźców od zapuszczania się w te strony. Jeden ze spadających głazów ranił księżniczkę. Wydała ona na świat syna, którego przyjęły Czarownice - i zmarła od ran. Królewski Mag nie przeżył jej śmierci; zmarł ze zgrzyoty w niewiele tygodni później. Czarownice przejęły opiekę nad niemowlęciem. Już wówczas zdawały sobie sprawę z tego, że jest to jedyny prawowity, żyjący potomek rodu Luilów. Pozostali członkowie królewskiej rodziny wraz z synami zginęli z rąk Najeźdźców.

Czarownice opiekowały się chłopcem do lat siedmiu, a później jedna z nich skierowała się z nim w stronę ludzkich siedzib. Tam oddały go na wychowanie bogobojnej i - szlachetnej rodzinie - nie mówiąc jednak ani słowem, kim jest. Dołączyły tylko niewielki woreczek ze złotym kruszcem. Równocześnie wymazały z pamięci chłopca wszelką pamięć o tym, kim był. Od tej pory - dla zachowania bezpieczeństwa królewskiego rodu - wszyscy jego kolejni potomkowie żyli w całkowitej nieświadomości, kim są. Chłopiec zresztą osądził wkrótce, że jest prawdziwym synem tych dobrych ludzi. Dorósł wśród nich do wieku męskiego, ożenił się i miał własne potomstwo. Nikt nie wiedział o tym, że oczy Czarownic nieustannie śledzą los każdego z królewskich prawnuków.

Za pomocą czarów, magii i wielu zabiegów, Czarownice starały się chronić królewskich praprawnuków przed groźbą śmierci z rąk Najeźdźców. Starały się jak mogły, ale okrucieństwo żołdaków Urgha było tak wielkie, że nigdy nie udało się w kolejnych pokoleniach potomków Luilów ocalić więcej niż jedno istnienie. Na ogół był to zawsze chłopiec.

Przez siedemset siedemdziesiąt lat Czarownice niezmiennie czuwały, ale Los nie był łaskawy i w każdym pokoleniu ginęło wielu potomków Luila XXIV. Ale ten jeden ocalony wciąż przedłużał królewski ród. Ocalając jednak królewskie dzieci, Czarownice stały się narażone, bowiem zawsze musiały przebywać blisko ludzkich siedzib. Więc też ginęły, jedna za drugą, i wkrótce z trzynastu wszechpotężnych Sióstr pozostało pięć, zmęczonych wieczną ucieczką i igraniem ze śmiercią, utrudzonych stale drążącym je niepokojem, czy uda im się ocalić choćby to jedno istnienie, przedłużające królewski ród.

Mijał czas i przemijały kolejne pokolenia królewskich potomków. Jak wszyscy w Wielkim Królestwie, tak i oni poznawali Pieśń Jedyną, ledwie dorośli do tego, by pojąć jej słowa - ale żaden nigdy nie kojarzył jej ze sobą czy swymi dziećmi. Nic nie świadczyło o tym, by którykolwiek z nich nosił piętno królewskiego rodu. To Czarownice zadbały, aby żaden z nich niczym się nie wyróżniał, gdyż tylko to mogło ocalić ich życie. Żyli zatem w nędzy, niewoli i strachu, jak wszyscy obecni mieszkańcy dawnego Wielkiego Królestwa. Nieliczni pracowali na roli, inni tracili życie w straszliwych kopalniach złota lub pędzili żywot zaharowanych i lękliwych mieszkańców miast i miasteczek.

Aż wreszcie pojawiło się przedostatnie pokolenie królewskiego rodu - to, które miało wydać z siebie Istotę z Pieśni Jedyną. Jak zwykle większość z nich oddała życie za sprawą Najeźdźców. Tylko jeden jedyny potomek królewski zdołał założyć rodzinę i splodzić troje dzieci. Śmierć nadeszła za sprawą donosu sąsiada, który złakomił się na ich dom i oskarżył o śpiewanie Pieśni. Najeźdźcy wtargnęli o świcie, gwałtownie i brutalnie. Dzieci - dwóch paroletnich chłopców i malutka, raptem roczna dziewczynka spały. Czuwające Czarownice były bezradne. Patrzyły z ukrycia, jak Najeźdźcy podpalali dom, widziały żołdaka, który ścinał głowę ojcu rodziny, i drugiego, przeszywającego strzałą z łuku pierś matki. Straszliwym, bezdźwięcznym Głosem Czarownice wzywały dzieci, by się obudziły, lecz chłopcy spali bardzo mocno, a wezwanie - ku zdumieniu Czarownic - usłyszało tylko roczne niemowlę. Dziewczynka ta stoczyła się ze swego posłania, przeczołgała przez pałac dom ku oknu i wylazła na nie, spadła do sadu i tam, jakby nie wiedząc sama co czyni, wiedzona jedynie Głosem Czarownic, prześliznęła się nie zauważona między końskimi kopytami, popęzła dalej i doszła w ten sposób do skrytych w głębi sadu Czarownic. Tam czyjeś ręce otuliły ją burym płaszczem i uniosły ze sobą. Od tego dnia aż do dziś była pod ich opieką. Opiekunki kolejno zmieniały się - według liczb, które określiła Magiczna Kostka - aby wychować ją na przyszłą władczynię.

- Byłyśmy szczęśliwe, że żyjesz, że udało się nam ciebie ocalić, a zarazem przerażone - wyznała Czarownica Pierwsza. - Nie spodziewaliśmy się, że Istotą z Pieśni będzie dziewczynka. Pieśń wprawdzie nie określiła wyraźnie jej płci, ale mimo to wydawało się nam, że winien to być chłopiec, przyszły Luil XXV.

- Jednak Los wskazał palcem na Ciebie. Jesteś obdarzona Głosem i umiesz Głosu słuchać. To on ocalił ci życie w dniu śmierci twoich rodziców. Twoich braci śmierć zaskoczyła we śnie - dodała Czarownica Czwarta.

- Byłyście rozzarowane, że jestem dziewczynką, i to rozzarowanie tkwi w was do dziś - powiedziała twardo, niemal brutalnie Luella.

- Nieprawda - zaprzeczyła Czarownica Trzecia. - Wkrótce potem Matka Natura wydała na świat nowe zwrotki Pieśni, które wyraźnie wskazywały, że Istotą winna być właśnie dziewczyna. Zaczęło się od księżniczki Luelli i na niej skończy się era niewoli.

- Moi oboje rodzice i rodzeństwo nie żyją...

- Nie żyją. Nigdy ich nie znałaś. Byłaś zbyt mała, by cokolwiek zapamiętać...

“I nie pamiętam” - pomyślała Luella. - “Anie pamiętając, nie żałuję ich...”

* * *

Dzień następny wstał w czerwonym blasku wschodzącego słońca. Ale ta czerwień nie była purpurowa, lecz jakby krwawa. Wszystkie drogi, wsie i miasta całego dawnego Wielkiego Królestwa z wyjątkiem Wysokich Gór, Wielkich Lasów i Pustyni pokrywała czern - czern rycerzy i żołdaków Urgha. Rozkazem królewskim nakazano im cały ten dzień stać z bronią w pogotowiu - i czekać. Nikt nie spytał, na co czekać - i nikt też tego nie wiedział. Ale jedyne, co Urgh mógł przeciwstawić Pieśni - to była siła.

Z brzaskiem dnia wstali poddani Najeźdźców, a oczy ich, zamiast jak zwykle wypatrywać swych wrogów i ciemżycieli - spoglądały w dal, pełne wyczekiwania i nadziei. Krwawy kolor słońca nie zdziwił ich. Wydawał się jednym ze Znaków. Stali więc u okien swych domostw, lub przed domami, nieruchomi, gotowi na wszystko i Najeźdźcy wydawali im się całkiem nieważni i niegroźni. Stali też przy oknach swych domostw zdrajcy i krew w barwach wschodzącego słońca wydawała się im ich własną krwią, która spłynie jako kara za zdradę.

O brzasku też zbudził się Urgh XIII i stanął w oknie swej komnaty. Miał tak stać cały dzień - czekając na Niepojęty Czar. Niepojęty i nieokreślony, więc tym straszliwszy.

Nie wstał o brzasku, gdyż wcale się nie kładł, Pustelnik z Pustyni, ponieważ zbyt wielu było chorych i co chwila któryś z nich wołał o wodę, o pomoc, o dobre słowo, o ukojenie bólu. On też jeden nie wiedział, że cały kraj - wolni i niewolni - trwa w oczekiwaniu na Czar. Jego dnie i noce były niekończącym się trudem ratowania ludzkich istnień lub przeprowadzania ich łagodnie do Wiecznej Krainy.

O brzasku dnia Czarownice z Ajokiem i Luelle wstąpiły po stopniach Świątyni, przeszły przez jej ruiny i stanęły twarzą do gładkiej skalnej ściany. Wyciągnęły przed siebie dłonie i skupiły całą swoją Moc. Po dłuższej chwili skała drgnęła, zarysowały się w niej szpary o kształcie prostokąta. Dłonie Czarownic promieniowały Mocą i kamienne wrota zaczęły drgać, a po chwili rozwarły się. Za nimi rozpościerała się czarna czeluść. Patrzący na to wstrzymali oddech. Wrota jednak nadal przesuwwały się, jakby na niewidocznych zawiasach, i Luelle ujrzała, że w czeluści coś połyskuje. Gdzieś, w jej głębi jarzyła się zielonkawa poświata. Czarownice z Luelle, blade choć opanowane, postąpiły w głąb, tuż za nimi szedł drżący i przejęty chłopiec.

Zielone lśnienie biło od ogromnego, omszałego głazu o dziwnym kształcie, który znajdował się pośrodku mrocznej pieczary. W pieczarze panował taki chłód, że serce Luelle także się zmroziło. Czarownice wymieniły między sobą niespokojne spojrzenia, zaś Ajok poczuł, że od Kamienia płynie jakaś mroczna, zła siła. Spod niego wydobywał się lodowaty podmuch, który - mimo panującej na zewnątrz wiosny oszronił jaskinię szarym nalotem lodu. W zielonkawym lśnieniu Świętego Kamienia było coś groźnego - i Luelle aż wzdrygnęła się na myśl, że musi nań wstąpić. Jedna z Czarownic podała jej dłoń - suchą i zimną. Dziewczyna z jej pomocą wstąpiła na Kamień - i nagle poczuła, jak jej całą istotę spowija odpychający i straszliwy chłód, a ciało sztywnieje. Ujrzała swoje własne, pokrywane się szronem stopy.

Szron - śmiertelny, lodowaty uścisk Świętego Kamienia jął wstępować wyżej, ku jej kolanom; mroźnym tchnieniem obejmował teraz jej biodra i zaczął pięć się ku coraz wolniej bijącemu sercu. Serce w tych lodowatych okowach zaczęło coraz to spowolniać swój rytm i zamierać. Ostatnim wysiłkiem woli Luelle jęknęła - a razem z nią jęknęły Czarownice. Skalne wrota zaczęły się nagle, same z siebie zamykać i wówczas jedna z Czarownic krzyknęła bez tchu:

- Uciekajmy! Kamień ją zabija! Zabije i nas!

Luelle, półprzytomna, poczuła, jak chwytają ją silne ręce jej Opiekunek. W ostatniej niemal chwili, nim skalne wrota zamknęły się tak szczelnie, iż zniknęły nawet rysy znaczące ich ślad, Czarownice wraz z omdlałą Dziewczyną i Ajokiem przedarli się przez wąziutką szparę i wybiegli z powrotem na oślepiające światło dnia.

Luelle już nie widziała ani nie czuła, jak Czarownice położyły ją w trawie, poniżej schodów świątyni, jak rozcierają jej ręce, nogi, masują okolice serca. Nie widziała też małego, szarego ptaka, który przysiadł koło jej głowy, patrząc na nią smutnymi oczami bez wyrazu. Straciła przytomność.

Gdy ją odzyskała, był już wieczór. Nachylały się nad nią strwożone twarze jej Opiekunek i zalana łzami twarz Ajoka.

- Żyje... - usłyszała pełne ulgi westchnienie Czarownic.

- Bałam się, że Kamień ją zabił - ponuro stwierdził głos Czarownicy Drugiej.

- Ale dlaczego? Dlaczego?! - wołał głos przerażonego Ajoka. - Dlaczego Święty Kamień jej nie chce? Dlaczego nie wypełnił się Czar Pieśni Jedynej? A tam ludzie... tylu ludzi, cały naród czeka...

- Dlaczego? - powtórzyły jak echo Czarownice.

- Któż nam odpowie teraz na to pytanie?

- Tylko Siostra Piąta, gdyby umiała mówić - odparła Czarownica Czwarta, zaś Ajok zaśpiewał głośno i przez łyzy:

“Gdy Piąta spojrzy wzrokiem bezkresnym w istotę Czarę,

powiedzie Luella w święte ruiny godną i czystą,

Bo za jej sprawą ta z rodu królów odrzuci z siebie

to co jest skazą...”

Gdy skończył śpiew, powiedział ze smutkiem:

- Tej zwrotki wcześniej nie było. Zrodziła ją Matka Natura wówczas, gdy Luella znajdowała się w niewoli, na Zamku. Mnie podpowiedział jej słowa wiatr, a potem deszcz pluszczący o szyby i wreszcie ptaki w Wielkim Lesie, gdy się tam znalazłem po raz pierwszy...

- Milczysz, Siostrze Piąta - westchnęła boleśnie Czarownica Pierwsza.

Szary ptak, cały czas towarzyszący im, nagle zerwał się i zatrzepotał skrzydłami. Czarownice smutno śledziły jego lot. Zatokczył nad nimi koło i usiadł znowu przy głowie Luelli. Po chwili jednak ponownie się poderwał i fruwał, zatoczył krąg i powrócił. Niecierpliwie zatrzepotał skrzydłami i znowu zerwał się do lotu...

- Ona namawia nas, byśmy wstały i poszły za nią... szepnęła nagle Czarownica Trzecia. - Widzicie?

- Ale po co? - spytała posępnie Druga. - Pieśń Jedyna nie spełniła się, Święty Kamień odrzucił Luellę. Po co mamy iść i gdzie? Czy znamy jakiegoś innego potomka królewskiego rodu? Mamy tylko ją, Luellę. A w niej, kto wie, może i z naszej winy tkwi jakaś skaza, której nie potrafimy dociec, a tym bardziej usunąć...

- Siostrze Druga - powiedziała surowo Czwarta. - Nie wolno tracić nadziei. Tym bardziej, iż nie jest to tylko nasza nadzieja, ale setek tysięcy zniewolonych ludzi, jej współrodaków. Może ta skaza jest do usunięcia? Może istnieje jakiś sposób...

- Ten ptak nie ustaje w próbach namówienia nas, byśmy za nim ruszyli - powiedział Ajok, nie odrywając oczu od szarego, drobnego kształtu, trzepoczącego skrzydłami.

Luella nagle uniosła głowę i usiadła. Jej twarz nadal była nadzwyczaj blada, ale oczy zaczęły już nabierać wyrazu.

- Powiedzcie mi co się stało - zażądała słabym, ale zdecydowanym głosem.

- Stałaś na Świętym Kamieniu i gdybyś stała na Nim choć trochę dłużej, Kamień by cię zabił. Skalne wrota zaczęły się same z siebie zamykać i my wszyscy również zostalibyśmy na zawsze w tej lodowej pułapce - powiedziała jedna z Czarownic.

- Więc wszystko stracone? Zawiodłam, tak? - pytała niecierpliwie Dziewczyna. - Słyszałam jakby przez mgłę słowa Pieśni, którą śpiewał Ajok, i wiem, co się stało. Istnieje we mnie jakaś skaza, więc Kamień mnie odrzucił. Musi to być skaza poważna, skoro wręcz pragnął mnie zabić. Wasza Siostra Piąta, która zdolna byłaby dostrzec i usunąć tę skazę, jest ptakiem...

- ... a ten ptak, w którego się przemieniła, namawia nas teraz, byśmy za nim ruszyli - dokończył Ajok, patrząc na Luellę ze współczuciem. - Wasza Siostra - ptak jest wprawdzie niema, ale coś chce wam przekazać...

- Więc chodźmy za nią, na co czekacie? Jeśli jest cokolwiek do ratowania, musimy próbować. Nadzieja, którą zawiodłam, ciąży mi teraz jak bolesna, twarda skała. Nie udźwigam tego ciężaru przez resztę życia...

... i Luella, choć jeszcze słaba, wstała, ruszając w kierunku, który wskazywał ptak - w głąb Wysokich Gór. Za nią ruszyły Czarownice i chłopiec.

* * *

Krwawe słońce, które wstało o świcie, przykryły wkrótce czarne, groźne chmury. A potem przez cały kraj przeszedł podmuch tak lodowatego i silnego wichru, że oszronił - mimo wiosny - zbroje Najeźdźców i zmroził serca wszystkich mieszkańców dawnego Wielkiego Królestwa. Wraz z podmuchiem wichru przez kraj przeszła głęboka i groźna smuga ciemności. Wydało się, że noc, która dawno minęła, ustępując miejsca jasnemu dniu, zawróciła, aby znowu objąć ziemię w swe posiadanie. Gdy jednak wszyscy - poddani i ich panowie - Najeźdźcy znieruchomieli w zgrozie - powrócił dzień, w całej swej jasności. Z powrotem zaświeciło gorące, wiosenne słońce - lecz w sercach ludzi długo jeszcze pozostał chłodny lęk.

Dopiero po paru godzinach chłód zaczął znikać z ich ciał i serc. U jednych przemienił się w żywiołą, rubaszną radość - a u drugich w ponurą, beznadziejną żalność. Urghowi rycerze tymczasem hucznie jęli świętować mijający dzień Dzień Który Nie Spełnił Czararu.

- Ta przeklęta Pieśń zawsze kłamała! - rechotali, opróżniając kolejne kufle piwa i wina.

- Ktoś ją wymyślił, sądząc, że przestraszymy się i sami uciekniemy na stepy! - ryczeli inni.

- Nasze Imperium, Imperium rodu Urghów jest wszechpotężne i nie poddało się nawet czarom - oznajmił Urgh XIII i poklepał przyjaźnie swego najbliższego sługę Woodou.

- Mówilem, panie, żeby poczekać, a Los sam wszystko rozwiąże. Jesteś, o panie, potężniejszy niż wszystkie Pieśni i Czarownice razem wzięte - mówił przymilnie zdrajca, w głębi duszy trzęsąc się jeszcze ze strachu, który go nie opuścił.

W sercach poddanych zapanowała żaloba.

- Oszukała nas Matka Natura, tworząc tę Pieśń - mówili jedni z ponurym żalem.

- Oszukały nas Czarownice i rację mają ci, co palą je na stosach - dodawali inni, którzy ukradkiem lub jawnie służyli Najeźdźcy.

- Dając nam nadzieję, ta Pieśń trzymała nas przy życiu jedynie nieliczni próbowali bronić Czarar, który się nie spełnił.

- Co teraz da nam nadzieję, aby trwać? Czy warto nam dalej żyć w tej straszliwej niedoli? - pytała większość.

Słabsi targnęli się na swoje życie, tak wielkie było ich rozczarowanie i smutek, tak wielka wiara w Pieśń. W wielu domach zapanowała żaloba i przeklinano Pieśń za złudę nadziei.

Gdy nastał kolejny dzień i zarazem rozpoczął się nowy, 778 rok niewoli, na twarzach wszystkich poddanych Urgha było widać rozpacz. Był to bowiem pierwszy dzień niewoli, którego nie rozjaśniała żadna nadzieja, i nikt w całym dawnym Wielkim Królestwie nie nucił już słów Pieśni Jedynej...

- ... oby była przeklęta - mówili najmłodszy i najbardziej niecierpliwi, kornie zginając swe grzbiety pod batem Najeźdźcy.

- Pieśni już nie ma, pozostała nam tylko śmierć i oby szybko nadeszła - szeptali starsi, którzy nie mieli siły nawet na gniew.

ROZDZIAŁ XXVI

Wędrowcy szli przez Wysokie Góry w ślad za szybującym nisko szarym ptakiem. I choć ptak wybierał łatwiejsze przejścia, kierując ich ku przełęczom i łagodniejszym

zbozcom, Luella szybko osłabła, zaś Ajok ledwie włókł nogi. Dziewczyna jeszcze nie przysłała do siebie po strasznych przejściach, które spotkały ją w Świętym Miejscu. Ajok zaś, z natury słaby, nie nawykł do długiego wędrowania, szczególnie górskimi bezdrożami. Czarownice jednak przychodziły im z pomocą, podierały swymi silnymi ramionami lub poiły czarodziejskim napojem, którego kilka kropel przywracało siły.

Szli całą noc i cały dzień, i znowu kolejną noc. Dopiero wówczas ich zmęczone nogi wyczuły, że teren zaczyna się zmieniać i powoli opada w dół, łagodnym stokiem. Gdy wzeszło słońce, wędrowcy ujrzeli, że ich droga wiedzie w stronę bielejącej na horyzoncie wyblakłej, żółtej plamy.

- Pustynia! - zdziwiła się jedna z Czarownic. - Nasza zaklęta w ptaka Siostra kieruje nas na Pustynię...

- ... do Pustelnika? Ależ tak, spójrz na nią - szepnęła Druga.

Szary ptak przycupnął na niewielkim głazie i nie robił wrażenia, że chce frunąć dalej razem z nimi. Pokręcił łebkiem raz i drugi, poskubał dziobkiem swoje piórka i zawrócił szybkim lotem w stronę Wysokich Gór.

- Pożegnała się z nami - szepnęła Trzecia Czarownica. Pokazała nam dalszy kierunek drogi i zawróciła do siebie, w ruiny Wielkiej Świątyni.

Luella i Ajok wykorzystali przerwę w marszu na krótki odpoczynek. Zmęczenie nie zabiło w nich ciekawości.

- Pustelnik? Tak niewiele słyszałam od was o Pustelniku! - powiedziała Luella. - Powinnam chyba coś więcej o nim wiedzieć, skoro ptak kieruje nas właśnie do niego.

- Na Zamku ojca czasem o nim mówiono - powiedział niepewnie Ajok. - Nie pamiętam dokładnie co. Wydaje mi się, że rycerze ojca śmiali się z niego, a Woodou go lekceważył, jako nieszkodliwego starca...

- Pustelnik... - zadumały się Czarownice. - Ratujący życie lub wiodący ku śmierci, łagodnej i dobrej.

- Jego ręce mają czarodziejską moc - podjęła Pierwsza Czarownica - gdy kładzie je na chorych, wielu z nich natychmiast wraca do zdrowia. Ciężej chorych leczy dłużej, ale najczęściej skutecznie. A ponieważ Najeźdźcy zniszczyli Domy Zdrowia i zabili naszych wielkich lekarzy, do Pustelnika ciągną wszyscy chorzy z całego kraju.

- Prawdopodobnie pojawił się dopiero po Dniu Podboju, przed 777 laty. Wielu przychodzących do niego ludzi to tak śmiertelnie chorzy, że nawet czarodziejskie dłonie Pustelnika nic nie pomogą. Ale wolą umrzeć tu, na Pustyni, gdzie panuje - mimo bliskości śmierci - prawdziwa wolność. Bowiem Najeźdźcy nigdy tu się nie pojawiają w obawie przed zarażeniem jakąś straszliwą chorobą. Tu łatwiej jest

umierać, zwłaszcza gdy ręce umierającego trzyma w swych dłoniach Święty Pustelnik i pozwala łagodnie, bez lęku przejść człowiekowi do Wiecznej Krainy.

- Pustelnia jest krainą życia i śmierci - szepnęła wreszcie Czwarta z Czarownic. - Piasek Pustyni jest pełen bielejących kości, ale wielu przybyszów właśnie tu zostało ocalonych, choć choroba skazała ich z góry na śmierć.

- Ile lat ma Pustelnik? - spytał Ajok.

- Tego nie wie nikt i nikt o to nie pyta. Może był tu zawsze i będzie zawsze? Może jako przewodnik między życiem a śmiercią posiada dar nieśmiertelności?

- Skoro wasza Siostra tu nas przywiodła, widocznie właśnie Pustelnik wie, co mamy robić - powiedziała gwałtownie Luella. - Chodźmy zatem.

- Ale Dzień Czaru minął - westchnęła Czarownica Pierwsza. - Pieśń wyraźnie określała go na 777 rok niewoli, na wiosnę...

- Na Świętym Kamieniu stawali ongiś liczni synowie królów nie bacząc na rok, byle to była pora wiosny - powiedziała z namysłem Czarownica Druga. - Może wolno nam będzie spróbować jeszcze raz...

- Może za rok - westchnęła Czarownica Czwarta. - W każdym razie musimy próbować. Ale w całej, bezkresnej historii Świętego Kamienia jeszcze nigdy nie stała na nim dwukrotnie ta sama osoba. Boję się, że za drugim razem Kamień może ją naprawdę zabić - stwierdziła ponuro Pierwsza.

- Niech mnie zabije! - zawołała gwałtownie Luella. - Wolę żeby mnie zabił, niż gdybym miała przez resztę życia czuć się tak jak teraz. Zawiodłam wszystkich. Gdybyż tylko was, Czarownice i Ajoka... Zawiodłam jednak całe dawne Wielkie Królestwo i jego naród!

- To nie była twoja wina - powiedział gorąco Ajok.

- Ani chyba nasza - mruknęła gorzko jedna z Czarownic. - Gdyby ogień stosu nie pochłoniął naszej Siostry Piątej, po roku przebywania z nią Luella miałaby wszelkie cechy dobrej władczyni i Święty Kamień by ją przyjął.

- A wiecie, że na Zamku nie wiadomo nigdy dokładnie, w którym roku ma spełnić się Pieśń Jedyna? - zaczął nagle Ajok, a gdy wszystkie oczy skierowały się na niego, podjął dalej: - Jedni liczyli, że właśnie teraz, ale inni, że dopiero za rok. Ci pierwsi zaczęli liczyć od samego Dnia Podboju. Dzień ten wyznaczał Rok Pierwszy...

- ... i my tak liczymy - szepnęły Czarownice.

- ... ale już inni byli zdania, że Rok Pierwszy mija dopiero po dwunastu miesiącach. Więc jak gdyby ci pierwsi liczyli Rok Pierwszy od roku zerowego, a ci drudzy ... - Ajok urwał, widząc gwałtowną przemianę na twarzach Czarownic.

- Tak mogło być - powiedziała wolno Czwarta. - Kto wie, czy nie mieli racji ci drudzy, a wtedy ...

- ... a wtedy dopiero w przyszłą wiosnę winien dopełnić się Czar - dokończyły pozostałe. - Byłaby zatem nadzieja...?

- Ruszajmy w drogę - rzekła niecierpliwie Luella.

- O co będziemy pytać Pustelnika? - spytał Ajok.

- O cechy prawdziwych władców, to proste - odparła Trzecia. - Gdy je wymieni, od razu ujrzemy, której z nich brakuje Luelle.

I mały pochód ruszył w dół, łagodnym zboczem. Zieleń jeszcze tu się krzewiła, ale im bardziej zbliżali się ku Pustyni, tym stawała się coraz rzadsza, wyblakła, sucha, aby wreszcie - po paru godzinach dalszej drogi - ustąpić miejsca szeleszczącemu, białozółtemu piaskowi. Bezmiar piasku układał się w faliste wydmy, które wiatr coraz to przemieszczał z miejsca na miejsce. Droga przez Pustynię okazała się o wiele bardziej mozolna niż najgorsza nawet wspinaczka w Wysokich Górach. Nogi podróżnych zrobiły się ciężkie, co chwila grzęzły, w ustach czuli narastającą suchość, a pot spływał z nich niemal strugami.

Na szczęście po kilku godzinach na horyzoncie zamajaczyła zielona oaza, rozłożona na piasku u stóp niskich i gładkich żółtych skał. Mimo woli, choć nadzwyczaj utrudzeni, przyspieszyli kroku. Już mogli dostrzec, że w skałach, podziurawionych jak sito, jest pełno pieczar, w których, jak w plastrach miodu, kręcą się ludzie. Między drzewami prześwitywały wielkie płócienne namioty. A gdy podróżni zbliżyli się, ujrzeli, że w namiotach leżą chorzy, na plecionych, rozłożonych gęsto matach. Było ich co najmniej dwie setki. Jak się później okazało, w pieczarach mieszkali lżej chorzy i rodziny ciężko chorych, oczekujące na ich wyzdrowienie - lub śmierć.

Grupa wędrowców stanęła w pobliżu namiotów, rozglądając się wokół z najwyższą ciekawością.

- Gdzież jest święty Pustelnik? - spytała Luella z niecierpliwością. Choć patrzyła bacznie dokoła, nie widziała nikogo poza małym, chudym staruszkim o tysej czaszce i pokornym wyrazie twarzy. Staruszek miał na sobie jedynie długą białą przepaskę, obwiązaną wokół bioder, jego plecy były mocno zgarbione, a bardzo chude i bose nogi wyglądały wręcz śmiesznie. Łysina połyskiwała w słońcu i Dziewczyna niemal się roześmiała, tak zabawnie wyglądał ten człeczyzna.

“To pewnie jego sługa” - pomyślała z rozbawieniem “Przywołam go i spytamy o Pustelnika”.

- Człowieku! Chodź no tu! - zawołała rozkazującym tonem, widząc, że mały staruszek spogląda w ich stronę. Teraz przyczłapał niezdarnie i wpatrzył się w nich dziecięco błękitnymi oczami, aż rażącymi w ciemnej, spalonej od pustynnego słońca i pomarszczonej twarzy. Ajok poczuł, jak od spojrzenia jego oczu ogarnia go niezwykle ciepło koło serca i wiedziony jakimś instynktem - zapragnął wziąć dłoń starego człowieka, by ucałować ją z szacunkiem i miłością. Ale Luelle, dumnie wyprostowana, już mówiła donośnie i rozkazująco, nie bacząc na coraz większe zmieszanie Czarownic.

- Starcze, przywołaj swego pana, świętego Pustelnika i powiedz mu, że przybyła doń księżniczka ze swoją świtą...

- Czy jesteś chora, moje dziecko? - spytał łagodnie staruszek.

- O ile wiem, to nie - spieszyła się Luelle, zachowując godną minę.

. - Święty Mężu, to pomyłka... - zaczęła szybko jedna z Czarownic. - To prawda, że ta dziewczyna jest królewskiego rodu, ale ona nie ... - i tu staruszek jej przerwał.

- Widzę, że jesteście wszyscy zdrowi, a jeśli tak, to nie mam dla was czasu. Spójrzcie, ilu chorych na mnie czeka...

- Wybacz nam, święty Mężu - Ajok wreszcie wykonał swój instynktowny zamiar i pochwycił dłoń starca, całując ją. Dotykając tej pomarszczonej dłoni poczuł, jak przez jego zmęczone ciało przechodzi jakiś cudowny, ożywczy prąd. Przepraszam cię za zachowanie Luelle, ale ona naprawdę jest godna twojej pomocy. Przez przypadek wzięła cię za twego sługę...

- Tu nie ma panów ani sług, nie ma księżniczek ani rycerzy, królów ni władców. Są tylko chorzy i zdrowi, umierający lub powracający do życia - powiedział łagodnie starzec. - I nie ma znaczenia, czy ona jest księżniczką czy gęsiarką, więc nie mów mi tego. Jeśli potrzebuje mojej pomocy, otrzymają...

Luelle stała sploniona i pełna gniewu - na siebie za tę pomyłkę i na swych współtowarzyszy, za to że byli jej świadkami.

- Przyszliśmy z Wysokich Gór, z ruin Wielkiej Świątyni, gdzie nasza przemieniona w ptaka Siostra, Czarownica Piąta, wskazała nam, że tylko u ciebie możemy szukać pomocy w naszej ciężkiej potrzebie - powiedziała Czarownica Druga, a Luelle ze zdumieniem dostrzegła na jej twarzy i twarzach jej Sióstr lekliwą nieśmiałość.

“Wszepochętne Czarownice obawiają się tego starca?” pomyślała ze zdziwieniem.

- Jakiej pomocy mam udzielić? - spytał Pustelnik. - Więc jednak któreś z was cierpi?

- O święty Mężu, jedno z nas, właśnie ta Dziewczyna, ma być władczynią tego kraju. Wieszczka Pieśń Jedyna głosiła, że gdy stanie się godna tego miana i wstąpi na Święty Kamień, znikną z tej krainy - bez użycia broni - wszyscy jej wrogowie i ciemiężyciele, wszyscy Najeźdźcy i odrodzi się dawne Wielkie Królestwo. Ta Dziewczyna, nasza wychowanka wydawała się nam godna tytułu władczyni, ale gdy wstąpiła na Kamień, tenomalże ją zabił swym lodowatym tchnieniem. I odrzucił. A zatem Pieśń się nie spełniła - mówiła pośpiesznie Czarownica Trzecia, w obawie, że starzec odejdzie.

- Teraz tylko w tobie ratunek - podjęła nieśmiało Czarownica Druga. - Powiedz nam, czy Pieśń Jedyna może spełnić się o rok później? Czy ta dziewczyna mogłaby jeszcze raz stanąć na Świętym Kamieniu?

- Święte Miejsce nie przestaje nigdy być świętym i czas ani ilość nie mają tu znaczenia - odparł Pustelnik.

- Tak też sądziłyśmy - rzekła z ulgą Czwarta. - Ale ona, Luella, nie posiada wszystkich cech godnych miana władczyni, inaczej Kamień by jej nie zagroził. Spójrz na nią i powiedz, co jej brakuje?

Pustelnik westchnął głęboko:

- Źle trafiliście, moi przyjaciele. Obca mi jest myśl o wszelkiej władzy, rozmyślam tylko nad cierpieniem ludzi.

Nie wiem, jakie cechy winien mieć władca czy władczyni. Nie pomogę wam w niczym. A teraz muszę was zostawić, gdyż czekają moi chorzy. Dla was to tylko sprawa władzy, a dla nich sprawa życia lub śmierci. O ileż to ważniejsze, pomyślcie sami...

I oddalił się swym niezdarnym, człapiącym krokiem w stronę namiotów. Czarownice spojrzały po sobie w panice:

- Nie chce nam pomóc...

- Może nawet nie umie...?

- Nie pojmuje w ogóle naszych kłopotów!

- Nawet nie wie o Pieśni Jedynej...

- Gdzie skierowała nas Siostra Piąta i dlaczego?! - zawołała na samym końcu Czarownica Czwarta.

Luelle stała w milczeniu, nadal urażona i gniewna. Już sama nie wiedziała, na kogo się gniewa: na siebie, na swych towarzyszy czy na Pustelnika. Ajok, cały czując, jak po dotknięciu dłoni świętego starca płynie w nim świeża, ożywcza i jakby cudownie oczyszczona krew, powiedział z nie znaną sobie stanowczością:

- Dlaczego wy, Czarownice, tak mądre i pełne Mocy, nie chcecie zaufać waszej Siostrze Piątej. Nie pojmuję tego! Skoro kazała nam tu przybyć, zatem tu zostaniemy. Jeśli święty Pustelnik teraz nie ma dla nas czasu, może znajdzie go później? Przecież same mówicie, że mamy przed sobą cały rok! Ja czuję, że to miejsce jest właśnie tym, do którego powinniśmy przybyć w naszym strapieniu. Jeśli Luelle ma w sobie jakąś skazę, jest ona jak choroba, a zatem tylko Pustelnik zdolny jest ją uleczyć!

- Ale Pustelnik nie wie, jakie cechy winna posiadać władczyni - pokręciła głową Czarownica Druga. - Więc jak może leczyć Luelle? Jak pozna, co u władczyni jest skazą, a co nie?

- Przypuszczam, że jednak Ajok ma rację - rzekła z namysłem Czwarta. - A teraz, zamiast tracić czas na gadanie, chodźmy mu pomóc. Może w ten sposób zaskarbimy sobie jego względy...

I Czarownice ruszyły w stronę bielejących namiotów. Luelle i Ajok poszli w ślad za nimi. Święty Mąż zajmował się swymi chorymi. Prawie dwie setki leżało ich tu na matach i w głębi pieczar, a cierpienie zmieniało im rysy. Niektórzy cierpieli na choroby wewnętrzne i tylko bolesny grymas twarzy wskazywał na to, gdyż ciała ich z pozoru wydawały się zdrowe. Inni obsypani byli ropiejącymi wrzodami i lżej chorzy wachlowali ich dużymi palmowymi liśćmi, chcąc choćby w ten sposób ulżyć ich doli. Święty Mąż, przyklękając, dotykał długo i w skupieniu jednych, aby potem przejść do innych i poić ich wywarem z ziół lub przemywać ich rany.

- Pomożemy ci - szepnęła mu jedna z Czarownic. - Znamy trochę magiczną medycynę, potrafimy ulżyć w bólu i wyleczyć wiele z tych chorób.

- Na co czekacie? - spytał Pustelnik, nie odrywając oczu od jęczącego człowieka i równocześnie masując mu wielki, wzdęty brzuch. - Tam na stole są napary z ziół, do picia i do przemywania, a tu są chorzy i potrzebujący. Sprawa jest prosta. Zajmijcie się najpierw owrzodzonymi, oni najbardziej cierpią w tym gorącym dniu...

- Luelle i Ajoku, wy też - szepnęła Czwarta. - Będziecie przemywać rany i wrzody, a przyniesiecie wielką ulgę tym biedakom. My zajmiemy się wyższą magią życia, gdyż jest nam znana...

I Czarownice rozeszły się po szerokiej, wytyczonej rozległym namiotem sali, aby potem przejść do następnego namiotu, i jeszcze dalej, a później do pieczar. Nie miały teraz czasu, by zajmować się swój ą wychowanką czy chłopcem. Ba, po chwili

całkiem o nich zapomnieli, widząc wokół siebie tyle cierpienia. Setki ludzi bezsilnie leżących na matach wyczekiwało ich pomocy, a pełen nadziei wzrok ciążył Czarownicom niby kamień u szyi. Więc przemywały cierpliwie rany i wrzody, dotykały obdarzonymi Mocą dłońmi bolesnych i chorych miejsc lub łagodnymi słowami pocieszały umierających, mówiąc im o pięknej, dobrej Krainie Wieczności, w której każdy czuje się szczęśliwy i wolny.

Ajok poszedł swoją drogą, pragnąc być jak najbliżej świętego Męża. Jego obecność działała nań jak magnes. Chłopiec czuł świętość bijącą z jego drobnej, niepozornej i wychudzonej postaci, i na własne oczy widział ulgę, jaką odczuwali chorzy po dotyku jego suchych, pomarszczonych rąk. Postępował wolno tuż za nim, pojąc chorych wywarem z ziół lub przemywając wrzodziejące ciała, a widząc w ich oczach rozpaczliwą nadzieję, szeptał im do ucha układane przez siebie wiersze, obiecujące spełnienie jej. Co jakiś czas niebieskie, dziecięce oczy Pustelnika spoglądały na niego z łagodnym, dobrym uśmiechem i wówczas Ajok odczuwał ogromną wewnętrzną radość, która przepelniała go całego. Nagle, po raz pierwszy w życiu, chłopiec poczuł się komuś potrzebny i gotów był zostać z Pustelnikiem całe życie, byle zachować to tak nowe i cudowne uczucie.

Tymczasem Luella przystanęła pośrodku namiotu, patrząc w ślad za oddalającymi się Czarownicami. Potem, widząc czynności Ajoka, ruszyła także do stołu po ziołowe wywary. Ale jej twarz była leciutko skrzywiona, a nozdrza drgały.

- Wszystko tu śmierdzi - pomyślała ze wstrętem. - Śmierdzi ludzkim potem, ropą, krwią, chorobą i śmiercią...

Zbliżyła się ku pierwszemu z chorych, ale nachylając się nad nim poczuła, że obrzydliwy zapach intensywnieje. Jej dłoń, z myjką nasączoną wywarem zadrżała, nim jeszcze dotknęła ropiejących wrzodów, a usta wykrzywił wstręt, którego już nie umiała ukryć. Tymczasem - o czym nie wiedziała - z oddali spoglądały na nią uważnie jasnobłękitne, dziecięce oczy. Luella tego nie dostrzegła, cała skupiona na tym, by przemóc w sobie jakąś niechęć, ba, nienawiść do czynności, na którą skazały ją niebacznie Czarownice. Dlaczego właściwie ona, królewska córka, ma zajmować się tymi chorymi? - myślała z gniewem. - Nie chce tego robić, nie umie i nikt nie ma prawa jej do tego zmuszać. Niebieskie, dziecięce oczy w bardzo śniadej i pomarszczonej twarzy śledziły teraz uważnie każdy jej ruch, choć równocześnie dłonie nie ustawały w niesieniu chorym ulgi i ratunku. Z naciśniętej zbyt mocno rany wypłynęła przemieszana z krwią ropa - i Luella z okrzykiem wstrętu, rzuciła myjkę i gwałtownie wybiegła z namiotu. Tam usiadła w cieniu wysokiego drzewa i oddychała z gniewną ulgą.

Czarownice ani spostrzegły, jak minął dzień i zapadła noc. Mimo to dalej krążyły wśród chorych i cieszyła je każda oznaka, że udało się im komuś pomóc; że choroba poddała się całkiem lub choćby o mały krok, czyniąc miejsce nadziei. A balansując usilnie na cienkiej linii między śmiercią a życiem chorego - Czarownice niemal

zapomniały, po co przybyły na Pustynię. Ajok, również niepomny na wszechogarniające go zmęczenie, kroczył tuż, tuż za świętym Mężem, pomagając mu jak tylko umiał, a choć umiał niewiele, rychło dostrzegł, że nawet te drobne czynności, na które go stać, przynoszą ulgę leżącym na matach chorym i czuł jak rozlewa mu się koło serca ciepła i serdeczna radość, jakiej do tej pory nie znał.

Wreszcie, gdy noc zapanowała na dobre nad Pustynią, opuścili namioty i Pustelnik poprowadził ich ku pieczarom. Tam, w jednej z nich, suchej i przewiewnej, znajdowało się jego skromne mieszkanie: twarde łoże, przykryte matą, prosty drewniany stół i tylko jedno krzesło. Przysiedli zatem na podłodze, strudzeni, lecz dziwnie pogodni.

- Teraz pojmuję, dlaczego nie masz czasu. T o się nigdy nie kończy - powiedziała jasnym głosem jedna z Czarownic.

- Nigdy - przytaknął Pustelnik z łagodnym uśmiechem. Jeśli uleczysz jednego cierpiącego, zaraz przybywa drugi. Cierpieniu nie ma końca.

- Ale cały czas czujesz się potrzebny. A to... a to jest wspaniałe - powiedział chłopiec drżącym głosem.

- 1 właśnie radość, którą daje pomaganie cierpiącym, jest Mocą, która ich leczy - rzekł Pustelnik z powagą. - Nie ma w tym czarów ani magii. Moje dłonie nie są czarodziejskie, jak wasze...

- Twoje dłonie są dobre i oni, chorzy, to czują - szepnęła Czarownica Czwarta. - A dobro jest Czarem.

Siedzieli chwilę w milczeniu, które jednak nie dzieliło ich, lecz łączyło, i czuli coraz wyraźniej świętą aurę wokół tego drobnego, niepozornego starca i niekończącej się misji, jaką na siebie wziął. Może dlatego, iż jego misja na ziemi nie miała końca - nie chciał się kończyć jego żywot...?

- A gdzież Luella?! - zawołała nagle Trzecia z Sióstr. - Od rana jej nie widzę!

- O Bogowie! Zapomnieliśmy o niej! - zdziwiła się Druga. - A przecież całe nasze dotychczasowe życie przyporządkowałyśmy jej osobie. Doprawdy, dziwne to miejsce, w którym aż tak można się zapomnieć!

Gdy jednak Ajok zerwał się z miejsca, by poszukać dziewczyny, Pustelnik położył mu dłoń na ramieniu i powstrzymał:

- Nie szukaj jej teraz. Wydaje mi się, że jednak mogę wam pomóc, choć nie znam się na cechach władców...

Roziskrzone nagłą nadzieją oczy Czarownic przywarły do jego twarzy. Ajok powstrzymał oddech:

- ... władcy rządzą ludźmi, prawda? - mówił tymczasem Pustelnik, a widoczny przez otwór pieczary księżyc rzucał cienie na jego twarz. - Więc i sami są ludźmi. Władca nie jest zatem władcą dla władzy, ale dla ludzi. Wszystko co robi powinno się obracać na ich dobro, służyć ich dobru...

Odpowiedziało mu pełne aprobaty milczenie, które równocześnie jakby poganiało Pustelnika, by mówił dalej:

- Skazę nosi w sobie ten spośród ludzi, który nie potrafi współczuć niedoli innych i nie chce ulżyć ich cierpieniom. I nie ma znaczenia, czy będzie on zwykłym człowiekiem, czy królem. Zawsze pozostanie to skazą. Lecz jeśli będzie władcą, to mając tę właśnie skazę, nie tylko nie pomoże swym poddanym, nie pojmie, że cierpią i nie ulży ich cierpieniu, ale może ranić ich jeszcze głębiej i boleśniej niż zwykły człowiek. Tak, wasza księżniczka jest chora, lecz ja nie potrafię jej uleczyć. Jednak jeśli tkwi w jej sercu choćby malutkie, najmniejsze ziarenko współczucia dla cierpiących, istnieje niewielka szansa, że ziarenko to w sprzyjających warunkach zakiełkuje. Jednak jeśli tego ziarenka nie ma w jej sercu, to choroba jest nieuleczalna. I biada poddanym, którzy otrzymaliby taką władczynię, choćby była piękna, mądra i wszechstronnie uzdolniona. Święty Kamień to wiedział.

W milczeniu, które zapadło po jego słowach - a tym razem było to milczenie nabrzmiałe lękiem - wkradł się nagle cichy szloch. Ajok zerwał się ze swego miejsca. U wejścia pieczary, skryta w cieniu, stała Luella, hamując cichy płacz. Błękitne, dziecięce oczy Pustelnika spoczęły na jej smukłej postaci:

- Cierpi po moich słowach. Jeśli to naprawdę cierpienie, a nie gniew lub zraniona próżność, możecie mieć cień nadziei...

- Czy pomożesz nam wyhodować z tego ziarenka piękny kwiat? - spytała błagalnie Czarownica Czwarta. - Obawiam się, że my same nie potrafimy usunąć tej skazy. Co więcej, myślę, że jesteśmy jej współwinne. Ona zapewne urodziła się z malutkim ziarenkiem Miłości w sercu, ale my, Czarownice, nie zrobiłyśmy nic, by pomóc mu się rozwinąć.

- Pomóż nam, święty starcze, bez twojej pomocy nie spełni się Pieśń Jedyna, której Czar wyzwoli tę krainę - prosił Ajok.

- Cała ta kraina jest chora i cierpi. Tylko ona, Luella, może odjąć to cierpienie, więc pomóż nam - dodała jako ostatnia Czarownica Pierwsza.

- Ja wam nie pomogę. Nie jestem w stanie. Na tę chorobę moja Moc jest nieprzydatna. Ani wasza także. Ona sama musi sobie pomóc.

- W jaki sposób? - niemal bez tchu spytały Czarownice.

- Niech zostanie tu, wśród cierpiących i walcząc sama z sobą, ze swoim wstrętem do nich i obrzydzeniem do ich ran, niechże hoduje to malutkie, bezbronne ziarenko. O ile ono istnieje. Jeśli jest, to za każdym razem, gdy się jej uda ulżyć cierpieniu współrodaków, ziarenko będzie rosło. A gdy nadejdzie taki dzień, że odczuje z tego powodu wielką radość w swoim sercu, z ziarenka wyrośnie kwiat, który wyda upragniony przez was owoc. Ale musi to się stać samo z siebie, bez waszej pomocy, z udziałem tylko jej, a nie waszej woli. W przeciwnym razie ten kwiat będzie sztuczny i zniszczy go nawet słaba, wiosenna burza...

Choć znowu zapanowało milczenie, oczy zebranych nie odrywały się od twarzy Pustelnika, jakby chcąc w jego oczach odczytać przyszłość. Zaś jego dziecięce spojrzenie błędziło spokojnie po wszystkich, nie pomijając Luelle, Ajoka, ani żadnej z Czarownic. Ale zebrani czerpali z niego siłę i nowe nadzieje. I tylko Luelle pod wpływem tego jasnego, dobrego wzroku spuściła głowę, gdyż wolałaby w nim dostrzec pogardę, a nawet gniew, byle nie ten pełen wyrozumienia smutek nad słabością ludzkiej natury. Nie, Pustelnik się na nią nie gniewał. Ani jej nie potępiał. Rozumiał ją - i współczuł. Dla dumy księżniczki z rodu Luilów było to karą znacznie cięższą, niż gdyby odwrócił się od niej z gniewem czy nawet pogardą.

ROZDZIAŁ XXVII

Kiedyś Luelle - jako Panienska - sądziła, że najcięższym rokiem w jej niedługim życiu był ten, spędzony w Miasteczku, wraz z Czarownicą Trzecią. Rok katorżniczej pracy przy budowie mostu na rzece, w brutalnej bliskości Najeźdźców, w zasięgu ich bata, rok przebywania wśród zniewolonych, przerażonych ludzi, w których - na pozór - zdawało się, że zabita została wszelka godność i odwaga.

I Luelle - Panienska z najwyższym trudem mogła pojąć, że ci sami, przerażeni i upodleni ludzie zdobywali się później na powtarzanie słów Pieśni Jedynej, choć groziło to śmiercią, lub narażali się na agresywność strażników, pomagając słabszym od siebie. A równocześnie nadal byli pełni lęku i pokory, poddaństwa i posłuszeństwa wobec Najeźdźców. Wiele czasu musiało minąć, nim Panienska pojęła, że tacy właśnie są ludzie: słabi - i silni, wielcy - i mali, dobrzy - i źli, szlachetni - i małostkowi. A wszystkie te tak sprzeczne ze sobą cechy kłębią się w jednym człowieku. Wówczas to, sama o tym nie wiedząc, wyrosła z dziecięcego świata czerni i bieli, wykluczających się wzajem pojęć dobra i zła, zrozumiała, że barwą najczęściej występującą jest ta, która wynika z przemieszania tych dwu kolorów.

Borykając się z życiem w Miasteczku, myślała, że nie spotka jej już nic równie ciężkiego. A teraz była tu, i na jej sercu spoczywał ogromny ciężar. Posłuchała Pustelnika, nie sposób go było nie posłuchać, skoro - kto wie - może to była ostatnia szansa spełnienia się Pieśni Jedynej. Musiała usunąć tkwiącą w niej skazę. Za wszelką cenę. Co więcej, jak gdyby cały czas na wpół świadomie zdawała sobie

sprawę z jej istnienia, lecz nie przykładła do tego wagi. Ta cecha którą wymieniał Pustelnik, nigdy nie wydawała się jej najważniejsza, a zesła całkiem na drugi plan, gdy Luella dowiedziała się, iż przygotowywana jest do roli władczyni. Wydawało się jej, że to nie ona ma żywić uczucia dla przyszłych poddanych - ale oni do niej.

Teraz okazało się, że katorżnicze życie w Miasteczku było niczym w porównaniu z życiem u Pustelnika. Budziła się skoro świt i szła do wypełnionych chorymi namiotów. Pokonując wstręt i obrzydzenie przemywała ich ropiejące wrzody i rany, odleżyny - a jej walka z samą sobą była tak wszechpochłaniająca, że nawet nie była zdolna dostrzec wyrazu ulgi czy wdzięczności w oczach pacjentów. Robiła co musiała, nie myśląc, nie widząc, starając się nic nie czuć i hamować odrzę. A cały czas czuła na sobie błękitno - dziecięce, uważne wejrzenie. Nawet gdy Pustelnik przebywał w innym miejscu. Gdy w tym samym namiocie spotykała Ajoka, ze zdumieniem dostrzegała, że choć oboje robią to samo przy chorych - pacjenci chłopca uśmiechają się do niego, a ci, przy których ona się krząta - starają się jakby unikać jej wzroku.

Równocześnie, zdawało się jej - z uczuciem żalu - że Czarownice, a nawet Ajok, pozostawili ją samej sobie. Widywała ich tylko wówczas, gdy późną nocą udawały się spać do jednej z pieczar lub gdy zjadali pośpieszny, byle jaki posiłek w środku dnia.

Ku swemu zdumieniu dostrzegła, że Ajok się zmienił.

Wątki, chwiejnego usposobienia, łatwo wpadający zarówno w melancholię jak i w niczym nie uzasadnioną wesołość - Ajok stał się nagle silnym, zdrowym chłopcem o pogodnym usposobieniu, na którego twarzy bardzo często ukazywał się szczęśliwy uśmiech. Luella nie mogła tego pojąć, ale wносиła, że właśnie zajmowanie się chorymi przyniosło mu tę pogodę ducha; mimo to, że chorzy byli nad wyraz uciążliwi, śmierzdzielni potem, krwią, ropiejącymi ranami, jęczeli, byli zniecierpliwieni lub nieufni, wymagający, a nawet złośliwi. Ich nastrój polepszał się dopiero wówczas, gdy choroba cofała się - lub gdy stawali wobec Nieuniknionego i ciche słowa lub sama obecność Pustelnika godziły ich z losem. Ba, niektórzy robili wrażenie szczęśliwych, że kończy się ich życiowa, niełatwa i pełna cierpienia droga, że lada chwila wejdą do Krainy Wieczności. Tego Luella także nie mogła pojąć.

Minęło parę miesięcy, w czasie których nic nie ulegało zmianie. Ta sama uciążliwa praca przy chorych, to samo obrzydliwe uczucie niechęci do nich u Luelli, ten sam brak stałego kontaktu z Czarownicami i Ajokiem, do którego przywykła.

Pewnego dnia, obmywając rany chorego, Luella dostrzegła wlepione w siebie jego oczy. Był to młody jeszcze mężczyzna, który jęczał i krzyczał głośniejsz niż inni, co chwila wołał, by podano mu pić, a opiekującą się nim osobę lubił prześladować złymi, niecierpliwymi słowami. Jego rany zaleczały się powoli, ale skutecznie. Luella już od tygodnia, gdy przybył na Pustynię i obejrzał go Pustelnik, przychodziła do niego dwa, trzy razy dziennie, niekiedy także w nocy, by oczyszczać jego chore ciało wywarami

z ziół. A cierpiał w nieopisany sposób. Im bardziej cierpiał, tym bardziej Luelle, niemal bezwiednie, nienawidziła go za to, iż przyczynia jej tyle kłopotów, a rany jego są obrzydliwsze od innych.

... więc poczuła nagle jego wejrzenie i po raz pierwszy uświadomiła sobie, że ma do czynienia z żywym człowiekiem, a nie kłębkim bólu, złożonym z ran, wrzodów i krzyku; ba, że cały czas temu człowiekowi pomagała w zmniejszeniu jego cierpienia. Choć czyniła to z niechęcią, to jednak jej nużące czynności przyniosły mu ulgę i właśnie dziś ona, Luelle, skierowała tego człowieka z drogi ku śmierci na drogę do życia. W jego oczach, wlepionych w nią usilnie, ujrziała serdeczność i wdzięczność. Ba, uczucie prawdziwej sympatii i przyjaźni.

- Chyba wkrótce będę całkiem zdrow. Dziękuję ci i przepraszam, że zabrałem ci tak wiele czasu i byłem taki nieznośny. Ale cierpiałem...

Luelle spłoszyła się. Po raz pierwszy wyszła ze swej skorupy, którą świadomie się otoczyła, żeby nie czuć, nie widzieć, nie słyszeć i w ten sposób przewalczyć w sobie ten wstręt, który czuła do chorych. Teraz nagle, za sprawą tego człowieka, wyszła z tej swojej skorupy i zdziwiła się: więc te, tak jej nienawistne, automatyczne czynności przywracały temu człowiekowi życie? Z ludzkiego wraka - jakim go tu przynieśli przyjaciele - stawał się ponownie młodym mężczyzną? Kto wie, może czeka go jeszcze miłość, będzie mieć żonę i dzieci, dozna jeszcze radości istnienia? I to wszystko za jej, Luelle, sprawą...?

Od tego dnia zaczęła interesować się chorymi, którym pomagała. Ku swemu zdumieniu spostrzegła, że zajmując się nimi z własnej już woli, dostrzegając w nich konkretnych, tych a nie innych ludzi - i nie myśląc o sobie, ale o nich - nie ma czasu na swój wstręt czy obrzydzenie, nie czuje już mdłego zapachu krwi i potu. Przestało jej też być obojętne, kogo z chorych udaje się przywrócić życiu, a kto musi się udać w Krainę Wieczności.

Teraz ich wdzięczność osaczała ją co dnia. Dostrzegała tę wdzięczność w ich oczach, gestach, słowach - i czyniła ona jej ruchy delikatniejszymi, czulszymi, zaś ich nieśmiały uśmiech wywoływał bezwiedny odzew na jej zaciśniętych do tej pory kurczowo ustach.

Pewnej nocy towarzyszyła staruszce, która przenosiła się powoli do Krainy Wieczności. W jej oczach czaił się lęk i Luelle pojęła, że za wszelką cenę musi go usunąć i przeobrazić w spokojne pogodzenie się z Losem, jeśli nie w radość. I zrozumiała, że jest to znacznie trudniejsze niż wszystkie jej magiczne sztuczki, jak na przykład przeobrażanie szyszek w liski. Poczuła, że stoi w obliczu jakiejś wielkiej zagadki, którą musi rozsypać i cała jej magiczna wiedza, którą tak się chlubiła, jest tu na nic nieprzydatna. Głaszcząc małą, siwą i trochę rozkudloną głowę staruszki uzyskała wreszcie to, że ta zaczęła mówić. Wspominała młodość, gdy na łąkach za swoją wsią pasła gęsi z innymi dziećmi, gdy palili razem ogniska, śpiewali Pieśń

Jedyną lub porzucając niefrasobliwie obowiązki tańczyli przebrani w wieńce z kwiatów. Powoli, powoli, w miarę wypowiedzanych słów, widząc uwagę słuchaczki, więcej, zaciekawienie - z oczu staruszki znikał lęk. I Luella słuchała jej opowieści, a gdy jedna kończyła się, zręcznym pytaniem podsyciała rozpoczęcie następnej. Staruszka była teraz w swych wspomnieniach młodą śliczną dziewczyną; młode było jej ciało, młoda dusza i młody wielbiciel u jej boku, a potem - szczęśliwe wesele, które uwieńczyło jej miłość...

- Gdzie on jest teraz? - spytała Luella.

- W Krainie Wieczności, już od dawna, tak długo... a ja tu sama.

Nim w oczach staruszki zdażyły zalśnić łzy, Luella, przytulając swój świeży policzek do pomarszczonej jak zimowe jabłuszko twarzy, już szeptała jej do ucha:

- ...więc wkrótce będziecie znowu razem, oboje młodzi i śliczni, zdrowi i szczęśliwi, bo tam w Krainie Wieczności nie ma ludzi starych, samotnych i nieszczęśliwych, nie ma chorych i cierpiących. Szczęśliwi są ci, którzy tam docierają po długiej i ciężkiej drodze życia...

Oczy staruszki w chwili śmierci były jasne i szeroko otwarte, pełne ciekawości i zachwycenia.

- Widzę go - powiedziała w pewnej chwili jasnym głosem. - Czeka na mnie... muszę się pośpieszyć... Już idę, kochany, idę...

Choć życie już dawno opuściło biedne, sterane ciało, Luella jeszcze długo siedziała przy macie, trzymając stygnącą powoli, suchą dłoń i płakała. Nie wiedziała, czemu płacze - i nie wiedziała, że zroszone tymi łzami małe ziarenko Miłości, Cierpienia i Litości pęcznieje powoli, nabrzmiwa, a po chwili z jego wnętrza dobywa się wąty, mikroskopijny kielek. I nie wiedziała, że tym razem naprawdę patrzą na nią dziecięco - błękitne oczy Pustelnika a na jego ustach błąka się łagodny, radosny uśmiech. Choć bowiem dla Czarownic i Ajoka Luella była księżniczką z królewskiego rodu Luilów, prawowitą władczynią tego kraju, Istotą z Pieśni - dla świętego Męża była tylko chorą, którą należało uleczyć. A każda wyleczona choroba przynosiła mu radość, którą Pustelnik żywił się jak chlebem. Może dlatego był Nieśmiertelnym...?

Minęło znowu wiele miesięcy, ale czas zaczął teraz upływać inaczej. Jeśli przedtem zdawało się, że płynie zbyt wolno, że ona, Luella, musi przemęczyć każdą minutę dnia, zwalczać siebie samą w każdej sekundzie - to teraz Czas gnał naprzód, nieposkromiony i wciąż go było mało.

- Ależ nie mogę iść spać - mówiła nerwowo do Czarownic, gdy dawno minęła północ.
- Wieczorem przybyło pięciu nowych chorych, musiałam się nimi zająć i nie znalazłam czasu dla pozostałych. A oni czekają! Nie mogę ich zawieść!

Doba miała teraz za mało godzin i Luella pojęła Pustelnika, który nie chciał tracić swego czasu na rozmowę z nimi, gdy przybyły. I to rozmowę o czym? O władzy...? Czymże ona była tu, na Pustyni? Co najwyżej mirażem, zbędnym i złudnym wobec realności życia i śmierci, wobec walki o życie lub walki o dobrą śmierć.

Pewnego dnia dwaj niezwykle utrudzeni ludzie przynieśli na Pustynię umierającą kobietę.

- Ratujcie! - błagali Pustelnika. - Ona ma czworo dzieci, jej mąż nie żyje. Jeśli umrze, dzieci pomrą z głodu i samotności. Ratujcie!

Nim skończyli mówić, już pierwsza Luella przyklękła obok chorej i delikatnie pogłaskała jej potargane włosy, aby zaraz potem chłodną, lecz czułą dłoń dotknąć rozpalonej twarzy. Czarownice zerknęły na Pustelnika, lecz ten pokręcił głową, żeby się nie wtrącały. Sam także stał nieruchomo i w pewnej oddali.

Oczy chorej nagle stały się przytomne:

- Chyba mi przeszła gorączka. Czy aby nie zdrowieję? spytała schrypniętym głosem.
- Dajcie mi pić...

- Odzyskała przytomność! - zawołali ci, co ją przynieśli. Po raz pierwszy od paru dni odzyskała przytomność! Będzie żyć?

- Będzie żyła - potwierdził Pustelnik i znowu powstrzymał gestem Czarownice, które chciały przyjść Luelle z pomocą.

- Nie dotykajcie jej teraz - szepnął. - W jej dłoniach jest Moc, Moc uzdrawiania.

Czarownice spojrzały po sobie ze zdumieniem, lecz Luella nawet nie słyszała słów Pustelnika, zajęta chorą kobietą która z każdą sekundą czuła się lepiej.

- Chcę wstać - oznajmiła nagle. - Tyle dni leżałam i leżałam. Czuję się już silna...

Dziewczyna poiła ją wywarem z ziół i łagodnym tonem rozmawiała o jej dzieciach. Pograżeni w zdumieniu dwaj mężczyźni, którzy przynieśli chorą, stali niemo i bez ruchu, a Pustelnik tymczasem mówił:

- Moc uzdrawiania ma ten, kto czerpie siłę i radość z pomagania innym, mają ten, kto bierze na siebie cierpienie chorego i choć sam cierpi, właśnie dlatego jest szczęśliwy. Nie ma w tej Mocy żadnych czarów, jak u was, Czarownic, lecz tylko miłość do ludzi. Wasza wychowanka jest zdrowa. Nie ma już w niej żadnej skazy. Z malutkiego ziarenka wyrósł kwiat, i to bardzo piękny. A teraz śpieszcie się, bowiem za dwa dni przypada Święto Wiosny, czego tu, na tej Pustyni nikt nie odczuwa. Jest tu zawsze tak samo, parno, gorąco i cały czas słońce świeci nad głowami. Tam, w Wysokich Górach, właśnie przemija zima...

- Luelle! - zawołały z radością Czarownice. - Idziemy w Wysokie Góry! Do ruin Wielkiej Świątyni! Do Świętego Kamienia! Słyszysz, Luelle? Jesteś już tego godna!

Luelle rozłożyła bezradnie ręce.

- Jakże mogę iść, właśnie teraz, gdy ciągle przybywają nowi chorzy...?

- Idź, dziecko - powiedział dobitnie Pustelnik. - Twoja droga nie jest moją drogą. Ten chłopiec, choć wiem, że pragnie tu pozostać, również musi iść. Jego przyszła rola już jest wpisana w Księgi Czasu i nie może z niej zbiec. Idźcie wszyscy. Zawsze byłem tu sam i sam muszę pozostać. Inaczej przestanę być Pustelnikiem...

...i zaśmiał się dziecięcym, łagodnym śmiechem. Pożegnali się więc wszyscy serdecznie i z żalem. Każdemu z nich, także Czarownicom ten spędzony na Pustyni rok dał bardzo wiele - i każde z nich wzięło stąd swoją nową, choć inną Moc. Luelle - iście królewską Moc uzdrawiania chorych i rozkwitłe w piękny kwiat, umierające wcześniej w jej sercu malutkie ziarenko Miłości do ludzi. Ajok wziął ze sobą Moc poezji - tej, która jest władna w sposób prawdziwy mówić o życiu i śmierci, o sensie istnienia i sensie niebytu, którą posiadało tylko niewielu poetów. A Czarownice? Ich zdolność do magii i czarów upraszczała tak wiele w ich życiu - a tu ujrzały to samo życie w całym pięknie jego gorzkości, cierpienia i radości.

Pojęły też błąd, który popełniły wychowując Luelle jedynie wśród Czarów i Magii, wśród chłodu Rozumu i w aurze królewskiej dumy.

Pustelnik jeszcze długo spoglądał w ślad za nimi, za ich coraz to malejącymi sylwetkami w oślepiającej bieli Pustyni, i gdy już stali się jedynie małymi punkcikami - westchnął i pobłogosławił ich z oddali. Życie tam, wśród ludzkich siedzib, wydawało się jednym, wielkim kłębowiskiem szalejących namiętności, ambicji i żądz. I jeszcze raz podziękował swemu dobremu Bogu, za to że wybrał życie na Pustyni.

* * *

- Panie - powiedział Woodou do Urgha - za dwa dni przypada Święto Wiosny i zarazem pierwsza rocznica największego święta w historii naszego Imperium...

- M o j e go Imperium - poprawił go Urgh dobitnie i ryknął śmiechem na widok zawodu rozlewającego się na twarzy jego najwierniejszego sługi. - No dobrze, już dobrze... Masz i ty swoje zasługi w jego istnieniu.

- Tak, panie - rzekł Woodou uniesieniem głowy. - Ale za dwa dni mija pierwsza rocznica Sczeźnięcia Pieśni Jedynej i winienesz to jakoś uczcić. Teraz, gdy już nic nie zagraża twemu Imperium, winienesz co rok, o tej porze, przypominać poddanym, jak głupie były ich nadzieje i że ich jedyna szansa tkwi w pokornym wypełnianiu twoich poleceń. W dniu tym powinni wszyscy o tej samej godzinie padać na kolana i dziękować za twoją wspaniałomyślność: za to, że nie ściałeś trzy razy tyle głów śpiewakom tej

głupiej Pieśni, gdyż wszyscy w tym kraju śpiewali ją, jedni głośno, inni tylko w głębi duszy, ale śpiewali...

- I powinienem ściąć ich tępe łby! - ryknął Urgh. - Nie wiem, czemu mnie przed tym powstrzymałeś!

- Kto by wówczas pracował dla ciebie? - spytał uniesieniem głosu Woodou. - Kto wydobywałby złoto z twoich kopalni, w których rokrocznie giną setki ludzi, bez ścinania im głów? Kto by hodował dla ciebie owce, kozy, gęsi i woły, uprawiał rolę i piekł chleb? Szył szaty i przykrawał buty? Kto by wreszcie wytapiał stal na miecze dla twojej armii?

- Co proponujesz? - spytał Urgh z ciekawością.

- Niech twoi heroldowie objadą całe twoje Imperium i ogłoszą, że za dwa dni, w samo południe, wszyscy twoi poddani i niewolnicy mają przykłęknąć i bić czołem na znak wiecznego poddaństwa i radości ze swego losu. Bo mógłby być gorszy!

- Dobrze mówisz, Woodou. Kto wie, może jednak przywrócę ci stanowisko pierwszego ministra! - zaśmiał się tubalnie władca. - Ale tym, którzy łby będą schylać nie dość nisko, trzeba je ściąć! I taki będzie mój rozkaz. Hołd w samo południe, za dwa dni, w godzinę później egzekucje! Także dla uczczenia mej wielkości!

I królewscy heroldowie ruszyli w głąb kraju.

ROZDZIAŁ XXVIII

Wędrowcy nawet nie wiedzieli kiedy z powrotem zjawili się w sercu Wysokich Gór. Zapadał zmierzch. Droga tym razem wydawała się krótka, gdyż gnała ich niecierpliwość i nadzieja. Noc spędzili wśród skał, pół drzemiąc, pół śniąc, pół czuwając.

Ajokowi śniła się gruba Księga z wierszami. Jego księga z j e g o wierszami. A każda pierwsza litera nowej zwrotki była pięknie iluminowana prawdziwymi farbami. I każdy wiersz zawierał w sobie tyle znaczenia, tyle prawdy o życiu, o śmierci, o narodzinach i umieraniu, o sensie życia i sensie przekraczania Bram Wiecznej Krainy - że każdy kto ją czytał czuł się bogatszy, szczęśliwszy, rozumniejszy. I śniło się Ajokowi, że Księgę tę - jak przedtem Pieśń Jedyńą - będą znać wszyscy w tym kraju i wszyscy będą w nią wierzyć, jak w Pieśń.

- Jeśli Pieśń nie zawiedzie - mruknął, obracając się na drugi bok.

Każda z Czarownic śniła jeszcze raz o swoim Czasie spędzonym z wychowanką i każda, wzdychając boleśnie, szukała w sobie błędu, który spowodował, iż Święty Kamień ją odrzucił.

- Dałam jej opiekę, ale nie dałam serca, choć ona nie miała matki - mruzczała przez sen Czarownica Pierwsza.

- Czyż rozum nie jest cenniejszy niż miłość? - jęczała we śnie Druga. - Dałam jej wiedzę, ale nie uczyłam miłości. Pokochała Matkę Naturę, ale odsunęłam ją od ludzi.

- Wprowadziłam ją w świat ludzi, ale nie umiałam jej przekonać, że nawet najbardziej poniżony człowiek ciągle jest godny szacunku, a im bardziej cierpi, tym mocniej trzeba go kochać... - mruzczała Trzecia. - Czyż to nie moja wina?

- Mury Ardżany dały jej dumę i godność praprzodków. Nie pojęłam, że to za mało, aby być władczynią - rzucając się we śnie, szeptała Czwarta.

I tylko stary Pustelnik spał tej nocy spokojnie w swej pieczarze.

Luella nie spała wcale. Łagodnym ruchem ręki powitała niedużego szarego ptaka, który przycupnął koło jej głowy.

- Wiedziałaś, co czynisz, wiodąc nas na Pustynię - szepnęła patrząc w nieme oczy. - Poznałam tam gorzki smak ludzkiego cierpienia i wielką czystą radość, gdy można było je odjąć, biorąc na siebie. Jakżeż byłam głupią i pustą dziewczyną, a wcześniej nieznośnym i kapryśnym dzieckiem. Doprawdy, Święty Kamień musiał się na mnie rozgniewać, gdy stanęłam na nim w swojej dawnej postaci...

Jaskrawo czerwone słońce wschodząc nad skałami zbudziło jej współtowarzyszy. Czarownice serdecznie powitały swoją przemienioną w ptaka Siostrę, choć zdawało się, że ptak tego nie pojmuje. Teraz już wszyscy ruszyli dalej, aby jak najszybciej dotrzeć do serca ruin Wielkiej Świątyni, rozmawiając, w skupionym milczeniu i tylko echo powtarzało ich kroki lub zwielokrotniało dźwięk spadającego spod ich stóp żwiru. Gdy stanęli u celu swej górskiej, uciążliwej drogi, właśnie zapadała kolejna noc. Byli zmęczeni, zarazem pełni lęku i nadziei. Tej nocy nie spał nikt. Ruiny Wielkiej Świątyni robiły wrażenie ogromnych, posępnych i groźnych w księżycowej poświacie. I choć srebrzyste światło rozjaśniało cały ten niezwyklej krajobraz, równocześnie wszystkie cienie były czarniejsze niż zawsze.

- Boisz się? - spytała szeptem jedna z Czarownic.

- Tak, ale jakoś inaczej niż wtedy - odparła Luella. - I proszę was tylko o jedno, nawet gdyby Święty Kamień zechciał mnie zabić, nie zdejmujcie mnie z niego. Niech się stanie, jak musi się stać.

Razem z brzaskiem nowego dnia ruszyli po schodach Świątyni i przeszli w stronę gładkiej, skalnej ściany.

- Nie musisz iść - szepnęła Luella Ajokowi. - Gdyby groziła nam śmierć, ty nie powinienesz zginąć.

- Muszę iść - odparł Ajok. - Muszę przy tym być.

Tak jak rok temu, Czarownice wysunęły w stronę skały swe obdarzone magiczną Mocą dłonie - i ta po chwili odkryła zaczarowane wrota. Gdy już uformowały się one wyraźnie jęły rozwierać się powoli, powoli...

Z ciemnego wnętrza wionął na nie lodowaty podmuch i nim przekroczyły czarodziejskie odrzwia, ujrzały, jak całe niebo nad ich głowami ściemnia się i pokrywa chmurami koloru czystej czerni. Była to czerń tak głęboka, że zdawało się, iż na świat powróciła dopiero co minioną noc, nie dając słońcu ukazać swego jasnego oblicza.

Święty Kamień lśnił zielonkawą poświatą i nagle Luella - pełna grozy i zdumienia - pojęła jego prawdziwy kształt: Święty Kamień był grobowcem. Kto spoczywał pod tą olbrzymią, omszałą kamienną płytą? I komu wolno bezkarnie wstąpić na czyjś Grobowiec, bezczeszcząc go swymi stopami?

Teraz dopiero Luella zrozumiała, że Święty Grobowiec nie chce ani jej dumy, ani uporu czy rozumu, nie chce inteligencji, wrażliwości i talentów magicznych, nie mówiąc już o zewnętrznych oznakach królewskiego pochodzenia. Święty Grobowiec chce jej miłości i współczucia, modlitwy za jego zmarłych, którzy spoczywają tam głęboko i od wieków - gdyż tylko te uczucia mogą rozgrzać jego lodowatą samotność.

Mroźny podmuch omiatał całą pieczarę. Ajokowi i Czarownicom pobladły twarze i każde z nich ogarnęła paniczna chęć ucieczki. Nim jednak którekolwiek wykonało jakiś ruch - Luella, nie czekając na niczyją pomoc, sama wstąpiła na Święty Kamień. I wówczas jej strwożeni i zdumieni współtowarzysze usłyszeli, jak Dziewczyna krzyczy w czarną i zimną przestrzeń pieczary, wyciągając przed siebie ramiona:

- Kocham was! Kocham was wszystkich, żywi i martwi, ci, których już nie ma, i ci, którzy się narodzą! Kocham was, leżący pod tym Kamieniem, pod swoją grobową ciężką płytą! Nie jesteście już sami! Jestem z wami, ja, Luella z rodu Luilów!

...i wówczas Święty Kamień, promieniując groźną, zielonkawą poświatą - zadygotał. Najpierw lekko, potem mocniej, coraz mocniej, by wreszcie wprawić się w tak silne drganie, iż Luella, nie mogąc utrzymać równowagi, zeskoczyła zeń i stanęła w gronie swych znieruchomiałych ze zgrozy współtowarzyszy. Drganie Kamienia nagle zaczęło towarzyszyć dudnienie tak donośne, iż musiało się roznieść chyba po całym kraju. Czarownice, Ajok i Luella mimo woli cofając się, krok za krokiem, zatrzymali się pod jedną ze ścian pieczary, trzymając mocno za ręce dla dodania odwagi.

Święty Kamień drgał... dudnił... drgał... dudnił... drgał i nagle oderwał się od swej podstawy i obrócił na bok. Pod nim ukazał się ogromny, fosforyzujący dziwnym światłem otwór, prowadzący gdzieś w głąb ziemi. Po chwili z czeluści tej zaczęły

wypełzać jakieś kształty, jeden za drugim, jeden za drugim; było ich coraz więcej i więcej. W oszalałych ze zgrozy widzach kształty te powoli formowały się i przesuwały ku otwartym wciąż skalnym wrotom, jeden za drugim, jeden za drugim.

...Były ich dziesiątki, setki, tysiące... Upiorni Rycerze z Mroku Pradziejów, wszyscy którzy kiedykolwiek oddali życie za dawne Wielkie Królestwo, a nawet jeszcze wcześniej, nim ono się utworzyło, ale którzy ongiś żyli i walczyli o wolność tej ziemi. Wszyscy, których siła, rozum i serca przyczyniły się do późniejszej wielkości Królestwa, jego potęgi i chwaty, ci, którzy je budowali i tworzyli. I ta straszliwa, potężna, niepoliczalna Armia Upiorów Przeszłości ruszyła w dół, schodami dawnej Wielkiej Świątyni i sphywała całymi szeregami w stronę dolin. Czoło tego okropnego, martwego pochodu osiągało już pierwsze ludzkie siedziby, a tymczasem z ziemskiej czeluści wychodzili wciąż coraz to nowi Martwi Rycerze - i nie było temu końca...

Nad całym dawnym Wielkim Królestwem zapanowała Czern i w tej Czerni poruszały się tylko, zielonkawo opalizując, straszne, groźne sylwetki, bez ciała, bez krwi, a mimo to rzeczywiste. Wszyscy żywi schronili się w swych domach, śledząc z ukrycia straszliwy pochód nie mający, zdawałoby się, ani początku, ani końca. I po jakimś czasie zabrakło choćby piędzi ziemi, gdzie by ich nie było. Strwożeni Najeźdźcy porzucali w panicznym lęku swą broń i nie czekając na niczyje rozkazy mknęli co sił na swych koniach w stronę Wielkich Stepów. Ze wszystkich stron kraju gnali ku dawnej granicy Wielkiego Królestwa wszyscy rycerze i żołdacy Urgha. Tam, na Wielkich Stepach nie było Czerni i nikt już ich nie gonił.

Mieszkańcy Zamku opuszczali go w popłochu, zaprzęgając konie do swych wozów i wsiadali pośpiesznie, nie bacząc na hierarchię czy dworskie stanowiska. Sam Urgh XIII z trudem zdążył dopaść jeden z wozów i runął nań w popłochu. Konie ruszyły jak szalone, rżąc ze strachu. Tę armię żywych, ciągnących ku Wielkim Stepom, ścigała cierpliwie, wytrwale i bezgłośnie Armia Upiorów. Okrzyki trwogi uciekających splatały się z lodowatą, głuchą ciszą za ich plecami, która była straszliwsza niż szcęk broni. Paniczną ucieczkę Najeźdźców śledziły przez okna swych domostw blade i wystraszone twarze mieszkańców - u których jednak strach powoli zaczął splatać się z nadzieją. Odrzucona w pogardzie Pieśń Jedyna znowu zaczęła brzmieć w ich uszach i mimo woli przenosiła się na usta, które podejmowały śpiew, najpierw cichy, a potem coraz to głośniejszy. Narastała powoli pewność, że ta Armia Upiorów, armia bez ciała, kości i krwi jest w swej istocie Armią Rycerzy z Przeszłości, ich rycerzy, ich przodków, synów ich narodu, więc nie strachem należy ich witać, ale ciszą - lub śpiewem Pieśni. I mimo groźnej Czerni, która opanowała całą krainę, mimo złowrogiego światła bijącego od bezkształtnych sylwetek - niektórzy wyszli przed swe ubogie domy i jęli śpiewać swoją Pieśń, tę samą, której rok temu się wyparli. I ta melodia, o zmiennym, pełnym niepokoju rytmie zaczęła towarzyszyć bezgłośnemu przemarszowi Martwych.

Zgromadzeni w pieczarze stali tymczasem nieruchomo, jak skamieniały. Wiele, wiele dni po tych wydarzeniach długo nie mogli się pogodzić, ile czasu to trwało. Ajok

twierdził, że stali tak trzy doby, nie czując zmęczenia ani głodu - i śledząc rozszerzonymi oczami wymarsz straszliwego pochodu z czeluści, a potem jego powrót do niej. Dopiero wówczas gdy ostatnia bezcielesna sylwetka wstąpiła pod ziemię - Święty Kamień zadrżał i z powrotem opadł na swoje miejsce, kryjąc na wieki wejście do upiornej czeluści.

Czarownice dałyby głowę, że trwało to dłużej, i mówiły o siedmiu dniach i nocach, albowiem gdy wyszły wreszcie z Pieczary, były wychudzone tak, jakby nie jadły co najmniej od tygodnia.

Tylko Luella nie brała udziału w tej dyspacie, ale pogrążona była w głębokim namyśle. Minione przeżycia zmieniły rysy jej twarzy, przydając dojrzałości - i cierpienia. Sylwetka jakby urosła, wysmukłała, a ruchy spowolniały. I jeśli do pieczary weszła Dziewczyna - to wyszła z niej Władczyni.

* * *

Cóż więcej można opowiedzieć? Że w wolnym Wielkim Królestwie Ajok rzeczywiście napisał swoją Księgę Wierszy, choć nie było to tak proste, jak myślał, i nim urzeczywistniło się, jego włosy zbieleły, a plecy przygarbił nieubłagany czas?

Można jeszcze napisać, że pewnego dnia, gdy się obudził, pomyślał o drugiej połowie swego ja - o ojcu? Wtedy też zaczęła w nim tlić się myśl, że - mimo brutalności Urgha i krzywd, jakie uczynił Wielkiemu Królestwu - on, Ajok, jest mu także coś winien. Swymi wierszami i pieśniami, które były sławne w całym kraju, spłacił dług wobec matki - teraz nadeszła pora, by uczynić to wobec ojca, jakim by on nie był. Jednak był ojcem. Jednak kochał matkę. I Ajok, nikomu nic nie mówiąc, aby go nie powstrzymano, samotnie wyruszył na Wielkie, Dzikie Stepy, dzierżąc w swym worku, oprócz odrobiny jedzenia, wszystkie swe Księgi. Postanowił odszukać na Stepach ród swego ojca - tym samym jego własny. Jego wręcz opętańczą ideą stała się myśl, że dzikość, brutalność i okrucieństwo można złagodzić poprzez poezję i pieśń. Była to może wiara naiwna, ale nie umiał jej odrzucić.

Czy mu się to udało? Tego nie wie nikt, gdyż wszelki ślad po Ajoku zaginął, mimo iż jego przyjaciółka i władczyni, Luella, nakazała swym rycerzom szukać go nawet tam, wśród rozległych, niemal bezkresnych Wielkich Stepów.

Można też napisać, że Czarownice modliły się co dzień do swych Bogów, ażeby dzień był dłuższy o parę godzin, a ich Moc większa, gdyż tyle było do zrobienia w spustoszonej przez Najeźdźcę kraju. I kto wie czy Bogowie nie wysłuchali ich próśb, gdyż Wielkie Królestwo - zniszczone w jeden dzień - odbudowywało się długo i mozolnie, ale i tak o wiele krócej, niżby można sądzić.

Powinno się napisać, że Luella była znakomitą Władczynią. Oczywiście, była taką, ale będąc tylko człowiekiem, co jakiś czas popełniała błędy. Na szczęście umiała się

do nich przyznać i wezwać najmędrzych ludzi, aby ów błąd znaleźli i pomogli go naprawić. Czy mam pisać, że Luella wyszła za mąż i urodziła dzieci? Że jeden z jej synów stanął na Świętym Kamieniu, który go odrzucił, i dopiero drugi syn był godny królewskiej sukcesji? Czy Luella była szczęśliwa na królewskim, kamiennym tronie w białej sali Pałacu Królów w Ardżanie? Tego nie wiem.

Chyba jednak powinnam wspomnieć, że gdy minęły wieki, koczownicze plemiona na Wielkich Stepach znowu zaczęły zazdrośnie spoglądać ku granicom bogatego i szczęśliwego kraju. Lecz miecze królewskich rycerzy były przypięte u pasa, a kolejni władcy poprzysięgli sobie zakopać je z powrotem tylko wówczas, gdy inne państwa i narody tego świata uczynią to samo wraz z nimi. Krążyła jednak niesprawdzona wieść, że wśród koczujących na granicy brutalnych dzikich plemion żyje jakiś jasnowłosy młodzieniec, praprawnuk nieznanego Przybysza, powołującego się na pochodzenie z rodu Urgha - i że ów młodzieniec zaczyna skupiać wokół siebie coraz większą grupę swych wyznawców. Głoszą oni, jakoby ziemia nie była od tego, by pobrzękiwał na niej groźnie miecz czy też aby zamiast deszczu spływała na nią krew; że ziemia kwitnie i darzy ludzi wszystkim co tylko posiada, jeśli brzęczy struna gitary, echo roznosi po niej piękne pieśni, a wiersze zraszają ją jak najdelikatniejsza rosa.

Nie wiem doprawdy, co mam jeszcze pisać. Wiem tylko, że bez względu na to co się dzieje zarówno w Wielkim Królestwie jak i na Wielkich Stepach - za Wysokimi Górami na białozółtej Pustyni święty Pustelnik cały czas w swej samotni uzdrawia chorych lub pomaga im bez cierpienia przenieść się do Krainy Wieczności. I że jest to stale ten sam Pustelnik, czego nikt nie umie i nawet nie chce pojąć. Gdyż zawsze i wszędzie są sprawy, rzeczy, zjawiska czy istoty, które trzeba rozumieć - i takie, w które wystarczy wierzyć.